

SUE MARGOLIS

GUCCI, GUCCI,

ŁAPCI

*Dla mojego męża, Jonathana,
który zawsze jest przy mnie, kiedy mi źle na świecie
- przynosi pecha czy co?*

Rozdział 1

Ruby Silverman usadowiła się na fotelu ginekologicznym i położyła nogi na podpórkach. Gapiąc się w sufit, mimowolnie zarejestrowała, jak doktor strzelił gumą, naciągając rękawiczki. Próbowwała odwrócić uwagę od czekającego ją badania. Skupiła się na grze, którą prowadziła w myśli - ile wyrazów można utworzyć ze słowa „wziernikowanie”.

Jak dotąd znalazła sześć: „ziarno”, „znikanie”, „niwa”, „konie”, „kora” i „kran”. Przyszło jej do głowy jeszcze siódme: „ziarnik”, ale nie była pewna, czy ono w ogóle coś oznacza. Kojarzyło jej się z terminologią medyczną, może to jakaś narośl albo wykwit.

- Boli? - spytał lekarz, naciskając z boku brzucha. Jeszcze nie rozpoczął prawdziwego badania, ale dzieliły ją od niego zaledwie sekundy.

- Nie, wcale.

„Krowa!” - znalazła siódme słowo. Doktor, którego nazwisko wyleciało jej z głowy, choć pamiętała, że było dwuczłonowe, stanowił archetyp angielskiego wyższego rangą pracownika służby zdrowia. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce. Miał krzaczaste brwi, które aż błagały o przycięcie, drogi, lecz niemodny garnitur i takiż krawat: ginekolog położnik - łózkowo nieciekawym.

Zazwyczaj Ruby ceniła pociągających lekarzy, lecz tym razem było odwrotnie. W braku dostrzegła zaletę. Świadomość, że do wszystkich części jej ciała będzie miał dostęp obcy mężczyzna - nawet jeśli to ginekolog - była wystarczająco okropna. Gdyby miał badać ją ktoś czarujący - lub, nie daj Boże, młody i przystojny - wołałaby zwać z gabinetu.

Ze względu na niechęć do ginekologów rodzaju męskiego jej stała lekarką, do której chodziła co roku na kontrolę podwozia, była pani doktor Jane Anderson. Dawno przekroczyła czterdziestkę, kontaktowa i macierzyńska, wzbudzała zaufanie rozwichrzoną fryzurą i tym, że była zupełnie na bakier z modą. Ruby nie posunęłaby się tak daleko, by twierdzić, że wizyta u niej sprawiała jej przyjemność, ale przynajmniej przychodząc tu, czuła się bezpieczna i odprężona. Dzisiaj jednak doktor Anderson była na zwolnieniu: zastępował ją doktor Baryła - Wina.

- Okres regularny? - zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż pytanie.

- Tak jest.

- Mocz?

- W porządku.

- Latająca nerka?

Miała ochotę odpowiedzieć: „Co niedzielę z Heathrow”, żeby rozładować atmosferę, ale zdecydowała się milczeć: Baryła - W. nie wyglądał na człowieka, który ma poczucie humoru. Pokręciła więc tylko przecząco głową.

- Choroby weneryczne w tym roku?

- Co? Nie, nie, ależ skąd.

Podczas gdy Baryła - W. grzebał i macał, Ruby porzuciła swoją grę słowną. Zaczęła się zastanawiać, jakie to dziwne, że choć St. Luke jest najmodniejszą, najnowocześniejszą prywatną kliniką położniczą Londynu, faceci ginekolodzy są tu tak samo obojętni i apatyczni jak w pierwszym lepszym szpitalu. Nie wyobrażała sobie przyjaznych pogawędek z B. - W., podobnych do tych, jakie ucinała sobie z doktor Anderson. Z drugiej strony, może mężczyźni celowo trzymają się na dystans, żeby pacjentki nie zinterpretowały mylnie ich poufałości...

Wszystko jedno. Niezależnie od tego, czy doktor Baryła był tu wyjątkiem, czy nie, jego gburowatość nie powstrzymywała kobiet przed szturmowaniem bram kliniki St. Luke w Holland Park. Od czasu otwarcia tej placówki przed pięcioma laty ciągle opisywano ją w brukowcach i kolorowych magazynach jako „rolls - royce'a klinik ginekologicznych”. W rezultacie liczba pacjentek rosła z każdym dniem.

Oddział położniczy cieszył się wyjątkową popularnością. Zarówno kobiety preferujące poród siłami natury, chcące uniknąć szpikowania hormonami, jak i te zbaczające z utartej - z ginekologicznego punktu widzenia - ścieżki na rzecz pakietu składającego się z: basenu, douli i śniadania z szampanem - całość, bagatela, w cenie dziesięciu tysięcy funtów - wychodziły z siebie, żeby dostać się do St. Luke. Ze względu na dziki wyścig o miejsca, większość pań chwytала za telefon do centrum rezerwacji z chwilą, gdy test ciążowy pokazał dwie kreski.

Ruby w duchu dzieliła pacjentki kliniki na trzy kategorie. Pierwsza: wściekle bogata załoga od kabały i kryształków - zmanierowane, szukające duchowego oświecenia brytyjskie sławy i gwiazdy Hollywood, mieszkające w Londynie. Od innych pacjentek odróżniały się tym, że miały własną doulę, wynajmowały do porodu szamana i zjadały własne łożysko - choć Ruby wierzyła skrycie, że tak naprawdę to ów szaman musiał je zjeść.

Druga: panie z klasy średniej, czytelniczki „Guardiana”, należące do gatunku eko - bio - vega, którym podobało się to, że szpital St. Luke miał doskonale zaplecze medyczne, a do tego był postępowy. Jednocześnie cierpiały na wyrzuty sumienia, wynikające z faktu, że wysokie opłaty za opiekę lekarską nie szły w parze z ich lewicującym światopoglądem.

Próbowały zagłuszać je, pisując potem długie, samooskarżycielskie, lecz, koniec końców, usprawiedliwiające listy do swojej gazety.

Trzecia kategoria to zwyczajne, niezbyt zamożne kobiety, które oszczędzały na czym się dało i rezygnowały rok po roku z wakacji, by móc pozwolić sobie na poród w St. Luke. Miały po dziurki w nosie publicznych klinik i szpitali, gdzie musiałyby wysiadywać godzinami na zielono pomalowanych korytarzach lub w ponurych poczekalniach z wyjąłym telewizorem i jeszcze przynosić ze sobą bieliznę w reklamówce. Wszystko po to, by rzucił na nie okiem jakiś znudzony lekarzyna, którego wyraz twarzy mówił, że uważa ich iloraz inteligencji za mniejszy od rozmiaru ubrania.

Rodzice Ruby przez całe życie tkwili po uszy w kłopotach finansowych, dlatego uważała się za zwyczajną dziewczynę, przynależną do kategorii numer trzy. Tak naprawdę, choć nie robiła zakupów w eko - sklepach ani nie zaczytywała się „Guardianem”, bardziej pasowała do grupy drugiej i w głębi duszy zdawała sobie z tego sprawę.

RUBY ZGODZIŁA SIĘ na wizytę u Baryły dopiero po tym, jak recepcjonistka wyjaśniła jej, że doktor Anderson zachorowała na poważną chorobę wirusową i nie wiadomo, kiedy wróci do pracy. A skoro jej coroczna wizyta kontrolna i tak została opóźniona z powodu wyjazdu na wakacje, zdecydowała się przełamać swoją zwyczajową niechęć do ginekologów rodzaju męskiego i zbadać się u B. - W. Może nie miała racji i faceci ci czerpali z wgapienia się w damskie krocza nie więcej przyjemności niż mechanik patrzący na silnik przy otwartej masce.

Doktor Baryła przyjmował pacjentki zarówno swoje, jak i doktor Jane, w związku z czym wizyta się opóźniła. Ruby musiała czekać ponad godzinę. Przez ten czas wypila trzy filiżanki mocnej kawy i czuła przez to jeszcze silniejsze rozdygotanie. Do tego co dwadzieścia minut chciało jej się siusiu. Podczas ostatniej wizyty w toalecie zabrakło papieru i musiała grzebać w torbie w poszukiwaniu chusteczek higienicznych.

Przeczytała przy okazji magazyn „Hello!”. Dwukrotnie. Jak większość inteligentnych kobiet próbowała sobie wmówić, że jej zainteresowanie życiem gwiazd wpływa tylko z upodobania do ironii. Tak naprawdę delektowała się nim. Plotki, która zaszła w ciążę, kto schudł albo przytył, kto miał cellulitis bądź zmarszczki, a kto wyglądał na premierze, jakby wystroił się w ścierkę od podłogi, i to nie własną, ale sprzątaczkę swojej gosposi - pokrzepiały Ruby jak czekolada przed okresem. Zdjęcia prezentujące cellulitis na udach Kate Winslet lub zjawisko w postaci worów pod oczami Gwyneth - nawet jeśli były wynikiem złego oświetlenia - wprawiały ją w dobry humor na cały tydzień. Fascynacja plotkami dotyczącymi sław wykraczała w przypadku Ruby poza zwykłą ciekawość - zdobyte w ten sposób informacje okazywały się przydatne w pracy. Jako że jej klientela, podobnie jak kliniki St.

Luke, składała się w dużej części z gwiazd ekranu, interesowało ją, kto właśnie zaszedł w ciążę albo urodził. Ruby była współwłaścicielką Les Sprogs, ekskluzywnego butików z rzeczami dla dzieci w Notting Hill. Brytyjskie i amerykańskie sławy, wespół z mamusiami żyjącymi z procentów od kapitału zaopatrywały się u niej w designerską odzież ciążową i dziecięce ubranka (Ruby właśnie zamówiła pierwszą dostawę linii Baby Gucci, która po prostu zniknęła z półek), wózki w stylu retro Silver Cross Balmoral po tysiąc funtów za sztukę, terenowe spacerówki i słodkie, owalne pojemniczki ze srebra „na pierwszy loczek”.

Przeglądając „Hello!”, natrafiła właśnie na krótką notkę o hollywoodzkiej aktorce Claudii Planchette. Nagłówek obwieszczał: „Bocian zamiast Mikołaja - gratulujemy, Claudio”. Artykułowi towarzyszyła fotka strzelona z ukrycia przez paparazzich - z pewnością skopiowana z lepszego magazynu - przedstawiająca gwiazdę opuszczającą chyłkiem oddział ginekologiczny St. Luke: jej denerwująco chudy odwłok odziany był w obcisłą lycrę.

„Wygląda na to - myślała sobie Ruby - że Claudia nie zamierza rodzić w LA”. To oznaczało, że butik może zyskać jeszcze jedną zamożną i wybredną klientkę.

Ruby od zawsze miała głowę do interesów. Nikt z rodziny nie miał bladego pojęcia, po kim mogła to odziedziczyć. Na pewno nie po rodzicach. Jej matka, Ronnie - zdrobnienie od Rhona - była uznaną artystką i raz do roku miała indywidualną wystawę w modnej galerii na East Endzie. Sprzedawała trzy czy cztery płótna, każde za kilka tysięcy funtów. Zdarzało się, że obrazów nie kupił nikt.

Tato Ruby, Phil, był artystą reklamowym i pracował jako wolny strzelec. Poznał Ronnie w szkole sztuk pięknych podczas jej pierwszego semestru. Był starszy o cztery lata i kończył już studia. Dziwnie się dobrali, przynajmniej tak wydawało się Ruby: hipisująca artystka i reklamiarz. Ronnie często nazywała to pożądaniem od pierwszego wejrzenia. Dopiero z czasem okazało się, że świetnie do siebie pasują i wzajemnie się uzupełniają. Ona - wówczas młoda, skłonna do refleksji idealistka i on - mocno stąpający po ziemi, bez strachu stawiający czoła praktycznej stronie życia.

Kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu Ronnie odkryła, że jest w ciąży. Pozbycie się dziecka nie wchodziło w grę. Wzięli więc cichy ślub cywilny, na który oprócz siostry Ronnie, Sylvii, zaprosili tylko garstkę przyjaciół z uczelni.

Po narodzinach córki Ronnie rzuciła studia i została pełnoetatową mamą. Mieszkali we trójkę w wynajętym mieszkanku w Balham, gdzie jedyna sypialnia spełniała dodatkowo funkcje pokoju dzieciennego i studia malarskiego. To tu Phil realizował się artystycznie, projektując cuda w postaci opakowań proszków do prania i płatków śniadaniowych.

Trzydzieści lat później nadal zajmował się tym samym. Zawsze miał jako takie wzięcie, ale dopiero dziesięć lat temu udało mu się zyskać jako klientów takie giganty jak Kelloggs', Nestle czy Procter&Gamble. Wcześniej wykonywał zlecenia dla firm z ogona rynku. Jego największym osiągnięciem były projekty nalepek na słoiki i metek od ścierek dla Happy Shopper, sieci dyskontów, z którą współpracował przez dwadzieścia lat.

Kiedy Ruby była mała, rodzice żyli od wypłaty do wypłaty. Co gorsza, postępowali zgodnie z zasadą „co masz zjeść jutro, zjedz dzisiaj” i nigdy nie byli w stanie odłożyć pieniędzy na zapłacenie podatków. Tonęli w długach, utrzymując się jakoś na powierzchni od jednej nagłej katastrofy do kolejnej. Tata wiecznie zamartwiał się o pieniądze, natomiast mamę te kwestie zdawały się w ogóle nie obchodzić. W głębi swojego hipisowskiego serca Ronnie czuła, że ich przejściowe trudności w płaceniu rachunków nie powinny odwracać jej uwagi od prawdziwych problemów: zagłady lasów tropikalnych, dziury ozonowej czy postępującej globalizacji.

Jako typowa buddystka kanapowa - taka, co czyta książki na temat, ale nie ma zamiaru dołączyć do wspólnoty - była przekonana, że „wszechświat ją nakarmi”. Za każdym razem, gdy bank odmawiał następnej pożyczki, nuciła „mantrę kredytową”, która raz pomagała, a raz nie. Kiedy nie udawało jej się nic wskórać, przypominała sobie o zaprzyjaźnionych właścicielach galerii i błagała ich przez telefon o skrawek wolnej ściany, gdzie mogłaby pokazać swoje prace, a następnie je sprzedać.

Ruby pamiętała, że gdy miała piętnaście lat, był taki okres, kiedy byt zapewniła im karta kredytowa Ikei. Przez miesiąc żywili się klopsikami, chrupkim chlebem, konfiturą żurawinową i wódką.

W wieku jedenastu lat Ruby zdała sobie sprawę z tego, że rodzice zaliczali się do ubogiej cyganerii. Do tej pory wydawało jej się, że u każdego w domu drewniane podłogi zachlapano farbą olejną, kanapa zapadała się, a kulawe łóżka podpierano stertą starych książek telefonicznych. Powoli zaczynało do niej docierać, że w domach większości koleżanek na podłodze leżał gruby dywan, w kuchni nie śmierdziało terpentyną, a w zlewie wśród talerzy nie walały się brudne pędzle. I nie było niedokończonych obrazów opartych o ściany. Żadna z matek jej koleżanek nie miała rozwichrzonych rudych włosów i nie ubierała się w kółko w roboczy kombinezon poplamiony farbą. I żadna nie odbierała córki ze szkoły pomarańczowym volkswagenem furgonetką, pokrytym naklejkami nawołującymi do rozbrojenia atomowego, śpiewając na całe gardło przeboje Joni Mitchell.

Większość nastolatków wstydziła się za rodziców i mogłoby się zdawać, że będzie to wyjątkowo intensywne uczucie w przypadku Ruby. Jednak jej przyjaciele lubili bardzo

Ronnie i Phila, dobrze też czuli się u nich w domu. Panująca tu atmosfera odpowiadała dzieciakom, które u siebie zmuszone były uważać, by, broń Boże, nie zaplamić czymś kremowej, Inianej sofy. A skoro rodziców Ruby uznano za najbardziej cool z całego sąsiedztwa, ona sama nie widziała powodu, by jakoś szczególnie się buntować - przynajmniej nie w zwykły sposób.

Nie wrzeszczała i nie miewała napadów wściekłości. Za to już w liceum zapaliła się do pomysłu studiów w szkole biznesu i zarządzania. Wieczne zamartwianie się ojca o pieniądze i miesiąc pod znakiem Ikei zostawiły w jej pamięci trwałe ślady. Ruby zdecydowała, że ona sama nigdy nie będzie borykać się z trudnościami finansowymi.

Na studiach podczas wakacji rozkręciła pierwszy interes. Choć nie odziedziczyła talentów artystycznych po rodzicach, miała oko do wynajdywania pięknych, ciekawych przedmiotów, na przykład biżuterii, i umiała wypatrzeć okazje na pchlich targach. Sama więc otworzyła stoisko na giełdzie antyków. Dochód wzrastał powoli, acz nieprzerwanie. Po studiach - widząc, że ludzi najbardziej przyciąga egzotyczne ludowe rękodzieło - wynajęła bagażowego transita i ze swym ówczesnym chłopakiem, Danem, pojechała do Marrakeszu po lampy, misy, dywany, biżuterię i haftowane kaftany. Po powrocie wynajęła stragan na Camden Market i upłynniła towar w ciągu kilku tygodni. Biznes rozkręcał się i wkrótce jeździła samodzielnie po nowe dostawy do Maroka, podczas gdy Dan pilnował stoiska.

Szło im świetnie, aż do rozstania. On chciał się żenić, a jej wydawało się, że gdy ma się dwadzieścia dwa lata, jest na to za wcześnie. Nieco później wszystkie sklepy wnętrzarskie zaczęły lansować modę na wystrój arabski, przebijając ceny. Po paru miesiącach walki Ruby zrezygnowała.

Traf chciał, że tydzień przed oddaniem stoiska w poczekalni u dentysty zobaczyła zdjęcie w starym numerze „National Geographic”. Przedstawiało wiejskie dzieci z Gwatemali, a uderzyła ją nie tyle uroda maluchów, ile ich niezwykle ubranka: cudowne różnobarwne kaftany, spódnice i sukienki. Krzyjące kolory: róż, pomarańcz, zielony, przepięknie ze sobą kontrastowały, tworząc zarazem niepowtarzalną harmonijną całość.

Dwa dni później siedziała już w samolocie. W ciągu tygodnia znalazła lokalnego dostawcę - zakład, któremu mogła płacić dwa razy tyle, co chciwi zysku amerykańscy importerzy, a i tak wychodziła na swoje.

Kiedy interes ruszył, Ruby zdała sobie sprawę, że ponownie udało jej się znaleźć lukę na rynku - choć tym razem nie w dziedzinie wystroju wnętrz, lecz dziecięcych ubranek. Na dodatek miała swój udział w propagowaniu idei sprawiedliwego handlu.

Modne parki oddane idei zdrowego odżywiania, w dziwacznych eko - butach i samodzielnych swetrach, rzuciły się wręcz na ubranka z Gwatemali. Szczególnie popularne stały się małe kombinezony i śpiworki, wykonane na specjalne zamówienie Ruby. Niemowlęta w żywych, kontrastujących kolorach prezentowały się równie dobrze, jak starsze dzieci. Oprócz ubrań sprzedawała też indiańskie „łapacze snów” i haftowane torby, tak zaprojektowane, by znalazło się w nich miejsce na butelki, pieluszki i smoczek.

Sama nie wiedziała, dlaczego sprzedawanie rzeczy dla dzieci sprawiało jej ogromną przyjemność. Już od czasów szkolnych, kiedy pilnowała córek sąsiadów, wiedziała, że uwielbia dzieci, ale tu chodziło o coś więcej - może o nadzieję, poczucie, że wszystko dopiero się zaczyna, jakie towarzyszy ciąży i narodzinom.

Ruby zawsze chciała mieć brata albo siostrę, lecz mimo rozpaczliwych starań Ronnie jej pragnienie nigdy się nie zrealizowało. Po upływie roku czy dwóch lat od pierwszych prób poczęcia drugiego dziecka lekarze odkryli, że miała zablokowane jajowody i nie dało się ich udrożnić nawet operacyjnie. Było to długo przed rozpowszechnieniem się metody in vitro, więc odesłano matkę Ruby do domu ze słowami, że powinna być wdzięczna losowi za ten jeden „mały cud”, który ją spotkał. Sylvia, o cztery lata starsza siostra Ronnie, cierpiała na to samo schorzenie, lecz jej nie przydarzył się nigdy żaden cud i pozostała bezdzietna.

Ruby była przedwcześnie rozwiniętą, skłoną do refleksji dziewczynką. Smuciła się, że nie ma rodzeństwa, ale przede wszystkim żał jej było mamy. Teraz zastanawiała się, czy praca w Les Sprogs, gdzie stale otaczały ją kobiety ciężarne i dzieci, nie zaspokaja po prostu dawnej emocjonalnej potrzeby, przypominając zarazem o perspektywach na przyszłość.

Dzięki doktor Jane jej marzenia stawały się coraz bardziej realne. Przed paru laty Ruby - poganiana przez Ronnie - przeszła serię badań i testów, które wykazały, że nie odziedziczyła rodzinnej zmy - niedrożnych jajowodów.

Kiedy dochody ze sprzedaży ubranek dziecięcych wzrosły, los zaczął sprzyjać Ruby jeszcze bardziej. Kuzynka ze strony matki, Stella - żona obrzydliwie bogatego handlarza sztuką - dowiedziała się familijną pocztą pantoflową o sklepiu Ruby. Akurat poszukiwała nowej inwestycji i skłonna była sfinansować w dziewięćdziesięciu procentach nowy sklep z odzieżą ciążową i akcesoriami dla dzieci. Postawiła sprawę jasno - interesował ją jedynie zysk, nie zamierzała bawić się w prowadzenie butiku. Tym miała zająć się Ruby.

Ta, oczywiście, była zachwycona propozycją i wkrótce odbyła ze Stellą kilka spotkań, na których omawiały formę przyszłego wspólnego biznesu. Stella była elegancką, raczej wyniosłą kobietą o nieskazitelnej cerze i pomalowanych na purpurowo ustach, tak wąskich, że wyglądały jak nacięcie w twarzy. Zwykle wszędzie towarzyszył jej substytut dziecka -

jazgotliwy pekińczyk o imieniu Blanche. Po raz pierwszy spotkały się na kawie u Sandersona. W chwili gdy Stella dostrzegła swą przyszłą współpracę, wstała, chwytając się na wysokich obcasach zamszowych, perłowszarych szpilek. Wyciągnęła rękę na powitanie, a Ruby poczuła, jak mierzy ją chłodnym, taksującym spojrzeniem prosto ze Sloane Street.

Ruby przedstawiła swoją wizję: sklep egalitarny, z zacięciem etnicznym - coś w rodzaju mieszanki Body Shopu z Mothercare. Ronnie ostrzegła ją, że kuzynka poprzez „etno” rozumie najwyżej najlepszy stolik w La Gavroche, a na dźwięk słowa „egalitarny” obrusza się, podobnie jak wtedy, gdy w Harvey Nicolsie zabrakło mieszadełek z kryształkami z brązowego cukru. Ruby zignorowała uwagę mamy, bo wydawało jej się, że z chwilą gdy przedstawi szczegółowo swoje plany, Stella zapali się do nich, podobnie jak ich autorka. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Wizja Ruby w ogóle nie przypadła Stelli do gustu. Opędziła się od niej wymanikiowaną rączką jak od muchy i wyznała, że myślała o czymś o wiele bardziej wykwintnym, jak na przykład butik wypełniony aż po sufit koronkowymi szatami do chrztu firmy Flanders tudzież potwornie drogą odzieżą niemowlęcą (do czyszczenia tylko w pralni chemicznej). Oznajmiła ponadto, że uważa konkurowanie z sieciówką, taką jak Mothercare, za idiotyzm, bo ich jedyną szansą na zdobycie sobie miejsca na rynku jest sklep maleńki, lecz niemożliwie ekskluzywny.

Pod koniec pierwszego spotkania Ruby doszła do wniosku, że kolejne nie mają sensu. Ich pomysły na biznes były rozbieżne. Na domiar złego Stella była snobką i uwielbiała się rządzić, więc współpraca musiałaby skończyć się katastrofą.

Mijał dzień za dniem, a Ruby nie mogła zdobyć się na to, by zadzwonić do Stelli i wszystko odwołać. Tak naprawdę, chociaż miała trochę oszczędności, zdawała sobie sprawę z tego, że nawet jeśli zdoła wynająć lokal, nigdy nie będzie jej stać na urządzenie i wyposażenie całego sklepu. Bank poinformował ją, że może przyznać tylko ułamek pożyczki, o jaką prosiła, ponieważ jej zyski regularnie wpływają na rachunek przez okres krótszy niż pięć lat. (Ruby zaczęła prowadzić księgi i przechowywać wyciągi z konta dopiero dwa czy trzy lata wcześniej).

Poza tym dotarło do niej, że od strony finansowej projekt Stelli miał ręce i nogi. Postanowiła też przejść do porządku nad jej niezbyt miłym sposobem bycia: unikać konfliktów, przytakiwać i stopniowo, acz niepostrzeżenie, wcielać w życie własne pomysły. Miała wybór - pójść na kompromis albo tkwić na straganie w Camden. Wybrała to pierwsze.

Nowy butik borykał się z trudnościami przez kilka pierwszych miesięcy. Z przyzwyczajenia i snobizmu panie pozostawały wierne tradycyjnym sklepom z wyprawkami dziecięcymi z Chelsea i Kensington. Stopniowo jednak interes zaczął się rozkręcać. Stella

natomiast przeprowadziła się z mężem do Nowego Jorku, gdzie czekały na nich jakieś nowe projekty. Ruby poczuła się więc na tyle pewnie, że zaczęła lansować swoje ulubione rzeczy. Rozwiesiła parę indiańskich „łapaczy snów”, wyeksponowała dziwny peruwiański kapelusz z nausznikami, sprowadziła kilka sukienek i pajacyków z Gwatemali, które błyskawicznie zniknęły z półek i wieszaków.

Dwa razy w roku, na dzień przed zapowiedzianym przyjazdem Stelli, ludowe rzeczy chowano do magazynu. Od czasu do czasu Ruby zastanawiała się, czy nie powiedzieć współpracownicy, jak dużo zarabiają na etnicznych eksperymentach, lecz nie uśmiechało jej się stawianie czoła lawinie wymówek Stelli. Bała się, że nawet jeśli zobaczy ona dodatkowy dochód, to i tak nie zmieni swojego nastawienia, ochrzani Ruby i każe usunąć cały dostarczony przez nią asortyment. Będzie truc, że w ten sposób ignoruje się zamożną, wpływową klientelę i odstrasza ją, wprowadzając atmosferę dobrą dla pierwszej - z - brzegu - zielonolewackiej matki, nieśmierdzącej gotówką. A takie postępowanie doprowadzi sklep do bankructwa w ciągu sześciu miesięcy. Dlatego Ruby wolała nie ryzykować i zdecydowała się milczeć.

- ZANIM WEZMĘ wymaz, dokonam badania wewnętrznego - zapowiedział doktor Baryła swoim zwykłym zdawkowym tonem, ale Ruby, spojrzawszy na jego twarz, dostrzegła, że nieznacznie uniósł przy tym kąciki ust. Korciło ją, żeby rozładować nerwową atmosferę, rzucając jakiś żart, może o szyjce, ale w ostatniej chwili powstrzymała się.

- W porządku - odpowiedziała. Znowu zagapiła się w sufit, grając w słówka. Klask. Strzelił rękawiczką. Poczła w sobie jego palce. Chociaż ją ostrzegł, wzdrygnęła się. „Kozunie?”. Nie, brak „u”.

- Słucham? - spytał doktor. Wyraźnie koncentrował się na dotykaniu, a nie na słuchaniu. - Co pani powiedziała?

Słodki Jezu, jak mu wytłumaczyć grę we „wziernikowanie” i że „kozunie” były jej najnowszym poronionym odkryciem?

- „Kozunie”, panie doktorze - powtórzyła.

Głowa Baryły wyłoniła się spomiędzy jej nóg. Twarz mu poczerwieniała.

- Że co? Jakie „posuń mnie”? Wypraszam sobie, może zawołam tu dodatkowo kogoś z personelu?

- Nie, nie - zaprotestowała Ruby, a kolor jej twarzy zaczął przypominać ten doktorowy.

- Powiedziałam „kozunie” - zdrobnienie od kóz. Takie młodziutkie, malutkie kozy. Niektóre są kochane, bardzo mi się podobają i ciekawa byłam, czy pan również je lubi.

Ściągnął krzaczaste brwi tak mocno, że aż spotkały się powyżej nosa. Sądząc z wyrazu twarzy, zastanawiał się, co ona właściwie tu robi.

- Nie, nie przepadam. Nie jadam ani koźliny, ani koziego sera.

Dostrzegłszy, że głowa ponownie znika, Ruby zaśmiała się nerwowo i zamruczała coś o gustach i guścikach.

- A tak właściwie - zaczęła niezręcznie, starając się wciągnąć go w rozmowę, jako że nie przychodziły jej na myśl żadne inne anagramy - co lubi pan robić, kiedy pan nie leczy?

- Pograć w squasha - zabrzmiała odpowiedź. - Jest pan w tym dobry?

- Tak sobie. Lepiej mi szło za młodu.

Obruszyła się, poczuwszy w sobie nacisk palców lekarza.

- Nie ma to jak wprawna rączka? - rzuciła i nim przebrzmiały te słowa, zapagnęła wepchnąć je sobie z powrotem do gardła. Cudownie. Najpierw „kozunie” wywołały niezręczną sytuację, a teraz oświadczyła ginekologowi położnikowi podczas badania wewnętrznego, że ma „wprawna rączkę”. - Nie, nie to chciałam powiedzieć... - Ale doktor Baryła najwyraźniej nie zarejestrował wpadki. Badał zaciekle dalej.

- Hmm, to naprawdę dziwne - wymruczał po paru sekundach.

- Co jest dziwne? - spytała, powoli tracąc wewnętrzną równowagę. - Czy coś jest nie w porządku?

- Hmm, to chyba pierwszy taki przypadek - ciągnął doktor. Ton głosu zdradzał raczej zaciekawienie niż zdenerwowanie, dzięki czemu Ruby trochę ulżyło. Chociaż, z drugiej strony, lekarze nigdy nie panikują. Przynajmniej brytyjscy. Amerykańscy oznajmniają coś w stylu: „OK, proponuję wycieczkę na stół operacyjny ALBO ta przygoda będzie miała smutny koniec”. Angielscy nie walą prawdy prosto z mostu, wierząc, że owijanie w bawełnę pozwala zachować nadzieję i nie wywołuje szoku. W konsekwencji spoglądają na człowieka dobrotliwie przez pince - nez i dukają kilka subtelnych aluzji z dziedziny krykieta, sugerując, że nie wszystko idzie jak po maśle.

Czekając, aż doktor wpadnie na pomysł, jak oględnie dać jej do zrozumienia, że to i owo nie jest całkiem w porządku, popatrzyła w jego stronę. Uplęło kilka sekund, zanim zdołała na tyle skupić wzrok, by dostrzec, że miał przed sobą szczypce i coś w nich trzymał. Przerażenie tym, co mogłaby zobaczyć, połączone z ilością wypitej w poczekalni kawy, spowodowało, że puls przyspieszył jej jak rakieta kosmiczna przy starcie. Serce waliło, nadając alfabetem Morse'a: „Zabierz mnie stąd. Proszę, zabierz mnie stąd. Odbiór”. Jęknęła cichutko, kiedy przypomniała sobie ostatnią wizytę w toalecie. Zabrakło papieru i wytarła się chusteczką wydobytą z torebki. Najwyraźniej coś musiało się do niej przykleić. To coś

zostało na niej i jakimś cudem wlaźło jej do środka. Baryła - W. przyglądał się szczypcom, unosząc brew i w końcu skwitował całą sytuację jednym zdaniem:

- Dziwne miejsce na noszenie pocztowych znaczków.

Rozdział 2

Serce Ruby dalej nadawało kardiologicznym alfabetem Morse'a: „Znaczek pocztowy. Opodał krzaczka. W mojej własnej pochwie. Ginekolog znalazł mi w pochwie znaczek. O Boże, nie mogę w to uwierzyć”.

Najgorsze, że musi jeszcze leżeć na fotelu przez kilka minut, zwijając się ze wstydu, i czekać, aż Baryła pobierze wymaz do badania cytologicznego. Próbowwała jakoś wytłumaczyć, skąd wziął się znaczek w takim miejscu, ale nie dała rady: była w stanie wyartykułować tylko niezrozumiałe strzępki zdań. Po strzeleniu trzech gaf w ciągu dziesięciu minut poczuła się tak upokorzona, że nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

Ku jej zaskoczeniu B. - W opanował sytuację. Poklepał ją ojcowskim gestem po ramieniu, oznajmiając, że takie rzeczy się zdarzają i żeby się nie martwiła. Ale z pobłażliwego, zakłopotanego uśmiechu doktora wnioskowała, że nie była to prawda. Najwyraźniej jego podejrzenia, że jest świruską, zamieniły się właśnie w pewność.

Ruby pragnęła już tylko jednego: za wszelką cenę zniknąć z tego przekłętego gabinetu. Kiedy została sama za parawanem, złapała majtki i spódnicę i po sekundzie miała obie rzeczy na sobie. Rajstopami nie zawracała sobie głowy i po prostu upchnęła je do torebki. Błyskawicznie skierowała się do wyjścia.

- Panno Silverman, zanim pani wyjdzie, chciałem powiedzieć, że wszystko jest w porządku - przemówił doktor zza biurka, tak że Ruby była zmuszona odwrócić się ku niemu i wymusić z siebie uśmiech. - Wyniki cytologii dostanie pani za kilka dni, ale szyjka macicy wygląda na zupełnie zdrową i nie przewiduję żadnych problemów.

Wstał i wyciągnął do niej rękę. - Do zobaczenia za rok na kontroli.

- Oczywiście - potwierdziła Ruby. - Na pewno przyjdę. Zamykając drzwi, popatrzyła na tabliczkę obok. Jasne, teraz sobie przypomniała. Dr. Stephen Barillac - Winosch.

RUBY POSTANOWIŁA, że musi gdzieś usiąść i napić się wody, wobec czego ustawiła się w kolejce do automatu w szpitalnym foyer. Grzebiąc w portmonetce w poszukiwaniu drobnych, usłyszała, że dzwoni jej komórka. Zmagając się jednocześnie z torebką, portmonetką i telefonem, upuściła garść drobniaków na podłogę. Jakoś przy tym zdołała odebrać telefon.

- Cześć, to ja - usłyszała głos swojej najlepszej przyjaciółki, Fiony. - Dzwonię, żeby jeszcze raz podziękować za strój pirata. Ben go po prostu uwielbia. Wczoraj wieczorem, po tym, jak wyszłaś, uparł się, że za żadne skarby go nie zdejmie. Położył się w nim nawet spać.

Ben był najstarszym synkiem Fi. Wczoraj obchodził swoje trzecie urodziny. Drugi, Connor, miał dopiero miesiąc. Ruby dowiedziała się, że dziadkowie mają kupić Benowi piracki statek Playmobile, więc postanowiła dać mu przebranie do kompletu.

- Wstyd mi - mówiła Fiona - bo już go upaprał.

- To przecież mały chłopiec - łagodzą Ruby, zbierając drobne z podłogi. - To normalne, że się brudzi.

- Ruby, czy mi się zdaje, czy jesteś zdenerwowana? Wszystko w porządku?

Ruby niemal tarzała się po podłodze, próbując pozbierać resztę jednofuntowych monet, które wysypała.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to przed chwilą przeżyłam najbardziej upokarzające dwadzieścia minut w moim życiu.

- Kurczę, co się stało?

- No dobra. Wiesz, że miałam rano zamówioną kontrolną wizytę u ginekologa...

- Jezu, ginekolog się do ciebie dobierał!

- Pudło.

- A, prawda. Teraz pamiętam, chodzisz do lekarki. - Przerwała. - Cholera jasna, kobieta się do ciebie dobierała!

- Nie, nic z tych rzeczy. Ale rzeczywiście doktor Anderson nie było i musiałam pójść do faceta. Mniejsza z...

- Ojej, moment, Ben mówi, że musi siku. Tak, skarbie, idź i przynieś nocniczek... Dobra, mów dalej, nie mogę się doczekać.

- OK, no to leżę rozkraczona z nogami na podpórkach i...

- Nie, grubasku, jak siadasz na nocnik, siurek musi być w środku, inaczej zalejesz mieszkanie. Daj, pokażę. Babcia, gapa, kupiła Benowi nocnik dla dziewczynek, bez osłonki. Moment, Ruby, muszę iść i ustawić synowi siusiaka.

Na tym etapie rozmowy Ruby zdołała podnieść się i właśnie otrzępywała kolana.

- Sorry - przeprosiła Fi, z trudem łapiąc oddech. - Odkąd Connor jest na świecie, Ben zupełnie się cofnął w rozwoju. Znowu sika w pieluszkę i na nowo muszę przyuczać go do korzystania z nocnika. A dziś rano znalazłam kupę pod stołem w kuchni.

- Gratulacje. Ty to masz szczęście! - zaśmiała się Ruby.

- Położna, która przychodzi co jakiś czas, mówi, że to z zazdrości. Podobno to normalne i starsze dzieci na przekór zaczynają się moczyć, z chwilą gdy pojawia się młodsze rodzeństwo. Strasznie mnie to męczy, bo muszę bez przerwy uważać, żeby nie narobił mi do szuflady na sztuce albo do torebki. Dobra, ale mówiłaś...

Tym razem Ruby zdołała dokończyć historię. - I nigdy nie uwierzysz, co trzymał w szczypcach Baryła!

- No co, co? Poczekaj chwilę, Benny właśnie niesie mi nocnik. Dobry synuś, tak ślicznie zrobił siusiu mamusi. Tylko troszeczkę zachlapałeś sofę. Brawo. No, co on tam trzymał?

- Znaczek. Uwierzysz? Lekarz wyjął mi z pochwy znaczek pocztowy.

- Żartujesz.

- Nie żartuję.

- O Bożeszty! Musiałaś czuć się okropnie - przerwała. - Ale przynajmniej pochwa ci się odznaczyła - zachichotała Fi.

- Cha, cha, cha. Bo umrę ze śmiechu.

- Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Słuchaj, nie martw się tym znaczkem. Lekarze przyzwyczajeni są do dziwniejszych rzeczy. Czytałam ostatnio artykuł o tym, że matki muszą bardzo uważać, bo dziewczynki lubią wkładać sobie tam kamyki i klocki Lego. - W tym miejscu Fi powiedziała, że jest jeszcze coś, o czym musi porozmawiać z Ruby, ale nie w tej chwili, bo kot właśnie dobiera się do sików w nocniku, a niemowlę zaczyna płakać. - Zadzwoń później.

- OK

- I nie zapomnij, co ci mówiłam o dziewczynkach.

- Jasne. Tylko ja mam nie dwa, a trzydzieści dwa latka. Jestem dorosłą kobietą ze znaczkem opodal krzaczka. - Ale Fi już się rozłączyła.

Ruby, chowając komórkę, rozejrzała się dookoła i zobaczyła stojącego obok mężczyznę w niebieskim kitlu chirurgicznym. Zauważyła, że ma modnie obcięte, krótkie, ciemne włosy, baki, roześmiane orzechowe oczy, jest mniej więcej w jej wieku... i na pewno słyszał jej rozmowę z Fi, a więc wie o znaczkach w pochwie.

- Przepraszam - powiedział z amerykańskim akcentem - ale zastanawiam się, czy chcesz coś z automatu. Stoisz tu i stoisz, a ja tak bym chciał się napić kawy.

- O rany, jasne, proszę - odpowiedziała Ruby zażenowana, czując, że oblewa się purpurowym rumieńcem. - Proszę, proszę bardzo. Ja się rozmyśliłam.

- Na pewno? Przytaknęła i przepuściła go.

- Dzięki - znowu się uśmiechnął, tym razem tak, że to zauważyła. Trudno jej było wyczuć, czy zrobił to dlatego, że był z natury uprzejmy, czy też pragnął ukryć rozbawienie, w jakie wprawiła go opowieść o znaczku. Zdecydowała, że chodzi o to drugie i za chwilę stanie się obiektem żartów całej stołówki. Chyba że już to nastąpiło, bo Baryła zdążył wypaplać. Skoro jednak nie podejrzewała go o poczucie humoru, musiała też przyznać, że nie był typem gościa, który chodzi i opowiada kawały. Do tego wydawał się należeć do tego gatunku lekarzy, którzy biorą sobie do serca zasadę o ochronie prywatności pacjenta. Młodemu Amerykaninowi natomiast zapewne dopisywało poczucie humoru. Postanowiła przekonać go, że to, co usłyszał, nie było tym, co mu się wydaje.

Właśnie wziął do ręki gorący plastikowy kubek z kawą, uśmiechnął się po raz kolejny i zbierał do odejścia. Przystępując z nogi na nogę, Ruby wskazała brodą na trzymaną w ręce komórkę i wyjaśniła:

- Gadałam z przyjaciółką. Ona jest komikiem i... - I co? Rany, jak to wytłumaczyć? - I, i zamówiono u niej parę skeczy na doroczną konferencję pocztowców w przyszłym miesiącu. Pomagam jej zbierać materiał.

- Naprawdę? - spytał. - Brzmi nieźle. Bardzo oryginalne. „Może uwierzył - zastanawiała się Ruby - a może tylko udaje, żeby oszczędzić mi wstydu”. Miała wrażenie, że te wyjaśnienia nie wypadły zbyt przekonująco, a jej twarz nadal była czerwona jak pomidor. Nagle zadzwonił mu pager.

- Sorry, muszę lecieć. - W pośpiechu przełknął jeszcze kilka łyków kawy. Potem postawił kubek na automacie, obok wielu innych napojów, ledwie napoczętych przez kolegów, których pager w podobny sposób pozbawił przerwy.

Patrzyła za nim, jak oddalał się w stronę pracowni rentgenowskiej. Zażenowanie opuściło ją, kiedy zajęła się podziwianiem jego perfekcyjnie zaokrąglonych pośladków, ślicznie wyeksponowanych przez niebieską bawełną kitelka.

Rozdział 3

Kiedy Ruby wróciła do Les Sprogs, sklep świecił pustkami. Choć na ogół martwił ją brak klientek, mimo że interesy szły świetnie, dzisiaj jakoś jej to nie obeszło. Po pierwsze był poniedziałek rano, a w poniedziałki ruch zawsze jest niewielki. Po drugie lało, a po trzecie w innych sklepach w sąsiedztwie też brakowało kupujących.

Chanel opierała się o ladę. Pochyliła głowę, czytając jakieś ilustrowane czasopismo, które bardzo lubiła.

- Ryby - obwieściła, widząc wchodzącą Ruby. Wskazała palcem na horoskop. - Słuchaj, to interesujące: „Jowisz, planeta fortuny, zejdzie się z Wenus, planetą miłości. Poprawa, a nawet szczęśliwy przełom w twoim życiu uczuciowym”. Super! Wiesz, co mi się zdaje?

- Co? - spytała Ruby, popijając wodę, kupioną przed chwilą w Starbucksie, gdyż pragnęła wypłukać z siebie kofeinę, którą przesiąkła w szpitalu. Postawiła wielkie cappuccino tuż przed nosem Chanel.

- Och, dzięki, już myślałam, że padnę bez kawy. - I dodała: - Ten horoskop może znaczyć, że ktoś umrze i zostawi mi w spadku dość pieniędzy, żebym mogła zafundować sobie zastrzyki kolagenowe w punkt G.

Chanel została zatrudniona w Les Sprogs już na samym początku. Oficjalnie była podwładną, ale oprócz prowadzenia księgowości, która była działką Ruby, pracowały na tych samych zasadach. Dzieliły się wszystkim: od obsługi klientek i odpowiadania na telefony i maile, po odbiór towaru i przynoszenie kawy. W okresie przed Bożym Narodzeniem zatrudniały dodatkową obsługę, lecz z większością pracy radziły sobie same.

Stella zawsze kręciła nosem na widok Chanel kartkującej czasopisma, bo uważała, że robi w ten sposób złe wrażenie. Skoro jednak dziewczyna skrupulatnie pilnowała, by na czytaniu nie zastał jej nikt z kupujących, a w pozostałym czasie urabiała sobie ręce po łokcie, Ruby nie widziała w jej przyzwyczajeniu nic złego. Tak naprawdę Chanel nigdy nie podobała się Stelli, która wcale nie chciała jej zatrudnić.

- Upadłaś na głowę? - warknęła na Ruby po rozmowie kwalifikacyjnej z Chanel, na którą uparła się przyjść, choć wcześniej umawiały się, że przyjmowanie pracowników leży w gestii Ruby. - Wykluczone, żeby pracowało u nas „coś takiego”.

Chanel zraziła ją do siebie prawdopodobnie solidną posturą, kiedy to zaprezentowała się przyszej pracodawczyni w marmurkowych dżinsach w rozmiarze 42, wyglądających spod nich stringach oraz z pasemkami w kolorze jasny blond. Stella na jej widok nieomal dostała hysterii.

- Wygląda jak wsiowa barmanka - zawodziła. - A do tego ten akcent. Łyka samogłoski jak bezdomny bimber i chyba nie wie, co to gramatyka. Tryb przypuszczający czasu przeszłego zdaje się dla niej nie istnieć. I powiedziała „wzienam”, zamiast „wzięłam”.

Ruby nie odstraszył ani wygląd, ani błędna wymowa. Intuicyjnie wyczuła, że Chanel Stubbs jest wesołą, bezpośrednią osobą o złotym sercu, która najwyraźniej uwielbia dzieci. Miała około trzydziestki i przed przyjściem do Les Sprogs przez dziesięć lat pracowała jako niania. Przyniosła znakomite referencje. Kiedy Ruby spytała ją, dlaczego zdecydowała się zmienić pracę, wyjaśniła, że niedawno wyszła za mąż i nie chce już spędzać tyle czasu poza domem: pilnując wieczorami dzieci, miałyby mało czasu dla Craiga.

Słuchając, jak Chanel opowiada o poprzednim zajęciu, Ruby wpadła na pewien pomysł. Les Sprogs potrzebował jakiegoś mocnego punktu, czegoś wyjątkowego, co odróżniałoby go od innych londyńskich sklepów z branży. Sposobem na wybicie się spośród innych tego typu butików mogło być uczynienie z niego ulubionego miejsca nie tylko mam, ale także dzieci. Z tego, jak Chanel opowiadała o swoich podopiecznych - utrzymywała nadal kontakt ze wszystkimi - Ruby wywnioskowała, że prawdopodobnie dzieci odnoszą się do niej z taką samą sympatią, jak ona do nich. Chanel byłaby asem w rękawie w kwestii zabawiania brzdąców.

Los im sprzyjał. W połowie przepytywania, którą przeprowadzały na tyłach sklepu, wpadła przyjaciółka Stelli z trzyletnią córeczką. Stella nalegała, żeby zrobić przerwę, bo chciała przez chwilę porozmawiać. To, co zaszło później, było dla niej typowe. Przedstawiła swą koleżankę Ruby, nie zwracając uwagi na Chanel. Kompletnie zignorowała małą. Dopiero kiedy Blanche skoczyła na dziecko, przestraszyła je i doprowadziła do płaczu, zmuszona była je zauważyć.

- Och, ona tylko w ten sposób pokazuje, że cię lubi - zaszcebiotała Stella, nie próbując zabrać psa, który dalej dobierał się do dziewczynki. Odciągnęła go dopiero matka, po czym wręczyła koleżance i dała do zrozumienia, że może zwierzę powinno udać się na spacer. Stella obraziła się, lecz przywołała na twarz zdawkowy uśmiešek i postanowiła nic po sobie nie pokazywać. Chanel natomiast uklękła, by znaleźć się na jednym poziomie z dzieckiem, podała mu rękę i powiedziała:

- Cześć, jestem Chanel. A ty jak masz na imię?

Mała odwróciła głowę i schowała się za spódnicą mamy, lecz Chanel nie ustępowała.

- Ojej, jaka śliczna lalka, czy to ta, którą widziałam w telewizji? Jej włosy rosną czarodziejsko?

Dziecko popatrzyło na nią i z wahaniem pokiwało potakująco głową.

- Możesz sprawić, żeby urosły? - spytała Chanel i tym razem otrzymała w odpowiedzi nie tylko skinięcie, ale i uśmiech.

- Pokażesz mi? Tak bardzo bym chciała to zobaczyć.

Kilka minut później dziewczynka, która w końcu zdradziła, że ma na imię Freya, siedziała u niej na kolanach i gawędziła w najlepsze, jakby znały się całe życie. Ruby poczuła się winna, kiedy przerwała im, by kontynuować rozmowę kwalifikacyjną. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Chanel będzie doskonałym nabytkiem dla Les Sprogs. Z referencji wynikało, że nie bała się ciężkiej pracy. A poza tym miała świetne podejście do dzieci.

Stellę trzeba było urabiać przez blisko tydzień, aż w końcu powiedziała, że umywa ręce i zgodziła się przyjąć Chanel na miesiąc na okres próbny. Ruby zdawała sobie sprawę, że marmurkowe dzinsy nie były w Notting Hill najlepszą wizytówką sklepu, więc postanowiła wprowadzić uniformy. Zamówiła bładoniebieskie podkoszulki z jaskrawoczerwonym logo Les Sprogs, do których obie dziewczyny zakładały eleganckie czarne spodnie.

Choć początkowo Stella zapowiedziała, że będzie trzymała się z dala od prowadzenia sklepu, okazało się to nieprawdą. Tak jak przewidziała Ruby, miała obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego i upierała się, by informować ją o każdej najdrobniejszej decyzji. Choć było to denerwujące, Ruby musiała przyznać, że gdyby sama zainwestowała tyle pieniędzy, co Stella, pewnie też wpadłaby w szal sprawdzania wszystkiego po sto razy.

Na długo przed przyjęciem Chanel do pracy doszło do pierwszego poważnego sporu ze Stellą, bo kobiety nie były w stanie porozumieć się w kwestii wystroju sklepu. Ruby wyobrażała sobie nowoczesne, prawie minimalistyczne wnętrza w czystych, żywych kolorach, z wielkimi białymi - czarnymi fotosami ciężarnych kobiet, niemowlaków i bawiących się kilkuletnich dzieci na ścianach. Stella chciała urządzić sklep w stylu Marthy Stewart; pragnęła stworzyć atmosferę zamożnej rodzinnej siedziby w Maine, skrzyżowanej ze stylem kolonialnym. Drewniane podłogi, malowane białe ściany, krzakiaste kanapy, wypełnione pluszowymi misiami oraz myszkami w fartuchach i drucianych okularach rodem z książek Beatrix Potter.

Jak zwykle Ruby starała się przeforsować swoją wizję, unikając jednak otwartej konfrontacji. W tym przypadku było jej szczególnie trudno, ponieważ żywiła przekonanie, że racja jest po jej stronie.

Do rezygnacji z planów przekonał ją tata. Powiedział, że wystrój sklepu jest jak opakowanie i trzeba dać klientkom to, czego sobie życzą, zamiast narzucać im własny gust. Phil, chociaż zgadzał się z Ruby, że to, co proponuje Stella, jest opatrzone i banalne, przyznał, że wnętrze urządzone w ten sposób będzie wyglądało przytulnie i zachęcająco.

- Pozwoli przenieść się do wymagowanej epoki szczęśliwego życia rodzinnego, pogodnych rodzin, zebranych wokół sosnowego stołu, wcinających szarlotkę mamusi - opisywał. - Zobaczysz, jak to zaskoczy.

I, oczywiście, miał rację.

Poddanie się Ruby w sporze o wystrój Stella nagrodziła swym wyjazdem do Nowego Jorku. I od tamtej pory - ze względu na zawodowe zobowiązania za oceanem - odwiedzała Les Sprogs nie częściej niż raz czy dwa razy w ciągu roku, pozostawiając Ruby jako taką swobodę.

Od czasu do czasu Stella dzwoniła. Jeśli telefon odbierała Chanel i próbowała rozpocząć wesołą pogawędkę, rozmowa ograniczała się do kilkunastu sekund. Ruby natychmiast wiedziała, kto dzwonił - wiadomo było, że Stella zaledwie tolerowała Chanel, choć przekonała się, jaką popularnością cieszy się dziewczyna wśród klientek i ich dzieci. Przyznanie się do błędu nie leżało jednak w jej charakterze. Odwiedzając sklep, właścicielka reagowała na widok Chanel podobnie, jak Laura Ashley zareagowałaby na chłopców z Sex Pistols. Ruby przypuszczała, że nie była ona w stanie znieść swojej podwładnej nawet przez telefon.

Chanel nie byłaby sobą, gdyby pozwoliła Stelli wytrącić się z równowagi - zwłaszcza że nie miały ze sobą prawie żadnego kontaktu. Nigdy nie odezwała się do niej niegrzecznie. Rozumiała, że gdyby była nieuprzejma i wyklócała się, dotknęłoby to również Ruby, która nie miałaby wyboru i byłaby zmuszona ją zwolnić.

Uśmiechając się zatem mile i mrucząc coś niemal niedosłyszalnie o soplach lodu na przewodach telefonicznych, oddawała słuchawkę Ruby i szła poprawić równo poskładane rzeczy na półkach.

- DAJ SPOKÓJ - RUBY NIE DOWIERZAŁA, że Chanel mogłaby zdecydować się na taki zabieg - niemożliwe, chyba nie chciałabyś, żeby cię kłuli w to miejsce?

- Sama nie wiem - zastanowiła się Chanel. - W tym programie o operacjach plastycznych mówili, że taki zabieg pozwala potem przeżywać niesamowite orgazmy.

Problem w tym, że jakbym w to weszła, Craig wstąpiłby na wojenną ścieżkę. Dygałby się, że coś może mi się stać.

Mąż Chanel był londyńskim hydraulikiem, który dorobił się fortuny. Ten kawał chłopca, eks - marynarz i rugbysta miał serce tak samo wielkie jak Chanel. Gdyby sobie tego zażyczyła, złapałby dla niej księżyc na łąso. Zastrzyki kolagenowe były wyjątkiem. Zwykle gdy czegoś chciała, miała to, zanim zdążyła się obejrzeć. Nie należała wprawdzie do kobiet, które proszą o wiele. Wystarczyło, że wspomniała mimochodem, że spodobały się jej szafki kuchenne w Ikei, a za tydzień meble były już w domu. To samo dotyczyło sprzętów do łazienki, kanapy, biżuterii.

Chanel odwdzięczała się Craigowi za jego miłość. W pracy odmówiła zdjęcia kolczyków, które dostała od niego z okazji ślubu. Zdawało jej się, że dwie złote, splecione ze sobą litery C oznaczały imiona Chanel i Craig i były symbolem ich wielkiej miłości.

Co wieczór, kiedy wracał do domu, przyrządzała też dla niego wielki „sztukamię” z odrobiną surówki - posiłek prawdziwego mężczyzny. Prasowała jego bokserki (choć wcale tego nie wymagał) i w ogóle wydziwiała nad nim i dogadzała mu, jakby był małym dzieckiem.

Chanel nie była głupia. Zdawała sobie sprawę z tego, że w pewien sposób mąż stał się dla niej substytutem dziecka, podobnie jak ona dla niego, ale nie mogli nic na to poradzić. Byli dla siebie nawzajem centralnym punktem, wokół którego kręci się świat, przynajmniej do chwili, kiedy pojawi się dziecko, co po kolejnych nieudanych próbach zapłodnienia in vitro wydawało się coraz mniej prawdopodobne.

- Ironia losu, prawda? - mawiała Chanel. - Nas w domu było sześcioro. Wystarczyło, że mama spojrzała na tatę i zachodziła w ciążę. Tak samo jest z moimi siostrami. Mnożą się jak jakieś cholerne króliki. Tylko ja jedna stałam się specjalistką od poronień.

Ruby pytała, jak w takim razie może wytrzymać w sklepie, w którym aż roi się od ciężarnych kobiet i małych dzieci. Chanel wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, teoretycznie powinnam stąd spieprzać. Ale z drugiej strony, Kocham dzieciaki i nie zwolnię się, do jasnej ciasnej, tylko dlatego że moje własne problemy za bardzo dają mi w kość. Musimy dalej z Craigiem próbować sztucznego zapłodnienia, aż w końcu pewnego razu to ja stanę po drugiej stronie lady i będę przebierać w kołyskach. - Przerwała. - A niech to jasny gwint, gadam jak jakaś rąbnięta.

Ruby zapewniła, że wcale nie jak rąbnięta tylko jak ktoś, komu bardzo, bardzo na czymś zależy.

Pomimo całej udawanej zawadiackości Chanel przepelniała potrzeba dania ujścia swym macierzyńskim uczuciom. Ruby podpatrzyła ją kilka razy na zapleczu, jak przytulała do policzka śpioszki czy maciupki wełniany sweterek. Oczy miała przy tym pełne łez.

- No i co TAM? - SPYTAŁA CHANEL. - Jak było u lekarza? Ruby lekko westchnęła.

- Właściwie mogę ci powiedzieć. I tak dowiedziałabyś się wszystkiego od Fi, kiedy wpadnie następnym razem. - A następnie zdała relację z historii o Baryle i znaczku.

- Wiesz co - pocieszała ją w ogóle niezsokowana Chanel - chodziłam kiedyś z facetem, który miał fioła na punkcie seksownych gadżetów. Nie mieliśmy na nie pieniędzy i musieliśmy improwizować. Zamiast chińskich kul miłości używaliśmy jajek na twardo.

Ruby popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Oczywiście w skorupkach - tłumaczyła dalej Chanel. - Jakbyś je obrała, to by się rozleciały. Wszystko jedno, kiedyś jajko mi tam utknęło i wylądowałam na pogotowiu, więc wyobraź sobie, co przeżywałam. To były dwie najbardziej obciachowe godziny w moim życiu.

- No myślę - przyznała Ruby. - Ale przynajmniej ominęło cię jedno: nie podsłuchał cię żaden przystojny amerykański doktor, gdy opowiadałaś przyjaciółce przez telefon, że miałaś znaczek w pochwie.

- W mordę jeża. Jak przystojny? - Obłędnie.

- I co mu powiedziałaś?

Ruby wyjaśniła. Chanel wybuchnęła śmiechem, ale była pod wrażeniem szybkiej reakcji koleżanki.

Wciąż starała się stłumić chichot, kiedy do sklepu weszły dwie klientki, typowe mamusie żyjące z funduszy powierniczych. Cechy charakterystyczne: atrakcyjnie zapadnięte od ciągłych diet policzki, drogie pasemka, torebeczka od Gucciego dyndająca na ramieniu. Mimo że było zimno i padał deszcz, miały ciemne okulary. I opaski. Jedna bardzo przejęła się wrześniowym chłodkiem i wystroiła w sztuczne futro długości trzy czwarte.

- Kurczę! Ciekawa jestem, ile Muppetów obdarła ze skóry, żeby mieć to futro - mruknęła Chanel. Ruby syknęła: „Ciiiiii”, ale mimowolnie wybuchnęła śmiechem. Jedną z rzeczy, jakie po prostu kochała u Chanel, była jej pełna wdzięku bezczelność.

Z niepewnych gestów i wymuszonej rozmowy, jaką prowadziły, Ruby wywnioskowała, że kobiety nie znają się zbyt dobrze i prawdopodobnie wpadły na siebie przypadkiem tuż przed sklepem.

Ta w futrze była na oko w szóstym miesiącu ciąży i holowała za sobą malucha. Druga trzymała niemowlę w nosidełku od Billa Amberga, uszytym z futra i skóry. To zasugerowało

Ruby, że pewnie była zwolenniczką naturalnych narodzin, przypuszczalnie w klinice St. Luke. Te naprawdę wytworne mamusie nie gustowały w nosidelkach, bo psuły one linię strojów. Elegantki wołały wózki Porsche.

Chłopczyk kaprysił i domagał się chipsów, które trzymała matka.

- Dostaniesz, jak ładnie poprosisz, Finn. Powiedz czarodziejskie słowo! Pro...

- Prosiak! - krzyknął brzdąc, wyciągając pulchną łapinę. Nie miał jeszcze trzech lat i dla dziewczyn w sklepie było jasne, że nie mógł tego powiedzieć złośliwie czy z ironią. Dla matki nie. Już miała zacząć strofować synka, gdy z odsieczą przybyła Chanel i zaproponowała, że zabierze Finna do kącika zabaw. Stworzenie tego miejsca dla dzieci było jej pomysłem. Wygospodarowanie kawałka wolnej przestrzeni i zapełnienie jej miniaturową zjeżdżalnią, drabinką do wspinania i autkami na pedały okazało się strzałem w dziesiątkę; jeszcze jednym powodem, dla którego matki chętnie wracały do Les Sprogs.

„Futro” powoli się uspokajało.

- Oooo, jak fajnie - zaszczębiotała do synka. - Idź z tą miłą panią, a ja tu sobie poszperam.

Finn wziął za rękę Chanel i podreptali w kierunku zabawek - Jeszcze chwileczkę! - zawołało za nimi „futro”. - Finn jest wybitnie uzdolniony jak na swój wiek, tak mówi jego psycholog, więc zabawa na przykład ciastoliną byłoby na pewno poniżej jego możliwości.

Chanel i Ruby nie zareagowały. Były przyzwyczajone do płytkich, zakochanych w swych dzieciach panius, takich jak „futro”, i ich uważanych za bóg wie co bachorów. W takich chwilach Ruby żałowała, że nie założyła normalniejszego sklepu, trochę w stylu etno: czegoś w rodzaju Body Shopu dla najmłodszych. Miała nawet nazwę: Baby Organic. Często przed zaśnięciem wyobrażała sobie, jak otwiera pierwszą na świecie ekologiczną sieć sklepów dla niemowląt, w której można kupić przyjazne dla skóry, szyte z naturalnych materiałów ubranka po rozsądnych cenach, a z czasem może nawet zdrową żywność dla dzieci.

Obie matki rzuciły się w stronę wyprawek Baby Gucci. Wydając z siebie pełne zachwyty „och” i „ach”, oglądały horrendalnie drogie ubranka. „Futro” wybrało parę niemowlęcych zamszowych paputek w kolorze niebieskim; na metce widniała cena - sto funtów. Klientki to brały, to odkładały rzeczy na półki, a do Ruby docierały strzępy ich rozmowy. „Futro” pogłaskało się po brzuchu i poinformowało „nosidła”, że zarezerwowało sobie termin na cesarkę w klinice Portland.

- Doprawdy? - zdziwiła się ta z nosidlami, a ton jej głosu zdradzał, że uważała się za stojącą wyżej pod względem moralnym od swej rozmówczyni. - Nie chce pani urodzić siłami natury? To wstyd. Naturalny poród jest lepszy dla dziecka.

Spojrzała w dół niebiańsko łagodnym wzrokiem i pogłaskała niemowlę po główce. - Ale, oczywiście, trzeba umieć skoncentrować myśli i traktować poród jako zadanie do wykonania, a nie jako nieuchronne cierpienie. Nie każdy to potrafi. Rodziłam Serendipity przez siedemnaście godzin, bez znieczulenia. Ale było warto, chociażby dla samego doświadczenia porodu w wodzie. A potem zakopaliśmy łożysko u nas w ogrodzie, pod drzewem.

- Wszystko pięknie - odparowało „futro” z uśmiechem, którym nie próbowało nawet złagodzić jadu, przepełniającego jego słowa. - Jeśli komuś jest obojętne, jak potem wygląda. Ja osobiście boję się spustoszeń, jakie czyni w ciele kobiety naturalny poród. Może twojemu mężowi nie przeszkadza, że wszystko tam w dole robi się luźniejsze, ale mój nie byłby zbyt zadowolony.

W tym momencie panie uśmiechnęły się kwaśno jedna do drugiej i rozeszły w przeciwległe kąty sklepu. Przez dziesięć czy piętnaście minut osobno oglądały różne towary. Prawie nic nie kupiły. Ta z nosidlami kazała zapakować „łapacz snów” i parę niemowlęcych indiańskich mokasynek. „Futro” znalazło koszulkę dla syna z napisem „Jestem genialny” za czterdzieści funtów.

Przed obiadem zajrzała tylko jedna klientka, ale Chanel zdołała jej sprzedać wózek Silver Cross, kilka mebli do dzieciennego pokoju i sporo ubranek, w tym pół tuzina gwatemalskich śpioszków.

- Wspaniale - pisnęła z zachwytem Chanel, kiedy kobieta wyszła ze sklepu. Miała prowizję od sprzedaży i dostała ponad pięćdziesiąt funtów. Zaproponowała więc, że postawi kiedyś lunch.

Usiadły w kuchence na tyłach sklepu, żeby zjeść kanapki z jajkiem na bekonie. Takie przekąski były pomysłem Ruby - choć Chanel również nie miała nic przeciwko nim. Podobnie jak jej pracodawczyni, była fanką chleba z boczkiem, grubo posmarowanego keczupem, lecz tak naprawdę to Ruby przepadała za śmieciowym jedzeniem. Byłą jedyną znaną Chanel osobą, której ciekła ślinka podczas oglądania filmu Supersize me.

Zdawała sobie sprawę z tego, że u kogoś, kto chciał otworzyć ekologiczny sklep dla dzieci, pasja do junk food była, delikatnie mówiąc, czymś nie na miejscu. Przestała się jednak tym przejmować. Powtarzała sobie, że błędzenie jest rzeczą ludzką, a w jej przypadku sprowadzało się to do zamiłowania do tłustego, przetworzonego i niezdrowego jedzenia.

Trzeba jednak przyznać, że starała się je ograniczać. Nie chciała skończyć z poczwórnym bypassem przed menopauzą albo stać się jednym z tych pokrytych galaretowatym sadłem tłuszczochów, jakich pokazywano w telewizji na filmach dokumentalnych o Teksasie. Dzisiaj wieczorem zrównoważy kanapkę z boczkiem sałatką z ciecioriki z niskotłuszczowym sosem, ale zje ją z o wiele mniejszą przyjemnością i bez serotoninowego szoku, jaki wywołuje na przykład pochłonięcie hamburgera.

Jedząc, dziewczyny spoglądały od czasu do czasu na ekran podglądu.

- O, popatrz! - wykrzyknęła Chanel, biorąc z powrotem do ręki czasopismo. - Claudia Planchette znowu jest w ciąży!

- Wiem - odpowiedziała Ruby. - Pisali o tym w „Hello!”.

Spojrzała na ilustrację. Różniła się diametralnie od tej, którą widziała w poczekalni u lekarza. Claudia wyglądała tam na przyłapaną znieca, z nieułożonymi włosami i bez makijażu. Tutaj - wyraźnie upozowana - prezentowała cały swój wdzięk, eksponując twarz o wystających kościach policzkowych i świeżutkiej cerze. Chanel sklasyfikowała ją po swojemu:

- Popatrz tylko na nią. Klasa „cztery C”: cudna cera, ciało, cycki.

Ruby powiedziała, że Claudia jest w szóstym miesiącu i mimo że wygląda pięknie, nie przypomina już tej eterycznej istoty, którą była kiedyś. Chanel parsknęła śmiechem, spojrzała na siebie i pokazała własny nie najmniejszy brzuch.

- Jest w szóstym miesiącu, a wygląda chudziej niż ja. Boże, skąd niektóre babki mają takie dobre geny?

Ruby zaśmiała się i powiedziała, że to nie żadne geny, tylko sztab dietetyczek, osobistych trenerów i makijażystów, gotowych na każde skinienie.

Chanel wpatrywała się w zdjęcie.

- A gdzie to się chowa jej guru? Raj Bhojan czy jak mu tam? Zwykle mający gdzieś w tle na każdej fotografii.

Claudia była nie tylko szalenie bogatą aktorką z Hollywood i matką dwuletniej Avocado, lecz także, we własnym mniemaniu, poszukiwaczką prawdy i duchowego oświecenia.

- Pewnie oddalił się na stronę i zakrapia trzecie oko - rzuciła Ruby. Chanel ze śmiechu o mało nie udławiła się kanapką. A następnie wróciła do lektury tego smakowitego artykułu, wybierała najlepsze fragmenty i czytała je na głos.

- O, to dobre, posłuchaj: "W St. Luke wyrażono zgodę, by aktorka wprowadziła na salę porodową własną położną z Ghany. Po narodzinach położna, zgodnie z dawnym afrykańskim

rytuałem, zakopie łożysko w ogrodzie posiadłości Planchette, wartej siedem i pół miliona funtów. Dzięki temu dziecko nie oddali się nigdy zbyttnio od swych korzeni".

- Ciekawe, jak mu da na imię? - natrząsała się Chanel. - Założę się, że Oberżyna. Albo Ananasek. A może Pigwa. Pigwa Planchette. Nieźle brzmi, jak ci się zdaje?

Kolejnych kilka minut upłynęło im na skręcaniu się ze śmiechu i wymyślaniu coraz to dziwniejszych imion, rodem z luksusowego warzywniaka, takich jak Persymon czy Papaja.

- A swoją drogą - zmieniła temat Chanel, gdy już żadne oryginalne imię nie przychodziło jej na myśl - zapomniałam ci powiedzieć. Co za zbieg okoliczności, dzwonił z kliniki St. Luke, ktoś z kierownictwa chciał z tobą rozmawiać.

Okazało się, że Jill McNulty, która zarządzała oddziałem prenatalnym, pytała, czy Ruby nie wygłosiłaby pogadanki skierowanej do przyszłych matek o tym, co powinno znaleźć się w wyprawce dziecka. Byłaby to świetna reklama dla sklepu.

- A nawet coś więcej - powiedziała ze sztucznym ożywieniem Ruby. - Może będę miała szczęście wpaść znowu na doktora Baryłę. Albo na Amerykasia?

- Daj spokój, na pewno ich nie spotkasz. Jak przyjedziesz, ta cała Jill weźmie cię prosto na salę wykładową, potem poczęstuje jakąś paskudną ziołową lurą (czytaj: herbatką owocową) i po sprawie.

Ruby wydała z siebie przeciągłe westchnienie.

- Pewnie masz rację - powiedziała. - Głupia jestem. Zadzwońię do Jill McNulty. Nie możemy przegapić takiej okazji.

Rozdział 4

Tego wieczoru Ruby miała zamiar pójść na kolację do Jacka i Laury. Nie widzieli się od ich ślubu kilka miesięcy temu. Byli jej starymi przyjaciółmi z czasów Camden Market. Jack nadał prowadził stoisko ze szkłem i ceramiką Art Deco, Laura natomiast pracowała jako garderobiana w małym offowym teatrze w Islington. Zadzwoiła do Ruby, aby zaprosić ją na kolację. Mówiła, że Jack ugotuje coś tajskiego i że przyjdą też aktorzy. „Bardzo apetyczni aktorzy” - dodała.

W sobotę do sklepu zadzwoniła Ronnie i też zaprosiła ją na kolację w poniedziałek. Ruby oznajmiła, że chętnie by przyszła, ale nie może, bo jest już umówiona gdzie indziej.

- Jak myślisz, nie uda ci się odwołać? - spytała matka.

- Może jakoś zdołam się wykręcić, ale dlaczego akurat w poniedziałek? Mogłabym wpaść któregoś innego wieczoru.

- Dlatego, że w ostatniej chwili postanowiliśmy z tatą jechać na wycieczkę do Rzymu w przyszłym tygodniu i mamy wolny tylko poniedziałek.

Ruby spytała, co jest na tyle ważne, że nie mogą poczekać z tym do powrotu w następny weekend.

- Musimy ci o czymś powiedzieć i tyle.

- A nie możesz tego zrobić teraz? - poczuła, że wpada w panikę. - Mamo, czy coś się stało? Nie jesteś chora?

- Nie. I tata też nie. Nic z tych rzeczy. Obiecuj, że przyjdiesz. Nie prosiłabym cię, gdyby to nie było coś ważnego.

- Dobra, ale podpowiedz chociaż troszeczkę, o co chodzi.

- Nie, nie przez telefon, zresztą muszę lecieć - wykręcała się Ronnie. - Umówiłam się z koleżankami na lunch i jestem już spóźniona. Pa, do poniedziałku.

I tyle. Koniec rozmowy. Mama odłożyła słuchawkę.

Przez trzy dni Ruby zachodziła w głowę, co Ronnie chce jej powiedzieć. Teraz, zbliżając się do domu rodziców w Hendon, także nie mogła przestać o tym myśleć. Najbardziej prawdopodobne jest to, że rodzicom wpadły jakieś większe pieniądze. Ale jeżeli wygraliby na loterii, nie robiliby z tego tajemnicy.

Wiedziała, że szykował się im spadek: Phil i Ronnie niczego nie ukrywali. Babcia Esther, wiekowa i niedomagająca matka taty, zmarła kilka miesięcy temu. Może zostawiła po sobie fortunę, o jakiej nikt wcześniej nie wiedział? Ruby, podobnie jak rodzice, zawsze przypuszczała, że babcia posiada drobne oszczędności i mieszkanie w Hackney, które zajmowała z dziadkiem przez ostatnie czterdzieści lat. Mieli zakład produkujący rękawiczki, który zapewniał im godziwe życie, ale z tego, co wiedziała, nigdy nie byli zamożni. Phil zawsze namawiał ich do rozszerzenia działalności i modernizacji zakładu, ale dziadek Leo nie wierzył, że zakup nowoczesnych maszyn do szycia i wykrawarek jest w stanie zwiększyć zysk.

Tak naprawdę ani Leo, ani Esther nie mieli za dużo oleju w głowie. W latach dwudziestych, tuż po ślubie, zdecydowali się wyemigrować z Niemiec i rozpocząć nowe życie w Nowym Jorku. Kupili bilety w jakiejś szemranej agencji i wylądowali w Londynie, myśląc, że dotarli do Ameryki. Legenda rodzinna głosi, że kolejne trzy miesiące spędzili na poszukiwaniach Statuy Wolności.

„Nie, nie ma siły, babcia Esther na pewno nie zostawiła dużego spadku. Jeśli więc rodzice ani nie dostali fortuny w testamencie, ani nie rozchorowali się, to nie wiem, co mogło się stać” - rozmyślała Ruby.

Te jałowe rozważania sprawiły, że poczuła się podle. Lepiej, żeby Ronnie miała jej do zakomunikowania coś naprawdę ważnego, bo w przeciwnym razie Ruby będzie wściekła, że przepadła jej kolacja u Jacka i Laury. Jako że od pewnego czasu była z powrotem w obiegu w kwestii randek, trudno jej będzie przeboleć, że ominął ją wieczór w towarzystwie kilku atrakcyjnych aktorów.

Jak dotąd, jeśli chodzi o romanse, znajdowała się, jakby to ująć, na pustyni. Nie dlatego, że nie miała żadnych propozycji ze strony płci przeciwnej: przeciągająca się abstynencja wynikała z jej własnego wyboru.

Przez trzy miesiące dochodziła do siebie po zerwaniu ze swoim ostatnim chłopakiem, Mattem. W tym okresie widywała się od czasu do czasu z przyjaciółkami, ale nie miała najmniejszej ochoty poznawać nowych mężczyzn.

Ruby smuciła się, że wydawnictwo zaoferowało Mattowi pracę w Australii dwa miesiące po ich pierwszym spotkaniu. Gdyby chodzili ze sobą dłużej - przynajmniej rok - mieliby wspólną przeszłość, do której mogliby się odwołać.

Mimo to podczas tego krótkiego związku wielokrotnie zapewniali się nawzajem o prawdziwości swych uczuć i postanowili pielęgnować je na odległość. Międzykontynentalna próba okazała się trudna. Ruby obiecała, że co kilka miesięcy przyleci do Australii, a Matt -

że będzie wpadał do Londynu. Niestety, odległość i zmęczenie wywołane podróżą oraz zmianą czasu sprawiały, że niepodobieństwem były wypadki na weekend do Sydney. Ponadto podczas każdej dłuższej nieobecności Chanel musiała zastępować Ruby w prowadzeniu sklepu. Co gorsza, Mattowi zlecono założenie całkiem nowego oddziału wydawnictwa, co oznaczało brak urlopu i wolnego czasu oraz przekreśliło jego plany odwiedzania Ruby w Londynie.

Mimo że często rozmawiali przez telefon i pisali mnóstwo e - maili, po paru miesiącach rozstanie zrobiło swoje.

Spędziwszy kilka nocy na zalewaniu się łzami i rozmowach z Fi, Ruby zerwała z Mattem. Nie listownie ani za pośrednictwem Internetu. To byłoby zbyt okrutne. Poleciała do Sydney Podczas kolacji przy świecach w jednej z modnych knajp, zaludnianej masowo przez szczęśliwe, świeżo zakochane i wpatrzone w siebie parki, wzięła go za rękę i powiedziała - tak łagodnie, jak tylko się dało - że nie układa się między nimi. Ulżyło jej, kiedy Matt wyznał, że sam również nie potrafi sobie wyobrazić ich wspólnej przeszłości. Łatwiej było mówić o zerwaniu.

Po kolacji wylądowali z powrotem w domu i zaczęli się kochać. To ponownie wzbudziło w nich lawinę wątpliwości i przez resztę nocy próbowali gorączkowo wymyślić jakieś cudowne rozwiązanie, znaleźć ratunek, przepis na powodzenie. Niestety, wszystkie projekty kończyły się tak samo: żadne z nich nie było gotowe poświęcić się dla drugiego i zrezygnować z zawodowej kariery. Tuż przed świtem postanowili przespacerować się nad zatoką. Usiedli na ławce i gapili się w poranną mgłę. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, wiedzieli, że to już koniec. Objęli się i rozplakali.

Wśród uścisków i łez Ruby zdała sobie sprawę, że czegoś zabrakło w łączącym ich uczuciu. W przeciwnym razie nie musieliby się rozstać. Gdyby go bardziej kochała, zrezygnowałaby z Les Sprogs w mgnieniu oka i przeniosła się do Australii. Gdyby jemu na niej naprawdę zależało, nie przyjąłby oferty pracy w Australii i poszukałby czegoś w Londynie. Kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, uderzyła ją myśl, że ich bycie razem zawsze było trochę dziwne. Dlaczego wcześniej nie zaniepokoiło ją to, że w kółko rozmawiali tylko o pracy? Tak naprawdę, kiedy nie kochali się, mówili wyłącznie o sklepie. To ambicja cementowała ich związek, a nie wspólne poglądy, czułość czy poczucie humoru.

Rozumieć nie znaczy zapomnieć, dlatego pomimo trzeźwych przemyśleń Ruby przez długi czas nie mogła przeboleć zerwania. Jeszcze przez jakiś czas dzwonili do siebie i pisali listy, ale wkrótce miłość wygasła śmiercią naturalną.

Dopiero w ostatnich kilku tygodniach Ruby nabrała znowu ochoty, by zacząć się z kimś spotykać, entuzjastycznie przyjmowała zaproszenia na imprezy, a nawet zgodziła się na parę okropnych, zaaranżowanych przez Fi randek w ciemno. Przyjaciółka miała obsesję, by nie tracić kontaktu z kolegami ze szkoły i ze studiów, i dzięki temu знаła masę ludzi. Kiedy Fi proponowała randkę z jednym ze starych znajomych, nie było jeszcze tak źle. Schody zaczynały się przy znajomych, o których nie wiedziała nic oprócz tego, że „to bardzo miły facet”.

Ruby spróbowała umówić się z „miłym facetem” dwukrotnie. Pierwszy okazał się łysym czterdziestopięcioletkiem, i to nie wiek przekreślił go definitywnie w jej oczach, ale noszony przez niego tupecik. Podczas kolacji wychwalał jego świetne wykonanie, a na koniec zmusił Ruby, by osobiście przekonała się, że w dotyku przypomina prawdziwe włosy.

Drugi mężczyzna przez cały wieczór opowiadał o swojej depresji i jej przyczynach - psychoanalityk powiedział mu, że to z niechęci do zmian. Ruby doszła do wniosku, że diagnoza wiele wyjaśniała, między innymi to, dlaczego przez cały czas od skończenia studiów pracuje w Zakładzie Ubezpieczeń, a także to, że facet ma na sobie zaplamioną koszulę.

Fi zastępowała Ruby siostrę. Poznały się na uniwerku w Manchesterze, gdzie obie studiowały literaturę angielską. Szybko się zaprzyjaźniły i zaczęły spędzać wspólnie całe noce na gadaniu o chłopakach i seksie, popijając przy tym tanie wino.

Pewnego wyjątkowo mocno zakrapianego wieczoru na pierwszym roku zaczęły przypominać sobie na wyścigi wierszyki dla dzieci Doktora Seussa.

Ruby była przekonana, że potrafi wyrecytować całego Słonia, który wysiedział jajko, ale pamięć spletała jej figla i bezbłędnie wyszło jej tylko zdanie

„Gdy na drzewie usiądzie ktoś ważący dwie tony,
Trudno potem się dziwić, że pień został zwalony”.

Fi wygrała, bo nie tylko potrafiła wyrecytować więcej ze Słonia, lecz także wydeklamowała prawie cały inny wierszyk: Kto zje zielone jajka sadzone.

Z tej zabawy wzięła się później nazwa całej paczki - Zielone Jajka Sadzone. Co tydzień kilkunastoosobowa grupa studentów literatury i filozofii zbierała się wieczorem i dyskutowała, czy powodem, dla którego Tomek Przytomek nie chciał jeść szynki we wnętrzu skrzynki, były złe wspomnienia z życia płodowego i czyjego widoczna anoreksja wynikała z toksycznego związku z myszką, z którą odmawiał dzielenia stołu. Za każdym razem, po skończonej dyskusji, cała załoga udawała się na curry, po czym zalewała do nieprzytomności.

Po studiach Ruby założyła stoisko na Camden Market, a Fi została nauczycielką angielskiego. Miała powołanie i solidnie się przykładała do pracy, więc wkrótce dostała awans.

Cztery lata później Laura i Jack przeprowadzali się i zaprosili Ruby na parapetówkę. Ruby wzięła ze sobą Fi, która poznała tam Saula, jednego z „boskich aktorów” Laury. Ruby polubiła go od pierwszego wejrzenia i strasznie się ucieszyła, kiedy kilka miesięcy później Fi ogłosiła, że ona i Saul zakochali się w sobie.

Matka Fi, wdowa po sześćdziesiątce, wbiła sobie przed laty do głowy, że każda z pięciu córek powinna dobrze wyjść za mąż, za „szczerego katolika na dobrej posadzie”. Dwie najstarsze ją rozczarowały. Niestety, miały upodobanie do żłowiących piwo budowlańców, dla których religia miała podobne znaczenie co, na przykład, aromaterapia. Następna córka wyszła za pracownika socjalnego, muzułmanina, kolejna żyła w grzechu z ortopedą, specjalizującym się w leczeniu płaskostopia. Tak się złożyło, że był katolikiem, ale zdaniem Bridget w kwestii kariery leczenie płaskostopia znajdowało się na szarym końcu łańcucha pokarmowego, więc się nie liczył.

Fi często opowiadała Ruby o naciskach, jakie wywiera na nią matka. Kiedy zebrała się na odwagę i powiedziała Bridget, że wychodzi za aktora - na domiar złego, za żydowskiego aktora - matka zbladła jak ściana i musiała złapać się krzesła, by nie upaść. Po czym spojrzała w sufit, przeżegnała się trzykrotnie i poprosiła Ojca Niebieskiego, by zabrał ją do siebie.

Przez kilka miesięcy poprzedzających ślub Bridget nieustannie wydzwaniała do Fi, błagając ją, by odwołała całą uroczystość.

Ruby nie mogła zapomnieć, jak pewnego razu podczas odwiedzin przyjaciółki podsłuchiwała jej rozmowę z matką. Fi próbowała ją udobruchać przez dobrą godzinę. Wreszcie wściekła się i rzuciła słuchawką. Po chwili telefon zadzwonił ponownie. Fi rozpoznała numer Bridget na wyświetlaczu i poprosiła Ruby, żeby odebrała.

- Wiesz, jak bardzo cię lubi. Może cię posłucha. Powiedz jej, że Saul jest wspaniałym człowiekiem i że bardzo się kochamy. Ruby podniosła słuchawkę, ale nie mogła dojść do głosu.

- Słodki Jezu, jak ona mogła mi to zrobić! - lamentowała matka Fi, wypowiadając słowa z południowoirlandzkim akcentem. - Boże przenajświętszy, toż wyjść za jakiegoś aktorzynę to już wstyd, a do tego za poganina! Żydzi wydali Pana! Jak można tak grzeszyć, czy ona w ogóle nie myśli o zbawieniu duszy?

- Droga pani Gilhooley, ja też jestem Żydówką - wyznała Ruby.

- Wiem, kochanie, ale ty nie jesteś z tych bezbożników, co ukrzyżowali Jezusa.

- Pani Gilhooley, przecież Saul też nie stał pod krzyżem i nie przyglądał się, pałaszując popkorn po dwa srebrniki za bukłak.

Ani tłumaczenia Ruby, ani błagania Fi nie przejechały zaciętej wdowy. Natomiast rodzice Saula nie mieli nic przeciwko temu, że bierze on sobie za żonę katoliczkę. Nie byli specjalnie religijni i cieszyli się, że ślub odbędzie się w kościele z udziałem księdza i rabina do spółki.

Kiedy nadszedł wielki dzień, ceremonia udała się całkiem nieźle. Ku zdziwieniu wszystkich, pojawiła się na niej również Bridget, choć z oczami czerwonymi jak królik, cała w czerni i z różańcem w dłoni. I nawet jeśli ktokolwiek ze strony panny młodej dosłyszał mamrotanie leciwych wujków Saula, że rabin jest tak bardzo nowoczesny, że zapisał się do partii nazistowskiej, to nie dał nic po sobie poznać.

Trzeba przyznać, że atmosfera zrobiła się gęsta, kiedy podczas nabożeństwa ksiądz zapytał, czy ktoś z obecnych zna jakiś powód, dla którego małżeństwo nie może zostać zawarte. Ruby dostrzegła, że brat Fi niemal założył matce półnelsona, grożąc, że udusi ją różańcem, jeżeli piśnie choć słówko.

RUBY PARKOWAŁA właśnie przed domem rodziców. Phil otworzył drzwi. Pocałowała go na przywitanie i przewiesiła płaszcz przez poręcz. Za każdym razem, gdy przyjeżdżała do domu, uderzało ją to, jak bardzo zmienił się w ciągu kilku ostatnich lat. Trudno było rozpoznać dawne wnętrza, odkąd tata zaczął przyzwoicie zarabiać. Zgoda, dalej panował tu bałagan, a w powietrzu unosił się znajomy zapach terpentyny i nie dało się zaprzeczyć, że dbanie o porządek nigdy nie było najważniejsze dla Silvermanów. Z drugiej jednak strony rodzice zafundowali sobie nową luksusową kuchnię, położyli drewniane podłogi, kupili nowe rolety i kilka modnych mebli. Dom zrobił się naprawdę wygodny, w przeciwieństwie do czasów, kiedy w nim mieszkała.

Tata też się zmienił. Była w nim jakaś lekkość, której nie dostrzegła, gdy była młodsza. Wreszcie nie zamartwiał się finansami. Zaczął ćwiczyć i dbać o wagę. Przez lata równoważył stres słodyczami i tłustym jedzeniem. Ruby zastanawiała się, czy to obraz taty pocieszającego się jedzeniem był źródłem jej upodobania do junk food. Teraz ważył piętnaście kilo mniej niż dziesięć lat temu. Miał modnie ostrzyżone włosy, całkiem już siwe. Nie posiadał typowego dla mężczyzn w średnim wieku brzuszka, nosił za to twarzowe okulary i świetnie leżące dzinsy, które choć nie odmładzały go, to nadawały mu wygląd zadbanego pięćdziesięcioletka, jakim był w istocie.

- Co to? - spytała Ruby, wskazując na małą, przeźroczystą piłeczkę, leżącą na stoliku w holu.

Philowi zaświeciły się oczy.

- To fantastyczna zabawka. Koleżanka mamy przysłała tu z wnukiem i zapomnieli ją zabrać. Teraz ja nie mogę przestać się tym bawić.

Tata uwielbiał zabawki i gadżety. Kiedy Ruby była mała, kupił jej nakręcaną kolejkę na urodziny. Gdy wiele lat później wypominała mu to, mówił, że wybrał taki prezent, bo jest feministą i uważa, że kupowanie dziewczynkom lalek zawęża ich światopogląd. Tak naprawdę kupił pociąg, żeby samemu się nim bawić.

Podniósł piłeczkę ze stołu.

- Tam w środku jest mały komputer, który może zagrać z tobą w dwadzieścia pytań. Pomyśl o jakiejś rzeczy. Może być trudna. Założę się, że i tak zgadnie.

- Moment, zanim zaczniemy, muszę pogadać o mamie. Dostaję już szału od ciągłego myślenia o tej waszej tajemnicy.

Szeroki uśmiech zdradzał, że tata aż wyskakuje ze skóry, by podzielić się nowiną.

- Babcia Esther nie zostawiła ci przypadkiem jakiejś fortuny?

- Fajnie by było.

- No to co to takiego?

- Musimy poczekać na mamę. Jest na górze, w studiu. Zaraz zejdzie.

- Ale ty wiesz, co to jest?

- Aha. Wiem.

- Coś dobrego? Nic się wam nie stało?

- Powiedzmy, że trzeba się do tego przyzwyczaić. Ale koniec wypytywania. Pomyśl o jakiejś rzeczy.

- Mówiłeś, że może być trudna? - Tak trudna, jak tylko ci się podoba.

- Kapibara.

- Kapi - co?

- Kapibara. Południowoamerykański gryzoń z rodziny Hydrochoeride. Jak chodziłam do szkoły, jedna dziewczyna oszalała na ich punkcie, cały pokój wytapetowała sobie zdjęciami kapibar.

- Nie żartuj, to nie w porządku, jak dziecięca zabawka może zgadnąć coś takiego?

- Mówiłeś, że zna każdą odpowiedź.

- Bez przesady, skąd ma wiedzieć o jakimś gryzoniu, o którym ja nawet nie słyszałem.

- Phil doszedł do wniosku, że czas zmienić temat. - Wiesz co, idź lepiej na górę i daj znać mamie, że już jesteś.

Ruby pomaszzerowała posłusznie w kierunku schodów, zostawiając ojca sam na sam z gadżetem. Wyraźnie miał ochotę przetestować go w samotności.

Parę lat temu rodzice przerobili strych na studio dla Ronnie. Dwa wielkie okna zapewniały dopływ światła przez cały dzień.

Matka miała na sobie roboczy kombinezon pochlapany farbą. Długie, rude włosy spięła z tyłu szylkretową spinką. Kilka pasemek wymknęło się i zwisało wokół twarzy, nadając jej dziewczęco - kokieteryjny wygląd. Ruby z trudem mogła uwierzyć, że mama miała prawie pięćdziesiąt lat. Oczywiście farbowała już włosy, a w kącikach oczu pojawiły się delikatne zmarszczki, o wiele jednak za płytkie, by nazwać je kurzymi łapkami. I choć, być może, w ciągu ostatnich kilku miesięcy trochę przytyła - jak wiele kobiet tuż przed menopauzą - wciąż była zgrabna. Ale to nie wygląd zewnętrzny sprawiał, że wydawała się młoda, tylko energia, która z niej emanowała, wyraz twarzy, jakieś tajemnicze ogniki w oczach.

Większość mam koleżanek Ruby skończyła już sześćdziesiątkę. Zwykle były to kobiety przysadziste, o ciężkich biodrach i obfitych biustach, które z czasem spływały na łono. Ludzie nie dawali wiary wiekowi Ronnie, spotykając ją po raz pierwszy. A panią Silverman cieszyły nieodmiennie komplementy, że absolutnie nie wygląda na matkę trzydziestoparoletniej córki. Cóż, rodzice przyjaciółek Ruby są starsi od Ronnie z tej prostej przyczyny, że nie zaszły w ciążę jako osiemnastolatki i nie uciekły ze studencikiem z akademii.

RUBY STANEŁA w drzwiach i rozejrzała się po atelier, wdychając znajomy zapach farb olejnych i terpentyny. Wszędzie stały płótna, przeważnie oparte o ściany. Po całej pracowni wały się stare szkice, resztki węgla kreślarskiego i podłużne, kartonowe palety naznaczone popękanymi, stożkowatymi plamkami farby olejnej.

Przy dłuższej ścianie pomieszczenia, przed płótnem ogromnej wielkości stała mama, wykańczając maźnięciami i muśnięciami pędzla swój najnowszy obraz. Ruby była bardzo dumna z tego, jak wiele udało jej się osiągnąć, mimo że - w przeciwieństwie do Phila, który był na ostatnim roku, gdy okazało się, że spodziewają się dziecka - musiała porzucić studia artystyczne. Postanowiła, że zostanie w domu, obskurnym małym mieszkanku, i zajmie się dzieckiem. Dorabiała trochę, dekorując za pomocą szablonów kuchnie i pokoje dziecięce zamożnych rodzin z Hampstead. Nigdy nie zapomniała o swoich ambicjach. Kiedy Ruby poszła do podstawówki, postarała się o stypendium, które pozwoliło jej wrócić na studia i zrobić dyplom. Jej dzieła nie osiągały zawrotnych cen, ale i tak Ronnie była wzorem i inspiracją dla córki.

Najnowszy obraz był jak zwykle abstrakcją, zbudowaną plamami i smugami koloru. Podobał się Ruby, jak zresztą większość prac matki. Miały w sobie siłę i energię. Ten był

chyba prawie gotowy. I duży: mniej więcej dwa i pół metra na dwa, co było typowe dla Ronnie. Mawiała, że małe płótna ją ograniczają i odbierają rozmach.

Ruby dobrze pamiętała, jak w wieku ośmiu lat po raz pierwszy spytała mamę, co przedstawiają te obrazy i co znaczą te wszystkie plamy i kreski. Ronnie wzięła ją na kolana i przez długie godziny, a przynajmniej tak jej się wtedy zdawało, rozmawiały o dziele, które było na ukończeniu.

- Co czujesz, jak na to patrzysz? - spytała córkę. Ta odpowiedziała, że od żywych, jasnych kolorów robi się jej wesoło.

- No widzisz, to znaczy, że mi się udało. Jak obraz wywołuje jakieś emocje, to znaczy, że się udał. Żyjemy w świecie, w którym każdy chce wszystko pojąć i zrozumieć. Jak będziesz starsza, Ruby, zrozumiesz, że są rzeczy, których nie da się wytłumaczyć.

- Na przykład tego, że ludzie umierają z powodu trzęsienia ziemi? - spytała Ruby. - I tego, że Hilary Newsham z mojej klasy zachorował na wyrostek i o mało nie umarł?

Ronnie uśmiechnęła się i pocałowała ją - pewnie za bystrość. A potem odpowiedziała:

- Właśnie coś w tym rodzaju.

RUBY STAŁA, przypominając sobie tę rozmowę, i przyglądała się matce, która cofnęła się o krok od obrazu, by lepiej mu się przyjrzeć. Kolorem dominującym była magenta, do tego eksplozja błękitu, żółci i szmaragdowego.

- Ma jakiś tytuł? - spytała Ruby, wchodząc.

Ronnie obróciła się gwałtownie, krzyżując ręce na piersi.

- Ale mnie wystraszyłaś - zawołała. - Jeszcze nie, muszę coś wymyślić.

Mówiąc to, włożyła sobie pędzel w upięte włosy, niczym gejsza, i wytarła ręce w starą szmatę. Pocałowała Ruby na powitanie.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś, głupio mi tylko, że przepadła ci kolacja u Jacka i Laury. Zła jesteś na mnie? Powiedz, to lepsze niż gromadzenie w sobie gniewu.

Skąd u niej ten błyskawiczny przeskok w terapeutyczne bla, bla? Zabrał jej nie więcej niż minutę. Oprócz babrania się w buddyzmie od piętnastu lat próbowała, z przerwami, psychoanalizy. Phil ją do tego namówił - choć teraz przyznawał, że popełnił straszny błąd. Wtedy nie mógł znieść beztroski Ronnie, jej megaloptymizmu i życia zgodnego z mottem: „Nie sieją, nie orzą, a Ojciec Niebieski żywi je”. Czuł się tak, jakby mieszkał z jakimś pieprzonym dalajlamą - to jego własne słowa. Teraz czuł się winny - jak mówił - z tego powodu, że frustrowało go życie z kimś wiecznie szczęśliwym, ale nic nie mógł na to poradzić. Podobnie jak na to, że nie był w stanie znieść finansowej niefrasobliwości Ronnie.

We wczesnym stadium terapii, przy pomocy Clive'a, do którego wciąż od czasu do czasu zapisywała się na wizyty, matka dokonała odkrycia, że jej skrajny optymizm wynika najwyraźniej ze stosunku do własnego ojca. Odszedł on z inną kobietą, zrywając kontakt z córką, której jego druga żona nie lubiła. Trauma i ból spowodowane rozstaniem tłumaczyły, dlaczego Ronnie uciekła z domu i wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat. A także dlaczego konsekwentnie nie dopuszczała do siebie żadnych przykrych rzeczy i zamykała oczy, gdy spotykały ją jakiegokolwiek trudności.

Obecnie nie miała już problemów z przyznaniem, że nie wszystko jest w porządku, gdy tak rzeczywiście było. Tylko, jak na ironię, teraz ani ona, ani Phil nie mieli praktycznie żadnych zmartwień. Sytuacja finansowa zmieniła się diametralnie, nadal się kochali, córka ich uwielbiała, a do tego cieszyli się dobrym zdrowiem.

Efektom ubocznym terapii Ronnie było uzależnienie się od analizowania nie tylko własnej psychiki, lecz także innych.

- Naprawdę nie żałujesz, że przyszedłeś? - upewniała się matka, zdrapując jednocześnie palmkę czerwonej farby ze środkowego palca. - Nie tłumisz negatywnych uczuć?

- Nie tłumię. Na pewno. I ze sklepem też Wszystko w porządku, nie czuję się winna z żadnego powodu, również z tego, że odnoszę sukcesy, bo każdy ma prawo do spełnienia zawodowego. Na wypadek, gdybyś spytała.

- Nabijasz się ze mnie - zorientowała się Ronnie, robiąc smutną minę klauna.

- Tak, ale niezłośliwie - uśmiechnęła się przekornie Ruby.

- A jak po rozstaniu z Mattem, już trochę lepiej? Przebolełaś, jesteś gotowa na coś nowego?

Dla Ruby nie stanowił tajemnicy fakt, że ostatnie zdanie było zakamuflowanym pytaniem: „Czy już nie najwyższa pora, żebyś znalazła dobrego męża/przyjaciela (niepotrzebne skreślić) i wreszcie się ustatkowała?”. Ronnie obraziłaby się, gdyby ktoś zasugerował, że jest typową żydowską matką. W końcu nie siedziała w domu, tucząc córkę macą. Nie miała kaprysów i nie była wymagająca. W czasach szkolnych Ruby zawsze chwaliła jej osiągnięcia, zamiast zmuszać ją do brania udziału w wyścigu szczurów. Do dziś nigdy nie krytykowała ani jej wyglądu, ani wagi. W rezultacie Ruby wyrosła na osobę ze zdrowym poczuciem własnej wartości.

Jak dotąd matka nigdy nie mieszała się w jej życie uczuciowe, sugerowała najwyżej, że w razie potrzeby jest gotowa jej wysłuchać. Sytuacja zaczęła się zmieniać, odkąd Ruby zerwała z Mattem. Najprawdopodobniej Ronnie wpadła w lekką panikę. I sama zdawała sobie z tego sprawę, próbując z nią walczyć. Dlatego rzucała najwyżej delikatne aluzje, subtelne

komentarze, takie jak: „Czy naprawdę wszystko w porządku, córeczko, bo martwię się, że jesteś sama” albo „taka to a taka ma nowego przyjaciela/wyszła za mąż/urodziła dziecko (niepotrzebne skreślić), a jest o dwa czy trzy lata młodsza od ciebie”, zamiast prosto z mostu wygarnąć Ruby, że najwyższy czas znaleźć sobie męża. Córka sygnalizowała jej niekiedy, że wywiera na nią presję, co Ronnie przyjmowała pokornie, jako że terapia, w której niegdyś brała udział, przyzwyczała ją do poddawania ocenie jej słów i zachowania. Dlatego oświadczeń Ruby nie odbierała jak ataku na własną osobę.

- Wiesz co, masz rację - przyznawała - rzeczywiście na ciebie naciskam. Muszę omówić to z Clive'em. Zaczynam się martwić, że nie znajdziesz męża i nie założysz rodziny. Ale to mój problem, nie twój, a ja przenoszę na ciebie mój niepokój. Po co? Dlaczego nie pozwalam ci żyć tak, jak chcesz? Może ma na to wpływ jakieś wydarzenie z przeszłości.

I tak dalej. Próbowwała z terapeutą przerabiać podstawy swojego niepokoj, ale bez skutku. Podczas każdej rozmowy, nawet przez telefon, nie mogło się obejść bez aluzji do tego, że córka jest singielką. Czasem Ronnie sama się na tym przyłapywała. A jak nie, Ruby oddychała powoli i głęboko i puszczała uwagi mimo uszu.

RONNIE POGASIŁA światła w pracowni i zeszły na dół. - No dalej, opowiadaj, mamó - przynaglała Ruby. - Co się dzieje? Co to za tajemnice? Tata nie pisnął ani słówka i umieram z ciekawości.

Wtedy zadzwonił dzwonek. Ronnie zmarszczyła brwi.

- Kto to może być? - zapytała, przysłuchując się, jak Phil otwiera drzwi. Wychyliła się przez poręcz.

- To ciocia Sylvia - wyjaśniła Ruby.

- Nie spodziewałam się jej. To trochę wszystko skomplikuje. Chcieliśmy być z tobą sami.

Kiedy zeszły na dół, Sylvia właśnie podawała Philowi płaszcz.

- Pomyślałam, że wpadnę na krótkie arrwederci, zanim wyjedziecie do Rzymu. - Ucałowała siostrę i wytarła jej z twarzy ślady szminki. Następnie zwróciła się do Ruby, szczypiąc ją w policzek:

- Jak tam moja ulubiona siostrzenica? Ciągłe pracujesz z drogą kuzyneczką? Wiesz, oczywiście, jakich kłopotów nie ma Stella? Sercowych. Bo nie ma serca, paskuda jedna.

Ruby zaśmiała się i powiedziała, że rzadko się z nią widuje, odkąd przeniosła się do Nowego Jorku.

- Wiesz, że jak tu podjechałam, musiałam krążyć po okolicy przez dziesięć minut, żeby znaleźć miejsce do parkowania? - Sylvia powiedziała do Ronnie.

- Ja zwykle odmawiam mantrę postojową - zawsze działa.

- Serio? To może zacznę odmawiać mantrę matrymonialną? Sylvia Liebermann - zachowała nazwisko byłego męża - była

starszą siostrą Ronnie. Pracowała jako asystentka agenta teatralnego z West Endu i stale szukała miłości. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, od czasu rozwodu, nie miała okazji jej spotkać, więc zaczęła pocieszać się jedzeniem, aż osiągnęła wagę stu kilo. Mimo swej otyłości, podobnie jak Ronnie, ubierała się w artystyczne ciuchy w oryginalnym, frapującym stylu. Włosy, podcinane co pięć tygodni u przebojowego Roscoe'a, z Roscoe & Belle, farbowała na jeszcze bardziej wyzywającą czerwień niż siostra, co doskonale pasowało do jej wyrazistej, pełnej życia osobowości. Nosila na cebulkę kosztowne, świetnie skrojone stroje, które podkreślały jej sylwetkę, ale nie opinały się niepotrzebnie. Dziś miała na sobie elegancką, zawiązywaną suknię o linii A A oliwkowego koloru i zamszowe buciki ze spiczastym czubkiem.

WSZYSCY PRZENIEŚLI SIĘ DO salonu. Ronnie usadowiła się na jednej kanapie, a Sylvia i Ruby na drugiej. Phil nie usiadł, za to wyjął z kieszeni kulkę do gry w dwadzieścia pytań.

- Zawiesiła się, jak poszłaś na górę. Ale teraz znowu działa. Czy kapibary są mięsożerne?

- Nie. Roślinożerne, przecież to gryzonie. - Lubią wodę?

- Tak, i świetnie pływają.

Ciocia Sylvia spytała Ronnie:

- Kapi - co? Co tu się dzieje?

Ronnie przewróciła oczami i opowiedziała o nowej zabawce ojca.

- Nie wiem, o jakim zwierzęciu mówią - wyjaśniła. - Phil, nie mógłbyś odłożyć tego na chwilę i usiąść?

- Phil! - zawołała ze śmiechem Sylvia. - Zobacz, czy odgadnie Elvisa, albo jeszcze lepiej pizingera. Albo stringi.

Phil uniósł rękę, co miało oznaczać „poczekaj chwilę”. Minęło kilka sekund.

- To niesamowite! Nie wierzę własnym oczom! Zgadło! Cholerna kapibara! - Podał piłeczkę Ruby i wskazał na wyświetlacz.

- Sprawdź, czy zgadnie słowo „chiropraktyk” - zaproponowała ciotka. - Właśnie odkryłam nowego. Jest świetny. Tak świetny, że po wszystkim omal nie zaproponował mi papierosa. Powinnaś spróbować - mrugnęła porozumiewawczo do Ronnie.

Ruby z ciekawości nie była w stanie usiedzieć na swoim miejscu. Nie mogła się doczekać, aż rozmowa zejdzie z chiropraktyków i stringów na właściwy temat.

- No, mówcie wreszcie. Co to za sekret?

- Sekret? - spytała Sylvia. - Jaki sekret? Ja o niczym nie wiem!

- Chcieliśmy najpierw powiedzieć Ruby - wyjaśniła Ronnie. - Ale na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyś ty też się dowiedziała.

Phil podszedł do stołu, gdzie czekała butelka szampana i kieliszki.

- Aaa, więc to dobra wiadomość - zgadywała Sylvia, zerkając na butelkę.

- Ja nie chcę! - krzyknęła Ronnie do Phila. - Wystarczy mi woda!

- Nie pijesz? - zdziwiła się siostra. - To ja powinnam liczyć kalorie. Poza tym masz męża. A ja martwię się, że nigdy nie spotkam właściwego mężczyzny i nie spełnię swojego najskrytszego marzenia, by spocząć w podwójnym grobie... Daj spokój, napij się.

- Nie, nie mam dziś ochoty.

- No co ty! - sarknęła Sylvia, poprawiając poduszki pod plecami. - Jeszcze pomyślimy, że jesteś w ciąży.

Wystrzelił korek od szampana. Na twarzy Ronnie wykwitł szeroki uśmiech.

- Bo jestem! Będziemy mieli dziecko!

- Tak, jasne - zignorowała jej słowa Sylvia. - Powiedz, dlaczego naprawdę nie chcesz się napić alkoholu?

- Przecież mówię. Jestem w ciąży.

Zapadła cisza, a Ruby z ciotką oczekiwały, że Ronnie wykrzyknie: „Ale was nabrałam! Przez chwilę uwierzyłyście, no nie?”, ale nic takiego nie nastąpiło. Phil nalewał szampana, a jego żona siedziała z uśmiechem na ustach.

- Kurczę, ty nie żartujesz? - spytała Ruby niemal bezgłośnie. Przelknęła z trudem ślinę.

- Naprawdę będziesz miała dziecko. - Wymieniła zaskoczone spojrzenie z ciotką.

- Ale jak to możliwe? To znaczy, w twoim wieku? OK, Cherie Blair zaszła w ciążę, jak miała czterdzieści pięć lat, ale to było naciągane.

W tym momencie Sylvia podeszła, mówiąc:

- Rhona, kochanie - i objęła ją. Zawsze używała jej pełnego imienia, gdy miała coś ważnego do powiedzenia. - To po prostu menopauza. Ciało wycina ci numery. A poza tym masz niedrożne jajowody. To niemożliwe, żebyś była w ciąży.

- Ale jestem - odpowiedziała Ronnie. - W czwartym miesiącu. Robiłam dwa razy USG. Pokazać zdjęcia? Nie mogłam się już doczekać, kiedy wam powiem, ale chciałam być pewna, a poza tym czekałam na wyniki amniopunkcji. Właśnie przyszły i są prawidłowe.

- A jajowody?

- Lekarz mówi, że mogły udrożnić się samoistnie. Albo wcześniejsza diagnoza była błędna.

Ruby poczuła, jak zapada się pod nią sofa. Ile razy w życiu użyła sformułowania: „Nie do wiary”, nie mówiąc tego na poważnie? Teraz słowa te nabrały innego znaczenia. Nie mogła w to wszystko uwierzyć.

Phil roznosił szampana.

- To co, nie będzie gratulacji? - zapytał. Ruby odstawiła kieliszek i wstała.

- O Boże! Przepraszam. To ostatnia rzecz, jaka by mi przyszła do głowy, i ciągle jeszcze jestem w szoku. - Podeszła, by objąć każde z rodziców i kolejno ucałować. - Będę miała brata albo siostrę! Dzidziusia!

- Trzydzieści dwa lata to idealna różnica wieku! - piała ciocia Sylvia.

- Dobra, dobra - chichotała Ruby. - Oto moje warunki...

- Co? - oprzytomniała Ronnie.

- Mam mieć osobny pokój. Takie samo kieszonkowe, a do tego, jako najstarsza, idę spać, kiedy mam ochotę.

- W porządku, jakoś to przeżyję - zaśmiała się mama. Zamiast włączyć się do przekomarzań, ciotka Sylvia przybrała zakłopotany wyraz twarzy.

- Nie chciałabym, żeby to, co powiem, było jak zimny prysznic, ale czy jesteście do końca pewni? To znaczy, gdy dziecko stanie się nastolatkiem, wy będziecie dobrze po sześćdziesiątce. Nie będzie łatwo.

- Przemysleliśmy wszystko - zapewnił Phil. - Mamy świadomość tego, na co się porywamy.

- I wiesz przecież, jak strasznie chciałam mieć drugie dziecko. Pewnie, że byłoby lepiej, gdyby przyszło na świat dziesięć czy piętnaście lat temu, ale oboje jesteśmy zdrowi i w formie. Na pewno damy sobie radę.

- Boże, będziesz miała skurcze porodowe i uderzenia gorąca jednocześnie! - Sylvia potrząsnęła niedowierzająco głową, rozśmieszając towarzystwo. - Cieszę się z waszej radości - dodała, pozwalając sobie wreszcie na uśmiech. Wstała i objęła siostrę, a potem Phila.

- Nie jest ci przykro? - Ronnie spytała siostrę. - To będzie moje drugie dziecko i tak bardzo na nie czekałam. Denerwowaliśmy się, że musimy ci powiedzieć. Nie wiedzieliśmy, jak to przyjmiesz.

- Zgoda, przyznaję, że dziesięć lat temu byłabym zazdrosna jak diabli. Ale teraz mam pięćdziesiąt cztery lata. Zaczynam stękać, jak wstaję z fotela. Nie mogę jeść nic smażonego po szóstej, a jedyna pigułka, jaką biorę, jest na obniżenie cholesterolu. Ostatnie, czego mi

potrzeba, to wrzeszczącego dzieciaka, pieluch i zarwanych nocy. Niech to zostanie już lepiej dla was.

Ronnie zwróciła się do Ruby:

- A co z tobą, kochana? Może teraz nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jak dziecko się urodzi, może ci nie być zbyt przyjemnie. Nie chcę, żebyś myślała, że przestało nam na tobie zależeć. Jesteś naszą pierwszą ukochaną córeczką i zawsze nią pozostaniesz.

- Mamo, błagam. Mam trzydzieści dwa lata. Miło, że się przejmujesz moim samopoczuciem, ale mam własne życie. Nie będę zazdrosna o niemowlaka. Zresztą dobrze wiesz, że zawsze chciałam mieć siostrę albo brata. Choć lepiej by nam się bawiło, gdybym była młodsza... - zachichotała.

- A co byś wolała, chłopca czy dziewczynkę? - zapytała Sylvia. I zanim Ronnie zdołała odpowiedzieć, dodała: - A myśleliście już o imionach? Wzięłam wczoraj do ręki „Tatlera” i znalazłam tam zdjęcie chłopczyka o imieniu Heathcliff. To takie romantyczne! Z drugiej strony nie jestem pewna, czy Heathcliff Silvermann brzmi dobrze. Może zdrobniałe - Klifek - bardziej by pasowało do nazwiska? A dla dziewczynki ładne byłoby na przykład Aida.

Ruby spostrzegła, że mama ma nietęgą minę, ruszyła więc z pomocą, zmieniając temat.

- A gdzie chcesz urodzić dziecko?

- Nasz szpital nie jest zły, choć tata wolałby, żebym poszła do St. Luke. Ale tam jest tak cholernie drogo.

Rozmowa na temat dziecka ciągnęła się jeszcze przez godzinę. Wreszcie Ronnie obwieściła, że kolacja gotowa.

- Sylvia, zostań z nami - zaproponowała. Będzie twoje ulubione danie: canelloni ze szpinakiem i ricottą, a Phil otworzy następną butelkę szampana. - Nie musiała prosić dwa razy.

- Ja też mam nowinę - wyznała ciotka Sylvia, kiedy Phil wstał, żeby napełnić jej kieliszek. - Spotykam się z nowym facetem.

- Czekaj, ale co się stało z poprzednim?

- Z Brianem? Kleił się do swojej byłej. Czekałam cierpliwie. Wysłuchiwałam jego żalów, tuliłam, ocierałam łzy, aż w końcu dałam sobie spokój.

- A ten, z którym chodziłaś przed nim... Max? Wydawał się miły.

- Był miły, tylko że wszystko musiał obmacać po dziesięć razy i obwąchać. Załatwiłam mu terapię behawioralną. Zaczął na nią chodzić, lecz wkrótce przestał. A do tego siadał do sikania.

Phil rzucił spojrzenie znad talerza.

- A co w tym złego? - zapytał łagodnym głosem. - Tylko w ten sposób mężczyznom w pewnym wieku udaje się opróżnić zbiornik. Nawet ja sam czasami...

- Tato, błagam - przerwała Ruby, krzywiąc się - oszczędź nam szczegółów.

- A to dlaczego? - zaproponowała Ronnie. - Ważnych problemów zdrowotnych nie wolno przemilczać. Ludzi trzeba uświadamiać, powinni zrozumieć, że wielu mężczyzn musi siadać do sikania, bo z wiekiem układ moczowy zaczyna szwankować. I z jakiej racji kobiety mają coś przeciwko temu? Mężczyźni, powstańcie, nucąc „już nie mogę dłużej kryć...”, zrzucicie hańbiący stygmat!

- No nie, powinnaś napisać do „Timesa” - drwiła Sylwia - i wzniecić ogólnonarodową dyskusję sikalniczą.

- Nie nabijaj się ze mnie. Miałam na myśli tylko... Czując nadchodzącą burzę, Ruby postanowiła za wszelką cenę sprowadzić rozmowę na inne tory.

- Ciociu, a ten facet co był przed Maksem? Pamiętam, że uwielbiał jeździć na motorze.

- Tak, na harleyu. Był boski, naprawdę za nim szalałam, dopóki nie wziął mnie na przejażdżkę i nie zobaczyłam, co ma wypisane z tyłu na kurtce. Cytuję: „Jeśli możesz to przeczytać, to znaczy, że dziwka spadła”. Seksista to za mało powiedziane. Próbowałam przemówić mu do rozumu całymi miesiącami. Nawet kupiłam Żeńskiego eunucha. Wszystko na nic, po prostu mnie wyśmiał.

- Zastanawiam się, dlaczego każdy mężczyzna, z którym się spotykasz, okazuje się wymagającym troski przypadkiem. Wiesz co, może to wina ojca. Nie mogłaś go poprawić, bo umarł. Więc zamiast jego poprawiasz innych - psychologizowała Ronnie.

- Kto wie - ucięła Sylvia.

- No, ale powiedz nam o swoim nowym nabytku - podpuściła ciotkę Ruby. Sylvia odstawiła wino.

- Dobra. Ma na imię Nigel i jest niezależnym doradcą finansowym. Daję słowo, facet wie wszystko o najlepiej oprocentowanych inwestycjach i najkorzystniejszych unikach podatkowych.

Ronnie zauważyła, że wydaje się on podejrzanie normalny i bezbarwny.

- Masz rację. Dziwne, że sama o tym nie pomyślałam.

- Może twoja podświadomość zdecydowała, że koniec z psychologami.

- Przystojny? - wtrąciła się Ruby.

- Niezły. Wysoki, dobrze zbudowany, ma niezwykle szare oczy - chwaliła się ciotka.

- I jesteście razem na poważnie? - spytała Ronnie.

- Na to wygląda.

Kolejne pytanie o to, ile ma lat, Sylvia zbyła milczeniem, popijając powoli wino. Wreszcie wykrztusiła:

- Jest w moim wieku. Może trochę młodszy.

Ruby wyobraziła sobie, jak mamie w tym momencie drgnęłyby wąsiki, gdyby była kotem.

- Trochę, to znaczy ile? - chciała wiedzieć Ronnie. - Rok? Dwa lata?

- Trochę więcej.

- Ile?

- Może dziesięć albo piętnaście lat. Nie jestem pewna.

- Daj spokój, dziesięć czy piętnaście? - piłowała Ronnie, rzuciwszy zaniepokojone spojrzenie w stronę Phila.

- Siedemnaście, jeśli koniecznie musicie wiedzieć.

- Fiu, fiu, gratulacje, pani Robinson, to jest, pani Liebermann! - wykrzyknęła Ruby. - Nieźle, ciocia Sylvia przygruchała sobie kociaka!

- A on wie, ile ty masz lat? - zapytała Ronnie.

- Wie. Nie wie. To znaczy myśli, że mam czterdzieści dwa.

- A masz pięćdziesiąt cztery. Kiedy mu powiesz prawdę? Phil poklepał żonę po ramieniu, mówiąc, że to prywatna sprawa Sylvii i nic im do tego, ale go nie posłuchała.

- Ronnie, to do ciebie niepodobne - zdziwiła się Sylvia. - Zwykle patrzysz na wszystko z dobrej strony. Myślałam, że się ucieszysz. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów świetnie się bawię.

- Przepraszam, po prostu nie chcę, by cię ktoś zranił, i tyle. Sylvia, poprzez stół, poklepała rękę siostry:

- Wiem, że prędzej czy później muszę mu powiedzieć prawdę. I wyznam ją, jak nadejdzie właściwy moment. Zostawmy to na razie, dobrze?

Chcąc zmienić temat, zwróciła się do Ruby.

- A może i ty sprawisz sobie wkrótce dzieciaka? Chociaż łatwiej by było, gdybyś miała na oku kogoś, kto nadaje się na przyszłego tatusia. Bo w przeciwnym razie na swój ślub będziesz musiała zapraszać moje prochy.

Ciocia Sylvia najwyraźniej zdecydowała się odgrywać przez jakiś czas rolę żydowskiej matki, lecz z powodu nacisków, jakie wywierała na Ruby, nie czuła się, bynajmniej, winna.

- Sylvia, litości! - jęknęła Ronnie. - Teraz moja córka musi myśleć o karierze zawodowej. Mężczyznę swego życia spotka we właściwym czasie, zgodnie z wyższym porządkiem wszechświata.

Ruby nie była pewna, co te słowa miały znaczyć: albo że matka osiągnęła punkt przełomowy w terapii i od tej chwili koniec ze zgryźliwymi uwagami na temat życia uczuciowego, albo że Ronnie łatwiej było kontrolować i krytykować jojczenie siostry niż własne.

To drugie przypuszczenie okazało się trafne. Kilka godzin później, kiedy Ruby opuszczała dom rodziców wraz z cicią Sylvią, Ronnie pociągnęła ją za rękaw.

- Nie martw się, kochanie - wyszeptła. - Co wieczór, bez wyjątku, odmawiam mantrę, żebyś sobie kogoś znalazła. - Po czym włożyła jej do torebki płaską, kwadratową paczuszkę, prosząc:

- Otwórz, jak wrócisz do domu.

Rozdział 5

Ruby leżała na łóżku, gapiąc się na cienie tańczące po suficie w sypialni. Oto w wieku trzydziestu dwóch lat miała dostać braciszka lub siostrzyczkę. Przecież to absurdalne. Nie przyjęła jeszcze tej nowiny do wiadomości. Czy dzieciak będzie do niej podobny? Jak im się będzie układało? Doszła do wniosku, że przy tak dużej różnicy wieku zwykły układ jak między rodzeństwem będzie niemożliwy, dlatego postara się być dla dziecka zabawną ciotką - trochę taką jak Sylvia, tylko bardziej cool.

Jeśli się urodzi dziewczynka, Ruby będzie ją zabierać na babskie wyjścia. Gdy stanie się nastolatką, będą chodziły razem na lunch i obmawiały rodziców, którzy zrobią się do tego czasu starzy i zdziwaczali. Ruby będzie wysłuchiwała problemów siostry z chłopakami. Od czasu do czasu poprosi ją o popilnowanie dzieci. Jeśli je będzie miała. To znaczy, jeśli spotka odpowiedniego faceta. A jak nie? Nigdy, przynigdy? Nie, nie wolno tak myśleć.

- Jestem przygotowana na pozytywną zmianę w życiu - wyszeptła. - Jestem piękna, pełna dobrej energii i wyjątkowa. Jestem niepowtarzalnym dzieckiem wszechświata, które zasługuje na to, by kochać i być kochanym. Potrafię znaleźć miłość.

Paczuszka od Ronnie kryła kompakt zatytułowany Odkryć miłość siłą ducha. Nagrano na niej codzienne afirmacje, recytowane łagodnym głosem, brzmiącym niezwykle poważnie. Dyrektywom tym, wypowiedanym z silnym teksańskim akcentem, towarzyszyła rytmiczna, atonalna muzyka New Age. Według informacji na okładce autorka była „wyrobnicą seksualną przez dwadzieścia lat, zanim zdobyła się na odwagę i zmieniła życiowy kurs o sto osiemdziesiąt stopni”.

Ruby już miała upchnąć nagranie do szuflady i zapomnieć o nim na zawsze, lecz ciekawość - wzmocniona brakiem interesujących programów w telewizji - sprawiła, że zmieniła zdanie. Wsunęła płytę do odtwarzacza.

Słuchała jej przez kilka minut, po czym prychnąwszy cynicznie, wyłączyła nagranie. Nie do wiary, że Ronnie, nawet mimo jej przejściowych tendencji do mistycyzmu, kupowała takie śmieci.

Jednak pół godziny później ona sama, leżąc na łóżku, recytowała afirmacje, z których niedawno się nabijała. Usprawiedliwiła się w taki sam sposób jak wtedy, gdy chowała do portmonetki czterolistną koniczynę albo słuchała horoskopów czytanych przez Chanel:

„Wiara w przesady nie jest szkodliwa, chyba że zacznę je traktować poważnie. Poza tym, kto wie, może afirmacje nie są wcale takie głupie. Jeśli będę sobie w kółko powtarzała, jaka jestem wspiana, w końcu w to uwierzę, zwiększając w jakiś sposób swoje szanse na spotkanie wyśnionego kochanka”.

NASTĘPNEGO RANKA Ruby wpadła do Fi, kupiwszy wcześniej croissanty i drożdżówki z czekoladą. O jedenastej była umówiona z Jill McNulty, kierowniczką oddziału prenatalnego, a Fi mieszkała niedaleko kliniki.

Nie mogła się doczekać, żeby powiedzieć przyjaciółce o ciąży Ronnie. Co więcej, chciała całą sprawę szczegółowo obgadać. Wczoraj wieczorem, przed zaśnięciem, doszła do wniosku, że to dobra wiadomość. Nad ranem, po tym, jak przyśniło jej się, że poszła odwiedzić rodziców, a oni jej nie poznali, nie była tego już taka pewna.

Fi mieszkała z Saulem w małym szeregowym domku w Hammersmith. Kupili go za jej oszczędności i jego „pieniądze jogurtowe”. Jak wielu aktorów bez etatu, występował w każdej reklamie, którą mu zaproponowano. Po pierwsze, zawsze istniała maleńka szansa, że przebrany za jogurt albo kawałek pizzy zostanie zauważony przez kogo trzeba i dostanie jakąś poważną rolę. Po drugie, reklamy ratowały ich budżet. Za kilkutygodniową pracę Saul dostawał furę pieniędzy. Niestety nigdy nie wiedział, na jak długo muszą mu one wystarczyć ani kiedy wpadnie mu nowa fucha - czasem trzeba było na nią czekać rok albo i dłużej.

Przez kilka ostatnich miesięcy pracował w National Theatre - dostał rolę w Hamlecie - coś w rodzaju trzeciego halabardnika. W tym czasie nagrał też kilka dżingli reklamowych. Miał naprawdę piękny głos. Wcześniej śpiewał od czasu do czasu w musicalach na West Endzie, a rodzina i przyjaciele, którzy widzieli go na scenie, dziwili się, że nigdy nie zagrał głównej roli. Nie ukrywał, że właśnie o tym marzył.

Odkąd Fi zrezygnowała z pracy i poświęciła się wychowaniu dzieci, musieli oszczędzać każdy grosz, by nie zalegać z opłatami. Kiedy trzy lata temu przyszedł na świat Ben, Ruby uparła się, by dać im w prezencie wózek i kołyskę, ku ogromnej wdzięczności przyjaciółki. Jednak Saul zdawał się urażony takim prezentem, choć próbował nie dać tego po sobie poznać. Może pomyślał, że Ruby traktuje ich jak rodzinę wymagającą wsparcia i to zraniło jego dumę.

Ruby wiedziała, że jej podarunek był szczodry, nie aż tak bardzo jednak, jak mogło się wydawać - dzięki swojej pracy mogła zapłacić cenę niższą od hurtowej. Zaniepokoiła ją reakcja Saula i wspomniała o tym Fi. Ta pozostała jednak niewzruszona i poprosiła Ruby, aby nie zwracała uwagi na jej męża. Wy tłumaczyła, że zachowuje się tak dlatego, że od kilku miesięcy ma pecha jeśli chodzi o pracę i z tego powodu zrobił się nieco drażliwy.

Na to nic już nie mogła poradzić. Miała słabość do Saula i wiedziała, że strasznie starał się udowodnić matce Fi, iż nawet aktorzyzna poganin jest w stanie zarobić na utrzymanie rodziny. Nie chciała go denerwować, dlatego kiedy urodził się Connor, podarowała im tylko kilka trendowych ciuszków. Prezent urodzinowy dla Bena - strój pirata - kosztował zaledwie piętnaście funtów.

Fi OTWORZYŁA DRZWI. Była blada z niewyspania i miała zapuchnięte oczy. Długie, jasne włosy, które od dawna nie widziały szamponu, spięła niedbale w kitkę. Miała na sobie znoszony dres z Juicy Couture, udekorowany przewieszoną przez ramię pieluchą ze strużkami zaschniętych wymiocin. Trzymała w ramionach błogo pochrapującego synka. Miał czarne włoski, tak jak Saul, i ssał przez sen dwa paluszki.

- OK, wiem, że teraz wygląda tak, że ma się ochotę go schrupać - powiedziała Fi na powitanie - ale nie daj się nabrać. Ten słodki bobas wrzeszczał bez opamiętania przez całą pieprzoną noc.

Ruby pocałowała przyjaciółkę na dzień dobry.

- Boże, widać, że nieźle dał ci w kość.

Fi zaprowadziła ją do kuchni. Ruby zapytała, czy Saul może ją po południu wyręczyć w opiece nad dziećmi, żeby przynajmniej trochę odespała. Przyjaciółka potrząsnęła przecząco głową.

- Po południu ma przesłuchanie do reklamy. Nie martw się, jakoś przeżyję. Zresztą wyspałam się w lipcu.

- Bóg jeden wie, jak moja mama da sobie radę - powiedziała Ruby, siadając przy stole. Nie mogła przymknąć oczu na fakt, że w kuchni panował kompletny bałagan. Na szafkach piętrzyły się stosy brudnych talerzy i garnków, wśród których wały się smoczki, śliniaki i butelki z resztkami jedzenia. Góra prania leżała na podłodze przed pralką.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie wiesz, jak sobie poradzi? - zapytała Fi, wstawiając wodę na herbatę. - Ktoś poprosił ją, żeby pilnowała dziecka?

- Niezupełnie - odparła Ruby z udawaną nonszalancją i uśmiechem na ustach. - Tak się składa, że jest w ciąży.

- No jasne - parsknęła śmiechem Fi.

- Mówię serio. Moja matka spodziewa się dziecka. Fi podeszła do stołu i usiadła.

- Daj spokój. Robisz mnie w konia.

Connor, którego trzymała na ramieniu, zaczął popłakiwać. Pomasowała mu plecki.

- Nie. Rozwiązanie nastąpi w styczniu.

- Ale jak zaszła w ciążę?

- Normalnie, po ludzku.

- Taa. W tym wieku? A poza tym chyba mówiłaś, że ma niedrożne jajowody?

Ruby wyjaśniła, że jeden mógł się samoistnie udrożnić.

- To mnie przerasta - rzekła Fi. - Dostaniesz siostrzyczkę albo braciszka. W wieku trzydziestu dwóch lat. Niewiarygodne.

W tym momencie do kuchni wpadł Ben. Miał na sobie piżamę z Bobem Budowniczym, piracki kapelusz i przepaskę na oku. Trochę pachniał mokrą pieluszką. Fi najwyraźniej nie zdążyła jeszcze przebrać go po spaniu.

- Blaciszeg Konol. Ślę i zyga na mnie.

- Wiem, kochanie, ale on nie robi tego specjalnie. I przecież go lubisz, prawda?

Ben wydobyl zielony, plastikowy miecz spod stołu i zaczął wymachiwać nim wściekle, niedaleko główki brata.

- Nie! - oznajmił. - Może zostać tuzin dni. A potem wio do swojego oglódka!

Fi odebrała mu miecz i położyła na stole. Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie, skąd Ben wziął pomysł z ogrodem.

- Wszystko z zazdrości.

Chłopiec zaczął domagać się zabawki z powrotem, a Fi starała się odwrócić jego uwagę.

- Weź może ciastolinę i pobaw się tu, przy stole.

Ben przytaknął zamaszystym skinięciem głowy i wdrapał się na krzesło, po czym jął ściągać kolorowe pokrywki ze słoiczków.

- Zaczynam rozumieć, co czuje na widok Connora - powiedziała Ruby półzartem. Wyjaśniła, że kiedy dowiedziała się o ciąży mamy, zazdrość wydała się jej rzeczą śmieszną. - Do czasu, aż w nocy przyśniło mi się, że poszłam do rodziców, a oni mnie nie poznali. Wprawdzie jestem już stara, ale boję się, że rodzice całkiem stracą głowę dla niemowlaka i wypchną mnie z gniazda.

Fi zauważyła, że opuściła je osiemnaście lat temu, wyjeżdżając na studia.

- Wiem - przyznała Ruby. - Ale obudziłam się rano i poczułam zazdrość. Próbowałam sobie z tym jakoś poradzić, ale nie potrafię. Poza tym nie mogę przestać myśleć o tym, że mam trzydzieści dwa lata i to ja, a nie moja pięćdziesięcioletnia matka, powinnam wychodzić za mąż, rodzić dzieci i zwracać na siebie uwagę. O to też jestem trochę zazdrosna. Nie, pomyłka. Szczerze mówiąc, jestem strasznie zazdrosna. Wiem, że nie zaszła w ciążę, żeby mi zrobić na złość, ale... Boże, truję jak jakaś pompatyczna egocentryczka.

- Nie trujesz, no, może odrobinę. Ale prawie każdy na twoim miejscu czułby się tak samo. To naturalna kolej rzeczy, że ma się dzieci, a potem zostaje się dziadkami. Nie należy rywalizować z własnym potomstwem o to, kto ma więcej młodych. W twojej rodzinie naturalny porządek został zachwiany i dlatego czujesz się tak, jakby nie było w niej dla ciebie miejsca. No i nie tylko jesteś w szoku, ale także zwyczajnie się wkurzyłaś. Przecież Ronnie dopiero co ci powiedziała. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaisz. - Poklepała Ruby po ramieniu. - Będzie dobrze, zobaczysz.

Ruby potaknęła, kiwając głową.

- Wiem. Ale martwię się też, czyjeś to nie zaszkodzi. Nie znam się na tym, ale wyobrażam sobie, że ciąża i poród po pięćdziesiątce to duże ryzyko.

- Pewnie tak, ale z drugiej strony zajmą się nią najlepsi lekarze. Wiedzą o możliwych komplikacjach i będą dmuchać na zimne. Nie pozwolą, by coś jej się stało.

- A dziecko? Wiem, że mama zrobiła amniopunkcję i inne badania, ale jak, mimo wszystko, okaże się, że jest z nim coś nie tak? Wyniki badań nie dają stuprocentowej pewności.

- Nie dają, ale margines błędu jest niewielki i na pewno wszystko będzie dobrze.

Ruby westchnęła.

- Obyś miała rację.

Fi zdecydowała się położyć Connora do łóżeczka. Kiedy poszła na górę, Ruby wypila kawę i wdała się w pogawędkę z Benem, zajęтым lepieniem z ciastoliny.

- Co tam robisz, Ben? - spytała, otwierając jednocześnie jedną szafkę za drugą w poszukiwaniu czystego talerza, na który mogłaby wyłożyć croissanty. Niestety, nie było ani jednego.

- Zielone jaja sadzone - pokazał jej dwa płaskie placki ciastoliny w kolorze trawy. - Zjes tloszkę?

- Z chęcią - ucieszyła się Ruby, odkręcając kran, by zmyć resztki zaschniętego sosu masala z talerza. - Wiesz, sama czytałam Kto zje zielone jajka sadzone, kiedy byłam mała.

- Ten Tomek Domek to jezzły - obwieścił ponuro Ben. Wygramolił się spod stołu z ciastolinowym plackiem w ręczce i podał go Ruby, która udała, że go zjada.

- Pyszne jaja, Ben. Bardzo smaczne.

- To daj swojej mamie - powiedział, wręczając jej drugi placek.

- Uciesz się. Dzięki. - Ruby wsunęła ciastolinę do kieszeni spodni.

- Cy twoja mamusia też ma ohydny wisący bzuchol i paskudne lostępy? - Było jasne, że chłopiec podsłuchał lamentującą Fi i teraz bezmyślnie powtarzał jej słowa, nie wiedząc, co mogą znaczyć.

Fi akurat nadeszła i doskonale słyszała, co powiedział. Na jej twarzy odmalowała się panika.

- O nie, teraz Ben zacznie przejmować się moimi zmartwieniami - wyszeptała do Ruby.
- Widzi, jaka jestem żalosna i nieporadna, i zrobi się jeszcze bardziej niepewny niż do tej pory. Nic mi nie wychodzi.

- Daj spokój, Fi, wszystko z nim w porządku. Powtarza bezmyślnie słowa dorosłych. Przestań się obwiniać. I na pewno wrócisz do dawnej formy, potrzebujesz tylko trochę czasu i tyle.

Wtedy nagle Ben obwieścił, że jest mu potrzebny koc. Wybiegł, żeby go poszukać, gubiąc przy okazji kapelusz pirata.

Fi sięgnęła poprzez stół po upaprany ciastoliną „Daily Mail”. Wskazała fotkę.

- Jakim cudem te hollywoodzkie lale tak szybko dochodzą do siebie po porodzie? Popatrz na Mię Ferrari. Urodziła miesiąc temu, a to zdjęcie zrobiono podczas jakiejś premiery. Wystąpiła na niej w sukience, w którą ja nie weszłabym nawet przed ciążą. I zobacz, nawet nie założyła stanika, a jak wysoko ma sutki. Mnie cycki wiszą prawie do kolan. A zobacz, jaki mam brzuch. - Podniosła bluzę i wydobyła tłustą fałdę ze spodni. - Żeby to zrzucić, potrzebuję przynajmniej sześciu miesięcy, a i tak nie uda mi się wrócić do punktu wyjścia. Ruby postawiła rogaliki na stole.

- Słuchaj, wiesz tak samo dobrze jak ja, że te baby mają do dyspozycji całą armię dietetyków i prywatnych trenerów. Jesteś wysoka, masz niebieskie oczy, za które ja dałabym sobie uciąć rękę, połowę nogi i dorzuciła jeszcze garść wnętrzności, a do tego zawsze miałaś świetną figurę. Nie wiem, dlaczego miałabyś jej nie odzyskać.

- Tak, ale kiedy mam to zrobić? - zaśmiała się ochryple Fi i ugryzła drożdżówkę. - To przez karmienie piersią. Nie mogę przestać się objadać. Może powinnam się nie przejmować, zreć ile wlezie, a jak odstawię od piersi Connora, dać sobie odessać tłuszcz.

- Kobieto, zmień wreszcie płytę - odezwał się męski głos. Popatrzyły w stronę, skąd dochodził. Wszedł Saul.

- Rubens, błagam, wbij mojej żonie do głowy, że jest zajebiście piękna. Kiedy ja próbuję, czuję się tak, jakbym mówił do ściany.

- Robię, co mogę - odparła Ruby - ale mnie też nie słucha. Saul stanął za Fi, położył jej ręce na ramionach i schylił się, by pocałować ją w szyję.

- Wiesz, że dalej jesteś moją boską gojką - powiedział, klejąc się do niej tak, że Ruby wolała udać, iż patrzy w inną stronę.

- Serio? - spytała Fi.

- Nie musisz pytać, głuptasiu. Wiesz co? O dwunastej mam casting do paluszków rybnych. Powiniennem być z powrotem o trzeciej. Zdrzemniesz się wtedy, a ja powalczę z naczyniami. Wytrzymasz z bachorami jeszcze te parę godzin?

- Co tak jójczysz? - Fi uwielbiała ćwiczyć jidisz, choć nie zawsze jej wychodziło. - Dam sobie radę! Złamania nogi, już cię tu nie ma!

Saul zwrócił się do Ruby:

- Powiedz szczerze, wyglądam jak Kapitan Igloo?

Tak naprawdę był ostatnią osobą, która przypominała dobrodusznego, czerstwego, starego wilka morskiego. Saul był młody, miał oliwkową cerę i semickie rysy, które nadawały mu raczej wygląd postaci biblijnej. Ale takie role były rzadkością, zwykle kończyło się na dżinglach reklamowych, wcielaniu się w groźnego mafioza albo złego sprzedawcę kebabów.

- Może chcą odmienić twój wizerunek - próbowała pocieszać go Ruby. - Widocznie potrzebują kogoś, kto jest apetyczny i bardziej chwacki.

Saul, z brodą i długimi włosami - zapuszczonymi specjalnie do Hamleta - wyglądał naprawdę jak chwat. Zaśmiał się, podniósł kapelusz piracki z podłogi i włożył go sobie na głowę. Energicznym ruchem chwycił ze stołu zielony miecz i zamachnął się kilka razy.

- Tak, zaraz ochwacę jakiegoś starego grata!

- Ho, ho, jakiś ty seksowny, piracie - zachichotała Fi.

- Dobrze wiem, co cię kręci. - Saul próbował ponownie ją pocałować. Wtedy wszedł Ben, niosąc wyświechtany i umazany czymś kocyk z łóžeczka.

- Mój kapeluś! Mój mieć! Oddawaj tata! To nie dla dużych, to dla dzieci!

- Sorry, Ben, już zwracam twoją własność - powiedział Saul, wręczając synowi zabawki. Następnie uniósł go do góry i pocałował. - Opiekuj się mamusią, dopóki nie wrócę.

Ben pokiwał głową, po czym zaatakował tatę mieczem. Ten udał, że został ranny i umiera: wywracał oczami i rzeził, doprowadzając wszystkich do śmiechu.

SAUL WYSZEDŁ, a one dalej popijały kawę. Za chwilę Ben wrócił do lepienia jajek sadzonych, ale szybko mu się to znudziło, wdrapał się na kolana Fi, ciągnąc za sobą kocyk, i wsadził palec do buzi.

- Co jeszcze chciałaś mi powiedzieć wczoraj przez telefon? - spytała Ruby.

- Aaaa, to. Wiesz, że Connor po urodzeniu dostał żółtaczkę i lekarze powiedzieli, że trzeba poczekać z obrzezaniem przynajmniej jeszcze miesiąc.

Przekroiła drożdżówkę i poczęstowała nią Bena, ale nie chciał jeść. Zasypiał.

- Jest zmęczony, biedna kruszynka. Connor nie dał mu w nocy spać... Aha, no i uroczystość odbędzie się w przyszłym tygodniu. Oczywiście jesteście zaproszona.

- Cudownie - zaśmiała się Ruby - Uwielbiam patrzeć, jak obcinają niemowlakowi kawałek siusiaka.

- Kurczę, Ruby, sama jesteś Żydówką, przynajmniej ty nie zaczynaj. Wystarczą mi wymówki mojej mamy. Nie pamiętasz, jaki cyrk odstawiła, jak przyszła kolej na Bena? Myśli, że obrzezanie to rytuał barbarzyńców.

- Coś w tym jest.

- Wiem, wiem. Ja też nie jestem zachwycona. Pamiętasz, jak panikowałam przy Benie, ale Saul został obrzezany i nie chcemy, żeby chłopcy wyglądali inaczej niż tata. Byłoby to dziwne. Zresztą nie w tym problem. Chciałam mieć spokój i nie zaprosiłam matki na uroczystość Connora. I dopiero jak zarezerwowałam termin u rabina, zdałam sobie sprawę z tego, że właśnie wtedy ma przyjechać do nas na cały tydzień.

- Nie możesz czegoś wymyślić, żeby odwołać jej wizytę?

- Nie bardzo. Ma odwiedzić siostrę w Vancouver, a poza tym jeszcze nie widziała Connora. Tak się cieszyła, że spędzi z nami trochę czasu, i nawet odpuściła trochę Saulowi, jak się dowiedziała, że dziecko dostało imię po moim tacie. Teraz między nami znowu się pogorszy. Nie chcę już dłużej odkładać obrzezania. Podobno im dziecko jest starsze, tym bardziej je boli. Matka znowu robi z siebie widowisko. Chcemy z Saulem poważnie z nią porozmawiać, ale to pewnie nic nie da i tym razem także wcieli się w rolę czarnej wdowy i zaczną krakać, tak jak na ślubie i na imprezie Bena. Dlatego chciałam cię prosić, żebyś miała na nią oko i nie dopuściła do skandalu. Boję się jak diabli, że obrazi rabina albo zakłóci ceremonię w jakiś inny sposób. Będą moje siostry i brat, ale to rodzina i przed nimi nie będzie się wstydzila wygłupić. Może przy tobie raczy zachowywać się jako tako.

Ruby odparła, że do tej pory nie miała żadnego wpływu na Bridget, ale postara się jakoś ją ujarzmić.

- Powiem jej, że wszyscy członkowie rodziny królewskiej są obrzezani. Może to zrobi na niej wrażenie.

- Niezły pomysł. Oprócz ciebie królowa jest jedyną poganką, z jaką matka się liczy. Dzięki, Rubcia. Nie zapomnę ci tego - powiedziała Fi, po czym upiła łyk kawy.

- Ale opowiadaj: co u ciebie, oprócz matki ciężarówki?

- Nic takiego, stara bieda... W sklepie jakoś leci, o pogadance w St. Luke już mówiłam - wiesz, w tej klinice, gdzie miałam wizytę kontrolną, opowiadałam ci przez telefon. Co

jeszcze... aha, po przygodzie u Baryły taki śliczny amerykański lekarz podsłuchał, jak opowiadałam ci o znaczku w pochwie. "Wyłgałam się, mówiąc, że pomagam przygotować skecz dla pocztowców.

Fi otworzyła szeroko oczy.

- To genialne, tylko że absolutnie nie do wiary.

- Dobra, a co ty byś powiedziała? Musiałam coś wymyślić, inaczej umarłabym ze wstydu.

Fi przyznała, że Ruby ma trochę racji. Siedziały przez chwilę w milczeniu, popijając kawę.

- A swoją drogą, czy to nie dziś masz randkę w ciemno? - spytała.

Ruby rozjaśniła się twarz. Mimo poprzednich niezbyt miłych doświadczeń z facetami, z którymi umawiała ją Fi, cieszyło ją dzisiejsze spotkanie. Mężczyzna miał na imię Duncan. Co prawda Fi nigdy go nie widziała, ale jej przyjaciółka, Sophy, która zna Duncana od wielu lat, zapewniała, że jest boski. W dodatku pisze powieści, co Ruby wydało się intrygujące, a nawet sexy.

- Wiesz co, Rubens, wydaje mi się, że ten będzie w porządku. Przykro mi, że inni okazali się mało interesujący, choć sama muszę to przyznać.

Ruby przypomniała sobie ostatniego gościa, z którym się umówiła. Wyróżniały go bujne włosy, tyle że w uszach i w nosie - był więcej niż nieciekawym.

- A gdzie się spotykacie?

Ruby odpowiedziała, że zostawił jej wiadomość na sekretarce, proponując włoską restaurację w Battersea, niedaleko jego miejsca zamieszkania.

- A jaki wydawał się przez telefon?

- Trudno powiedzieć. To była krótka wiadomość, a kiedy oddzwoniłam, włączyła się poczta głosowa. Więc tak naprawdę wcale nie rozmawialiśmy.

- Zobaczysz, z nim zaskoczy. Obiecaj mi, że zadzwonisz do mnie, jak tylko wrócisz do domu, i wszystko opowiesz.

- Tak jak zawsze? - uśmiechnęła się Ruby.

- Możesz dzwonić o każdej porze. I tak będę siedziała u Connora. To najlepsza rozrywka, jaką mam, i to od dawna. Biję na głowę karmienie piersią i przedpołudniowe talk - show o facecie, który sypiał z owieczką, a jego żona nie miała nic przeciwko temu.

JILL McNULTY, kobieta jowialna i gościnna, o nieskazitelnych, staromodnych manierach, precyzją swej wymowy mogłaby oszlifować kryształ. Ruby przypuszczała, że ma około czterdziestki, choć sprawiała wrażenie starszej, pewnie przez sposób mówienia i

zachowanie. Dodawało jej lat również ubranie i to, że była przesadnie wymuskana. Zgrabnie przycięte włosy podkrecone na końcach pod spód tkwiły w równym szeregu. Zresztą zostały tak scementowane lakierem, że jej głowa wyglądała jak kask z waty cukrowej. Zadbane paznokcie pokryte były dyskretnym różowym lakierem, przez który przebijały idealne białe półksiężyce. Granatowy, rozpinany sweter mogłaby zostawić na noc w zgniatarce karoserii, a rano i tak powróciłby do swej zwykłej formy. Kiedy skończyła dziękować Ruby za przyjście, zaproponowała kawę, po czym zniknęła w służbowej kuchence. Wróciła, niosąc tacę ze świeżo zaparzoną kawą w ładnym, różowo - złotym dzbanku z kruchej porcelany. Filiżanki, spodki i garnuszek na śmietankę razem z dzbankiem wchodziły w skład serwisu, a ułożone na talerzykach kruche ciastka spoczywały dodatkowo na okrągłych papierowych serwetkach.

Zza uporządkowanego biurka ze skórzaną podkładką, na której leżało wieczne pióro, i symetrycznie ustawionymi rodzinnymi fotografiami w srebrnych ramkach Jill McNulty tłumaczyła, w jaki sposób Ruby mogłaby przysłużyć się przyszłym matkom. Podobno kobiety oczekujące pierwszego dziecka zwykle skarżą się położnym, iż w sklepach z dziecięcymi akcesoriami wybór jest tak wielki, że dostają zawrotów głowy.

- Oczywiście, wiele z naszych przyszłych mam dysponuje niewyczerpanymi środkami - zaczęła, popijając kawę - i po prostu na wszelki wypadek kupują wszystko, i to w najlepszym gatunku. Ale nie brak i takich, których sytuacja materialna nie jest tak świetna: te potrzebują porady. Tu zaczyna się pani rola. Proszę pomóc im podjąć decyzję w różnych kwestiach. Głęboki wózek czy spacerówka, a może oba? Czy jest sens kupować wanienkę kąpielową, czy lepiej kąpać się w dużej wannie razem z dzieckiem? Jakie są za i przeciw stosowania tetrowych pieluszek? - Podała Ruby filiżankę i zachęciła do poczęstowania się ciastkiem.

Po czym ciągnęła, że zorganizowała kilka grup, składających się z około tuzina ciężarnych i życzyłyby sobie, aby Ruby odbyła kilka pogadań w ciągu miesiąca.

- Oprócz honorarium klinika chętnie zgodzi się na zorganizowanie po prelekcji sprzedaży promocyjnej towarów z Les Sprogs.

Ruby była zachwycona i zapowiedziała, że w takim razie udzieli uczestniczkom specjalnego rabatu. Jill ponadto pokazała jej słoneczną salę z wygodnymi krzesłami, w której będą się odbywały spotkania. Potem wróciły do biura uzgodnić terminy.

Ruby już szykowała się do wyjścia, kiedy wpadł jej w oko magazyn „OK!”, leżący na biurku. Na okładce widniała fotografia znanej gwiazdy filmowej.

- Czy to nie China Katz wychodzi z St, Luke po urodzeniu dziecka? Nieżle jej w tych biodrówkach. Słyszałam, że Claudia Planchette też zamierza rodzić u państwa i była tu też Mia Ferrari? W „Daily Mail” zamieszczono dzisiaj jej zdjęcie z jakiejś premiery. Jest na nim

chuda jak patyk. Moja przyjaciółka niedawno urodziła dziecko i skręca się na jej widok z zazdrości. To niesamowite, że wszystkie pacjentki kliniki wyglądają tak szczupło tuż po porodzie! Ćwiczą przysiady podczas skurczów, a może karmią je państwo jakimiś cudownymi pigułkami?

Miał to być żart. Ruby oczekiwała, że kierowniczka przewróci oczami i powtórzy banał, że kobiety mają teraz osobistych trenerów, dietetyczki i tak dalej. Nie była przygotowana na reakcję, która nastąpiła. Twarz Jill zachmurzyła się, a jej głos stał się lodowaty. Nie wyglądała na wściekłą, raczej na zaniepokojoną.

- Nigdy nie rozmawiam o pacjentach - wysyczała, wyrównując pióro na podkładce. Zakryła gazetę tacą. - Ani o ich leczeniu.

- Ależ jasne, oczywiście, że nie! - broniła się Ruby, zawstydzona, że poruszyła drażliwy temat. Przecież placówki, takie jak St. Luke, musiały wściekle bronić prywatności luksusowych klientów.

- Obawiamy się, że plotki mogą trafić do gazet - mimo uśmiechu jej mina i poza zdradzały niepewność. - Jeśliby do tego doszło, stracimy wiarygodność i nasze pacjentki. - Na twarz wypłynął jej rumieniec.

- Oczywiście, jak najbardziej to rozumiem - upewniła ją Ruby, choć tak naprawdę nie wiedziała, dlaczego Jill reaguje w taki sposób na jej drobną gafę.

Porozmawiały jeszcze chwilę o praktycznych stronach współpracy, między innymi o tym, że Ruby będzie potrzebna przepustka, ale sytuacja nadal była niezręczna. Dopiero pod koniec spotkania Jill trochę odtajała.

- Do zobaczenia, Ruby, widzimy się w przyszłym tygodniu.

- Oczywiście, było mi bardzo miło.

Ruby pomaszzerowała korytarzem w kierunku holu, wciąż zastanawiając się, dlaczego Jill tak się wystraszyła jej uwagi. Przyszło jej na myśl, że może władze szpitala były bezwzględne w kwestii szerzenia plotek, zastraszały obsługę i kierowniczka bała się, że za najłżejsze podejrzenie kłapania jadaczką wyleci z pracy? „Zgroza, co to za życie w takim stresie” - pomyślała ze współczuciem.

Przechodząc obok oddziału prenatalnego, zauważyła druciany stojak wypełniony ulotkami na temat ciąży i macierzyństwa. Jedna z nich przykuła jej wzrok: Cięża dojrzałej kobiety. Natychmiast pożegnała się z problemami Jill McNulty i nie przystając, zagłębiła się w lekturze broszurki.

Wyłuskała z niej różne niepokojące słowa: dojrzała kobieta rodząca po raz pierwszy to „stara pierwiastka”. Po raz kolejny: multigravida geriatrixa. W ulotce straszono cukrzycą,

nadciśnieniem i zatruciem ciążowym. Ruby była tak pochłonięta studiowaniem folderu, że nie patrzyła pod nogi.

Następną rzeczą, jaką poczuła, było nagle zderzenie. Z impetem wyhamowała na czyichś plecach.

- Ojej, przepraszam, strasznie mi przykro! - zawołała, zdając sobie sprawę z tego, że wpadła na jakiegoś mężczyznę, a ten nagle przyspieszył, rozpaczliwie łapiąc równowagę. Po sekundzie czy dwóch zdołał ją jakoś odzyskać, a Ruby poznała po niebieskim kitelku, że zderzyła się z lekarzem. Ten odwrócił się, chcąc zobaczyć, kto go popchnął. Patrzył na nią ze zdziwieniem. To był on - Amerykanin, który podsłuchiwał rozmowę o znaczkach. Poczuła, jak zdradliwy rumieniec wypełza na jej twarz, i zaczęła się modlić, żeby jej nie rozpoznał. Próżne nadzieje.

- O, to ty! - uśmiechnął się. - Dziewczyna z automatu?

- Tak... no jasne! Spod automatu... Wczoraj! - udawała, że ich spotkanie pozostawiło w jej pamięci zaledwie niewyraźny ślad. - Strasznie mi przykro, że tak w ciebie walnęłam. Zagapiłam się i nie patrzyłam, gdzie idę. Mam nadzieję, że nie boli.

- Nie martw się, nic się nie stało.

Uśmiechnął się, a Ruby zauważyła, jak w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki i wydało jej się to bardzo pociągające.

- Cóż - przywołała się do porządku - nie będę cię zatrzymywać. Pewnie czeka na ciebie tabun pacjentek.

- A właśnie, że nie. Mam przerwę. Operowałam całe przedpołudnie - dwie histerektomie i cesarka. - Zauważył broszurkę w jej ręku.

- Cięża dojrzałej kobiety? No nie, do tego brakuje ci jeszcze paru latek. Na kiedy masz termin?

- Nie jestem w ciąży - zaśmiała się Ruby. - To dla mojej mamy. Myślała, że ma menopauzę, a okazało się, że będzie miała dziecko. Chciałam się trochę doinformować.

- Wow, musiałaś być w szoku. Cieszysz się z siostrzyczki albo braciszka?

- Nie wiem, wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tej myśli, pewnie trochę to potrwa.

- Jasne.

- Martwię się też wiekiem mamy i tym, że coś może pójść nie tak.

- Nic dziwnego, ale położnictwo jest teraz na wysokim poziomie, nie wiem, dlaczego nie miałyby przejść ciąży bez powikłań i nie urodzić zdrowego dzieciaka.

- Mam nadzieję. - Ruby pomyślała, że takie podtrzymywanie na duchu przez mężczyznę jest bardzo miłe.

- Przyszłaś tu z mamą?

- Nie, w interesach. - Wyjaśniła w dwóch słowach swoją przyszłą współpracę z kliniką.

- To będziesz tu wpadała częściej? - Wydało jej się, że twarz rozjaśniła mu radość.

- Na to wygląda.

- A swoją drogą, nazywam się Sam Epstein. - Wyciągnął ku niej rękę.

Epstein. Więcej niż lekarz - żydowski lekarz. Zagadał do niej przystojny żydowski lekarz, pal sześć, że specjalista od jajników. Nie ośmieli się powiedzieć tego mamie, bo mimo że starała się uchodzić za nowoczesną, nie dałaby jej spokoju za żadne skarby. Ruby wyobraziła sobie, że pierwsze, co robi, to łapie za słuchawkę i dzwoni do cici Sylvii. A ta rozgłasza radosne nowiny na pół Londynu.

- Ruby Silverman - przedstawiła się i uściśnęła mu dłoń. Nie umknęło jej uwadze, że jego ręka była mocna i promieniowało z niej przyjemne ciepło. - Przyjechałeś z Ameryki?

- O cholera. Trudno o bardziej banalne pytanie. To przez te nerwy, zawsze była spięta, kiedy musiała rozmawiać z facetem, który jej się podobał.

- Bingo! - Wyjaśnił, że pracuje w tym szpitalu dzięki programowi wymiany. Po prostu zamienił się miejscem z angielskim ginekologiem. Jest tu od sześciu miesięcy i zostało mu jeszcze drugie tyle.

Na pytanie, jak mu się podoba w Anglii, odpowiedział, że bardzo, po czym zapadła niezręczna cisza. Ruby nie mogła tego znieść i poczuła, że musi ją jakoś wypełnić.

- Moja przyjaciółka ma dziś wieczorem występ u pocztowców. - Jak tylko wypowiedziała te słowa, natychmiast zapragnęła wepchnąć je sobie z powrotem do gardła. Co ją opętało, żeby poruszyć ten temat? Sam zaraz zacznie ją wypytywać o szczegóły, a ona będzie musiała wymyślać kolejne kłamstwa.

- Okropnie bym się denerwował, gdybym musiał stanąć przed salą pełną ludzi i opowiadać kawały. - Ruby zastanawiała się, czy przejrzał jej blef i pomagał jej wyjść z twarzą z sytuacji.

- To na razie, fajnie było na ciebie wpaść, ale czas na mnie

- zaczęła żegnać się Ruby.

- Właśnie szedłem na stolówkę - próbował ją zatrzymać. - Nie podają tam nic specjalnego, ale odkąd jestem w Anglii, przepadam za kociołkiem z Lancashire. Chciałabyś spróbować?

Oczywiście, że z nim by chciała. I to strasznie. Bo był miły i przystojny. Miał szerokie ramiona i wysportowaną sylwetkę. I piękne brązowe oczy. Prawie zapomniała, że to ginekolog. Ale co robi, jak zacznie wypytywać ją o znaczek?

Wyczuł jej wahanie.

- Jak nie, to po drugiej stronie ulicy jest przyzwoita włoska knajpa. Mają tam niezłą lasagne.

Już chciała się zgodzić i niemal postanowiła, że powie mu całą prawdę o znaczku. Kłamstwo to przejaw tchórzostwa. A ono nie leżało w jej naturze. Kieliszek Chardonnay na pewno doda jej odwagi.

Nagle odezwała się komórka. Dzwoniła Chanel. Do sklepu przyszedł Henry, księgowy, w sprawie rozliczeń podatkowych i wypytuje ją o rzeczy, o których nie ma pojęcia. Ruby dałaby sobie uciąć rękę, że umówiona była z nim późnym popołudniem, ale widocznie musiało jej się coś pokręcić.

- Słuchaj, przeproś go, że mnie nie ma, i zrób coś do picia. Przyjadę za dwadzieścia minut.

Sama nie wiedziała, czy martwić się, czy cieszyć, że właśnie przepada jej lunch z Samem.

- Przepraszam cię, kłopot w sklepie. Naprawdę muszę lecieć.

- Co za szkoda - odpowiedział wyraźnie rozczarowany. - Może zadzwonię i spotkamy się innym razem?

- Świetnie - usłyszała własny głos - czekam na telefon. - Sięgnęła do torebki, znalazła wizytówkę i podała mu. Po czym odeszła, prawie drżąc z ekscytacji i niecierpliwości.

Rozdział 6

- To co, umówisz się z nim, jak zadzwoni? - Chanel robiła właśnie remanent. Gotówki nie było wiele, bo większość klientek i tak płaciła kartą kredytową.

- Sama nie wiem - odpowiedziała Ruby. Uziemiona z księgowym przez całe popołudnie zdychała z nudów, a jej umysł odpływał w rejony odległe od kruczków podatkowych. Teraz, po zastanowieniu się, nie była już taka pewna, czy chce pójść na randkę z Samem.

- Wiem, jest niesamowity, ale to nie zmienia faktu, że spędza całe dni, zaglądając kobietom w krocza. Co to za facet?

- Myślisz, że to zboczeniec? - spytała Chanel.

- A jak byś nazwała kobietę, która całymi dniami ogląda penisy?

- Szczęściara! - ucieszyła się Chanel. Po krótkim namyśle dodała: - Co prawda penis per se to trochę mało, dobrze, żeby był tam jakiś wabik na drugim końcu, coś ładnego, na przykład Brad Pitt albo George Clooney.

Kiedy skończyły się śmiać, Chanel wróciła do podliczania dziennego utargu. W ciszy, która zapadła, Ruby zaczęła się zastanawiać, jak jej powiedzieć o ciąży matki. Najpierw nie chciała nic mówić. To było takie niesprawiedliwe, że Ronnie zaszła po pięćdziesiątce, podczas gdy Chanel nie jest to pisane. Nie dałoby się jednak długo trzymać tego w tajemnicy. Mama często wpadała do sklepu po prezent dla wnucząt tej czy innej koleżanki. Byłoby jeszcze gorzej dla Chanel, gdyby bez uprzedzenia doświadczyła konfrontacji z rosnącym brzuchem Ronnie.

Wieści bardzo zaskoczyły dziewczynę, cieszyła się jednak ze względu na matkę Ruby.

- Poślę jej kartkę z życzeniami. Ktoś strasznie pcha się na ten świat, bez dwóch zdań. - Choć wyglądała na rozradowaną, Ruby miała uczucie, że Chanel nie może się doczekać, kiedy opuści sklep i zostanie sama. Mruknęła coś o specjalnej kolacji dla Craiga, na którą musi przyrządzić pieczeń garniowaną, i spieszy się do domu.

- Chanel, nie uciekaj! Widzę, że się zdenerwowałaś, to nic złego.

- Nic mi nie jest. W porządku, słowo. - Mówiąc to, skierowała się na zaplecze po płaszcz.

Ruby poszła za nią.

- Przepraszam. Powinnam była nic nie mówić.

- Nie żartuj. Dobrze, że mi powiedziałaś. Nie musisz mnie tak oszczędzać. - Wyraz jej twarzy jednak zdradzał, że próbuje powstrzymać emocje. - A zresztą, i tak ci powiem. Rano dostałam okres. To już szósty raz z in vitro nic nie wyszło.

- Och, tak strasznie, tak okropnie mi przykro! Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie. Musimy dalej próbować, Craig i ja. Nie spoczniemy, nim nie zajdziemy, i koniec. Już raz byłam w ciąży. Musi się nam udać, kropka. - Próbowała nadrabiać miną, lecz Ruby widziała, że jest bardzo rozczarowana.

- A co mówi lekarz?

- Dzwoniłam do niego rano. Radzi, żebyśmy dali sobie spokój ze sztucznym zapłodnieniem, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Ale to tylko doktor, może się mylić: mało to panów doktorów wysłało pacjentów na tamten świat?

- No jasne - przyznała Ruby. - A próbowaliście iść do kogoś z St. Luke?

- Pewnie. Ale nie ma wolnych terminów, trzeba by czekać miesiącami. A zresztą Craig się doksztąpił i mówi, że przy metodzie in vitro nie ma różnicy, gdzie się przeprowadzi zabieg, z powodzeniem możemy zostać u naszego gościa z Harley Street.

Ruby potakująco kiwnęła głową.

- Wiesz co, nie musiałaś dziś przychodzić do pracy, zrozumiałabym, jakbyś chciała wziąć wolne.

- Ee, lepiej nie. Wolę być w sklepie, mam przynajmniej zajęcie. A kiedyś i tak się nam uda. Wiem to.

Ruby objęła Chanel i mocno uściśnęła. Zrobiła to po raz pierwszy. Przestraszyła się, że Chanel może wziąć to za litość i ją odepchnąć, ale tego nie zrobiła. Stały tak, obejmując się, a Ruby myślała, w jaki jeszcze sposób mogłaby pocieszyć dziewczynę. Słowa w takiej sytuacji nic nie znaczyły. Cokolwiek by powiedziała, nie zmniejszy to cierpienia Chanel.

Kiedy usłyszała, że dzwoni telefon, jej pierwszą reakcją było: nie podchodzić do aparatu. Chanel dała jednak znać, żeby odebrać.

- Dobra, ja to zrobię - powiedziała Ruby i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, podała ją dziewczynie.

Telefonowała Stella z Nowego Jorku, bo właśnie dowiedziała się, że Claudia Planchette jest w ciąży.

- Wiem, czytałam wczoraj w „Hello!” - zgasiła ją nieco Ruby.

- Tak, tak, mniejsza z tym.

„Dobry Boże - pomyślała Ruby - ile by tę kobietę kosztowało udać od czasu do czasu zainteresowanie tym, co inni mają do powiedzenia?”.

- Chodzi o to, że wpadłam na doskonały pomysł. Co ty na to, by wysłać Claudii pocztówkę - mam jej londyński adres - z propozycją, że któregoś popołudnia, gdy już zamkniemy sklep, możemy być do jej wyłącznej dyspozycji, żeby w spokoju skompletowała wyprawkę i kupiła inne potrzebne rzeczy?

Ruby miała ochotę odpowiedzieć, że skoro Stella chce rzucać się na ludzi, jak tylko zwącha pieniądze, to może lepiej od razu zmienić nazwę sklepu na Baby Pirania, ale ugryzła się w język. Zamiast tego zasugerowała, że takie narzucanie może aktorkę zniechęcić. A nie chcą przecież, żeby zaczęła omijać ich sklep. Poza tym inne sławne klientki mogą się poczuć urażone, że one takiej propozycji nie otrzymały.

- Akurat! Powodem, dla którego nie robimy prywatnego pokazu dla wszystkich, jest to, że nie każda pierwsza lepsza ciężarna kobieta dostaje dwadzieścia milionów dolarów za film. Ta kobieta jest bogata do obrzydliwości. Nie możemy sobie pozwolić na to, by nie zachęcać jej ze wszystkich sił. Do roboty!

Jak zwykle Stella ją przegadała i Ruby musiała obiecać, że wyśle kartkę aktorce. W czasie, jaki zabrała rozmowa, Chanel opanowała się, ubrała i teraz była gotowa do wyjścia.

- Mój horoskop mówi, że Byk znajduje się pod wpływem Merkurego w czasie nowiu. Wszystko polepszy się pod koniec miesiąca, kiedy zacznie na niego oddziaływać Wenus, planeta harmonii.

Ruby widziała, że pod dziarską miną Chanel krył się smutek. Na szczęście jako tako zdołała się pozbierać. Postanowiła nie rozmawiać więcej o in vitro ani o małych dzieciach. Tylko w ten sposób ochroni Chanel przed rozklejeniem się.

KIEDY RUBY WRÓCIŁA DO DOMU, zastała Iwana Groźnego na klęczkach w toalecie. Właśnie pakował narzędzia. Podłoga była, tak jak od wielu dni, usiana końcówkami miedzianych rurek, a umywalka wciąż stała oparta o ścianę.

- Cześć, Iwan. Jak robota?

- Niedobrze - odpowiedział z ubolewaniem, potrząsając głową. - Mamy problem.

- O, nie, tylko nie to. Jeszcze jeden?

Oparłszy się ręką o klapę muszli, Iwan stanął na nogi. Miał około pięćdziesiątki i wysoką posturę, która jednak nie uchroniła go przed dorobieniem się brzuszka. Jego jasne włosy były krótko ścięte i miejscami siwiały. Przypominał Ruby radzieckiego kosmonautę. Oczywiście, tak naprawdę nie miał nic wspólnego z kosmosem. Był hydraulikiem, „złotą rączką”, który niedawno przyjechał z Ukrainy wraz z żoną i nastoletnimi dziećmi.

Ruby od roku miała mieszkanie w Sheperd Bush. Kiedy zdecydowała się na remont kuchni i łazienki, zapytała w pierwszej kolejności Craiga, czy mógłby się tym zająć. Choć chciał jej pomóc, nie był w stanie. Gonili go terminy i nie mógł znaleźć wolnej chwili.

Jedna z sąsiadek Ronnie poleciła Iwana. Bardzo go chwaliła, opowiadała, że pracuje dobrze, jest miły i uczciwy. A do tego tani. Dopiero kiedy rozpoczął pracę, Ruby przekonała się dlaczego. Robił wszystko powoli. Nie - zwyczajnie nie spiesząc się. Pracował w zółtym tempie, był rozlazły, marudził nie do zniesienia, robota ciągnęła mu się w rękach jak makaron. Sąsiadce to prawdopodobnie nie przeszkadzało, bo była leciwą wdową i cieszyła się, że ma towarzystwo.

Remont łazienki powinien zająć najwyżej dziesięć dni. Tymczasem trwał już trzy tygodnie, a kafelki wciąż czekały na położenie. Kto wie, ile czasu zajmie mu praca w kuchni. Ruby zastanawiała się, czy nie poszukać kogoś innego, ale doszła do wniosku, że nie miałyby to sensu. Iwan pracował wolno, ale porządnie. Zanim go zatrudniła, obejrzała kuchnię sąsiadki Ronnie i była pod wrażeniem.

Poza tym było jeszcze jedno ale. Kiedy kuchnia i łazienka będą gotowe, nie pozostanie już nic do zrobienia. Wszystko inne było skończone. Instalacja elektryczna, gładzie, malowanie. W zeszłym tygodniu została położona nowa drewniana podłoga, a kilka dni temu przyjechały ze sklepu brązowe, skórzane kanapy i nowe rolety. Na deser zostało jej kupno poduszek, dywanów i paru lamp.

Ruby uwielbiała swoje nowe mieszkanie - zwłaszcza że remont dobiegał końca. Przypominało przytulną dziuplę. Pewnie, że było za małe. Przydałby się jej pokój do pracy, żeby nie musiała trzymać laptopa i papierów na stole w jadalni. Marzyła też o ogródku: skrawku ziemi, gdzie w ciepłe wieczory można by siedzieć i popijać wino, wachać konwalie, jaśminy i groszek pachnący; Ponieważ mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze, miała nadzieję, że prędzej czy później administracja pozwoli jej zaadaptować część strychu, a może nawet zbudować taras na dachu. Na razie była zbyt zajęta remontem i prowadzeniem sklepu, by zacząć wprowadzać te plany w życie.

Iwan, czerwony na twarzy, stał przed Ruby i łapał z trudem oddech po wysiłku, jakim było dla niego wstanie.

- Czy dobrze się pan czuje? - spytała. Podejrzewała, że hydraulik może mieć chore serce. Kilka razy przyłapała go na tym, że nie mógł złapać powietrza, lecz zawsze zapewniał ją, że to tylko lekka astma, na którą choruje od wieku dojrzewania.

Odetchnął głęboko i wyprostował się.

- Nie martwi się. Dobrze jestem.

- Na pewno?

Skinął głową, że tak.

- A jak tam ubikacja? - pytanie Ruby miało charakter retoryczny, bo już na pierwszy rzut oka widać było, że muszla w foliowym opakowaniu wciąż stoi w przedpokoju. Gdyby nie WC dla gości, nie wiadomo, w jaki sposób udałoby jej się przetrwać ten trudny okres.

- Fúj! - oświadczył Iwan.

- Ojej, naprawdę tak źle?

- Nie rozumiem - powiedział, wyciągając ręce ku niebu. - Angielskie fuj!

- Nie jestem pewna, co ma pan na myśli, ale jeśli to, co mi się wydaje, to nie wiem, czy tak bardzo różnią się od ukraińskich - wyjaśniła Ruby, niepewna, dokąd ta rozmowa ich zawiedzie.

- Kupuję dziś dolnofuj i jest kaput. Nie trzyma wody. Nagle ją oświeciło:

- Aaa, chodzi panu o dolnopłuk. Dolnopłuk jest kaput.

- Da, mówię przecież, dolnofuj. - Iwan mieszkał w Londynie dopiero od kilku miesięcy i jego wymowa pozostawiała wiele do życzenia.

- Nie, Iwan, to dol...

- Idę jutro do kupca hydraulika i mówię, że chcę nowy fuj. Może wtedy naprawię.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Może niech pan lepiej po prostu poprosi o nową spłuczkę. Nie będzie nieporozumienia.

- Tak zrobię. Ale powiem: angielski fuj zły, puszcza wodę, ukraiński fuj duży, szeroki, nie popuszcza.

Ruby zakasłała.

- Dobrze, świetnie, niech pan to jutro załatwi.

Kiedy Iwan wreszcie poszedł, uprzątnąwszy wcześniej część bałaganu w łazience, zabrakło jej czasu, by napisać kartkę do Claudii Planchette. Zdążyła za to zadzwonić do Chanel. Nie chciała jej się naprzykrzać, ale martwiła się i miała ochotę sprawdzić, czy dziewczyna dotarła do domu i w jakim stanie. Odebrał Craig i powiedział, że zabiera ją na kolację. Poza tym mają zamiar poszukać nowego lekarza. Ruby nie odpowiedziała. Mimo że sama zasugerowała klinikę St. Luke, nie mogła opędzić się od myśli, że kurczowo czepiają się ostatniej szansy.

Po rozmowie poszła do sypialni, by naszykować sobie ubranie na randkę. W pokoju starczyło miejsca zaledwie na łóżko i niewielką szafę. Ruby chciała położyć tam wzorzystą tapetę, która podobała jej się, odkąd stała się modna. Fi przekonała ją jednak, że wzory tylko

zmniejszyłyby pokoik, dlatego poszła na kompromis. Kupiła dwie tafle sklejk i nakleiła na nie fragmenty fioletowo - oliwkowej tapety w wielkie wzory w stylu lat siedemdziesiątych. Jedną powiesiła nad łóżkiem zamiast wezgłowia, drugą naprzeciw drzwi. Wzór wpadał w oko natychmiast po wejściu, a wszyscy, łącznie z Ronnie, twierdzili, że wygląda to świetnie. Ruby przemilczała, że podpatrzyła ten pomysł we wnątrzarskim czasopiśmie.

Szafa pękała w szwach - nie dlatego, że Ruby kupowała za dużo ubrań. Po prostu nie potrafiła się z niczym rozstać. Choć znała zasadę: „Jeśli nie nosiłaś czegoś dłużej niż jeden sezon, wyrzuć to”. Jednak zwykle wydawało jej się, że moda wróci. Nawet na dziurawe dzinsy z wysokim stanem i koszarne swetry nietoperze, typowy krótkodystansowy dernier cri. Otworzyła lustrzane drzwi i zaczęła przeglądać ciuchy na wieszakach. Szałowy powieściopisarz na pewno wymagał specjalnego stroju. Zatrzymała na chwilę wzrok na czerwonej sukience z wielkim dekoltem, lecz zaraz zmarszczyła nos. Zbyt dziwkarska. Jakby wrzeszczała: "Weź mnie!". Szukała dalej. Wreszcie zdecydowała się na bładomalinową, jedwabną bluzkę bez pleców, a do niej dobrała wyszywaną, o ton ciemniejszą spódnicę w kształcie litery A. Wygrzebała nawet pasującą bieliznę: szaro - różowy stanik bez ramiączek i majtki od kompletu. Nie dlatego, że spodziewała się czegoś więcej oprócz kolacji; po prostu w dobranej bieliźnie zawsze czuła się pewniej.

Rozłożyła wszystko na śliwkowo - oliwkowej kołdrze i przygotowała sobie kąpiel. Zapaliła też świecek o zapachu lawendy i jaśminu, które były jej chwilowym surogatem ogrodu.

Kiedy punktualnie dotarła do Bella Roma, Duncana jeszcze nie było. Nie przejęła się tym, bo zadzwonił do restauracji i zostawił wiadomość, że utknął w korku i trochę się spóźni. Kelner wskazał jej stolik, ale postanowiła wcześniej udać się do toalety.

W damskiej były dwie kabiny. Jedna z nich wydawała się zajęta. Weszła więc do drugiej i usiadła, żeby się wysikać. Nagle usłyszała głos zza przepierzenia:

- Co u ciebie?

Przerwała w połowie i zamarła. Siedziała cicho, bojąc się, że obok czyha jakaś wariatka.

- No, mów! Dobrze się czujesz? - wypytywał głos. - Odpowiedz mi!

Ponaglana, wydusiła z siebie:

- Czuję się dobrze.

- Martwiłam się o ciebie.

- Naprawdę? Niepotrzebnie.

- W pracy wszystko w porządku?

- Doskonale. W sklepie ruch.

- A co teraz robisz?

- Mmm, w zasadzie to sikam. A pani? Nastąpiła krótka przerwa, po czym Ruby usłyszała:

- Justin, zadzwonię później, aniołku. W kiblu obok siedzi jakaś zboczona dziwka i za każdym razem, kiedy cię o coś pytam, odpowiada mi.

Ruby bała się, że babsztyl z sąsiedniego WC zauważy ją i pomyśli, że ma nie po kolei w głowie, więc pośpiesznie skończyła się załatwiać, umyła ręce i czym prędzej opuściła toaletę.

Kiedy wróciła na salę, kelner powiedział jej, że Duncan już czeka, i wskazał stół w odległym rogu. Idąc w jego kierunku, nie zauważyła, że podąża za nią kobieta z toalety. Nagle poczuła szarpnięcie za ramię. Odwróciła się. Przed nią stała wyfiokowana paniusia po czterdziestce, ze starannie wymalowanym dzióbkiem, ubrana w obcisłe, skórzane spodnie.

- O, przepraszam - napadła na Ruby, i to tak głośno, że słychać było na całą restaurację.

- To tak się nakręcamy? Zamykasz się w kiblu i wtrącasz ludziom w ich prywatne rozmowy? Żalotne, nie masz własnego życia czy co?

- Przykro mi, to przez pomyłkę, myślałam, że mówi pani do mnie.

- A to pięknie. Za kogo mnie bierzesz, ja miałabym nagabywać ludzi w sraczu? Myślisz, że z choinki się urwałam?

Ruby już miała powiedzieć, że jak się jest tak obwieszonym biżuterią, to o pomyłkę nietrudno, ale baba była naprawdę wściekła, więc bała się rozjuszyć ją jeszcze bardziej.

Wydała z siebie odgłos, który miał być protekcyjnym prychnięciem, przypominał jednak raczej kwik warchlaka. Po czym obróciła się na pięcie, obutej, czego Ruby nie omieszkała zauważyć, w tani but na zawrotnie wysokim obcasie i potruchtała w stronę stolika, gdzie siedziały jej równie eleganckie siostrzyce.

Ruby miała świadomość, że ludzie w restauracji przerwali jedzenie i przysłuchiwali się tej wymianie zdań. Mimo że zachowywali się, jakby nic się nie stało, czuła się tak zakłopotana, że ledwie mogła ruszyć się z miejsca. Do tego jej twarz przybrała barwę pasującą do malinowej czerwieni randkowego stroju. Pierwszą reakcją było: zwiać. Czego tu jeszcze szuka? Co sobie o niej pomyśli szalowy, seksowny powieściopisarz? Ze jest pożałowania godną zboczurką szukającą szczęścia w publicznych toaletach?

Ucisząc głos wewnętrzny, podążała w stronę stolika. Pchała ją ciekawość: jak bardzo szalowy jest boski Duncan? Nie liczyła na to, że po tym, co zaszło, będzie miał na nią ochotę. Wzięła głęboki oddech. Zaczęła w myślach powtarzać afirmację: „Wybaczam sobie wszystkie

błędy. Jestem piękna, pełna dobrej energii i wyjątkowa. Jestem niepowtarzalnym dzieckiem wszechświata".

Kiedy podeszła do stolika, zdołała dostrzec zaledwie plecy czekającego mężczyzny, bo właśnie się schylał. Wyciągał coś z dużego czarnego tobołka. Był tym tak zaabsorbowany, że Ruby zaświtała myśl, iż może przeoczył jej wymianę zdań z wyfiokowanym babskiem.

Patrzyła, jak zмага się z czymś, co okazało się ciężką skórzaną torbą. Wreszcie, cyk - niczym Mary Poppins - wydobył z niej koralikowy pokrowiec na fotel - taki jakie uwielbiają taksówkarze. Wstał i starannie, by nie powiedzieć: pieczołowicie, jął wyścielać nim swoje krzesło.

Ruby poczekała, aż skończy. Po czym, próbując ukryć rozbawienie, przedstawiła się.

- Och, cześć, jestem Duncan - odpowiedział, ściskając jej rękę. - Miło mi. Sophy mi tyle o tobie opowiadała.

Najpierw uderzył ją jego głos. Niski i monotony. Skojarzył jej się z odgłosem, jaki wydaje silnik samochodu, który utknął na drugim biegu.

Usiedli, a Duncan natychmiast zaczął masować sobie plecy i siedzenie o koraliki pokrowca.

- Oooh, jak dobrze - westchnął i zaczął kręcić po oparciu głową. - To ważne w przeciwdziałaniu uporczywym bólom odcinka lędźwiowego.

Ruby natychmiast poczuła się winna z powodu swojego wcześniejszego rozbawienia.

- Och, tak mi przykro, że cierpisz!

- Ależ mnie nic nie boli. To profilaktyka, bo na razie plecy mam w porządku.

Uniósł w górę palec i oświadczył:

- Lepiej zapobiegać, niż leczyć.

Okazało się, że delikwent właśnie przekroczył czterdziestkę i przez to dostał hysia na punkcie dbania o zdrowie i walki z objawami starzenia. Podczas aperitif - dla niej białe wino, dla niego woda mineralna - wyjaśnił jej, żyłka po żyłce, jak układ krwionośny zaczyna nawalać w piątej dekadzie życia.

Kiedy mówił, zauważyła, że ma niskie czoło i wydłużony, szpiczasty podbródek. Do tego, dzięki grzywce rozdzielonej symetrycznie na dwie strony, przypominał - nie mogła opędzić się od tego skojarzenia - dyrektora przedsiębiorstwa pogrzebowego, ubranego w stylu lat dziewięćdziesiątych. Było jasne, że ona przez „szałowy” rozumiała coś zupełnie innego niż Sophy

- Słyszałam, że piszesz? - zapytała, chcąc zmienić temat, znudzona opisem cielesnego rozpadu Duncana.

- Tak, thrillery, przeważnie o morderstwach. To brzmiało niezłe.

- Jak dotąd napisałem sześć - ciągnął.

Hura, nareszcie coś pozytywnego. Coraz lepiej.

- A wszystkie w moim własnym, wymyślonym języku - dokończył.

Aha.

- Jak to? - obudziła się Ruby. - A które wydawnictwo cię drukuje?

Duncan powiedział, że żadne, w rzeczy samej, ale miał nadzieję, że w najbliższym czasie się to zmieni. Po czym, wkładając w to wiele wysiłku, zaczął opisywać zasady języka, który nazwał Brogan.

Kiedy przyniesiono profitrołki, zdołała nauczyć się odmiany czasownika „być”.

- Świetnie! - zachęcał. - A teraz spróbujmy z „mieć” i „robić”. Są lepsze, bo nieregularne. Zaczynij od anrol. Ja robię - eb anrol. Ty robisz - ip anrola. On, ona, ono robi - sa anrols. Powtórz.

Nad kawą omówili czas przeszły dokonany i niedokonany, po czym przeszli do trybu warunkowego. O jedenastej nie wytrzymała i powiedziała Duncanowi, że było cudownie, ale musi iść do domu, bo wstaje wcześniej do pracy. zaproponował, że ją podrzuci. Jednak Ruby, przerażona wizją Duncana zalecającego się do niej podczas nauki koniugacji, uparła się, że weźmie taksówkę.

Na zewnątrz, kiedy na nią czekali, Ruby wyczuła, że Duncan walczy ze sobą, chcąc jej coś powiedzieć. Serce w niej zamarło. Zaraz poprosi ją o numer telefonu i o kolejne spotkanie. Nie wypadało odmówić. No i teraz przez całą noc będzie musiała wynajdywać sensowne wymówki na zapas.

Minęło kilka minut. Przejechało kilka wolnych taksówek, lecz on zamiast poprosić o telefon przestępował z nogi na nogę, bawiąc ją uwagami o pogodzie i jej zdradliwym wpływie na stan zdrowia. Już miała go wybawić z kłopotu i wręczyć wizytówkę, kiedy wreszcie wykrztusił:

- Wiesz co, Ruby, jesteś miła i, proszę, nie obraż się, ale zawsze mówię, co myślę, bo prawda i tak wyjdzie na jaw. Chyba do siebie nie pasujemy.

Kamień spadł jej z serca.

- Rzeczywiście - przytaknęła, starając się, by jej głos nie brzmiał zbyt radośnie.

- Widzisz, moje wymagania co do partnerki są niezwykle wysokie. Poszukuję przenikliwego, krytycznego umysłu. Kogoś, kto będzie dla mnie ciągłym wyzwaniem, kto zrozumie i doceni wagę stworzonego przeze mnie języka. Nawiasem mówiąc, pracuję nad wymyśleniem nowej rzeczywistości.

- Aha.

- Aha - no właśnie. Kiedy próbowałem wciągnąć cię w rozmowę o semantyce i roli kontrastów syntaktycznych, nie wydawałaś się zainteresowana. „Aha”. Na pewno nie zawsze jesteś taką nudną osobą, ale...

- Moment, co ty powiedziałeś? Nudną? Ja jestem nudna?

- Tylko trochę, nie bierz sobie tego za bardzo do serca. Nie znaczy to, że całkowicie cię skreślam.

Zanim zdołała odpowiedzieć, Duncan zatrzymał taksówkę. Otworzył przed nią drzwi.

- Jestem pewien, że ktoś gdzieś na ciebie czeka. Twoja druga połówka pomarańczy... Życzę wszystkiego najlepszego.

I zgrabnie je zatrzasnął.

- Dokąd to, paniusiu? - spytał kierowca.

Po DOTARCIU DO DOMU Ruby spróbowała, zgodnie z obietnicą, zadzwonić się do Fi. Oświadczyłaby jej, że już nigdy, przenigdy nie da się zrobić w żadną pieprzoną randkę w ciemno - a przynajmniej w żadną zorganizowaną przez nią. Telefon jednak nie odpowiadał. To znaczyło, że Connor śpi, a Fi nie chciała, żeby się obudził.

Ruby wyszorowała zęby i zmyła makijaż. Rzuciła się na łóżko i zaczęła powtarzać nową afirmację, którą właśnie wymyśliła.

- Nie jestem nudziarą. Nie byłem nudziarą. Nie będę nudziarą. (Za dużo na dziś gramatyki?). Jestem błyskotliwa, wygadana i inteligentna. W towarzystwie wyróżniam się dowcipem i błyskotliwością.

Powtórzyła ją przynajmniej tuzin razy, po czym zaczęła odpływać. Usnęła i śniło jej się, że uczyła Sama, jak deklinować po brogańsku słowo „całusek”.

Rozdział 7

- Chanel, mogę ci zadać pytanie? - chciała wiedzieć Ruby, gdy następnego dnia rano otwierały sklep. - Wal.

- Czy twoim zdaniem jestem nudziarą?

- Ty? Zwariowałaś? Jesteś najmniej nudną osobą, jaką znam.

- Naprawdę? - Ruby zarumieniła się z radości, słysząc komplement.

- No zgoda - ja nie mam nic przeciwko temu, że opowiadasz godzinami o tym, jak mama próbuje na tobie psychoanalizy, ale niektórych ludzi mogłoby to zmęczyć. A pamiętasz, jak na autostradzie przyblokował cię jakiś facet? Całymi dniami nie mówiłaś o niczym innym.

- Ale on o mały włos mnie nie zabił! Byłam w szoku! Też byś była, jakby ktoś przed tobą nagle zahamował!

- I jeszcze jedno: jak tylko złapiesz najłżejszy katar, od razu zaczynasz jęczeć...

- Dobra, ale oprócz historii z mamą, faceta na autostradzie i sytuacji, kiedy mam temperaturę powyżej 37, nie jestem nudna?

- Nie. Dlaczego tak wypytyujesz? Czeka, czeka, może to przez tę randkę, którą miałaś wczoraj?

- Nie da się ukryć...

- Było niefajnie? - zgadła Chanel.

Ruby przerwała na chwilę odkurzenie lady i zastygła ze środkiem czyszczącym w jednej, a ściereczką w drugiej ręce, udając, że głęboko się zastanawia.

- Hmm - zaczęła - nie jestem pewna, czy „niefajnie” dobrze oddaje sytuację. Za to „totalna katastrofa” brzmi w sam raz.

- Tylko tyle? To wcale nie tak źle jak na niektórych randkach, na które Fi cię umówiła.

Ruby zmusiła się do uśmiechu. Opowiedziała o Duncanie, ale Chanel cała historia nie wydała się śmieszna.

- Powieść? Własny język? I ten świr miał czelność nazwać cię nudziarą? Ja bym się z nim nie zadawała.

- Rzeczywiście, może trochę odbiega od normy...

- Trochę? Od normy? To tak, jakbyś powiedziała, że Jaś Fasola jest troszkę zabawny.

Ruby zajęła się przeglądaniem poczty, podczas gdy Chanel otworzyła drzwi wejściowe.

- Słuchaj, wiem, że daję znać w ostatniej chwili, ale czy mogłabym po południu wziąć wolne? Cudem udało mi się dodzwonić dzisiaj rano do takiego znanego specjalisty z Harley Street. Okazało się, że wypadła mu pacjentka o dwunastej i może mnie przyjąć. Jak nie pójdę, to następny wolny termin jest dopiero w listopadzie.

Ruby powiedziała, że, oczywiście, może urwać się z pracy.

- Po co w ogóle pytasz? - uśmiechnęła się.

- Dzięki, kiedy indziej to odpracuję, daję słowo.

- Nie wygłupiaj się, i tak tu harujesz - odpowiedziała Ruby, wyrzucając niepotrzebne ulotki reklamowe do śmieci.

Nie minęła minuta od otwarcia, kiedy do sklepu wpadła Fi. Była zagoniona i wyczerpana.

- Cześć, Chanel. - Ucałowała ją w policzek. Chanel zrobiła krok do tyłu, by się jej lepiej przyjrzeć. - Jezu, dziewczyno, kiedy ty ostatnio spałaś, w piętnastym wieku?

- Coś w tym rodzaju - przyznała Fi. Ruby podeszła do nich.

- Cześć, kochana! Co cię do nas sprowadza? I kto orze za ciebie w domu?

- Saul, ale nie mam dużo czasu. Wpadłam po drodze do Waitrose, bo mam zakupy do zrobienia, a muszę być z powrotem w domu na karmienie. Chciałam tylko powiedzieć, że przykro mi za...

- Wiesz co, zodiakalne Raki muszą uważać na układ odpornościowy - przerwała Chanel. - Jak będziesz zarywać noce, poważnie się rozchorujesz.

- Powiedz to Connorowi, kiedy budzi mnie pięć razy w ciągu nocy. Nawiasem mówiąc, uwielbia karuzelkę, którą dostał od ciebie. Jeszcze raz dziękuję, to naprawdę wspaniały prezent.

- Nie ma za co - machnęła ręką Chanel. - Chodź tu i siadaj. - Podsunęła Fi jedno z krzeseł, które trzymały dla klientek w zaawansowanej ciąży.

Obie kobiety bardzo się lubiły. Zanim urodził się Connor, Fi czasem pomagała w sklepie w okresie wyprzedaży i od razu dogadała się z Chanel. Ta uwielbiała matkować ludziom, a Fi, której brakowało zainteresowania ze strony Bridget, bardzo się to podobało. Do tego dziewczyna naprawdę potrafiła ją rozśmieszyć.

- Nie wiem jak wy - zaczęła Chanel - ale ja muszę zaliczyć kawę. Wezmę na wynos. - Popatrzyła na Fi - tobie też przydałby się kubek.

Fi zaprotestowała, powtórzyła, że musi już lecieć, ale Chanel namówiła ją, dorzucając do propozycji czekoladową ekierkę.

Kiedy wyszła, Fi zwróciła się do Ruby:

- Słuchaj, przepraszam za Duncana. Sophy zadzwoniła. Wczorajszy wieczór musiał być straszny.

- Przyznaję, że byłam wkurzona - zwłaszcza jak powiedział, że jestem nudna, ale dzisiaj zaczyna mnie to śmieszyć.

- Że jesteś nudna? O cholera. Nie jesteś. Tylko czasem przynudzasz o mamie. No i gościu na autostradzie, tygodniami do tego wracałaś. A poza tym okropnie marudzisz, jak jesteś chora...

- Dobra, dobra, już wiem. Ale tak w ogóle nie uważasz mnie za nudziarę, co?

- Ależ skąd! Słuchaj, wczorajsza randka to moja wina i pozwalam ci się na mnie wściekać. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że nie miałam pojęcia, jaki on jest, dopóki Sophy nie zadzwoniła. Oznajmiła, że zaczęła się zastanawiać, czy wasze spotkanie ma sens, bo Duncan jest specyficzny. Ma obsesję na punkcie zdrowia, no i ten jego wymyślony język, i tak dalej. Podobno jak go się lepiej pozna, to naprawdę świetny facet, tyle że ekscentryk i nie bardzo daje sobie radę w towarzystwie.

- Co ty powiesz? - zdziwiła się Ruby, przyglądając się liliom we flakonie na ladzie. Odłamała z nich zwiędły liść.

- Powiedziała, że jego rodzice są profesorami fizyki. Wychowali go w cieplarnianych warunkach i dlatego jest taki dziwny. Znajdę ci kogoś innego, słowo. Moja koleżanka, Kate, zna pewnego malarza.

- Artystę czy pokojowego? - Ruby nie całkiem żartowała. - Właściwie teraz to nie jestem pewna.

- Słuchaj, jak mówię, że mam dość randek w ciemno, to mam dość, naprawdę. Cieszę się, że się o mnie troszczysz i chcesz, żebym znalazła mężczyznę swojego życia, ale na razie odpuść sobie, dobrze?

Fi wydawała się rozczarowana.

- Może masz rację - przyznała. Ruby zmieniła temat: - I co, Saul został nowym Kapitanem Igloo?

- Niestety, nie. Powiedzieli, że ma zbyt semickie rysy, i spytali, czy agent mu nie powiedział, że szukają kogoś do reklamy paluszków rybnych, a nie Ostatniej Wieczerzy.

- Ojej. Przywalili.

- Racja. Na szczęście ma jeszcze parę przesłuchań, tak że na razie się nie załamał... A jak było w klinice?

Ruby opowiedziała, jak wpadła na Sama Epstiena.

- Epstien - powtórzyła Fi, marszcząc brwi. - Zabawne, Saul ma w rodzinie Epstienów. Na pewno część z nich siedzi w Ameryce. Ten Sam nie powiedział, czy jest z New Jersey?

- Nie, nie zaszliśmy tak daleko - odpowiedziała Ruby z nutką sarkazmu.

- Szkoda. Może są spokrewnieni. Chociaż nie, chyba to nazwisko trochę inaczej się pisze. Dwoje z nich było na ślubie. Starsi ludzie, naprawdę mili. Czekał no, jak oni mieli na imię? Moment, Saul na pewno mi ich przedstawiał... Bert? Nie, nie Bert. Buddy! Tak, właśnie. Buddy i Irene. Królowie koszernych marynat.

- Co? - zaśmiała się Ruby. - No nic, cieszę się, że to sobie wyjaśniłyśmy.

- Ojej, znowu gadam od rzeczy, to przez niewyspanie... Ale przejdźmy do konkretów: lata za tobą żydowski doktor. To marzenie każdej żydowskiej matki. Siostra Saula za kogoś takiego wyszła, a jego mama teraz mówi, że była to pierwsza rzecz, która pomogła jej wyjść z depresji poporodowej. A ty? Powiedziałaś mamie o doktorze Epstienie?

- Nie ma o czym mówić. Pogadaliśmy chwilę i może do mnie zadzwoni. To wszystko.

- Och, jak się umówicie, musisz założyć coś specjalnego. Wybrać się z tobą na zakupy?

- Fi, ja nawet nie wiem, czy on w ogóle do mnie zadzwoni. - I powiedziała to, co wcześniej Chanel: jak nakłamała o znaczku i że za bardzo się wstydzi, żeby powiedzieć mu, jak było naprawdę.

- Daj spokój, Ruby. - Chanel właśnie wróciła z kawą. - Chcesz mieć z nim randkę. Nie pozwól, by twoja pochwa stała między wami. - Chanel zmarszczyła brwi. - Możliwe, że źle się wysłowałam, ale wiecie, o co mi chodzi. - Porozdzielała kubki z kawą, a Fi podała papierową torebkę z ekierką.

- Dobra, przyznaję, chciałabym - poddała się Ruby, zdejmując z kubka plastikową pokrywkę. - Ale nawet jak się przełamie, to on i tak pozostanie przeklętym ginekologiem.

- Nie musisz nic mówić - zachichotała Fi. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam zazdrosna. Bo wiecie... - tu zniżyła głos do szeptu - seks z ginekologiem to moje największe marzenie erotyczne. - I ugryzła ekierkę tak energicznie, że bita śmietana trysnęła na boki.

- Do jasnej ciasnej, lepiej bądź cicho - poradziła Ruby.

- A co, myślisz, że będę całemu światu obwieszczać, że chcę się kochać na fotelu ginekologicznym?

- Na serio chcesz? - zapytała Chanel, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

- A żebyś wiedziała - potwierdziła Fi i pochłonęła kolejny kęs ciastka. - Saul nawet znalazł podpórki ginekologiczne na nogi na eBayu. Jakiś lekarz wymienił sprzęt na nowszy i chciał pozbyć się starego.

Ruby otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia i pokręciła z niedowierzaniem głową. To nie mogła być Fi. Nie ten typ. Fi nosiła martensy. Segregowała śmieci. Pracowała jako wolontariuszka w Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa, ucząc młode matki odciągania pokarmu. Była w szoku, gdy dowiedziała się, że Matt i Ruby zrobili to w przymierzalni sklepu French Connection. A kiedy dwa lata temu Ruby podarowała jej na urodziny wibrator, Fi myślała, że to stojak na ręczniki papierowe.

- To takie dziwne - powiedziała - przez lata całe wydaje ci się, że kogoś dobrze znasz, a potem okazuje się, że wcale tak nie jest. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? Ja wyjawiałam ci, co robiliśmy z Mattem!

- Wiem, ale te moje pragnienia są bardziej zakręcone. Poza tym ty masz fobię na punkcie ginekologów...

- To oczywiste - wtrąciła Chanel. - Fantazje o ginekologu biorą się z tęsknoty za dominacją. Ale to nic, w co moglibyśmy się zabawić z Craigiem. On jest Rakiem, a Raki są konserwatywne w łóżku. Szkoda, bo mogłoby być nieźle.

Ruby zapatrzyła się przed siebie. Próbowwała powstrzymać galopujące rumaki wyobraźni, ale na próżno. Zobaczyła, jak dobiera się do niej Sam Epstein, odziany w swój niebieski kitelek. Do tego wszystkiego ona sama uwięziona była na fotelu ginekologicznym.

Chanel zauważyła jej roztargnienie.

- Co, dajesz Samowi drugą szansę?

To pytanie wyrwało ją z marzeń.

- Nie, wcale nie - broniła się, ale wiedziała, że jej odpowiedź brzmi mało wiarygodnie.

- Akurat - prychnęła z ironią Chanel.

- A jeśli nawet, to co? Nie wolno zmienić zdania? - złościła się Ruby, podczas gdy dziewczyny wymieniły rozbawione spojrzenia.

- Dominacja dominacją - stwierdziła Fi - ale prawdziwym powodem, dla którego chciałabym się przespać z ginekologiem, jest to, że musi on dużo wiedzieć o kobietach. Z pewnością jest świetny w te klocki.

Ruby oznajmiła, że jakoś nie wyobraża sobie, żeby, na przykład, doktor Baryła miał być świetny w te klocki.

- Mogłabyś się zdziwić. Założę się, że wie, co zrobić, żeby pani Baryłowa była zachwycona.

Fi WYSZŁA i wkrótce zaczęły schodzić się klientki. Obsługiwała je Chanel, Ruby zaś siedziała na zapleczu, borykając się z całą górą zamówień złożonych przez Internet. Przez otwarte drzwi mogła słyszeć, co Chanel mówi do kupujących. Była niesłychanie uprzejma,

ale chyba nie tak rozmowna jak zwykle. Przygotowywała się zapewne w myślach do wizyty u specjalisty.

Tuż przed wyjściem Ruby uścisnęła Chanel:

- Będę trzymać kciuki - obiecała.

- Dzięki - uśmiechnęła się dziewczyna. - Naprawdę wydaje mi się, że tym razem pójdzie lepiej. Ten nowy lekarz na pewno da nam nadzieję. Wiem, że to brzmi dziwnie po tym, co nasz ginekolog powiedział, ale takie mam przeczucie i już.

- Oby się spełniło - uśmiechnęła się w odpowiedzi Ruby. W porze lunchu ruch znacznie zmalął i Ruby postanowiła, że pójdzie do kuchni i zaparzy sobie herbatę. Kiedy woda się zagotowała, wyjęła z szafki paczkę chipsów. Kanapkę kupi sobie po powrocie Chanel. Gdy rozrywała opakowanie, poczuła, że spodnie w pasie zrobiły się za ciasne. Pomacała się po brzuchu.

Sterczał i rozpychał ubranie. Zawsze tak się działo, kiedy zjadła coś z mąki pszennej, na którą miała alergię. Wczoraj w restauracji długo czekali na jedzenie. Ile paluszków pochłonęła, siedząc i słuchając gładzenia Duncana? Sześć? Osiem? Może więcej. No nic, jeśli ograniczy się do białka i zieleniny na obiad i kolację, powinno jej przejść do jutra. Odłożyła chipsy z powrotem do szafki i uchyliła drzwiczki malej lodówki. Stał w niej jogurt malinowy, przeterminowany tylko o trzy dni.

Po wypiciu herbaty przeszła się po sklepie, by zrobić porządek na półkach i poskładać rzeczy. Zaczęła myśleć o Craigu i Chanel. Tak bardzo chciałyby, żeby nowy ginekolog potrafił im pomóc. Jak szczęśliwie się złożyło, że akurat zwolniło się miejsce. Przypomniała sobie zasadę, wedle której postępowała babcia Ester przy umawianiu się do lekarza: jeśli recepcjonistka od razu chciała zapisać ją na wizytę, po prostu odkładała słuchawkę. Uważała, że do dobrych lekarzy trzeba czekać miesiącami, a taki, który ma wolne terminy, musi być kiepski. Ruby uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak babcia i jej znajome licytowały się wzajemnie, która z nich najdłużej czekała na konsultację czy zabieg.

Dochodziła druga, kiedy pojawiła się kolejna klientka. Choć nie miała makijażu, a jej długie, jasne włosy były przylizane i nieuczesane, i tak od razu można było ją rozpoznać. Ruby nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Nie będzie musiała wysłać żadnej kartki. Claudia Planchette, na oko w szóstym miesiącu ciąży, z ustami ułożonymi w nienaturalny dziobek, stała przed nią we własnej powabnej osobie i czekała, aby ją obsłużono.

Minęło trochę czasu, zanim Ruby przyzwyczaiła się do tego, że sklep odwiedzają hollywoodzkie gwiazdy. Na początku trudno jej było zachować spokój - z ekscytacji język stawał jej kołkiem. Nie mogła uwierzyć, że stoi przed nią sama Gwyneth Paltrow czy Kate

Winslet i czeka na poradę, jaki jest najlepszy odciągacz pokarmu i który stanik jest wygodniejszy.

Potem nauczyła się nie denerwować i obsługiwać klientki uprzejmie, lecz bez zbytniego podlizywania się. Jej zachowanie z pewnością kontrastowało z przesadną czołobitnością Stelli. Jeśli zdarzyło się, że akurat była w sklepie, gdy wchodziła jedna ze znanych aktorek czy modelek, witała je z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie nałożyła sobie świeżutką warstwę wazeliny.

- Dzień dobry - Claudia odezwała się wyszkolonym głosem z amerykańskim akcentem.

- Szukam kostiumu kąpielowego dla kobiet w ciąży. Czy możesz mi coś doradzić? - od razu przeszła do rzeczy. Ruby zauważyła, że ma naprawdę wspaniałe oczy, w kształcie migdałów, o szmaragdowozielonych tęczęwkach.

- Jasne. Proszę tu podejść, pokażę, jakie mamy.

Ruby zaprowadziła ją do wieszaka, na którym znajdowały się kostiumy na sezon jesienno - zimowy, i zaprezentowała szczególnie ładne włoskie modele z najnowszej kolekcji.

- O, ten jest śliczny! - zachwyciła się Claudia, biorąc jeden do ręki. Przystawiła go do siebie przed lustrem, przyjmując automatycznie korzystną pozę. Nie mogła się oprzeć pokusie, by nie poprawić włosów i nie zwilżyć językiem ust. „Czysta rutyna” - oceniła w myślach Ruby. Widać było, jak wysoko Claudia ocenia swoją pozycję na skali pięknościometru.

- A ty w którym miesiącu jesteś, kochaneńka? - spytała, nie przestając podziwiać się w lustrze.

Protekcjonalne „kochaneńka” było niczym w porównaniu z pytaniem. Ruby osłupiała i popatrzyła w dół na swój brzuch. Czy naprawdę te nieszczęsne dziewięć paluszków rozdziło ją do tego stopnia, że wygląda, jakby spodziewała się dziecka?

- Wcale nie jestem w ciąży - odpowiedziała, czując wypływający na twarz rumieniec.

- Nie? Kochaneńka, przepraszam. Tak mi się zdawało... Słuchaj, mogę ci dać numer do mojego osobistego trenera. Pomógłby ci zrzucić ten balonik...

Ruby nie wiedziała, jak zareagować na tę ostatnią uwagę. Albo babie zrobiło się wstyd i przez to przeprosiny wypadły tak niezręcznie, albo jest niezmiernie zarozumiała i wredna. A że Ruby starała się dostrzegać w ludziach raczej pozytywne cechy, zdecydowała się przyjąć pierwszą hipotezę.

- Masz tu wizytówkę. Pan Hilary, ale niech jego nazwisko cię nie zmyli - to bestia, wyciśnie z ciebie siódme poty.

- To nie będzie konieczne - odcięła się Ruby. - Lubię swoje ciało, jestem piękna, pełna dobrej energii i wyjątkowa. Jestem niepowtarzalnym dzieckiem wszechświata.

Claudia zamarła, nie dowierzając własnym uszom, i stałaby tak pewnie dalej, gdyby nie zadzwoniła jej komórka. Przeprosiła i sięgnęła do torebki. Nacisnęła „odbierz”.

- Co tam - warknęła. - Słuchaj, Marto, powiedziałam wyraźnie, żeby mi w ciągu dnia nie zawracać głowy domowymi sprawami. Avocado ma gorączkę? Zajmij się tym. Za to ci płacę. - Nakryła ręką telefon i zwróciła się do Ruby: - Potrzebne mi to jak dziura w moście. Co za ciapa z tej opiekunki! Marta! Nie, nie pozwól jej zrygać się na berzerę. To pieprzony Ludwikajakiś tam. Wiesz, ile ja wybulę za czyszczenie?... Czy ty nie rozumiesz, dziewucho, że ona robi to specjalnie, żeby zwrócić na siebie uwagę?... Nie, nie wrócę do domu. Nie będzie mnie szantażować dwulatka. Muszę lecieć. Jestem na ważnym spotkaniu. Zadzwonię.

Ruby nie wierzyła własnym uszom, słuchając słów tej jędzy. Przyszedł jej na myśl artykuł z „Hello!”, w którym przedstawiono Claudię jako refleksyjną, głęboko uduchowioną osobę, która była nadmiernie opiekuńcza w stosunku do uwielbianej córeczki. Ruby zaczynała rozumieć, jakim cudem aktorka otrzymała aż dwie nominacje do Oscara w ciągu kilku ostatnich lat.

Chowając telefon do torebki, Planchette zaczęła usprawiedliwiać się przed Ruby:

- Dzieciak ma dwie opiekunki. Oprócz pensji opłacam im ubezpieczenie i dentystę, mają samochód do dyspozycji, a w pokojach są nawet telewizory plazmowe. Chyba z wdzięczności mogłyby trochę bardziej się przykładać do swojej pracy? Ale nie. Jak tylko odwrócę się plecami, panny ani me, ani be, wydzwanają do mnie, bo sobie z niczym nie potrafią dać rady. - To mówiąc, zaczęła zataczać głową kręgi, raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Ten stres mnie wykańcza. Nie masz przypadkiem wody Kabała Zdrój? Może być z odrobiną lodu i plasterkiem cytryny.

Chociaż w lodówce na zapleczu stała woda mineralna i ekologiczne soki owocowe na wypadek, gdyby któraś ważna klientka poczuła pragnienie, żądanej wody nie było.

- Może podać niegazowaną Perrier?

- Nie masz nic poza tym? - Claudia pokręciła głową, wyłącznie by ulżyć napiętym nerwom. - No, niech będzie.

- Słyszałam, że zamierza pani rodzić w St. Luke? - zapytała Ruby aktorkę, teraz masującą sobie kark.

- Zgadza się, tak jak ostatnim razem. To miejsce jest cudowne. Przy Avocado mąż - obecnie były - przyniósł na salę porodową pachnące świece. Włączyliśmy muzykę relaksacyjną. Gdy miałam bóle partu, moja doula nakazała mi masować mi wejście do

pochwy. Wrażenie nie do opisania. Nie spodziewałam się, że można mieć orgazm, rodząc dziecko. To było absolutnie w stylu zen. Avocado przyszła na świat spokojna i z uśmiechem na ustach. Myślę, że to dzięki mojej miłości.

Ruby korciło, żeby powiedzieć: „Szkoda, że pani uczucia tak szybko się zmieniły od tamtego czasu”, ale ugryzła się w język.

Claudia odstawiała na ladę pustą szklankę. W tym momencie znowu zadzwonił jej telefon.

- Marta! - ryknęła. - Opanuj sytuację, OK? Wszystkie bachory czasem rzygają i gorączkują. Nie będę lecieć do domu tylko dlatego, że dziecko ma lekką grypę żołądkową!

Ruby poczuła, że jeszcze chwila, a się rozplacze. Być może gwiazda dziś wyjątkowo zrobiła sobie wychodne, ale podejrzewała, że codziennie traktuje Avocado w ten sposób.

- Może lepiej będzie, jak wróci pani do domu - powiedziała Ruby, gdy Claudia skończyła sztorcować Martę. - Mogę przesłać kilka strojów kąpielowych kurierem i przymierzy je pani u siebie. Avocado pewnie nic nie jest, ale nigdy nie wiadomo, i na pewno poczuje się pani lepiej...

- Masz rację - westchnęła Claudia. - Pojadę i sprawdzę, co jej jest, ale nie wyjdę, dopóki nie przymierzę tych szalowych kostiumów - zdjęła trzy stroje z wieszaków i ruszyła w kierunku przymierzalni.

- Jak będzie potrzebny inny rozmiar, proszę zawołać! - Ruby wiedziała, że nie wolno jej zaglądać do przymierzalni, chyba że na wyraźną prośbę klientki. Gwiazdy były szczególnie drażliwe na punkcie swego ciała i za nic nie chciały, by widziano je niekompletnie ubrane. Było jasne, z jakiego powodu - wiedziały, że w rzeczywistości ich figury nie umywały się do ich wirtualnych, poprawionych w photoshopie odpowiedników, zamieszczanych w popularnych magazynach. Mit ległby w gruzach, gdyby ludzie zobaczyli, że mają cellulitis na pośladkach, tak samo jak reszta świata.

- Och! Pomarańczowy jest ge - nial - ny! Fioletowy też! - zawołała z przymierzalni aktorka. - Wezmę po dwa z każdego koloru.

Ruby poszła na zaplecze po żądane kostiumy. Wracając, musiała przejść obok trzech boksów przymierzalni. Krzyk dochodzący z jednego z nich sugerował, że Claudia znów sztorcuje przez telefon Martę. W pewnym momencie gestykulowała tak żywo, że niechcący zaczepiła ręką o zasłonę, na chwilę odsłaniając wnętrze boksu. Natychmiast zasłoniła je z powrotem, nie zdając sobie sprawy z tego, że Ruby zdołała zajrzeć do środka. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka sekund, lecz to wystarczyło, by Ruby rzuciła okiem na brzuch Claudii i zarejestrowała, że z jej ciążą jest coś nie w porządku. Aktorka miała na sobie cielisty

kombinezon z dużymi piersiami i brzuchem jak w szóstym miesiącu ciąży. Przypominał Ruby kostium, jaki Robin Williams nosił w filmie Pani Doubtfire. Była tego tak pewna, że mogłaby się założyć. Tylko po co, na litość boską, Claudia miałaby udawać, że jest w ciąży?

Zmieszana i zaniepokojona Ruby wróciła za ladę i zajęła się pakowaniem kostiumów. Claudia wyszła z kabiny cała w skowronkach. Zachowywała się tak, jakby nie wiedziała, że została zdemaskowana. Miała w ręku stroje, które przymierzała przed chwilą. Ruby wzięła je i zaczęła także zawijać w papier.

W milczeniu biła się z myślami. Była pewna tego, co zobaczyła. Proteza brzucha? Tak. Bez wątpienia.

Planchette podała jej platynową kartę i czekając na koniec transakcji, jęła przebierać w ręcznie robionych wełnianych bucikach niemowlęcych, które leżały w koszu na ladzie. Ruby przeciągnęła kartę przez czytnik i myślała dalej. Tylko przez chwilę widziała wnętrze kabiny. Czy na pewno się jej nie zdawało? Może to tylko wyobraźnia spletała jej figła: nie mogłaby przysięgać w tej sprawie w sądzie.

Oskarżyciel w peruce pyta:

- Panno Silverman, jak długo patrzyła pani na wyżej wspomniany sztuczny brzuch?

- Eeee, sekundę. Może krócej.

- Sekundę albo krócej? Aha. I jest pani gotowa złożyć przysięgę, że ta kobieta miała na sobie atrapę brzucha, choć widziała ją pani przez sekundę... Panie i panowie przysięgli...

To nie trzymało się kupy. Ruby musiała się pomylić. Patrzyła, jak Claudia chowa kartę, po czym podała jej torbę z logo Les Sprogs.

- Dziękuję - powiedziała - i do zobaczenia, mam nadzieję.

- Na pewno, niedługo do was wrócę. Tyle rzeczy potrzebuję dla dziecka. Obiecuję, że nie widzisz mnie po raz ostatni.

Stella popadłaby w ekstazę.

- Mam nadzieję, że Avocado lepiej się poczuje, kiedy wróci pani do domu.

Ale Claudia już tego nie usłyszała. Przez szybę witryny dostrzegła nadjeżdżającą taksówkę i imponującym sprintem rzuciła się za nią w pościg.

Rozdział 8

Reszta dnia minęła Ruby na rozważaniach i analizie tego, co zobaczyła w przymierzalni. Była tak zatopiona w myślach, że parę razy nie zwróciła uwagi na pytania klientek. Musiały powtarzać je kilkakrotnie, zanim udzieliła im odpowiedzi.

Kiedy późnym popołudniem przeglądała katalog bielizny ciążyowej, który producent przysłał z Paryża, wreszcie ją oświeciło.

- Oczywiście! Musiała mieć na sobie TO! - Na ilustracji prezentowano pas ciążyowy. Claudia nie nosiła atrapy brzucha, tylko pas ciążyowy, dokładnie taki sam jak ten, który Ruby widziała na zdjęciu przed sobą. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych prawie wszystkie kobiety je nosiły. Pas miał wszytą taśmę ze stretchu, która od dołu podtrzymywała brzuch. Po czterdziestu latach zapomniana bielizna przeżywała come back - zwłaszcza we Francji i Włoszech. Planchette ostatnio kręciła film w Paryżu, na pewno tam go sobie kupiła. W Wielkiej Brytanii jeszcze trudno było o takie pasy, ale mając na uwadze swój zawód, Ruby zawstydziała się, że nie rozpoznała jednego z nich na pierwszy rzut oka.

Nie mogła się doczekać, aż opowie o swej pomyłce Chanel. Strasznie będzie się z niej nabijać, kiedy usłyszy, że posądziła Claudię o ciążę urojoną.

W międzyczasie zadzwoniła do Stelli do Nowego Jorku, by powiedzieć jej, że aktorka była w butiku i kupiła kostiumy kąpielowe.

- Co? Tylko kostiumy? Chyba żartujesz? Czy zaproponowałaś jej, że zamkniemy sklep, żeby w spokoju mogła skompletować wyprawkę dla dziecka?

- Właśnie, że nie. I tak powiedziała, że do nas wróci, a ja nie chciałam naciskać. Sławni ludzie tego nie lubią, mogłybyśmy osiągnąć przeciwny efekt.

- Zamknięcie sklepu nie byłoby narzucaniem się - warknęła Stella. - Po prostu podbechtałoby jej ego. Nie rozumiesz? Niektóre rzeczy muszę ci tłumaczyć jak małemu dziecku i mam wątpliwości, czy można powierzyć ci prowadzenie tak ekskluzywnego butiku jak Les Sprogs. Trzeba mieć klasę. To tyle, muszę lecieć. Mam spotkanie - po czym odłożyła słuchawkę.

Ruby nadal wpatrywała się w telefon.

- Dziękuję, Stello. Dobrze wiedzieć, że zawsze można na tobie polegać.

Chanel wróciła do sklepu po paru godzinach. Ruby, która właśnie rozmawiała z klientką w zaawansowanej ciąży, rzuciła na nią okiem i od razu wiedziała, że historyjkę, którą planowała ją rozweselić, musi odłożyć na potem. Czerwona twarz dziewczyny i zapuchnięte oczy zdradzały, że nowy lekarz nie miał dla niej dobrych wieści.

Craig przyszedł do sklepu razem z żoną i teraz obejmował ją za ramiona. Przy tym wysokim, szerokim w barach mężczyźnie nawet solidnie zbudowana Chanel wydawała się drobna; dzisiaj szczególnie rzucało się to w oczy. Kiedy spoglądał na nią spod krótko ostrzyżonej, rudej czupryny, która zawsze wyglądała tak, jakby fryzjer wypracował ją za pomocą maczety, sprawiał wrażenie łagodnego giganta broniącego małego, smutnego dziecka.

- Sekundę - rzuciła Ruby i objęła ich zatroskanym spojrzeniem. Tak szybko, jak się dało, zapakowała pudełko ze sterylizatorem butelek do firmowej torby i podała ją kobiecie przez ladę.

- Proszę bardzo, jak tylko pojawi się nowy katalog, wyślę go pani pocztą.

Ciężarna podziękowała i skierowała się ku wyjściu. Ruby podeszła do czekającej pary.

- Co się stało? - zapytała stłumionym głosem. I zdała sobie sprawę z tego, że pytanie jest głupie, skoro może się sama domyślić, jaka będzie odpowiedź. Nic innego jednak nie przyszło jej do głowy.

- No wiesz - zaczęła Chanel, przełykając ślinę. Próbowwała, by jej głos brzmiał dziarsko.

- Doktor dał nam do zrozumienia, tak delikatnie, jak umiał... - głos jej się załamał i przygryzła dolną wargę. Craig wzmocnił uścisk i uśmiechnął się, próbując dodać jej odwagi. Sam starał się mówić z werwą, ale Ruby widziała, że jest podłamany, podobnie jak jego żona.

- Nowy spec potwierdził diagnozę - ciągnął Craig. - Poprzedni lekarz przefaksował mu kartotekę Chanel. Ten przeczytał i powiedział, że w naszym przypadku in vitro nie ma sensu. Bąknął coś o adopcji, co nie, słonko?

- Ale są przecież jeszcze inni specjaliści - Ruby starała się na nowo natchnąć ich nadzieją. - Próbowaliście, na przykład, skontaktować się z kimś z St. Luke? A może w Ameryce stosują jakieś nowe metody leczenia bezpłodności?

- Nasi doktorzy należą do najlepszych na świecie - zapewnił Craig. - Jeśli oni mówią, że nic z tego nie będzie, to możemy dać sobie spokój.

Zadzwonił telefon. Ruby zauważyła, że już drugi raz ich rozmowa zostaje przerwana w ten sposób. I jak poprzednim razem, pierwszą jej reakcją było zignorowanie tego natrętnego dźwięku, ale Chanel nalegała, aby odebrać.

Zirytowana Ruby podeszła do lady i podniosła słuchawkę:

- Dzień dobry, tu Les Sprogs - rzuciła, świadoma tego, że jej zazwyczaj uprzejme powitanie tym razem brzmi niezbyt sympatycznie.

- Dzień dobry, czy to Ruby?

- Tak, a kto mówi?

- To ja, Sam Epstein. Przepraszam, że dzwonię do pracy. Próbowałem na komórkę, ale chyba ją wyłączyłaś.

- Och, cześć, Sam. Jak leci?

Mimo wątpliwości, jakie budził w niej przystojny pan doktor, ucieszyła się z tego telefonu. Jednocześnie była zła na siebie, że jej głos wydaje się taki zdawkowy.

- Znowu siadła mi bateria w komórce. Za często mi się to ostatnio zdarza. Chyba muszę kupić nowy aparat - wyjaśniła Ruby.

- Słuchaj, tak sobie myślałem, że może znajdziesz trochę czasu w tym tygodniu? Moglibyśmy pójść do kina. Albo, jeśli wolisz, umówić się gdzieś na drinka.

Popatrzyła ukradkiem na Chanel i Craiga. Tak smutno wyglądali. Ścisnęło się jej serce.

- Sam, nie chciałabym być niegrzeczna, ale nie mogę teraz rozmawiać. Akurat są tu moi przyjaciele i właśnie dostali złe wieści...

- Rozumiem. Nie ma sprawy. Zadzwoń jeszcze kiedyś.

- Pewnie. Do usłyszenia niebawem, pa!

- Do usłyszenia.

Ruby odłożyła słuchawkę i wróciła do Chanel i Craiga. Przeprosiła za przerwę w rozmowie i zdecydowała się nie wspominać, że dzwonił Sam. To nie był właściwy moment. - Mówiliście, że doktor napomknął coś o adopcji?

Chanel przytaknęła, siląc się na spokój.

- Na pewno o tym pomyślimy. Co prawda takie dziecko jest na początku kimś obcym, ale po pewnym czasie zaczyna się je kochać jak własne. Tyle jest nieszczęśliwych dzieci, które tylko czekają, by ktoś stworzył im prawdziwy dom. Zgadzasz się, prawda, Craig?

- Jeszcze zobaczymy - mitygował mężczyzna, po czym powiedział do Ruby: - Wiesz co? Chanel miała dziś za wiele wrażeń, lepiej zabiorę kwiatka do domu, OK? Poleży sobie do góry brzuszkiem, to jej dobrze zrobi.

Ruby próbowała przekonać Chanel, by wzięła sobie tydzień wolnego, ale ta powiedziała, że woli chodzić do pracy, żeby się czymś zająć.

- Odpocznę, ale tylko do jutra - więcej nie trzeba, słowo.

- W porządku, skoro tak mówisz... - Naprawdę.

Ruby popatrzyła ze smutkiem na Craiga, jakby chciała zapytać: „Co jeszcze mogę dla niej zrobić?”. Wzruszył ramionami. Wiedział, podobnie jak Ruby, że nic nie jest w stanie jej pocieszyć.

PRZEZ KILKA kolejnych dni Chanel zachowywała się tak, jakby chciała ukryć swoje uczucia. Kiedy na jej twarzy malował się smutek, a Ruby pytała ją, czy chce pogadać, zbywała ją za każdym razem, mówiąc sztucznie wesołym głosem:

- Nie martw się, wszystko gra!

Ruby widziała, że to nieprawda, ale nie chciała naciskać, żeby nie wkurzyć Chanel.

Gdyby nie Ronnie, która pewnego razu zaszła do sklepu po lunchu z przyjaciółkami, stan dziewczyny mógłby przerodzić się w depresję.

Ruby nie było, bo poszła do kliniki podzucić fotografie paszportowe do wyrabianej przepustki. Zapomniała powiedzieć mamie, że Craigowi i Chanel nie udało się zapłodnienie in vitro. Nie zdążyła też jej poprosić, żeby przez kilka tygodni trzymała się wraz ze swoim rosnącym brzuszkiem z dala od sklepu.

Ruby wróciła do Les Sprogs już po godzinie zamknięcia. Ronnie i Chanel stały w mikroskopijnej służbowej kuchni. Kiedy zobaczyła je razem, poczuła niepokój. Strach. Zaczęła szukać na twarzy Chanel śladów wzburzenia czy zdenerwowania. Na próżno. Dziewczyna wyglądała znacznie radośniej niż zwykle. Co więcej, kiedy Ronnie zaczęła zbierać się do wyjścia, objęła ją ze słowami:

- Straszne dzięki. Zaczynam czuć się o wiele lepiej, po tym jak się przed tobą wygadałam.

Kiedy mama poszła, zabierając ze sobą wzornik ekologicznych farb do pokoju dziecięcego, Chanel opowiedziała Ruby, o czym rozmawiały. Okazało się, że Ronnie namawiała ją, żeby zwróciła się o pomoc do psychologa, który powie jej, jak radzić sobie z bezpłodnością.

- Twoja mama jest niesamowita. Chciałabym, żeby z moją starą dało się tak rozmawiać. Szczęściara z ciebie. Od razu załapała, co mi jest, bo sama przez coś takiego przeszła, jak jej powiedzieli, że ma niedrożność i nie może zajść w ciążę. Mówi, że na pewno jestem w żałobie, bo okazało się, że nie mogę mieć dzieci, i poleciła mi znajomą terapeutkę. Ruby zapytała, czy do niej zadzwoni.

- Od razu zadzwoniłam, jeszcze jak Ronnie tu była. Mam wizytę w przyszłym tygodniu.

Wieczorem Ruby zatelefonowała do mamy i podziękowała za podniesienie Chanel na duchu.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłam pomóc. Opowiadała mi o tej prezentacji, którą będziesz miała w St. Luke. Brzmi niezłe, może przynieść korzyść Les Sprogs.

Ruby przyznała, że mimo to się denerwuje, bo nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiła.

- Pójdzie ci świetnie, zobaczysz! I wiesz co? Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że powinnam rodzić w St. Luke. To naprawdę pierwszorzędna klinika, zresztą tata też mnie do tego namawia. Gdyby tylko nie było tam tak pierońsko drogo!

KILKA DNI później Ruby przeprowadziła pierwszą pogadankę. Tak bardzo bała się spóźnić, że przybyła na miejsce już o dziesiątej - pół godziny przed czasem. Kiedy weszła do sali prelekcyjnej, Jill McNulty już tam była. Ustawiała krzesła w idealny okrąg i zaprowadzała perfekcyjny porządek na stoliku z przekąskami.

- Jest kawa, herbata, sok pomarańczowy i woda. Powinno wystarczyć.

Ruby podziękowała jej za przygotowania i zapewniła, że wszystko wygląda wspaniale.

- O jednej rzeczy zapomniałam. Nie ma wody gazowanej.

- Proszę się nie przejmować, niegazowana na pewno wystarczy.

- Nie wiadomo, lepiej pójdę i przyniosę parę butelek z kafeterii.

- Naprawdę nie trzeba - zapewniła Ruby - a jeśli okaże się, że ktoś nie lubi niegazowanej, sama wyskoczę i przyniosę wodę z bąbelkami.

- Naprawdę? - Jasne.

- I proszę dać znać, gdyby pani czegoś potrzebowała. Będę w biurze, na końcu korytarza.

- Oczywiście - zapewniła Ruby z uśmiechem. Polubiła Jill, ale zastanawiała się, jak współpracownicy znosili jej ciągle wydziwianie i drobiazgowość.

Jill ulotniła się, ale dopiero po tym, jak po raz dziesiąty poprawiła łyżeczki, które najwidoczniej zwrócone były nie w tę stronę, co trzeba.

•••

WIĘKSZOŚĆ KOBIET, które przyszły na pogadankę, wyglądała dokładnie tak, jak wyobrażała sobie Ruby. Wyjątek stanowiło kilka pań w kostiumach, które najwyraźniej wyrwały się na chwilę z pracy, oraz „pan domu”, który przyjechał w zastępstwie żony, redaktor naczelnej poczytnej gazety, na pewno na rowerze, bo zapomniał zdjąć ochronne opaski z nogawek spodni. Pozostałe słuchaczki były typowymi przedstawicielkami bo - bo (bourgeois boheme), szczupłymi, o ciałach wymodelowanych ćwiczeniami jogi i pilatesem. Nie narzekały na swe dochody, co można było wywnioskować z detali towarzyszących ich

zadbany brzuszek, takich jak torebki Fendi, botki Ugg i wytworne pasemka typowe dla mieszkanki Fulham.

Kobiety okazały się miłe, skore do rozmów i - Ruby musiała to przyznać - równie przejęte czekającą je przygodą, co zwyczajne, niezamężne przyszłe matki. Rzuciły się na prelegentkę, zasypując ją pytaniami o potrzebne wyposażenie, takie jak foteliki samochodowe, staniki do karmienia czy elektroniczne nianie.

Przyjemny nastrój na chwilę przysł, gdy Ruby spróbowała rozpocząć dyskusję na temat pieluszek. Mając do wyboru jednorazowe i tetrowe, uczestniczki jak jeden mąż opowiedziały się za tradycyjnymi z materiału, a swój wybór argumentowały ochroną środowiska, przepełnionymi wysypiskami śmieci i ratowaniem lasów. Ruby zastanawiała się w duchu, czy panie zniżyłyby nieco loty w kwestii moralności i ekologicznego uświadomienia, gdyby nie stać je było na nianie i same musiałyby zeskrobywać niemowlęce kupy z tak poprawnych politycznie, zdrowych i przyjaznych środowisku pieluszek bawełnianych.

Po skończonej prelekcji Ruby zaprosiła przyszłe mamy do obejrzenia kolekcji ubrań ciążowych i dziecięcych z Les Sprogs, które znajdowały się na ustawionych w osobnym pomieszczeniu wieszakach. Do kliniki dostarczył je kurier jeszcze poprzedniego dnia. Ruby wyjaśniła, że cięższe rzeczy, takie jak wózki czy kołyski, można zamówić z firmowego katalogu.

Kiedy panie rozplęwały się z zachwytem, oglądając ciuszki - szczególnym wzięciem cieszyły się kombinezony z Gwatemali, kaszmirowe szale do chrztu i piekielnie droga pościel z organicznej bawełny - Ruby przyłapała się na myśli, że kobiety te żyją pod kloszem, nie doświadczając kłopotów, z którymi borykają się przeciętne matki.

Usłyszawszy rozmowę telefoniczną jednej z pań, o imieniu Plum, z jej osobistym trenerem fitness, zapragnęła jeszcze bardziej przenieść sklep z Kensington i Chelsea do jakiejś mniej luksusowej dzielnicy.

Powoli powstawały przecież firmy odzieżowe, które - zadowolając się nieco mniejszym zyskiem - wprowadzały na rynek ubranka dla dzieci z kaszmiru i organicznej bawełny. Miały one spore wzięcie i dziewczyna nie widziała powodu, dla którego jej nie miałyby się udać.

RUBY BYŁA ZADOWOLONA ze swojej pogadanki. Mimo zdenerwowania mówiła jasno, wyraźnie i nawet zdołała rozbawić publiczność porównaniem odciągacza pokarmu do dojarki elektrycznej.

- Karmienie wyszczupła - skwitowała w którymś momencie Plum, ta z osobistym trenerem. Sama była tak chuda, że gdyby ustawiła się bokiem, widać byłoby tylko dwa balony

- głowę i brzuch, nanizane na cienki sznurek. Jej uwaga zachęciła pozostałe przyszłe mamy do rozpoczęcia koncertu pojękiwań i narzekań, że strasznie przytyły.

- Jak w szpitalu po porodzie nie zmieszczę się w moje ukochane biodrówki od Chloe, to się zabiję - oznajmił jakiś głos. Ruby czekała na wybuch śmiechu po udanym żarcie, ale nic takiego nie nastąpiło. W ciszy, jaka zapadła, rozległo się jedynie kilka potakujących pomruków.

- Odżywiam się teraz tylko owocami i białym serem - oznajmiła Plum. - Postanowiłam przybrać w ciąży nie więcej niż pięć kilo.

- Ale książki podają, że powinno się ważyć piętnaście kilo więcej - powiedziała Ruby, której od słów Plum robiło się niedobrze. Rozległy się okrzyki przerażenia.

- Widziałas zdjęcia Chiny Katz wychodzącej z St. Luke po porodzie? - spytała kobieta z czerwoną nitką na nadgarstku, najwidoczniej zwolenniczka kabały. - Wyobrażasz sobie, jak ona musiała się katować, będąc w ciąży?

- Możliwe, ale to gwiazda filmowa. One zarabiają twarzą i figurą. Wy na pewno możecie sobie trochę odpuścić, oczekując dziecka?

- Akurat. Tylko popatrz na to - kobieta od kabały wzięła do ręki magazyn „For Her” i podała go Ruby. Na okładce można było przeczytać:

„Jak Claudia Planchette zdołała utrzymać zgrabną sylwetkę w czasie ciąży? Podajemy specjalną dietę, która sprawi, że będziesz wyglądać tak jak ona. Pozbądź się fałd tłuszczu po porodzie!”.

Ruby znalazła stronę, na której zamieszczono wywiad z aktorką. Ta na pytanie, w jaki sposób zdołała utrzymać figurę i wyjść ze szpitala równie szczupła, jak przed zajściem w ciążę, odpowiedziała: „To wszystko zawdzięczam genom. W czasie ciąży obzerałam się jak świnia i wcale nie przytyłam. Po porodzie moja skóra i mięśnie błyskawicznie wróciły do dawnej formy. Chyba po prostu mam szczęście...”.

- Widzisz, to byłoby idealne - rozmarzyła się Plum. - Ale po porodzie naprawdę biorę się za siebie. Będę karmić dziecko i odchudzać się jednocześnie. Wszyscy mówią, że to jedyny sposób na zrzucenie zbędnych kilogramów. - Towarzyszył jej potakujący chórek.

Zdesperowana Ruby potrząsnęła głową. Nie do wiary, te kobiety z jednej strony zamartwiały się zatruciem środowiska i szkodliwymi substancjami w jedzeniu i ubrankach dla niemowląt, a z drugiej skłonne były głodzić siebie i swoje nienarodzone dzieci.

Plum popatrzyła na zegarek:

- Ups, muszę lecieć. Spóźnię się na ćwiczenia na rowerku.

Podziękowała Ruby i poszła sobie. Pozostałe słuchaczki poczęstowały się herbatą oraz kawą bezkofeinową i po kilkunastu minutach także się rozeszły.

Ruby, mimo że w ciągu paru godzin zdołała sprzedać towar wart kilka tysięcy funtów, czuła się przygnębiona i smutna. Wiedziała, że kobiety, z którymi rozmawiała, nie są wyjątkiem. W Londynie musiały być tysiące ciężarnych głodzących się po to, by zaraz po porodzie z powrotem wbić się w dzinsy. A co jeszcze bardziej obrzydliwe, zachęcały je do tego media.

IDĄC W STRONĘ głównego wyjścia, zauważyła nadchodzącą z przeciwka Ronnie. Co, na litość boską, ona tutaj robi? Ronnie dostrzegła zdziwione spojrzenie córki.

- Wiem, wiem, nic nie mów - zaśmiała się, wskazując na swoją bluzkę - lejbę z cieniutkiej bawełny, kwiecistą, zebraną pod biustem i rozszerzaną ku dołowi, wyraźnie w stylu lat siedemdziesiątych. - Znalazłam ją w second - handzie, ale to ostatni krzyk mody. W dodatku mogę ukryć ciążę i poczuć się, jakbym znowu miała szesnaście lat!

- Śliczna, ale nie dlatego się gapię. Co ty tu w ogóle robisz?

- Poczulałam nagłą potrzebę zobaczenia z bliska tej kliniki i przyjechałam. Zadzwoiłam i umówiłam się na oglądanie sali porodowej. Bardzo miła dziewczyna oprowadziła mnie przed chwilą i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Tata nie przestał mnie namawiać, żebym zmieniła szpital. Nasz rejonowy nie przypadł mu do gustu. Boi się, że ciąża w moim wieku grozi komplikacjami.

- Szkoda, że nie wiedziałam, że tu będziesz. Zaprosiłabym cię na prelekcję.

- Racja, przecież to dziś. Jak było?

- Nieźle.

- Widzisz, a nie mówiłam, że świetnie ci pójdzie? Przykro mi, że nie przyszłam, ale i tak nie dałabym rady. Dziewczyna umówiła mnie na spotkanie z bardzo miłą ginekolożką. Ma mniej więcej tyle lat, co ja, i zajmuje się ciężarnymi w starszym wieku.

Ruby pomyślała, że chodzi może o doktor Jane, ale mamy lekarka miała na nazwisko Beech.

- No widzisz. Na pewno dobrze się tu tobą zaopiekują.

- Chyba masz rację. Doktor Beech wydaje się bardzo opiekuńcza i dodaje mi otuchy. Zdecydowałam się zostać jej pacjentką. Zadzwoiłam też do Phila, żeby mu o tym powiedzieć. Bardzo się ucieszył. Jednak czuję się winna: będzie musiał rozwiązać fundusz emerytalny, żeby zapłacić za szpital.

Na to Ruby zaśmiała się i dodała, że niewielu pięćdziesięciolatków spotyka przywilej rezygnacji z emerytury na rzecz opłacenia porodu żony w prywatnej klinice.

- Wiem, na szczęście Phil zdaje sobie sprawę z ironii sytuacji. Wszystko jedno, później jeszcze poszłam na zajęcia do szkoły rodzenia. Boże, jakie te kobiety są chude! Dużo się zmieniło od czasów, kiedy byłam z tobą w ciąży. Dzisiaj cały świat jest na diecie. To ohydne. Weszłam do sali, jedząc pączka, a wszyscy popatrzyli na mnie jak na trędowatą.

Ruby zgodziła się z mamą i opowiedziała jej o artykule w „For Her”. Ronnie skrzywiła się:

- Czy ktoś na tym świecie wydał jakiś dekret mówiący, że kobieta tylko wtedy jest atrakcyjna, kiedy już praktycznie jej nie ma? I to nawet w ciąży?

- Kto wie... - pokiwała głową Ruby. - A jak podobały ci się zajęcia?

- Bardzo. Pogadałam potem z prowadzącą i powiedziała, że mimo mojego wieku urodzenie tego dziecka powinno być dla mnie wyjątkowym wydarzeniem.

Ruby nie chciała wydać się zazdrosna ani śmieszna, ale zanim zdążyła się opanować, kąciki jej ust powędrowały w dół.

- Kochanie, nie miałam na myśli, że urodzenie ciebie nie było niczym specjalnym. Nigdy tego nie zapomnę! Wiedziałam, że w końcu dopadną cię negatywne myśli w związku z pojawieniem się rodzeństwa. Może potrzebujesz kogoś, kto pomógłby ci odzyskać równowagę wewnętrzną?

- Mamo, nie martw się o mnie. Nic mi nie jest, nie potrzebuję niczyjej pomocy. Naprawdę. Przyznaję, że pomyśli, by mieć małego braciszka albo siostrzyczkę, wydaje mi się jeszcze abstrakcyjny, ale to przejdzie, przyzwyczaję się.

- Wiem, słonko, ale to nie takie łatwe i pamiętaj, że dla mnie będziesz zawsze pierwszym dzieckiem. Pierwsze jest wyjątkowe, choć w czasach, kiedy ciebie rodziłam, obowiązywało golenie i lewatywa, pompowali w człowieka tyle chemii. A teraz mówią, że mogę urodzić w wodzie, w sali z przyćmionymi światłami, z ulubioną muzyką w tle. - Ronnie otworzyła szeroko oczy. - Rubcia, mówię ci, nie masz pojęcia, jak niesamowita jest ta instruktorka ze szkoły rodzenia. Najpierw ćwiczyliśmy oddychanie przeponą, a potem pozdrowienie słońca, żeby energia lepiej przepływała. W następnym tygodniu będą afirmacje porodowe, bazujące na tybetańskim śpiewie gardłowym. To nie wszystko... - Ronnie rozejrzała się wokół, czy nikt nie podsłuchuje - ...nie zgadniesz, kto chodzi na te zajęcia!

- Kto?

- Claudia Planchette. Ta gwiazda filmowa. Jest taka piękna! Nie do opisania!

- Wiem. Zajrzała wczoraj do sklepu. Mówiła, że będzie rodzić w St. Luke. I jak ci się ona podoba?

Ronnie zmarszczyła nos.

- Niespecjalnie. Szczerze mówiąc, jest wyniosła i pełna rezerwy. I jakby nie na swoim miejscu, trzyma się z dala od pozostałych uczestniczek. Z drugiej strony, może to ja mam problem... Podświadomie czuję się zagrożona w towarzystwie pięknych, odnoszących sukcesy kobiet. A, i jeszcze coś.

- Co takiego?

- No, w pewnej chwili zadzwonił telefon i Claudia wyszła, żeby odebrać. Sądząc z rozmowy, musiał to być ktoś, kto opiekuje się jej córeczką. Strasznie nagadała tej osobie. Nie chciałabym u niej pracować. Nie usłyszałam wszystkiego, bo poszła na koniec korytarza, ale mam wrażenie, że nie jest zbyt dobrą matką.

Ruby opowiedziała o rozmowie, której była świadkiem w sklepie.

- Mnie się wydaje, że żadna z niej matka - odparła. - Ale nigdy byś tego nie powiedziała, czytając przeprowadzone z nią wywiady.

Kobiety wyszły z kliniki i skierowały się w stronę parkingu. Podchodząc do auta Ronnie, zauważyły lśniącego jaguara z szoferem, który zajeżdżał przed szpitalne wyjście. W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Claudia Planchette i ruszyła w kierunku samochodu. Wtem otworzyły się tylne drzwi i z auta wyskoczyła mała, może dwuletnia dziewczynka - przypuszczalnie Avocado. Podbiegła do aktorki i chciała ją objąć. Ta skrzywiła się, złapała dziecko za nadgarstki i krzyknęła do opiekunki, która wysiadała z auta:

- Marta, to są ciężówki od Donny Karan. Co ci mówiłam o napuszczaniu na mnie Avocado, kiedy ma ręce wysmarowane czekoladą?

Nagle jak spod ziemi wyrosło trzech paparazzich. Claudia, bez mrugnięcia okiem, przywołała na twarz promienny, oskarowy uśmiech. Wzięła córkę na ręce, nie zważając na to, że plami jej top czekoladą.

- Uśmiech, kochanie - zagruchała do Avocado. - Uśmiech! Skamieniała, kiedy mała zamiast wyszczerzyć ząbki, nieśmiało ukryła twarz na jej ramieniu. Natychmiast podała dziecko niani.

Ta wpackowała je z powrotem do samochodu, a Claudia odżyła, poprawiła włosy, rozpromieniła się i stanęła, pozując do fotografii. Ruby wymieniła z mamą znaczące spojrzenie.

- Co za smutne, pozbawione miłości życie musi mieć to dziecko - powiedziała Ronnie. - I po co Planchette zdecydowała się na drugie, skoro jedno tak jej przeszkadza?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze w Hollywood niemowlaki zrobiły się modne. Dziecko w nosidełku jest najmodniejszym dodatkiem w tym sezonie. Nie czytałaś tych jadowitych artykułów w "Vogue", że niemowlak to współczesna „mała czarna”? A po drugie,

udając dobrą matkę, robi sobie pierwszorzędny PR. Poza tym jako gwiazda filmowa, jest wzorem dla fanek.

- Gdyby tylko widziały to, co my. Chciałabym jakoś pomóc tej kruszynce.

- Lepiej nie próbuj.

- Ta kobieta powinna się leczyć. Coś mi się zdaje, że nie kochali jej rodzice i teraz, kiedy sama ma dziecko, nie potrafi go kochać, bo nie wie jak. I nic nie możemy na to poradzić. A, byłabym zapomniana. Czy w przyszłym tygodniu wpadniesz na kolację, tak jak obiecałaś? Ciocia Sylvia przyprowadzi faceta.

Ruby zapewniła, że przyjdzie, i dodała:

- A swoją drogą, ten kompakt z afirmacjami to prawdziwa ciekawostka.

Uznała, że nazwanie go „ciekawostką” będzie najbardziej na miejscu. Nie chciała urazić mamy, mówiąc jej, że choć nawet powtarzała nagrane mantry, uważa je za kompletny nonsens.

- Tak myślisz? Cieszę się, bo już się bałam, że ci się nie spodoba: zwykle kręcisz nosem na New Age.

Ronnie zaproponowała, by wstąpiły gdzieś na kawę, ale Ruby musiała wracać do sklepu.

- Chanel od rana jest sama, a do tego wszystkiego muszę być dzisiaj na uroczystości obrzezania Connora. Myślisz, że powinnam dać prezent?

Ronnie odpowiedziała, że nie pamięta zwyczajów, ale jeżeli chce coś przynieść, to raczej słodczy niż zabawkę dla dziecka.

RUBY WRÓCIŁA do sklepu i pracowała do wpół do czwartej. Potem pojechała do domu, żeby przebrać się na uroczystość, która zaczynała się o piątej.

W drodze nie mogła przestać myśleć o małej Avocado i żeby poprawić sobie nastrój, zaczęła się zastanawiać, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku dni, co robi teraz Sam Epstein. Mimo obietnicy nie zadzwonił więcej. Była pewna, że obraził się z powodu chłodnego przyjęcia podczas ostatniej rozmowy, biorąc je za odmowę spotkania. Chciała go przeprosić i wyjaśnić powagę sytuacji, w której znaleźli się Chanel i Craig. Miała nadzieję, że natknie się na niego w klinice, do której ostatnio często zaglądała, aby wyrobić przepustkę, ale nic z tego nie wyszło.

Odczuwała też jednak ulgę, że się nie odezwał - ominęło ją upokarzające tłumaczenie się z historii ze znaczkiem.

Właściwie kiedy wpadli na siebie ostatnim razem i o mało nie poszli na lunch, zebrała się na odwagę i była zdecydowana powiedzieć mu prawdę. Gdyby znowu zaproponował -

choć szansa była niewielka - spotkanie, musiałyby przygotować się na nowo. A niech tam, w końcu jest lekarzem. Najwyżej będzie się z niej nabijał. Nie jest przecież tak chwiejna emocjonalnie, by nie mogła znieść odrobiny żartów na własny temat.

W domu stanęła przed otwartą szafą i zaczęła się zastanawiać, co na siebie włożyć. Była to uroczystość religijna, więc wszystkie śmiałe stroje odpadały. Te w czerwonym kolorze też się nie nadawały. Czarny z kolei był zbyt melancholijny. Poza tym sugerowałby albo żałobę z powodu straconego napletka, albo, co gorsza, przekonanie, że rabin nie umie obchodzić się z nożem i może doprowadzić do katastrofy. Ten kolor definitywnie odpadał, zwłaszcza że na pewno oblecze się w niego mama Fi na znak swojej dezaprobaty.

W końcu Ruby zdecydowała się na konserwatywny bladuróżowy, tweedowy kostium, z lamówkami przy mankietach i pagonach. Włosom, które miały tendencję do układania się w fale, przydałoby się może prostowanie, ale nie miała czasu. Upięła je więc zwyczajnie do tyłu.

Zanim wyszła, zajrzała do łazienki po proszki od bólu głowy. Spędziła popołudnie na przyjmowaniu towaru. Magazyn na tyłach był maleńki i zawsze gdy przebywała w nim za długo, dostawała bólu głowy, który mijał po drodze do domu. Dzisiaj jednak tak się nie stało.

Przeszukała dokładnie szafkę, w której trzymała lekarstwa, i uświadomiła sobie, że skończyły się jej Tylenol i Advil. Znalazła tylko stare środki przeciwbólowe na receptę, które przepisał jej kiedyś lekarz, gdy naciągnęła sobie mięsień w ramieniu podczas dekorowania wystawy. Połknęła dwie tabletki, popijając szklanką wody. Wzięła podwójną dawkę, lecz skoro napis na opakowaniu mówił, że przydatność do spożycia upłynęła pół roku temu, to Ruby wydawało się, że ich działanie będzie słabsze.

Przez całą drogę do Fulham grzęzła w korku, który zawsze tworzył się w godzinach szczytu. Do tego straciła dziesięć minut, stojąc w kolejce w Patisserie Valerie. Na szczęście przynajmniej ból głowy minął. Mimo przeszkód pojawiła się u Fi tuż po piątej. Choć nieznacznie spóźniona, Ruby martwiła się, że ceremonia zacznie się bez niej, a Bridget, przez nikogo niepilnowana, pokaże pazury. Nienawidziła spóźniania się i skupiania na sobie uwagi wszystkich gości.

Zaparkowała i ruszyła sprintem ku wejściu. Biegła na tyle szybko, na ile pozwoliły jej różowe, zamszowe szpilki na obcasach. Tuż przed drzwiami zatrzymała się, by wyłączyć komórkę. Kiedy wreszcie wygrzebała ją z torebki, okazało się, że szukała niepotrzebnie - telefon miał rozładowaną baterię.

Drzwi były otwarte. Ze środka dobiegał szmer rozmowy, co oznaczało, że ceremonia jeszcze się nie rozpoczęła. Ruby westchnęła z ulgą i przestąpiła próg niewielkiego domku. Z

miejsca uderzył ją zapach smakołyków. Poprzez tłum gości, jaki zgromadził się w salonie, zdołała dojrzeć bufet w sąsiednim pomieszczeniu. Stół ugiął się pod stertami bajgli, półmiskami pełnymi wędliny, wędzonego łososia, śledzi i sałatek.

Na pierwszy rzut oka wydało jej się, że pokój pełen jest podstarzałych żydowskich krewnych. Kruche, przygarbione staruszki z włosami jak z waty cukrowej i powiekami we wszystkich kolorach tęczy witały się z jegomościami w podeszłym wieku w beżowych kurtkach i kapeluszach borsalino. Dobięły ją strzępki rozmów, głównie na temat obfitości jedzenia i tego, jak długo jeszcze trzeba będzie czekać na herbatę.

Rodzice Saula stali po drugiej stronie salonu, próbując z marnym powodzeniem zająć Bena diabełkiem wyskakującym z pudełka. Zauważyli ją i pomachali na powitanie. Ruby doszła do wniosku, że przedarcie się przez tłum będzie niemożliwe, więc odmachnęła im i wypowiedziała bezgłośnie mazel tow.

Po chwili zauważyła także kilkoro krewnych Fi. Poznała ich po tym, że czuli się niepewnie i sprawiali wrażenie zakłopotanych. Było jasne, że nigdy wcześniej nie uczestniczyli w ceremonii obrzezania i nie wiedzą, czego się spodziewać.

Nigdzie nie dostrzegła Fi, Saula i malucha. Uznała, że są jeszcze na górze, a przyjaciółka ma wątpliwości.

Choć zawsze twierdziła, że teoretycznie nie ma nic przeciwko obrzezaniu, sam zabieg ją przerażał. Ruby przypomniała sobie, jak na kilka minut przed zabiegiem Bena Fi wybuchła płaczem, bo czuła się winna, że „uszkodziła maleństwo”, a Bridget jeszcze dolewała oliwy do ognia. Dzisiaj zapewne było podobnie i Saul na górze pocieszał i uspokajał żonę.

Ruby postanowiła poszukać Bridget i upewnić się, że nie wyzwie rabina od pogan, nie rzuci się na niego i nie zacznie dusić go różańcem. Najpierw poszła do kuchni. Jak tylko otworzyła drzwi, zaczepiła ją oryginalnie wyglądająca staruszka. Skóra jej twarzy naciągnięta była do granic możliwości przez liczne liftingi, oczy ginęły spacyfikowane grubą warstwą czarnej konturówki, a usta układały się w rybi pyszczek umazany szminką w kolorze jadowitego rózu.

- Na twoim miejscu bym tam nie szła - z pyszczka wydobył się głos z ciężkim amerykańskim akcentem. - Babcia wykopała wszystkich za drzwi, bo usypia wnusia. Bóg jeden wie po co, za chwilę będzie miał koszmarne przebudzenie! - zaśmiała się kobieta, poruszając pyszczkiem, jakby coś żuła, co upodobiło ją do egzotycznej ryby. - Tamte marynaty na stole wyglądają nieziemsko pysznie, co nie? A ja jestem specjalistką od koszernych przetworów. Mój mąż, Buddy...

- Przepraszam, nie chcę być niegrzeczna - zdołała wtrącić Ruby - ale muszę porozmawiać z babcią Connora.

- Nie wyobrażaj sobie, że się ucieszysz na twój widok. Mówiąc między nami, to jest z niej obrzydliwa stara purchawa.

- Nie jest taka zła, kiedy się ją lepiej pozna - uśmiechnęła się Ruby i otworzyła drzwi do kuchni.

Położyła ciasto z Patisserie Valerie wśród innych wypieków przyniesionych przez gości.

Bridget, która nie usłyszała wchodzącej Ruby, stała przy zlewie, ubrana w ten sam czarny kostium, który miała na sobie w dniu ślubu najmłodszej córki. Stała tak z dzieckiem na ręku, a główka Connora znajdowała się tuż obok kranu, z którego ciekła woda.

- Connorze Declanie Weinberg, chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. - Mówiąc te słowa, Bridget nabrała w dłoń wody i polała główkę małego. Niemowlę wydało z siebie krótki, niezadowolony pisk.

Ruby zasłoniła sobie usta, by nie wybuchnąć śmiechem.

- O Boże - mruknęła pod nosem - babcia chrzci go w zlewie. - Już dobrze, kruszynko - uspokajała Bridget, wycierając głowę dziecka ścierką do naczyń, po czym zasypała je pocałunkami. - To nic w porównaniu z tym, co mają zamiar zrobić ci barbarzyńcy. Moje najdroższe biedactwo... Chcą skrzywdzić moje biedactwo... - mówiąc to, odeszła od zlewu i spostrzegła Ruby.

- Fi nie zgodziła się, żeby przyszedł ksiądz i go ochrzcił - powiedziała z wyrzutem, tuląc niemowlę do piersi - więc postanowiłam zrobić to sama.

- Doskonały pomysł - odparła Ruby, rozglądając się. Kuchnia wyglądała zupełnie inaczej niż podczas jej ostatniej wizyty - panował w niej idealny porządek. Prawdopodobnie było to zasługą Bridget. Wyobraziła ją sobie, jak krąży po domu ze szmatką i proszkiem do szorowania, mrużąc, że ten brak higieny woła o pomstę do nieba.

- Musiałam to zrobić - szepnęła porozumiewawczo do Ruby - na wypadek gdyby rabinowi omsknął się nóż i zabiłby maleństwo. Nie chciałam, by jego duszyczka poszła do czyśćca.

Ucałowała dziecko po raz kolejny i położyła je w leżaczku. Mimo przebytego przed chwilą chrztu Connor zaczął zasypiać.

Ruby nie chciała wdawać się w dyskusję, czy rzeczywiście dobry Bóg dopuściłby do tego, by dusza niewinnego dzieciątka pokutowała w czyśćcu. Bridget podeszła do lodówki i wyjęła butelkę szampana.

- To niby na później, ale i tak jest go pełno. Leży w kubku z lodem w salonie, a ja potrzebuję czegoś mocniejszego, żeby uspokoić nerwy. Napijesz się ze mną?

Ruby nie była z tych, co odmawiają kieliszka szampana.

- Z przyjemnością - odpowiedziała, zapominając, że przed godziną zażyła silne środki przeciwbólowe, których nie należy mieszać z alkoholem.

Korek wystrzelił, a dziecko gwałtownie poruszyło się przez sen. Kiedy Bridget napełniała kieliszki, Ruby wymyślała temat rozmowy, który odwróciłby jej uwagę od obrzezania.

- Słyszałam, że byłeś w Vancouver? Jak ci się tam podobało? - spytała, przypominając sobie, że Bridget odwiedziła niedawno siostrę Fi.

- Ach - zachwyciła się staruszka - co to za miasto! W dzień możesz pływać w zatoce, a wieczorem jeździć w górach na nartach! A jakie mają jedzenie! Z reguły nie spożywam dużo czerwonego mięsa, bo szkodzi na reumatyzm, ale raz poszliśmy na kolację do takiego baru szybkiej obsługi... Nazywa się Vera. Uwierz mi, nigdy nie kosztowałam takiego mięsa.

- Naprawdę takie smaczne?

- Nie do wiary. Zamówiłam cheeseburgera, a zięć Veraburgera, był bez dodatków. Ja wolę na burgerze kapkę roztopionego serka - tylko żeby się nie ciągnął. Ale do rzeczy - po prostu rozpływał się w ustach.

- Ho, ho!

- Palce lizać. Miękki, ale nie surowy. Nie lubię niedosmażonych - można złapać jakąś bakterię.

- Bardzo rozsądnie.

- A jakie frytki, równiusieńko przyrumienione...

Mama Fi dołała sobie szampana. Jeszcze przed kwadransem utyskiwała, na czym świat stoi. Teraz rozpływała się nad zaletami kanadyjskiej opieki zdrowotnej, kanadyjskiego systemu podatkowego i kanadyjskiego wszystkiego. Ruby zerknęła ukradkiem na zegarek i zastanowiła się, dlaczego nie zaczynają. Może Fi się rozmyśliła? Lecz w tym samym momencie przyjaciółka weszła do kuchni. Na jej twarzy malował się wyraz ulgi.

- Gdzie ty się podziewasz? - spytała Fi. - Wydzwaniam do ciebie całe popołudnie, ale telefon nie odpowiada. Dostałaś moją wiadomość?

- Nie, bo bateria...

- No dobra. Nigdy w to nie uwierzysz! - przerwała jej, machając rękami. - To nie - sa - mo - wi - ty zbieg okoliczności!

- Ale co? - dopytywała się Ruby. Wyczuła, że przyjaciółka jest podekscytowana. Mimo entuzjastycznego zachowania dostrzegła w jej oczach niepokój. Wydawało jej się, że Fi próbuje namówić ją do czegoś, na co nie będzie miała ochoty, i ta zdaje sobie z tego sprawę.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie spodoba mi się to, co masz mi do powiedzenia?

Fi głośno przełknęła ślinę.

- No dobra, przyznaję, że na początku możesz poczuć się dziwnie. Ale będzie dobrze, zobaczysz. Proszę, nie wstydz się ani nie gniewaj...

- No wykrztuś wreszcie. Dlaczego mam się nie gniewać? Bridget otulała Connora kocykiem i niezbyt uważnie przysłuchiwała się słowom córki.

- Jak ma się nie gniewać, skoro zaraz tu będą kaleczyć kruszynę?

Fi przewróciła oczami.

- Mamo, błagam, przestań. Jeszcze tego mi brakowało! Benowi nic się nie stało, to Connor też jakoś wytrzyma. Nie mówmy o tym więcej.

Bridget teatralnie westchnęła.

Do kuchni wszedł Saul. Teściowa rzuciła mu mordercze spojrzenie. On zrewanżował się miłym uśmiechem. Ruby nie wiedziała, czy była to oznaka triumfu, czy pogodnego usposobienia. Chyba to drugie, znając Saula.

- Rabin czeka - oznajmił. Pomachał do Ruby i powiedział: - Pogadamy później.

Fi zaoponowała.

- Jeszcze chwilka. Powiem jej tylko, co się dzieje. Nie odsłuchiwała poczty głosowej.

- Przepraszam, wiem, że to ważne, ale musi poczekać - nalegał Saul. - Rabbi Sherman ma dziś jeszcze dwa obrzezania i już jest spóźniony. A ciocia Fredzia dostanie zapaści cukrzycowej, jeśli za chwilę nie napije się słodkiej herbaty.

- Daj jej placaka z serem. To nie zajmie mi więcej niż dziesięć sekund.

- Fi, błagam. Rabin mówi, że jego lekarstwo na Parkinsona zaraz przestanie działać. To na pewno żart, ale nigdy nie wiadomo... Naprawdę, już czas, żebyś przyniosła Connora.

- No niech ci będzie - poddała się. Wzięła na ręce dziecko i wyszła z kuchni. - Nie złość się na mnie - rzuciła Ruby na odchodnym. - Próbowałam cię uprzedzić.

- Tak, tak, ale przed czym? Bo zacznę panikować... - powiedziała, ale Fi już nie było.

RUBY SPYTAŁA Bridget, o co chodziło jej córce, ale ta nie miała bladego pojęcia.

- Na twoim miejscu, kochanie, nie zwracałabym na to uwagi. To przez tę burzę hormonów po porodzie. Robi z igły widły.

Ruby nie była tego wcale taka pewna. Jakiś czas później, kiedy zakręciło się jej w głowie, zwała winę na szampana i podenerwowanie. Kiedy wstawała od stołu, wydawało jej

się, że traci kontrolę nad górną częścią ciała. Gdy oparła się o stół, żeby odzyskać równowagę, zdała sobie sprawę, że może to nie przez nerwy, ale przez lekarstwa, które zażyła w domu. A co jeśli z biegiem czasu ich działanie wcale nie słabnie, lecz wręcz przeciwnie? Brakuje tylko tego, żeby zrobiła z siebie widowisko na oczach gości. Jeszcze wszyscy pomyślą, że się upiła. Fi nigdy jej tego nie wybaczy!

- Nie wolisz tu poczekać? - Ruby spytała Bridget, która łkała i co chwilę czyniła znak krzyża. Miała nadzieję, że bojkotująca obrzęd wdowa będzie wolała pozostać w kuchni i uniknąć drastycznej sceny. Ruby chętnie posiedziałyby razem z nią przy stole, może wtedy jakoś by doszła do siebie.

Niestety, matka Fi nalegała, żeby pójść do salonu.

- Nie zostawię niewinnego maleństwa samego na pastwę tych bezbożników! Będę je wspierała moralnie i duchowo. Może na mnie liczyć!

Zaczęła zbierać się do wyjścia, a Ruby, rada nierada, musiała podążyć za nią. Bridget pojęcie „wspierać” rozumiała dosłownie, bo przebiła się przez krąg gości, by być jak najbliżej chłopca i patrzeć rabinowi na ręce. Stała przy nim, obok Saula i jego brata, który trzymał dziecko. Fi, tak jak poprzednim razem, nie mogła patrzeć na zabieg i trzymała się z tyłu, razem z teściową.

Ruby była tak zaabsorbowana własnym samopoczuciem i obowiązkiem uważania na Bridget, że nie zwracała uwagi na ludzi wokół siebie. Więcej słyszała, niż była w stanie dostrzec. Dobięł ją głos Bridget wzywającej na pomoc Matkę Przenajświętszą, aby „powstrzymała pogan, którzy chcą zrobić krzywdę biednemu dziecięciu”. Jeden z braci Fi poradził jej, żeby trzymała dziób na kłódkę, bo to, co jest dobre dla rodziny królewskiej, dobre jest i dla nich.

Następnie rozpoczęto modlitwę i ludzie zaczęli uciszać Bridget. Odpowiedziała im głośnym szlochem.

Na domiar złego, oprócz zawrotów głowy po mieszance lekarstw i szampana, Ruby zaczęło robić się niedobrze na myśl o tym, co zaraz stanie się z Connorem. Niestety, matka Fi zaciągnęła ją w poblizze miejsca, w którym rabin miał poddać dziecko obrzezaniu.

Kiedy dostrzegła bezradnie fajtające gołe nóżki dziecka, które sprawiało wrażenie kurczaka idącego na rzeź, poczuła się jeszcze gorzej. Zamknęła oczy, by nie widzieć, co będzie dalej. Usłyszała przeszywający krzyk niemowlaka. Goście zaczęli się pozdrawiać, brat Fi podał Bridget leczniczą szklaneczkę whisky, a Ruby stała w miejscu, jakby została przyśrubowana do podłogi. Serce jej tłukło się głośno, na czoło wystąpił pot i czuła, że zaraz albo zemdleje, albo zwymiotuje, albo jedno i drugie. Uświadomiła sobie, że nie jest w stanie

temu zapobiec. W głowie zaczęło jej się kręcić, jakby jechała karuzeli, a pokój zrobił się niebieski. Miała wrażenie, że nogi się pod nią uginają.

- A, mam cię! - powiedział męski głos. Wydawał się dobiegać z daleka. Poczula, że ktoś wziął ją pod pachy.

- Musisz się położyć. - Ktoś podniósł ją i położył na kanapie. Następnie jej stopy wsparł na poduszkach.

- Taka pozycja jest dobra na krążenie - powiedział. Jego głos sprawił, że prawie odważyła się otworzyć oczy. Kiedy zobaczyła, że obraz dziwnie się rozmywa, zamknęła je z powrotem.

- Boli cię coś, Ruby? - spytał jej wybawca. Potrząsnęła przecząco głową.

- Dobrze. To znaczy, że tylko zemdlałaś. Zaraz poczujesz się lepiej.

Zaniepokojeni goście zaczęli zbierać się wokół sofy. Ten sam głos poprosił, by się odsunęli, bo tamują przepływ powietrza. Jako że podano herbatę, nie trzeba było powtarzać tego dwa razy.

- Fi mówiła, że przyjdiesz, rozglądałem się, ale nie poznałem cię z upiętymi włosami.

- Trzymał ją za nadgarstek i mierzył puls. - Nie znosisz widoku krwi? A może nic nie jadłaś przez cały dzień?

Ruby zdołała wymamrotać, że omyłkowo popiła środki przeciwbólowe szampanem.

- Steś lekarz? - plątały jej się słowa. Choć czuła się trochę lepiej, skutki uboczne spożytego koktajlu przybierały na sile.

- Tak. Ruby, otwórz oczy i zobacz, to ja...

- Kąs wiszjakmi naminie?

- To ja...

- Jaja? Jakieja? - zachichotała. - Śmiesznie, mówi pomerykańsku. Snamgoskąś. Nie wim.

- Jestem z Ameryki - powiedział głos. - No proszę, otwórz oczy, zobaczysz, że mnie...

- Nie. Jakotwiera, wszystko pływyyyywa - dostała czkawki i zakryła ręką oczy, jakby bała się, że otworzy je na siłę. - Spotkałam Amerykana. Takiego doktora, wczoraj. Gine... ginekulek - czknięcie. - Tak, ginekulek.

Kiedy Ruby wypięła za wiele, robiła się gadatliwa i kompletnie nieprzewidywalna. Trudno ocenić, jak bardzo te cechy potęgują się przy mieszance alkoholu z lekarskami.

- Ale wracając. Chce ze mną chodzić. Do kina albo do teatru. Właściwie już nie chce, bo byłam niegrzeczna w tefelon. Myślałam, że chdzić z kulkiem to obrzydliwe. Wiesz, na co oni się gapią cały dzień?

- Wyobrażam sobie.

- Alesię chyba namyślię - zachichotała. - Chono tu! Coćci powiem. - Usiadł na brzegu kanapy. - Choćchoć. - Nachylił się nad nią.

- Nie powiesz nikomu?

- Obiecuję.

- To prywatna sprawa.

- OK.

- Było tak - czknięcie. - Szłam do kontroli. I Baryła znalaznaczek u mnie, w prywatnej sprawie, to jesstrefie, rozumiesz. Opowiadałam Fi - mamie Connora - o całej stefie, to jessprawie, i on stał obok i posłuchał. Wszystko posłuchał.

- Aha. Pewnie było ci wstyd.

- Wstrętnie wsromotnie wsamejrzeczy wstyd. Ale wymyśliłam coś. Ze to kawał, wymyślam kawały i mówimy z Fi oczymś innym. Śnięty kawał, nie?

- Sprytnie.

- Widziś - czknięcie. - Ale jesteras kłopot. Jak będziemy ze sobą chodzić, choćby do kina, muszę mu powiedzieć, jak to naprawdę było, a to byłoby, byłoby...

- Upokarzające. - Właśnie. Byłoby.

- Ale on to na pewno zrozumie.

Teraz bez wątpienia się z niej podśmiewał, ale była za bardzo nabuzowana swoim koktajlem, żeby to zauważyć.

- Muślisz?

- Ależ tak, jak najbardziej, bez wątpienia i dwóch zdań. Ten pan musi mieć poczucie honoru, znaczy, humoru.

- Kto wie. A ty jakim jesteś lekarzem?

- Też jestem ginekulkiem.

- Też ginekulek, co za zbieg okoliczności! Minomi cie posłać! - rechotała z własnego żartu. - Posłać, znaczek, rozumiesz?

- Ale śmieszne, cha, cha, cha - grzecznie zareagował.

- A teraz powiedz mi coś. Fi mówi, że ginekulogi są wspaniali w łóżku, bo mają, znaczy, znaczek, znają tyle kobiet. Nie spała z nimi. Ale mówi, że umieją tak pomajstrować. Jak myślisz? Umiesz majstrować? W skali od jeden do dziesięciu ile byś sobie dał? - wybuchnęła śmiechem. - Tak, przynajmniej, nie, przynajwięcej jedenaście, a za ten seksowny głosik to dwanaście - rechotała.

- Pochlebiasz mi.

- Nie, skąd. A tak w ogóle to jak masz na imię?

- Sam.

- No nie - zachichotała. - Żartujesz.

- Skąd, naprawdę mam na imię Sam.

- Ale ten ginekulek z Luke to też Sam. Same Samy, nie mogą! Dwa ginekulki z Ameryki takie same! Dziwne.

Odpowiedziało jej wymowne milczenie.

- A jak masz na nazwisko, ginekulku?

- Epstien.

Ruby zaniósł się śmiechem:

- No pewnie, bardzo śmieszne, Epstien!

- Ruby, bardzo cię proszę, otwórz oczy. To naprawdę ja, Sam Epstien.

- Nie rób mnie w konia - powiedziała, zdejmując rękę z oczu i unosząc głowę. - Jak na litość boską... - Powoli obraz nabierał ostrości. Widok Sama siedzącego obok niej natychmiast ją otrzeźwił. Zerwała się gwałtownie z kanapy, jakby w jej ciało wmontowano sprężynę. Otworzyła szeroko oczy.

- Matko Boska! - szok sprawił, że sprężynka puściła i Ruby znów leżała na łóżku. - Jak to możliwe... Co ty tu... - Jej serce tłukło się głośno, nie mogła przełknąć śliny - I to wszystko, co ja tu mówiłam, o łózkach i gine...

- ...kulkach - podrzucił usłużnie.

- O Matko! O Boże! - Zatkaną sobie usta ręką. W tej chwili podeszła do nich zaaferowana Fi z Connorem

w objęciach. Chłopczyk spał słodko. Po ceremonii uspokojono go, podając mu łyżeczkę koszernego wina.

- Wszystko w porządku, Ruby? Nie martw się, nie tobie jednej zrobiło się słabo. Mama Saula też źle się poczuła. - Mówiąc to, ucałowała główkę dziecka, które lekko poruszyło się przez sen.

Sam ulotnił się, by przynieść Ruby szklankę wody.

- Powiedz, widok Sama musiał cię nieźle zaskoczyć?

- W pewnym stopniu - brzmiała pełna godności odpowiedź Ruby.

- Przepraszam, nie powinnam była dać się Saulowi zagadać, mogłam uprzedzić cię od razu. Co za zbieg okoliczności, prawda? Pamiętasz, jak mówiłam ci o amerykańskich krewnych Saula - jak im tam - Buddym i Irene, tych królach marynat? Nazywają się Epstien, nie Epstein, jak mi się zdawało. Sam jest kuzynem Saula, czy to nie niesamowite?

- Nie przesadzaj - wycodziła Ruby przez zęby. - Takie rzeczy często się zdarzają.

Rozdział 9

Bridget, która uznała, że żaden lekarz nie będzie jej rozkazywał, postanowiła podać Ruby zamiast wody posłodzoną herbatę. Po dwóch filiżankach cieczy tak gęstej, że można było w niej postawić łyżkę, Ruby zdecydowała się na powrót do domu. Fi, która dowiedziała się i o mieszaniu alkoholu z medykamentami, i o okropnej rozmowie z Samem, nie chciała pozwolić, żeby przyjaciółka w takim stanie siadała za kierownicą. Kiedy ta upierała się, że pojedzie własnym autem, Fi pobiegła szukać teścia, by poprosić go o odwiezienie Ruby. Wtedy pojawił się Sam.

- Ruby - powiedział - naprawdę nie wolno ci prowadzić.

- Czy nikt pana nie nauczył, że to nieładnie podsłuchiwać cudze rozmowy? - wycedziła Ruby przez zęby. Wciąż była na niego wściekła za to, że zabawił się jej kosztem.

- Przepraszam, usłyszałem niechcący. Mówiłyście bardzo głośno. Fi naprawdę ma rację. Wybij sobie z głowy prowadzenie wozu z tym, co ci teraz krąży w żyłach. Jeśli nie masz nic przeciwko, ja - Sam - chętnie cię podrzucę.

- Wielkie dzięki. Wolę wezwać taksówkę.

Ruby zdawała sobie sprawę z tego, że jest wściekła nie tylko na Sama. Była zła także na siebie - nie, nie z powodu zemdlenia, tylko dlatego że przyznała się do mieszania lekarstw z alkoholem. Będzie miał ją teraz za nieodpowiedzialną kretynkę, zbyt roztrzępaną, by rzucić okiem na przeciwwskazania na ulotce.

Wstała z kanapy i wyprostowała plecy, by wyglądać tak odpowiedzialnie i godnie, jak to tylko możliwe w obecnej sytuacji. Niestety, pokój znów zaczął wirować przed oczami i zwała się na sofę jak kłoda. Która jednak kłoda zawstydziałaby się tego, że podwinęła jej się spódnica, odsłaniając uda?

- Nie przejmuj się, zaraz poczujesz się lepiej - uspokajał Sam. - Po prostu za szybko wstałaś.

Prędko zakryła nogi i zauważyła, że odzyskuje ostrość widzenia.

- Posłuchaj, musisz sobie odpuścić resztę uroczystości. Powrót taksówką też nie jest dobrym pomysłem. Może ci się znowu zrobić słabo. Ktoś powinien przy tobie być na wszelki wypadek.

- Dzięki za troskę, ale dam sobie radę.

- Przepraszam, za bardzo pouczam. To z przyzwyczajenia, lekarzom wchodzi to w nawyk. Masz rację, poradzisz sobie w taksówce.

Kiedy zobaczyła, że Sam odwraca się i odchodzi, zrobiło jej się przykro.

- Zaczekaj - zawołała. - Ja też przepraszam. Zachowałam się paskudnie i nawet ci nie podziękowałam. Wiem, że chciałeś jak najlepiej.

- Wkurzasz się na mnie, że cię prowokowałem do gadania. I trudno się dziwić. Nie miałaś pojęcia, co się dzieje, a ja to wykorzystałem. Zachowałem się wstrętnie i bardzo, bardzo cię przepraszam. Wybaczysz mi?

Po jego potulnym wyglądzie Ruby poznała, że naprawdę się kaja. Raczyla posłać mu skąpy, niechętny uśmiezek

- Niech ci będzie, ale żeby mi to było ostatni raz. Ja zresztą też chciałabym za coś przeprosić - że tak cię zbyłam wtedy przez telefon. Zadzwoiłeś akurat w samym środku bardzo ważnej rozmowy. Chanel, która ze mną pracuje, dowiedziała się, że nie będzie mogła mieć dzieci. Przyszła właśnie z mężem i...

- Przykro mi to słyszeć. Nie byłaś wcale nieprzyjemna, chciałem później jeszcze raz zadzwonić, ale w szpitalu zrobił się straszny młyn i przez kilka ostatnich dni nie miałem na nic czasu. Dopiero wczoraj wszystko mniej więcej wróciło do normy.

- OK. I jeszcze jedno. Wstyd mi, że nakłamałam wtedy o znaczku. To było głupie. Niepotrzebnie wyskoczyłam z tym skeczem, ale wstydziłam się okropnie. Poznałeś, że zmyślałam?

- No. Stałem za tobą w kolejce jakąś chwilę i słyszałem wszystko, co mówiłaś do Fi.

- O rany - jęknęła, zakrywając twarz rękoma. - To wiesz o znaczku i tak dalej?

- Tak jakby. - Widać było, że jest zakłopotany i żał mu Ruby. - Wiesz co? Zawrzyjmy umowę. Z miejsca zapominamy o wszystkim, tak jakby historia ze znaczkiem nigdy się nie wydarzyła, i zaczynamy wszystko od początku.

Spojrzała na niego niepewnie, wpatrując się w granatową marynarkę z kaszmiru i koszulę w kolorze lawendy.

- Sama nie wiem...

- Jak to nie wiesz? Nic prostszego, posłuchaj: Dzień dobry. Nazywam się Sam Epstein i jestem kuzynem Saula. Mamy piękną pogodę, nieprawdaż? - uśmiechnął się szeroko.

- Dzień dobry, Ruby Silverman, przyjaciółka Fi, znamy się od niepamiętnych czasów. Rzeczywiście, słońce tak pięknie świeci, nieważne, że jest już wieczór.

- Mam wrażenie, że nie czułaś się wcześniej najlepiej? Jestem lekarzem, czy mogę jakoś pomóc?

- Bardzo dziękuję, już mi lepiej, ale nie zaszkodzi, jak odwieziesz mnie do domu.

- Trudno o większą przyjemność. Pani przodem - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

OKAZAŁO SIĘ, że Sam wcześniej obiecał podwieźć wujostwo - Buddy'ego i Irene - do hotelu w Kensington.

- Podrzucimy ich po drodze, dobrze?

Ruby odpowiedziała, że oczywiście. Zorientowała się, że Irene to pani rybka z liftingiem, która próbowała powstrzymać ją przed konfrontacją z Bridget. Buddy okazał się opasłym łysołkiem z obficie pocącą się głową. Kiedy przedstawiali się sobie nawzajem, Sam wyjaśnił, że od czasu kraksy samochodowej w 1996 roku, w której zginęli jego rodzice, wujostwo mu ich zastępują.

- Nie wyobraża sobie pani, jak przepadam za tym chłopcem! - wyznała Irene, ściskając Ruby za rękę. - Mamy trzy córki, a Sam jest dla nas jak wytęskniony syn.

- I do tego taki zdolny, po prostu nie do wiary - dodał Buddy. - Sam, czy mówiłeś Ruby, że ukończyłeś studia z wyróżnieniem?

- Eeee, jeszcze do tego nie doszliśmy. - Sam poróżnowiał jak prosiak. Ruby wyobrażała sobie, co czuł. Za każdym razem, gdy jej rodzice urządzali przyjęcie, ciocia Sylvia ściągała na nie znajomych, którzy mieli syna w jej wieku, po czym zaciągała protestującą dziewczynę na drugi koniec salonu i przedstawiała: „Moja siostrzenica, Ruby. Czyż nie jest śliczna? W dodatku w szkole miała same piątki, zdała maturę z wyróżnieniem i pięknie gra na fortepianie”.

Wszyscy czworo wsiedli do samochodu Sama - wujostwo z tyłu, Ruby obok kierowcy.

- Wiesz co - zaczęła Irene. - Te kiszonki były dzisiaj całkiem niezłe.

- Eee, tam. Takie sobie - skrzywił się Buddy.

- Co za „takie sobie”. Naprawdę były dobre.

- Za miękkie, za mało chrupiące. Masz chusteczkę? Jestem spocony jak mysz. Było tam potwornie gorąco - wysapał. - Nie sądzicie, że za bardzo nagrzali?

- Co ty mówisz, Buddy, było w sam raz - zdziwiła się Irene. - Może masz coś z tarczycą, powinieneś się przebadać - poradziła. - Sam, przecież jesteś lekarzem, powiedz wujowi, że musi zbadać tarczycę. Mnie nie słucha.

- To nie takie głupie - odparł Sam, patrząc na Buddy'ego we wstecznym lusterku.

- Nic mi nie jest, przestańcie jojczyć. Było gorąco i tyle.

- Wiesz co, może masz rację z kiszonkami. Ale prezentowały się wspaniale, prawda? Powiedziałam nawet Ruby, że smakowicie wyglądają, czyż nie?

- Tak właśnie powiedziałaś. - Ruby odwróciła się do tyłu i zobaczyła, jak Buddy przeciera sobie łysinę chusteczką.

- Irene, ile razy mam powtarzać, żebyś nie sądziła po pozorach? - zapytał głosem gderliwego nauczyciela, przywołującego ucznia do porządku. - Moja żona zapomina czasami, że jak przychodzi co do czego i trzeba odróżnić wyśmienitą marynatę od takiej sobie, tylko głupek daje się zwieść pięknemu wyglądowi. Nie zrozum mnie źle, Ruby. Wygląd oczywiście ma znaczenie - kolor i konsystencja są ważne. Tak naprawdę liczą się jednak chrupkość i zapach. Dobry ogóreczek jest jak dobry seks. Musi rozpalić zmysły. Zawsze to powtarzam - prawda, Irene?

- Zgadza się, Buddy. - Irene pochyliła się do przodu i poklepała Ruby po ramieniu. - Powtarza to w nieskończoność.

- Cała rzecz w tym - ciągnął jej mąż - żeby właściwie dobrać proporcje cukru i octu. Pomylił się i cała robota na nic. Widywałem chłopów na schwał, profesjonalistów, zajmujących się tym od wielu lat, co płakali jak dzieci, kiedy cała beczka pikli poszła na marne. A zawsze im mówię: pamiętajcie o proporcjach. Cukier i ocet. Prawda, Irene? Nie wolno lekcewa...

- Czym się zajmujesz, Ruby? - przerwała Irene. Ta opowiedziała o sklepie z ubrankami dla dzieci. - I można na tym zarobić? - dopytywał się Buddy. - Nie narzekam...

- Ile wyciągasz w ciągu roku? W takiej dzianej dzielnicy to pewnie i ponad pół miliona, he?

- Buddy! - ofuknęła męża Irene. - Ruby jest obcą osobą, jak ci nie wstyd ją tak maglować?

Buddy wzruszył ramionami:

- Przecież tylko pytam.

- No i jesteśmy na miejscu - ogłosił Sam. Ruby, wdzięczna za odwrócenie uwagi od swojej osoby, odetchnęła z ulgą. Łamała sobie głowę, jak uniknąć dalszego przesłuchania dotyczącego jej spraw zawodowych.

- To już nasz hotel? - zdziwiła się Irene. Ruby odwróciła się i spostrzegła, że poruszała ustami tak samo jak wtedy, gdy spotkały się po raz pierwszy. - Ale szybko dojechalśmy. Strasznie szybko, prawda, Buddy? Pewnie jakbyś próbował przejechać o tej porze mostem Waszyngtona do city, zabrałoby to dwa razy tyle czasu.

- Co tam, trzy razy tyle! Zawsze mówię, że most Waszyngtona w godzinach szczytu to...

- Jeszcze nie wysiadaj - powiedział Sam do wuja. - Leje. W bagażniku mam parasol.

Ruby pożegnała krewnych Sama, życząc im szczęśliwej podróży. Wysiedli, a ona została w aucie - nie dlatego, że bała się zmoknąć; nie chciała po prostu zakłócać ostatniej chwili Sama z rodziną.

- Na pewno nie wejdiesz na górę? - rozczarowana Irene dopytywała Sama. - Z naszego pokoju jest taki wspaniały widok.

- Wierzę, ale powinienem zawieźć Ruby do domu. Bezwzględnie musi odpocząć.

- Jasne, Sam. To ty jesteś lekarzem. - Słyszac to, Ruby opuściła nieco szybciej. - Przystojnym, żydowskim lekarzem. Nie zapominaj o tym - powiedziała Irene, szeroko otwierając oczy w celu podkreślenia swych słów. - Czegóż atrakcyjna dziewczyna na stanowisku może chcieć więcej? - Znowu poruszała ustami jak ryba. - Trzymaj się, Ruby, i spotkajmy się w lecie, wybieramy się z Buddym na Wimbledon.

- Jesteśmy umówione - odparła Ruby.

- SA KOCHANI - powiedziała, kiedy zostali sami.

- Tak, Buddy jest bratem taty, starszym o parę lat, ale bardzo do niego podobnym. To dziwne. Zawsze kiedy patrzę na Buddy'ego, czuję się tak, jakbym widział ducha mojego ojca. Choć nie był taki przemądrzały. Trzeba być w szczególnym nastroju, by wytrzymać te kazania o piklach.

- Nigdy nie straciłam nikogo z bliskich - z wyjątkiem babci, ale była już bardzo stara.

Na twarzy Sama widać było ból.

- Myślę o nich każdego dnia. - Wyjaśnił, że jego rodzice - oboje byli lekarzami - pojechali na wakacje w Alpy francuskie.

Wpadli w poślizg na ostrym zakręcie i zderzyli się z autobusem wycieczkowym, który jechał o wiele za szybko. Nie mieli żadnych szans.

- Tak mi przykro. Nie mogę sobie wyobrazić, jak potwornym przeżyciem musi być utrata ludzi, których kochasz, i to w taki sposób. Musiałeś być wściekły.

- Pewnie, że byłem, ale to nic nie dało. Powoli zrozumiałem, że gniew i ból tracą na sile, i nauczyłem się z tym żyć.

- Może tak - zgodziła się Ruby.

- Słuchaj - zaproponował, gdy stanęli na czerwonym świetle - może byś coś zjadła?

- Skoro pytasz - umieram z głodu. - Popatrzyła na zegarek. Było już po ósmej, a ona nie jadła nic od południa. - U Fi nie dałam rady nic przelknąć, ale teraz przestało mi być niedobrze.

- Co lubisz? Kuchnię włoską? Francuską? Chińszczyznę?

- Nie uwierzysz, ale marzy mi się wieprzowina w sosie słodko - kwaśnym.

- Mniem, miałem nadzieję, że to powiesz.

- Kocham chińskie jedzenie. Wolę je od jakichś tam wyrafinowanych francuskich specjałów. Ma w sobie to coś.

- Glutaminian sodu! - wyrecytowali wspólnie, zaśmiewając się.

Po drodze do Chinatown minęli McDonalda i Ruby wyznała swoją słabość do śmieciowego jedzenia. Parsknął śmiechem i powiedział:

- Nie powinienem tego mówić, szczególnie jako lekarz, ale po zobaczeniu Supersize me poszedłem prosto do McDonalda i pożarłem dwa cheeseburgery.

- Ohyda! Ja zrobiłam to samo, z tą drobną różnicą, że zamówiłam Big Maca. Nie ciekła ci ślinka podczas oglądania tego filmu?

- Strasznie, aż wstyd się przyznać.

Spytała, co z junk food smakuje mu najbardziej.

- Kanapki przełożone frytkami.

- Z keczupem czy z majonezem? - dopytywała się Ruby.

- Jasne, że z keczupem, po co pytać?

- Keczup wydaje się oczywistością, ale daj szansę majonezowi. Zobaczysz, że bije keczup na głowę. To zestawienie jest bardzo wyrafinowane.

- Co ty powiesz?

- Sam spróbuj.

Przez następne dwadzieścia minut pławili się w smakowitych opowieściach o daniach z barów szybkiej obsługi i innych zakazanych przysmakach. Okazało się, że łączy ich słabość do gotowych ciast z supermarketu z dwuletnim terminem przydatności do spożycia oraz do przekąsek z dworcowych automatów.

- A prażynki? Pamiętasz prażynki? - rozmarzył się Sam, ona zaś zachwyciła się smakowitym brzmieniem tego słowa. To była ostra piłka.

- Szaleję za nimi. To tłuszcz zapewnia im ten niepowtarzalny aromat. Wiesz, za czym jeszcze przepadam? Robię osobiście wymyśloną przekładankę. Opiekam kromkę pieczywa testowego, smaruję masłem i Marmite, a na to kładę porcję gotowego spaghetti z puszki. Nakrywam drugim tostem i gotowe.

- Cudo, czy mogę zanotować przepis? Nie rozumiem tylko waszej słabości do Marmite. Jak możecie jeść to czarne paskudztwo o zapachu przypalanej gumy? Skłonność tubylców do cuchnących produktów mięsnych mnie przerasta.

Ruby wytłumaczyła mu jego pomyłkę, mówiąc, że mięso zawiera Bovril, Marmite natomiast jest niewinną pastą otrzymaną z drożdży.

- Zresztą jak możesz nam coś zarzucać? Sam pochodzisz z kraju, który miał czelność wymyślić południową sałatkę z gruszek. Jak ktoś przy zdrowych zmysłach może wymieszać te owoce z majonezem i żółtym serem?

Rozpoczęła się licytacja narodowych obrzydliwości. Sam postawił na szali węgorza w galarecie, co Ruby bez wysiłku zrównoważyła amerykańskim serkiem topionym w plasterkach. Rozgrywka trwała aż do momentu, gdy ogłosili remis, przeciwstawiając szkockiej kiszce smażonej amerykański peklowany świński ryj.

Kiedy dotarli do restauracji, Ruby skonstatowała, że od wieków nie uśmieła się tak jak dziś. A już na pewno od czasów zerwania z Mattem.

Usiedli, a kelner zapytał, co przynieść do picia. Sam zdecydował się na piwo, Ruby natomiast wołała poprzestać na wodzie mineralnej.

- Ktoś mi mówił, że kiedyś ta knajpa była znacznie większa, ale sprzedali jej część zakładowi pogrzebowemu tuż obok. To trochę dziwne - chińska restauracja zamienia się w zakład pogrzebowy. Odbiera apetyt, co? - słysząc to, Ruby prawie spadła pod stół ze śmiechu.

Gawędzili i żartowali tak długo, że kelner trzykrotnie musiał pytać, co zamawiają, zanim wybrali wreszcie potrawy z karty.

Przeglądając menu, Ruby zaczęła się zastanawiać, czy Sam należy do ulubionego przez nią gatunku „częstowaczy”. W restauracjach włoskich i francuskich nie wypada podjadać z cudzego talerza (najwyżej po wyraźnej zachęcie spróbować niewielki kęsek): w chińskich i hinduskich natomiast jak najbardziej. W ten sposób za jednym zamachem można było spróbować kilku potraw. Od czasu do czasu jednak Ruby trafiała na osobników, którzy nie znali tej reguły lub, co gorsza, nie akceptowali jej.

Dawno temu wpadła na to, że niechęć do dzielenia się jedzeniem brała się nie tyle z egoizmu, ile ze skąpstwa. Niektórzy bali się, że jeśli pozwolą współbiednikom próbować własnej potrawy, w rezultacie zostaną im do zjedzenia rybie pyszczki i kurze łapki, a na dodatek będą musieli za tę przyjemność bulić, więc na wszelki wypadek od razu łapali za swój talerz i budowali wokół niego Wielki Mur za pomocą szklanki piwa, solniczki, buteleczki z sosem i wazonika z nieśmiertelnym goździkiem.

Jak dotąd, nie podejrzewała Sama, że mógłby okazać się przeciwnikiem częstowania, ale nigdy nie da się tego przewidzieć.

Kiedy przyniesiono jedzenie, zauważyła, że zaczął się ociągać z nałożeniem sobie porcji na talerz. Poczęstowała go swoją wieprzowiną w sosie słodko - kwaśnym.

- Lubisz się dzielić - ucieszył się i widać było, że odetchnął z ulgą. Biorąc talerz, powiedział: - Martwiłem się, że może nie przywykłaś do częstowania innych. W szpitalu

pracuje dwóch takich gości - za każdym razem, kiedy wychodzimy zjeść chińszczyznę, budują sobie barykady wokół talerzy. Tu postawią piwko, tu sos sojowy...

- ...a tutaj wazonik z goździkiem - weszła mu w słowo.

- Znasz to?

- Doświadczenie przeze mnie przemawia.

Niemal skończyli jeść, kiedy przy stoliku obok zasiadło dwóch grubasów w średnim wieku. Sam siedział tyłem do nich, lecz Ruby, która miała miejsce na wprost, zauważyła, że raz po raz spoglądają na nią. W pierwszej chwili pomyślała, że może usmarowała się sosem, a Sam jest zbyt uprzejmy, by zwrócić jej uwagę. Na wszelki wypadek otarła usta chusteczką, lecz mężczyźni obserwowali ją nadal. Zaczęli się śmiać. Nadstawiła uszu i po chwili skojarzyła, że mówią po niemiecku. Znała ten język ze szkoły, miała z niego całkiem dobre oceny. Teraz już trochę pozapominała. Nasłuchiwała dalej.

- Sie hat Melonen, nicht wahr? - powiedział ten tłuściejszy. Zarechotał i rozwarł palce, jakby chciał zważyć w dłoniach dwa dorodne owoce.

- Nein, Zitronen - ocenił drugi.

- Orangen, vielleicht?

Sam zamachał dłonią przed twarzą Ruby, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Znowu ci słabo? - spytał.

- Nie, dobrze się czuję. Przepraszam, na chwilę odpłynęłam.

Próbowała skupić się na rozmowie, lecz uparcie zerkała w stronę mężczyzn i nasłuchiwała, co jeszcze powiedzą. Sam odwrócił się, by zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę.

- Takie sobie gostki. Rozmawiają po niemiecku, prawda?

- Tak. I mówią o mnie.

- O. A co takiego? Zawahała się.

- No dalej, co takiego powiedzieli?

- OK. - Wzięła głęboki oddech. - Szanowni panowie komentują rozmiar moich piersi.

- Co? Nie przestyszałaś się?

- Na pewno nie. Przyrównują je do owoców i nie mogą się zdecydować, czy to melony, cytryny, czy może pomarańcze.

Ruby przyzwyczajona była do tego, że czasem gwizdali za nią robotnicy na budowie, wykrzykując zaczepne komentarze o jej biuście, który oscylował między rozmiarem C a D. Nic sobie z tego nie robiła, ale czym innym były niewybredne uwagi facetów siedzących obok niej w restauracji.

- Dobra - oświadczył Sam gotowy do działania. - Zostaw to mnie.

- Nie, nie wstawaj - syknęła, łapiąc go za rękę. - Sama to załatwię.

Oto miała sposobność, by udowodnić mu, że potrafi dać sobie radę i nie jest roztrzepanym idiociątkiem o małym rozumku.

Wstała, kładąc na stole serwetkę. Z uśmiechem podeszła do sąsiedniego stolika. Mężczyźni uśmiechnęli się w odpowiedzi, sądząc, iż mimo towarzystwa wyraźnie ich zachęca.

- Guten Abend - zaczęła. - Schoenes Veterinare in Anbetracht. Uśmiechy zniknęły, jakby ktoś przemył im twarze gąbką, zastąpił je przestrasz i zakłopotanie. Zostali przyłapani. Jeden wyjąkał:

- Guten Abend.

Obaj zarumienili się i pochylili nad stołem, jakby wypatrując czegoś interesującego w szklankach z piwem. Rozpromieniona Ruby wróciła na miejsce.

- Wygląda na to, że utarłaś im nosa. - Widziała, że Sam był pod wrażeniem. - Co im powiedziałaś?

- Nic takiego. Życzyłam im ładnej pogody. - Upiła łyk wody. - W tej sytuacji to chyba wystarczyło?

- Jak widać.

PO KOLACJI Sam odwiózł ją do domu.

- To był świetny wieczór - powiedział, kiedy stanęli przed bramą.

- Też tak myślę.

- No to... - Sam przestępował z nogi na nogę. - Może go . kiedyś powtórzymy?

- Chętnie - odpowiedziała.

- Może w sobotę? Mam wolny cały dzień.

- Dobrze, sobota mnie też pasuje - zgodziła się, myśląc jednocześnie, że zrobiła to trochę za szybko. Miała ochotę kopnąć się w kostkę. Czy wyrocznia Randka dla opornych niczego się do tej pory nie nauczyła?

- Nie musisz być w sklepie?

- W sklepie? Aaa, to żaden problem. Mogę wziąć kogoś do pomocy dla Chanel. - Modliła się w myśli, by Annie, studentka, która czasem pomagała im, gdy był duży ruch, miała akurat czas. - A co planujesz na sobotę? - zaciekała się.

- Wiesz co? Nigdy nie byłem tu nad morzem

- Powinniśmy więc wybrać się do Brighton. To coś w rodzaju mieszanki Venice Beach z Coney Island i Notting Hill. Spodoba ci się.

- Brzmi nieźle. Jesteśmy umówieni?

- Zgoda.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- Daj znać, jakbyś znowu źle się czuła.

- Obiecuję, ale nie martw się, wszystko będzie dobrze. Cmoknął ją w policzek. Poczula zwietrzały zapach wody kolońskiej. Ogarnęła ją nagła chęć, aby naprawdę go pocałować, metodą usta - usta.

Poruszył się, jakby zamierzał odejść, ale zatrzymał się, potrząsnął głową i roześmiał.

- Nieźle dowaliłaś tym gburom. Na samą myśl chce mi się śmiać. Twój niemiecki jest lepszy, niż myślisz.

- Nic podobnego, naprawdę słabo znam ten język. Zaczął posądzać ją o fałszywą skromność. Postanowiła nie rozwiewać jego złudzeń. Nie było sensu mówić, że w drodze do domu zorientowała się, jak idiotyczną pomyłkę popełniła, życząc Niemcom pięknej pogody. Jej uwaga, w tłumaczeniu, zabrzmiała: „Miłych weterynarzy, w rzeczy samej”.

Rozdział 10

Ruby pocierała czoło z frustracji. - Proszę pana - tłumaczyła Iwanowi Groźnemu przez telefon - wiem, że jest pan bardzo zajęty, ale chciałabym, żeby pan przyszedł dzisiaj i zainstalował do końca toaletę. Dolnopłuk już działa. I choć cieszę się, że zaczął pan remont kuchni, szafki nie mają jeszcze drzwi. - Wyjaśniła też, że wybiera się na cały dzień do Brighton i będzie mógł pracować w spokoju.

- Rozumim, ale jest kłopot. Mój brat jest chory i ma dziś ciężką operację. Niedobrze. Od trzech lat czeka z jądrem w kolejce.

- Co takiego? Od trzech lat? Biedny człowiek. Dobrze. Trudno, dzisiaj nie da pan rady. Jakoś jeszcze te parę dni się przemęczę. Mam nadzieję, że pana brat szybko wyzdrowieje.

- Dziękuję. Spróbuję jakoś panią upchać. Jak odwiedzę brata, mam robotę w Edgware. Może potem wcisnę dolnytluk, tylko muszę jeszcze przyciąć krzaczek pani Goldberg.

RUBY BYŁABY gotowa na czas, gdyby nie to, że kiedy szykowała się do wejścia pod prysznic, zadzwoniła Fi.

- Włącz telewizor - poleciła. - Powtarzają jakiś durny program śniadaniowy na Sky, a w nim mówią o naciskaniu na kobiety ciężarne, żeby w czasie ciąży pozostały szczupłe. Jest tam lekarz z St. Luke, myślałam, że cię to zainteresuje.

Ruby odszukała pilota i usiadła na kanapie. Położnik z kliniki, Tom Hardacre, był przystojnym, niebieskookim, pełnym godności czterdziestokilkulatkiem. Udzielał wywiadu młodej prezenterce - Kate Jakiejśtam. Dowodził, że według najnowszych statystyk rządowych przypadki anoreksji wśród kobiet ciężarnych i karmiących piersią przybierają na sile.

- To nowa i szokująca tendencja. Moim zdaniem ideał piękności rodem z Hollywood i lansowany w mediach wywiera na kobiety nieznośną presję.

Publiczność w studiu, głównie płci żeńskiej, nagrodziła jego słowa oklaskami. Jedna z obecnych tam aktorek wyznała, że gwiazdy Hollywood znajdują się pod ogromną presją - jeśli nie utrzymują figury, koniec z angażami. Rozpętała się dyskusja, dlaczego aktorki nie zaprotestują i nie przerwą tego błędnego koła.

W tym momencie na ekranie w studiu pojawiły się wielkie czarno - białe fotografie wychudzonych młodych matek z Hollywood, które paparazzi przyłapali podczas opuszczania kliniki położniczej.

- Oczywiście, panie doktorze - zaatakowała Kate X - dwie z tych pań - China Katz i Mia Ferrari - rodziły w pańskim szpitalu. Wydawałoby się, że klinika taka jak St. Luke, promująca zdrowy tryb życia w ciąży i porody metodą naturalną, powinna dawać przykład i brać udział w uświadamianiu społeczeństwu zagrożeń, jakie niesie ograniczanie jedzenia przez kobiety spodziewające się dziecka. Czy nie za mało robicie w tym kierunku?

Ruby pomyślała, że było to nieco podchwytliwe, ale jak najbardziej usprawiedliwione pytanie. Tom Hardacre wybrnął z niego z dużą klasą. Zmarszczył brwi i przybrał głęboko zatroskany wyraz twarzy.

- Kate - rozpoczął, przywołując na twarz lekki uśmiech - nie chciałbym, by ktokolwiek, oglądając ten program, odniósł wrażenie, że zarówno ja sam, jak i moi koledzy z St. Luke nie jesteśmy zbulwersowani i przerażeni tym żalonym i niebezpiecznym zjawiskiem. Co więcej, nasz personel medyczny bezustannie uświadamia pacjentki, na jakie ryzyko wystawiają zdrowie własne i przyszłego dziecka, stosując ostrą dietę. Robimy co w naszej mocy, ale jeśli którakolwiek z osób zgromadzonych w studiu ma jakiś pomysł, pozwalający skuteczniej walczyć z tym problemem, będę ogromnie wdzięczny, jeśli się z nami nim podzieli.

Ruby otrząsnęła się z obrzydzeniem.

- A może by tak wziąć panny pod kroplówkę albo jedzenie wpychać do dzioba jak gęsiom? Czarus: - Widziała tego gościa tylko przez kilka minut, ale - choć zwykle nie oceniała ludzi pochopnie - zdążyła poczuć do niego antypatię. Korciło ją, żeby oglądać dalej, ale nie chciała spóźnić się na randkę. Wyłączyła telewizor i poszła do sypialni się ubrać.

Tuż po dziesiątej zabrzączał domofon. Sam przyszedł punktualnie, a ona, w samych majtkach i staniku, nadal nie wiedziała, co na siebie włożyć.

Pobiegła do drzwi i wcisnęła guzik. Powiedziała do słuchawki:

- Cześć, Sam, chodź na górę.

Pobiegła z powrotem do sypialni, szukając w stercie ubrań czegoś, co mogłaby na siebie tymczasem narzucić, by nie świecić mu przed oczami golizną. Najlepsze byłoby seksowne czarne kimono. Niestety, gdzieś się zapodziało i jedyną rzeczą, która wpadła jej w oko, był wiszący na drzwiach podarty, poplamiony jedzeniem szlafrok w kolorze brudnego różu. Wkładała go na siebie, gdy była przed okresem, a jedyną rzeczą, na jaką miała ochotę, było zwinięcie się na sofie i oglądanie serialu Doktor Quinn, urozmaicone podjadaniem żelkowych gumisiów. Nie mogła się w czymś takim pokazać. Zdesperowana włożyła swój ulubiony powyciągany podkoszulek gigant.

Sam na powitanie pocałował ją w policzek. Miał na sobie sweter od Johna Smedleya w kolorze khaki i ciemnobezowe bojówki. Mimo woli zauważyła, jak kolory te podkreślają jego ciemną karnację i oczy - naprawdę był cholernie przystojny!

- Śniadanie! - oznajmił, podając jej płaskie pudełko z napisem Krispy Kreme. - Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłaś. Nie wiem, jakie pączki lubisz, więc na wszelki wypadek wziąłem kilka różnych.

- Kilka? - roześmiała się.

- No dobra, tuzin. Wiesz przecież - w żydowskim systemie miar i wag wszystko poniżej kopy to kilka.

- Sam, dziękuję. Kocham Krispy Kreme. - Wiedziała, że można je było dostać tylko u Harrodsa, a to oznaczało, że godzinami musiał szukać miejsca do parkowania, a potem sterceć w kolejce na stoisku cukierniczym. To naprawdę przemiły gest.

- Tak przy okazji: świetny T - shirt. - Popatrzył na nią z wyrazem uznania. Rozpromieniła się. Matt zawsze powtarzał, że w za dużych podkoszulkach wygląda więcej niż sexy, a ona mu nie wierzyła, bo miała wrażenie, że przez swoje duże piersi wygląda tak, jakby miała na sobie namiot. Ale może powinna przerzucić się na styl XXL?

Prowadząc go do kuchni, potknęła się o pudło z glazurą, które Iwan zostawił przy drzwiach.

- Przepraszam - powiedziała, odsuwając paczkę butem. - Kuchnia i toaleta są totalnie rozgrzebane.

Opowiedziała mu o Iwanie Groźnym i jego ostatnim zagranium z krzaczkiem pani Goldberg.

- Bóg jeden wie, kiedy skończy.

- Ale już wygląda pięknie - powiedział, przesuwając pieszczotliwie ręką po brzożowych drzwiach od szafki kuchennej, leżących na blacie. - Podobają mi się te stalowe uchwyty. Masz dobry gust.

- Dzięki - powiedziała, uśmiechając się. Od dawna żaden facet nie prawił jej komplementów i rozkoszowała się tym jak kot śmietanką. - A, byłabym zapomniała, ginekolog z St. Luke był dziś w telewizji, w programie o niebezpieczeństwie odchudzania się w ciąży.

- Tak, widziałem raport rządowy. To koszmar. Te kobiety nie mają pojęcia, jaką krzywdę sobie wyrządzają.

Spytał o nazwisko lekarza.

- Tom Hardacre. Jaki on jest? Mnie wydał się trochę nadęty... - zakryła usta dłonią. - O rany, mam nadzieję, że to nie twój przyjaciel?

Śmiech Sama uspokoił ją.

- Nie, ledwie go znam. Chociaż ma bardzo dobrą opinię. Podobno potrafi patrzeć w przyszłość. Bardzo go cenią.

- Aha. Kto wie, może był po prostu zdenerwowany wystąpieniem w telewizji. - Przerwała. - Wiesz co? Zrób kawę, a ja się przez ten czas ubiorę.

Pokazała mu, gdzie jest kawa, cukier i mleko, po czym weszła do sypialni. Przez okno zobaczyła, że świeci słońce. Przejrzała ponownie stertę ciuchów na łóżku w poszukiwaniu czegoś letniego. W końcu zdecydowała się założyć bladoniebieską rozszerzaną spódnicę, a do niej marszczoną niebiesko - różową bluzkę chłopkę, którą kupiła na początku lata, w nadziei że podkreśli opalenizną ramion i brzucha.

Kiedy stanęła przed lustrem, przyszło jej do głowy, że w wielgaśnym podkoszulku wygląda śmiesznie, a nie sexy. Dostała go dwa lata temu pod choinkę od Fi - na przodzie widniał wyraźny, brązowy napis: PRECZ Z ŁUPIEŻEM, CZESZ SIĘ JEŻEM.

GADALI BEZ PRZERWY aż do Brighton. Sama bardzo zainteresował opis Les Sprogs. Zadawał jej mnóstwo pytań o rodzinę. Powiedziała mu, że marzy o założeniu sieci sklepów Baby Organic i o Ronnie, która uprawia domorosłą psychoanalizę, jak inni ogródek. Podobało jej się, że słucha i zadaje sensowne pytania. Tylu mężczyzn, z którymi się umawiała - kolekcję wieńczył słodki Duncan - potrafiło mówić tylko o sobie.

W pewnej chwili włożył kompakt do odtwarzacza. Wspomniała, że odkąd parę lat temu była na filmie Ray, polubiła bluesa.

- Kocham cały ten smutek, wciągający bez reszty w ostry, przejmujący nastrój, jaki wyczarowuje. Do tego uwielbiam pseudonimy muzyków od bluesa: Muddy Waters, Lightnin' Hopkins.

- Albo Blind Lemon Jefferson. - Przyznał się, że - w wannie uwielbia wymyślać pseudonimy bluesmanów. - Jest na nie przepis, znalazłem go w sieci. Potrzebne są trzy imiona. Pierwsze musi kojarzyć się z jakąś przypadłością, jak na przykład „Blind”. Drugie to owoc - w tym przypadku „Lemon”. A ostatnie musi być nazwiskiem amerykańskiego prezydenta - i voila! - Jefferson.

Pomyślała chwilę, po czym wypaliła:

- Mam! Co powiesz na Asthmatic Kiwi Nixon?

- Uuuu, niezłe. A Rheumatic Nectarine Bush? - Po chwili tarzali się ze śmiechu.

- Chi, chi, chi, a posłuchaj tego: Curved Banana Clinton!

- Potrafisz człowieka rozśmieszyć - przyznał. - A do tego pięknie ci w tej blue... blue... blueseczce.

- Ależ dziękuję. - I zarumieniła się wdzięcznie na przekór rozbawieniu.

DOPIERO KIEDY dotarli do Brighton, Sam zauważył, że zostawił kurtkę u Ruby, ale ponieważ świeciło słońce, dodatkowe okrycie wydawało się niepotrzebne. Jak na koniec września, pogoda była przepiękna. Bez obawy: zimno i mżawka, jakie panowały przez kilka ostatnich dni, miały wkrótce powrócić, ale tej soboty jedyną oznaką jesieni były wydłużone cienie i nieruchome, ostre powietrze. Nawet morze, burzliwe o tej porze roku, uspokoiło się. Słońce odbijało się w niewielkich falkach, tworząc srebrzyste odbłaski, tańczące wesoło aż po linię horyzontu.

Sprzedawcy hot dogów i hamburgerów, którzy postawili kreskę na utargu z nadejściem ochłodzenia, wyszli znowu na ulice w nadziei zgarnięcia ostatniej puli przed załamaniem się pogody.

Ruby i Sam spacerowali po promenadzie, zgrabnie omijając to dwulatka na chwiejnych nóżkach, to na wpół gołego nastolatka na deskorolce, od czasu do czasu uciekając spod kół rozpędzonego rowerzysty. To tu, to tam przystawali, by popatrzeć na ulicznego magika albo poszperać w którymś ze sklepików New Age, gdzie oferowano kryształki i kiczowate wizerunki Buddy. Sprzedawcami byli zazwyczaj młodzi mężczyźni, ofiary namiętności do piercingu, o dredach takiej grubości, że mogłyby konkurować z ogórkami od Buddy'ego Epstiena.

Przechodząc obok sklepiku o nazwie Pieczara Merlina, Ruby przymknęła oczy i zaczęła pociągać nosem.

- Mmm, gorący tłuszcz i smażona cebula. Bije na głowę każde perfumy. Pączki jedliśmy dwie godziny temu, co powiesz na taniego, paskudnego hot doga, pełnego rakotwórczej chemii, od którego na pięćdziesiąt procent dostaniesz jutro nieżyty jelit, w stopniu od łagodnego do średnio zaawansowanego?

- Dawaj no tu. Dla mnie proszę z podwójną porcją rakotwora.

Znaleźli budkę z hot dogami, a Sam zaproponował, żeby poszukała wolnej ławki, kiedy on będzie stał w kolejce. Po dziesięciu minutach przyszedł, niosąc dwa wielkie hot dogi ociekające musztardą i keczupem, apetycznie ozdobione smażoną cebulką.

- Zabrakło coli, więc wziąłem ci napój gazowany o smaku pomarańczowym.

- Brawo.

Po jedzeniu postanowili pójść na molo. Po drodze Sam opowiadał, jak bardzo się cieszy z odkrycia nieznannej dotąd rodziny.

- Saul i Fi są świetni. I widać, że naprawdę do siebie pasują.

- To fakt. Mnóstwo ludzi dałoby wszystko, aby znaleźć się na ich miejscu.

Szli, delektując się ciszą. Po chwili Sam zapytał Ruby, czy oswoiła się już z myślą o tym, że będzie miała rodzeństwo. Wyjaśniła, że nie do końca.

- Przez trzydzieści dwa lata miałam mamę i tatę tylko dla siebie. Teraz muszę się nimi podzielić, a mały dzieciak, który we mnie tkwi, wrzeszczy i kopie nogami.

Sam odpowiedział, że to pewnie normalne.

- Tak, w sumie to mało istotne, ile masz lat, gdy przychodzi na świat rodzeństwo. Jednak zawsze czuje się wtedy zagrożony. Pamiętam, że gdy urodził się mój brat, chciałem udusić go poduszką. Gdyby mama nie nadeszła w porę, nie wiem, co by się stało.

- Boże, ile miałeś wtedy lat?

- Dwadzieścia pięć.

Wybuchnęła śmiechem. Na jej dalsze pytania o brata Sam odpowiadał skąpo i z niechęcią.

- Tak naprawdę Josh jest osiem lat ode mnie młodszy. Myślę, że przeżył śmierć rodziców jeszcze ciężiej niż ja. Buddy i Irene kochają go jak własnego syna, ale to nic nie dało. Zszedł, że tak powiem, na złą drogę. Właściwie zerwał kontakt z rodziną.

Miała wrażenie, że za słabo na razie zna Sama, by wypytywać go, co ma na myśli, mówiąc, że jego brat zszedł na złą drogę, i postanowiła zmienić temat.

- Sam, chciałabym cię o coś spytać.

- Do biegu, gotowa, start.

Ręce trzymał w kieszeniach, a kiedy się uśmiechnął, w kącikach jego oczu utworzyły się delikatne zmarszczki.

- Dlaczego zostałeś ginekologiem? Nie jesteś trochę... - starała się znaleźć słowo, które nie byłoby obraźliwe.

- Dziwny? Zboczony? Męską szowinistyczną świnią? - Jego głos wydawał się raczej rozbawiony. - Wal śmiało. Oskarżano mnie już o wszystkie trzy rzeczy naraz.

Ruby zaoponowała: świnia to ze zbyt grubej rury.

- Zgoda. Ale niektórym paniom wydaje się, że wszyscy ginekolodzy nienawidzą kobiet jak wściekli i kręci ich, że mają nad nimi władzę.

- Nie poszłabym tak daleko, ale - jak raczysz sobie przypominać z mojego nieszczęsnego bełkotu - podobne rzeczy przychodziły mi na myśl.

- Jestem w stanie to zrozumieć i nie miałem ci za złe twoich słów. - Wydawało się, że mówi szczerze. - Kobiety mają prawo odnosić się z rezerwą do ginekologów. Od czasu do czasu bywają przypadki, że jakiś doktorek traci prawo do wykonywania zawodu za tak zwane niewłaściwe zachowanie. Tej specjalizacji - podobnie jak niemal wszystkie innym - przydałaby się większa liczba kobiet, ale ja wybrałem ją głównie dlatego, że wolę mieć do czynienia z osobami młodymi i, w większości, zdrowymi, niż ze starymi i chorymi. A satysfakcję czuję nie wtedy, kiedy gapię się na nagie ciało, lecz kiedy mogę pomóc w narodzinach zdrowego dziecka albo uda mi się wyleczyć kogoś z niepłodności. - Przerwał. - Przepraszam za to kazanie, za bardzo się nakręciłem.

Zrobił się nagle zawstydzony i zakłopotany, przez co wydał się jej jeszcze bardziej bliski. Ruby zapewniła go, że wcale jej to nie zraża i rozumie jego wybór. Po prostu wolał dzielić radość ludzi, niż mieć do czynienia z chorobą i nieszczęściem.

- Zwłaszcza że przez tragiczną śmierć rodziców pewnie aż za dobrze wiesz, co to znaczy.

Drogę zabiegł im jakiś maluch. Sam zniżył się ku niemu:

- Cześć, szkrabie - powiedział, kładąc mu delikatnie rękę na głowie. - Gdzie mama?

Mama była o kilka kroków za chłopcem, więc podniósł się, uśmiechnął do niej i wrócił do Ruby.

- Masz rację. Na pewno istnieje jakiś związek między śmiercią mamy i taty a tym, że nie chcę babrać się w badaniach nad rakiem czy zawałach serca.

Bardzo chciała porozmawiać z nim o gwiazdach ekranu przebywających w klinice i dowiedzieć się, czy miał z nimi jakąś styczność, ale zdecydowała się nie pytać. Wiedziała, że obowiązywała go dyskrekcja względem pacjentek, i nie chciała, by musiał się przed nią tłumaczyć. Korciło ją jednak, by przynajmniej delikatnie poruszyć temat.

- Niesamowite, te sławne aktorki rodzą w St. Luke, a kilka dni później na zdjęciach są tak chude, jakby nigdy nie były w ciąży.

- Wiem - odpowiedział, potrząsając głową. - Nie przypominaj mi lepiej. Podczas ciąży ćwiczą i odchudzają się jak wariatki. Robimy wszystko, żeby wybić im to z głów, tłumaczymy, że mogą zaszkodzić sobie i dziecku. Jakbyś mówiła do ściany. A najgorsze jest to, że inne kobiety widzą te poporodowe fotki i myślą, że same też powinny tak wyglądać, a następnie próbują je naśladować. Sprawa powoli wymyka się spod kontroli. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Ruby ucieszyła się, że jego poglądy w tej kwestii są takie same jak jej. Nie była pewna, czyby się jej spodobało, gdyby zaliczał się do tych gości, którzy uważają, że nie ma kobiet za chudych.

WRESZCIE DOTARLI do molo. Przywitało ich buczenie systemów nagłaśniających, tak przenikliwe, że zdawało się przenikać do kości i wprawiać w drzenie trzustkę. Towarzyszył mu metaliczny szcęk zderzających się autek, tak charakterystyczny dla wesołego miasteczka, i piski ludzi z Big Dippera.

- Czy jest tu salon gier? Uwielbiam je.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. Chodź za mną.

Wymienili drobne na żetony i skierowali się ku błyskającym światelkom i marsjańskim dźwiękom, wydawanym przez automaty do gry. Większość z nich oblegały hałaśliwe gangi zakapturzonych kilkunastoletnich dresiarzy, a przy jednym stał mężczyzna o nieobecnym wzroku, ubrany w wyświechtaną, skórzaną kurtkę.

- Mam własny sposób na automaty - pochwalił się Sam. - Naprawdę działa. Krążysz wokół maszyny i czekasz, aż poprzedni gracz będzie splukany i odejdzie - oby bez trafienia jackpota. Wtedy wiesz, który automat niedługo wypłaci, i wkraczasz do akcji.

- E tam. To nie takie proste, inaczej wszyscy by tak postępowali.

- Posłuchaj mnie - polecenie to wydał z ironicznym, lecz seksownym uśmiechem. - Przecież jestem lekarzem.

Poczekali na odejście grupki pryszczatych dresiarzy, którzy zaczęli oblegać inną maszynę.

- Teraz. Chodź i ucz się!

Przez kilka kolejnych minut bez skutku karmili jednorękiego bandytę żetonami.

- Sam - powiedziała w końcu Ruby - przyznaj wreszcie, że metoda Epstiena nie istnieje. Nabrałeś mnie.

- Jak na to wpadłaś?

Ruby zaśmiała się.

- I nigdy, przenigdy nie wygrałeś jackpota.

- Można to tak ująć - oświadczył, gapiąc się na wirujące owoce. - Tak naprawdę to nie wycisnąłem z przeklętej maszyny ani pensa.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, przerwał mu grzechot sypiących się na podłogę żetonów.

- A niech mnie trup popieści! - wykrzyknęła Ruby, ledwo dowierając własnym oczom. - Wygraliśmy! Naprawdę wygraliśmy, tu jest z pięćdziesiąt funtów!

Rzuciła się Samowi na szyję i ucałowała go w oba policzki. Ludzie wokół zauważyli ich wygraną i zaczęli się na nich gapić. Gdy jeden z dresiarzy wykrzyknął: „Obrobili nas”, Ruby nastawiła się na kłopoty, lecz w końcu wyrostki, zamiast wszczynać awanturę, nasunęły głębiej kaptury na oczy i ulotniły się.

- Widzisz? A zwątpiłaś w metodę Epstiena. Rozbawiona Ruby potrząsnęła głową i schyliła się, by pozbierać żetony z podłogi. Sam zrobił to samo.

- Weź moją torbę - zaproponował. Pozbieranie całej wygranej zajęło im ponad minutę. - Koniec. To już wszystko - powiedział, wsypując do torby ostatnią garść żetonów.

Ruby rozejrzała się z uwagą, czy wszystko pozbierali.

- Rzeczywiście, nic więcej nie widzę - przyznała. Sam podniósł się i pomógł dziewczynie wstać. Gdy stanęli naprzeciw siebie, ich wzrok się spotkał. Tkwili przez chwilę bez ruchu, po czym Sam, jakby kierowany tajemną, niezależną siłą, ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął lekko do siebie. Na ustach poczuła delikatne, drobne pocałunki. Nie wiadomo, jak znalazła się w jego ramionach. Muśnięcia zmieniły się w jeden porządny pocałunek. Kiedy poczuła jego język, aż słabo jej się zrobiło z pożądania. Nie dlatego, że smakował jak gazowany napój pomarańczowy. Miała wrażenie, że się rozpływa, roztopia i że najlepiej byłoby, gdyby tu i teraz wziął ją na tej idiotycznie piszczącej maszynie. Dopiero gdy któryś z dzieciaków wykrzyknął: „Miejsce, próchna”, rozdzielili się, śmiejąc z zakłopotaniem.

Okazało się, że wcale tak wiele nie wygrali. Było nieco ponad dwadzieścia funtów, ale i tak się cieszyli. Widok plującej żetonami maszyny wart był wszystkich drobniaków świata.

POPOŁUDNIE MINĘŁO IM na łazieniu po plaży. Kiedy rozmawiali, Sam od czasu do czasu to dotykał palcem jej ręki, to poprawiał grzywkę. Chwilami stawali naprzeciw siebie i zaczęli się całować. Nagle, gdy akurat się obejmowali, zadzwoniła komórka Sama.

- Przepraszam, muszę odebrać. Mogą dzwonić ze szpitala. - Jasne, proszę.

Zatkał palcem jedno ucho, by nie przeszkadzał mu szum morza.

- Cześć, jak wam leci?... Co? Kiedy?... A co z tobą, dobrze się czujesz?

Zobaczyła, że jego twarz pociemniała. Wstał i odszedł kilka kroków, tak że nie słyszała reszty rozmowy.

Kiedy wrócił, wydał jej się podniecony i zaaferowany.

- Coś nie tak? - spytała.

- Hmm? - Był myślami gdzie indziej.

- Dzwonili ze szpitala?

- Eeee... tak. Mają problem z jedną pacjentką, ale to nic takiego. Poradzą sobie.

Obruszyła się. Sam wydawał się poruszony i niespokojny z powodu kogoś, komu, jak powiedział, „nic takiego” się nie stało. No i czy zwykle pyta swoich szpitalnych kolegów, czy dobrze się czują? Nie ma co, musi brać sobie pracę do serca.

Usiadł z powrotem.

- Jesteś zdenerwowany? - spytała łagodnie. - Na pewno wszystko OK?

- Do drugiej w nocy byłem przy porodzie bliźniaków. Jestem zmęczony, przepraszam.

- Nie musisz. Wiesz co? Znam coś, co pomaga na zmęczenie. - Zaczęła masować mu twarde jak kamień i napięty ze zdenerwowania kark.

WYJECHALI Z BRIGHTON około szóstej. Sam miał wieczorny dyżur i musiał być w pobliżu szpitala, na wypadek gdyby pilnie potrzebowano go wcześniej. Zdążyli jeszcze wstąpić do restauracji przy głównej ulicy i pochłonąć obfite porcje ryby z frytkami, na co wydali prawie całą wygraną. Sam napił się piwa i to poprawiło mu nastrój - zrobił się bestroski i wesoły jak zwykle.

Ruby zapomniała o rozmowie przez komórkę i o jego dziwnym zachowaniu. Podczas posiłku dokuczała mu niemal bez przerwy, że zamówił mus z groszku, myśląc, że to guacamole.

Kiedy dojechali pod jej dom, znowu zaczęli się całować. Ruby zdawało się, że długi pocałunek trwa w nieskończoność. Przypomniała sobie, że zostawił u niej kurtkę.

- Wejdiesz na górę?

- A chcesz?

Poważny ton, jakim zadał pytanie, uświadomił jej, że trochę inaczej zrozumiał jej intencje.

- Co? Nie, to znaczy tak, myślałam o twojej kurtce, zostawiłeś ją u mnie przecież, a nie o...

Zapewne jednak podświadomie (jest nieodrodną córką Ronnie) myślała o czymś innym. Czy naprawdę chce go zaprosić do środka? W końcu to pierwsza randka. Kodeks randkowy przewidywał, że wypada to zrobić dopiero na trzecim spotkaniu. Byłaby gotowa go złamać? Z drugiej strony, nie wiedziała, czy wytrzyma tak długo i może kolację po obrzezaniu Connora należy uważać za pierwszą randkę? Dzisiejsza natomiast trwała dwa czy trzy razy dłużej niż normalne wieczorne wyjście. Jeśliby policzyć godziny, to teoretycznie byłiby po trzecim, a może nawet czwartym spotkaniu.

- Myślę, że nic się nie stanie, jeśli wejdiesz do mnie na górę - popatrzyła na niego z rozbawieniem. - Po kurtkę.

- Czy na pewno mam wejść po kurtkę? - Włączył się do gry. - Bo mogę się bez niej obejść. Kurtka, po co mi jakaś kurtka? Nie jestem facetem z obsesją na punkcie kurtki, kurtkiem, który katuje kobietę, żeby oddała mu mmm... kurtkę. Zwłaszcza na pierwszej randce.

Gadka była w stylu Jerry'ego Seinfelda. Rozśmieszył ją, ale mimo to nadal czuła się seksownie.

- Chodź po kurtkę - powiedziała - naprawdę powinienes ją wziąć.

- GDZIEŚ TU MIAŁAM nagrania Raya Charlesa - oświadczyła Ruby, kiedy znaleźli się u niej w domu, a następnie zajęła się przeszukiwaniem sterty kompaktów. Sam podszedł od tyłu i zaczął całować ją w szyję. Czuła, jak zsuwa jej bluzkę, odsłaniając ramię - nowe miejsce do pocałunków. Zrobiła się świadoma każdego maleńkiego nerwu w ciele, jakby wszystkie nagle znalazły się na wierzchu i tylko czekały na dotyk.

- Mam - obwieściła i włożyła płytę do odtwarzacza.

- Chodź tu - szepnął. Nieświadoma tego, że zapomniała wcisnąć „start”, zwróciła się ku niemu. Czuła pulsowanie w skroniach. Ujął jej twarz w dłonie i przybliżył się. Przez pół dnia całowali się jak wariaci, ale tym razem pocałunek miał inne znaczenie - stał się po prostu wstępem.

Przenieśli się na kanapę. Delikatnie położył ją i pochylił się tak, że poczuła, jak bardzo jest podniecony. Prawie piszczała z radości, kiedy delikatnymi ruchami muskał jej włosy i całował czubeczki piersi.

- To co, może włączę muzykę? - zaproponował, gdy na moment oderwali się od siebie. Nie spuszczając z niej wzroku, wyciągnął rękę w stronę wieży. Chwilę później rozległ się głos, który wcale nie należał do Raya Charlesa. „Kocham i akceptuję moje ciało. Jestem piękna, pełna dobrej energii i wyjątkowa. Jestem niepowtarzalnym dzieckiem wszechświata, które zasługuje na to, by kochać i być kochanym. Potrafię odnaleźć miłość”.

Niee! Ruby poczuła narastającą panikę. Po wypróbowaniu prezentu od Ronnie musiała włożyć go do niewłaściwego pudełka. Zesztywniała, jakby nagle zmieniła się w sople lodu. Sam uniósł głowę znad jej biustu:

- Może się nie znam na muzyce, ale coś mi się zdaje, że to nie Ray Charles.

Przełknęła ślinę i przejrzała w myślach wszystkie możliwe wymówki, jakie była w stanie wymyślić w tak krótkim czasie.

- Ach, to jedno z tych durnych nagrań, darmowy dodatek do gazety świątecznej - improwowała. - Słuchałam tego wczoraj przez chwilę, jak nie miałam nic do roboty, z

czystej ciekawości. Przeznaczone jest dla tych wszystkich pożałowania godnych nieudaczników, którzy nie są w stanie nawet umówić się na zwykłą randkę.

- Hm. Muszę przyznać, że gdybym był krościastym nastolatkiem, który dopiero zaczyna umawiać się z dziewczynami, taki instruktaż pewnie dodałby mi odwagi - powiedział, wstając, by zmienić nieszczęsną płytę.

- Mnie też. Na szczęście ten szczeniacki koszmar to historia.

Sam szukał Raya Charlesa, kiedy zadzwonił telefon. Ruby postanowiła nie odbierać - niech ten ktoś nagra się na sekretarkę. Niestety, zapomniała, że ostatnio ustawiła ją na funkcję głośnomówiącą.

- Cześć, żabciu, tu mama. Dzwonię, bo chciałam pogadać i sprawdzić, czy wszystko gra. Nie mówiłaś, czy ćwiczysz mantry z Odkryć miłość siłą ducha. A może już zaczęły działać? Nigdy nie trać nadziei, żabciu. Twoja druga połówka gdzieś czeka na ciebie, ja w to wierzę. Całuję cię, pa!

Rozdział 11

- O w mordę jeża, ale musiało ci być głupio! - przeraziła się Fi, przykładając odciągacz pokarmu do lewej piersi. - A jak, na litość boską, zareagował Sam, gdy usłyszał wiadomość?

- Nijak. Nie było czasu, musiał lecieć. - Ruby opowiedziała, jaki był finał telefonu od mamy. Zadzwonili z St. Luke, ponieważ okazało się, że Sam, ze względu na krytyczną sytuację, jest natychmiast potrzebny w klinice. Prawdopodobnie pogorszyło się pacjentce, tej „drobnostce”, o której dowiedział się w Brighton.

- Sytuacja krytyczna! Czy tu mi czołg jedzie? - spytała Fi, wskazując na wewnętrzną część powieki. - Prawdopodobnie jakaś TiVi - diva znalazła poporodowy hemoroidzik i zagroziła, że ich zaskarzy.

- Nie, to chyba naprawdę było coś poważnego. - Ruby wyjaśniła, że Sam bardzo się zdenerwował po usłyszeniu wiadomości, zresztą wyglądał na przejętego, kiedy rozmawiał z pielęgniarką. - Słyszałam, jak płakała do słuchawki, a on ją uspokajał i prosił, żeby się nie martwiła. Musiał być niezły kryzys, skoro pielęgniarka tak panikowała.

- Też byś się rozplakała, jakbyś na co dzień musiała się użerać z tymi rozkapryszonymi babsztyłami, którym, choćby nie wiem co, wszystko musi iść jak z płatka. Nie chciałabym być na miejscu Sama. Musi przeżywać piekło, bojąc się, że w każdej chwili któraś z pacjentek za jakąś drobnostkę może podać go do sądu.

Ruby przytaknęła. To by wyjaśniało, dlaczego tak zdenerwował się telefonem na plaży.

Fi schyliła głowę i przyglądała się, jak mleko spływa na dno butelki.

- Właściwie nie wiem, może najlepiej od razu uwiążę sobie dzwonek na szyi, nazwę się Krasulą, pójdę na łąkę robić „muuuu” i będzie święty spokój. - Wyjaśniła, że Saul zgodził się przejąć nocne karmienie, by mogła trochę odespać, a że stanowczo nalegała, by Connor był karmiony tylko piersią, nie pozostało jej nic innego, jak ściągać pokarm.

Ruby uśmiechnęła się pocieszająco i położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się, to nie będzie trwało wiecznie.

- Przecież wiem. Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu nadal nie mogę przejść do porządku nad tymi chudzielcami z pierwszych stron gazet. - Fi wzięła do ręki jedno z trzech czasopism leżących na stole. - Widziałas to? - wskazała na zdjęcie we wrześnieowym „For Her”. - Jest tam wywiad z Claudią Planchette. Można się wyrzygać - podała gazetę Ruby. -

Popatrz, no popatrz. Za wyjątkiem brzucha jest chuda jak pies. I ma czelność twierdzić, że to dzięki genom. Bzdura, musi głodzić siebie i dziecko... Choć trzeba przyznać, że przynajmniej widać efekty.

- Nie wygłupiaj się Fi, co ty wygadujesz? Chcesz dać do zrozumienia, że żałujesz, iż nie głodziłaś się, będąc w ciąży?

- Nie, pewnie, że nie. Ta Planchette ma nierówno pod sufitem, ale pamiętaj, co mówili wczoraj w telewizji. Takie świruski jak ona dają przykład zwyczajnym kobietom. Mam znajome - normalne, pracujące, wydawałoby się, że rozsądne kobiety. Nawet one uważały na kalorie w ciąży. Masz pojęcie, jak to się może skończyć? Mówię ci, Rubens, jeszcze trochę, a wykształcone, obyte kobiety z klasy średniej zaczną rodzić donoszone dzieci o wadze wcześniaków. Dlaczego nikt z tym nic nie robi? - Fi aż poróżnowiała ze złości i przejęcia.

- Racja - przyznała Ruby. - Ale co możemy na to poradzić? Dziewczyny muszą przejrzeć na oczy i zrozumieć, jakie to nienormalne. W przeciwnym razie nic się nie zmieni. Daj spokój, nie myśl o tym teraz. Napij się ze mną kropelkę?

Fi z początku odmówiła ze względu na karmienie - alkohol przedostałby się do mleka.

- Z drugiej strony, może lepiej pośpi po winie? W lodówce stoi otwarta butelka Chardonnay. Przepraszam, że tak truję o zagłodzonych ciężarnych, ale to naprawdę wyjątkowo mnie wkurza.

- Coś ty, za co tu przepraszać? Gdybym właśnie dopiero co urodziła dziecko i przybyłoby mi kilka kilo, reagowałabym tak samo jak ty. - Ruby podeszła do lodówki i wyjęła wino. - Założę się, że na przekąskę do Chardonnay zyczysz sobie wiaderko świeżo skoszonej trawy prosto z łąki?

- Cha, cha, cha. Właśnie umieram z cholernego śmiechu. Ruby naląła sobie tylko pół kieliszka. Nie mogła zostać u przyjaciółki zbyt długo. Wpadła do niej po drodze. Wybierała się na kolację do rodziców, a ciocia Sylvia zapowiedziała, że przyprowdzi swego nowego amanta. Wstąpiła do Fi właściwie tylko po to, by podrzucić jej nowy katalog Les Sprogs, bo przyjaciółka szukała nowego łóżeczka dla Bena, za które rodzice Saula obiecali zapłacić.

- A więc nadal widzisz się z Samem? - spytała Fi. Ruby przytaknęła. Po feralnym sobotnim wieczorze Sam zadzwonił i przeprosił, że musiał tak nagle wyjść. Chciał się z nią umówić na piątek i zdołał zmniejszyć jej zakłopotanie spowodowane wpadką z kompaktem od Ronnie. Opowiedział, jak przez lata Irene wysyłała do żydowskich gazet ogłoszenia matrymonialne w jego imieniu. Za każdym razem, kiedy się pojawiały, dostawał tuziny maili od ultraortodoksyjnych rodziców, marzących o wydaniu córki za sympatycznego żydowskiego lekarza.

- To oboje mieliście niezły ubaw - stwierdziła przyjaciółka. Ruby zamyśliła się.

- Wiesz, gadamy przez cały czas. On naprawdę potrafi mnie rozśmieszyć, a przy tym staję się przy nim taka spokojna, odprężona, zupełnie jakbyśmy znali się od zawsze...

- I do tego jest taki seksowny.

- Nie musisz mi tego mówić - uśmiechnęła się Ruby. Stwierdziła, że prawie nie spała w nocy, bo cały czas przypominała sobie, jak się całowali. - Był taki niezmierny! Myślałam, że zaraz zemdleję albo się rozpuszczę jak lody w słońcu. Przy Matcie tak się nie czułam, nawet na początku, gdy dopiero zaczęliśmy ze sobą chodzić.

- Bo nie był ginekologiem. Posłuchaj dobrej cioci, czyli mnie: ginekolodzy są świetnymi kochankami. Sama zobaczysz. Jak naprawdę przyjdzie co do czego, będzie bosko. Ty szczęściarolo!

Nagle z góry odezwał się cienki głosik:

- Mamoooo, złościła się kupa na ubikacie, wycyj pupke!

- Do krówki nędzy, myślałam, że śpi! - powiedziała Fi, po czym zawołała do synka: - Dobrze pysiu, już lecę - i poprosiła, żeby chwilę poczekał. - Alleluja! Pierwsza kupa na kibelku od kilku tygodni!

Odłożyła laktator i przyjrzała się zawartości butelki.

- Jak dodam to do tego, co wycisnęłam wcześniej, może starczy na jedno karmienie. - Zapięła bluzkę, podeszła do lodówki i przelała mleko do dzbanka. - Chyba miałam gdzieś fistaszki. Będą pasować do wina - powiedziała i poszła na górę do Bena.

Ruby przyznała, że jest dosyć głodna, i zaczęła zaglądać do szafek w poszukiwaniu orzeszków. Kuchnia lśniła czystością, co było zasługą Bridget. Kubki do kawy, zamiast piętrzyć się pośród innych brudnych naczyń, stały w równym rzędzie w szafce, poodwracane konsekwentnie uszkami w jedną stronę. Wreszcie znalazła paczkę orzeszków, wciśniętą w plastikowy pojemnik razem z kilkoma torebkami żelków.

- Świetnie, znalazłaś - powiedziała Fi, wchodząc do kuchni po zapędzeniu Bena do łóżka. - Odkąd mama posprzątała kuchnię po swoim, nie wiem, co gdzie leży. Nie mam nic przeciwko temu - jestem jej wręcz bardzo wdzięczna za pomoc - ale robi to z taką miną, że czuję się kompletnie zbyteczna.

Ruby przysunęła jej otwartą paczkę. Fi wzięła garść fistaszków i usiadła.

- Wiesz co - powiedziała. - Powinnaś to olać. Głędzenie Bridget powinno służyć po tobie jak woda po kacze. Przyjmij od niej pomoc i już, resztą się nie przejmuj.

- Tak zrobię - obiecała Fi, chrupiąc orzeszki. - Teraz też próbuję postępować z nią w ten sposób, ale to nie takie łatwe. - Opróżniła kieliszek i nie protestowała, gdy Ruby napełniła go ponownie. - Jezu, pomyśl tylko! Gdybyś wyszła za Sama, stałybyśmy się rodziną!

Ruby wybuchnęła śmiechem:

- Ledwie się znamy, a ty już nas swatasz. Nie ma co, szybko przemieniłaś się w żydowską mamę.

Wszedł Saul, a Fi krzyknęła do niego:

- Słuchaj, jaki stopień pokrewieństwa byłby między nami, gdyby Ruby wzięła ślub z Samem?

- Zaraz, zaraz. Czyżby coś mnie ominęło? - dopytywał się.

- Twoja szanowna małżonka trochę się pospieszyła - tłumaczyła Ruby. - Mieliśmy z Samem randkę i to wszystko.

- Fajny z niego facet. Poznałem go dopiero na obrzezaniu Connora. Nieźle zna się na piłce nożnej. - Zwrócił się do Fi: - Spursi grają u siebie w sobotę z Manchesterem. Może spytam, czyby nie wpadł?

- Świetnie. Wszystko dobre, co utrzyma cię z daleka od mamy.

- A swoją drogą, mamuśka nie w domu? Wskoczyła po paliwo do miotły?

Fi zaczęła go uciszać, choć uśmiechała się półgębkiem.

- Mama poszła z Connorem na spacer. Marudził cały dzień i pomyślała, że weźmie go na świeże powietrze, żeby lepiej spał.

- Oby. Ale i tak ja dziś mam przy nim dyżur, ty musisz odespać. - Upił łyk wina z kieliszka Fi i poczęstował się orzeszkami. - Dobra, zmykam. Muszę wpaść do Toma Faszysty. Miał założyć nowy gaźnik. Wrócę za dwie godziny.

Tom był ich mechanikiem. Wyznawał takie poglądy polityczne, że mógłby podać sobie rękę z neandertalczykiem, ale pracował w domu i był tani jak zupka chińska.

Do kuchni wparowała Bridget z Connorem w objęciach.

- No i co, córuś? Tylko popatrz, śpi jak jagniątko. Przy tobie na pewno ma za mało świeżego powietrza. Dlatego marudzi w nocy. - Zauważyła butelkę Chardonnay: - Fiono, ty pijesz wino?

- Piję. Co powiesz na kieliszeczek?

Bridget zignorowała propozycję. Zamiast tego pociągnęła podejrzliwie nosem.

- Przecież to dostanie się do mleka i dzieciątka zakręci się w główce. Biedactwo - pogłaskała go. - Mało mu jeszcze? - Podała dziecko Fi i zaczęła rozpinać płaszcz. - Zaraz

wzmę go na górę i opatrzę mu ranę. - Ostatnie zdanie skierowane było wyraźnie do Saula. Ruby i Fi dostrzegły, że aż zjeżył się ze złości.

- Spokojnie, spokojnie, policz do dziesięciu - poprosiła go żona. Saul nic nie powiedział, tylko zatkał sobie usta nową garścią orzeszków.

- Spójrz na tego swojego męża! Długie włosy, święci pańscy!

- Mamo, on gra w Hamlecie. Musi mieć takie włosy.

- Wygląda całkiem jak kobieta.

- Tylko wtedy, gdy stanę przy szanownej mamusi - wymruczał Saul pod nosem. Stopa Fi wymierzyła solidnego kopniaka w jego łydkę. On mrugnął porozumiewawczo, rzucił: „To na razie” i wyszedł, po raz ostatni nabierając garść orzeszków.

Ruby spytała Bridget, czy woli kawę, czy herbatę.

- Dziękuję, napiłabym się kawy - odparła matka i spytała, czy Ruby czuje się już lepiej.

- Och, o wiele lepiej. W końcu zdecydowałam się nie prowadzić sama i odwiózł mnie...

- Świetnie, kochanie. Wspaniale. A co myślisz o tak wysprzątanej kuchni? Popatrz, w tym kranie można się przejrzeć. Był wręcz zarośnięty kamieniem, a wystarczyła odrobina pasty do polerowania... - popatrzyła wymownie na Fi. Przez kolejne pięć minut perorowała, jak współczesny system oświaty ignoruje edukację dziewcząt w zakresie prowadzenia gospodarstwa domowego. Córka w odpowiedzi wychyliła trzeci kieliszek wina.

- Cóż, muszę przyznać - powiedziała Ruby, stawiając na stole kubek z kawą - że kuchnia wygląda prześlicznie.

We wzroku Fi dało się wyczytać „zdrajczyni”. Ruby odpowiedziała spojrzeniem, mówiącym „a co miałam powiedzieć?”.

- Najgorsza była podłoga. Nie wiem, kiedy ostatni raz widziała szczotkę i mopa. Musiałam ją szorować cztery razy, żeby jakoś wyglądała. Nie, właściwie to najwięcej roboty miałam z piekarnikiem, poszła mi cała butelka mleczka do czyszczenia. Wiesz, Fiona, musisz wziąć się za dom. Poradziłabyś sobie ze wszystkim, gdybyś nauczyła dzieci dyscypliny. Myślisz, że jak byłaś niemowlakiem, to leciałam do ciebie na każde zawołanie? Niech ręka boska broni! Uwierz mi, ten mały już owinął sobie was wokół palca!

Skończyła mieszać cukier i sięgnęła po mleko. Karton okazał się pusty. Zrobiła minę, która mówiła, że to jeszcze jeden dowód na to, iż córka jest niezgułą w prowadzeniu domu i nie należało oczekiwać zmiany w tej kwestii.

Ruby zaproponowała, że przyniesie jej mleko, ale Bridget już poderwała się z miejsca. Z jakiegoś powodu przyglądała się ze spokojem matce Fi, która otwierała lodówkę.

Wyciągnęła dzbanek, a Ruby ścisnęła Fi za ramię, dając jej do zrozumienia, że ma siedzieć cicho.

- Słodki Jezu - wyszeptała Fi z ręką na ustach. - Ona wzięła moje...

- Wiem. Lepiej ją powstrzymać.

- Tylko spróbuj, a nie odezwę się do ciebie nigdy w życiu. - Jak chcesz.

Starając się zapanować nad histerycznym śmiechem, patrzyły, jak Bridget wlewa mleko do kawy, siada z powrotem i bierze do ust pierwszy łyk. Po czym kolejny i jeszcze jeden.

- Dobra kawa, mammo?

- Niezła. Na szczęście mleko nie jest za tłuste. Zwykle nawet dwuprocentowe mi nie odpowiada. Jestem bardzo wrażliwa, jak wiesz. Co to za mleko?

- O, to takie nowe, organiczne. Francuskie, importowane.

- Z Francji? Z jakiego regionu?

- Chyba z Szampanii. Z Chateau Yves. Dlatego na pudełku widnieje taki skrót: C - Y.C. Z dopiskiem „bio”.

- Dobrze, chyba zapamiętam. Jak wrócę, zapytam o nie w moim supermarkecie.

RUBY DOTARŁA do rodziców tuż przed ósmą. Otworzyła jej Ronnie ubrana w wielgaśną bluzę z napisem „Czy wyglądam w tym grubo?”. W ręce trzymała kuchenną rękawicę.

- Podoba ci się mój strój? Prezent od ciotki Sylvii - wyjaśniła. Zaprowadziła córkę do kuchni. Na blacie czekała na wpół upieczona gicz jagnięca.

- Zaraz się tobą zajmę. Muszę tylko skończyć macerowanie jagnięciny. Tato słucha muzyki, pewnie nie wie, że przyszłaś. - Wzięła wielką łyżkę i zaczęła polewać mięso wywarem. - Nalej sobie wina.

Ruby, zgodnie z poleceniem, napełniła kieliszek czerwonym Merlot i napawała się aromatem pieczeni, rozmarynu oraz czosnku.

Na stole leżał szkicownik. Usiadła i zaczęła go przeglądać strona po stronie. Pełno w nim było sylwetek ciężarnych kobiet o ciężkich piersiach, rysowanych węglem.

- Ojej, to ładne! - zawołała. Była pod wrażeniem prostoty i siły zamasyście nakreślonych postaci. Ronnie powiedziała, że to dopiero przymiarki.

- Tavistock Gallery planuje wystawę pod tytułem Poród - Naród i prosili, żebym dostarczyła im kilka prac. Interesują ich obrazy i rysunki. Cieszę się, bo naprawdę mam ochotę wziąć w tym udział.

Wszedł Phil, obwieszony kabelkami od słuchawek nowiutkiego iPod'a. Śpiewał na głos, okropnie fałszując (udawało mu się trafić najwyżej co siódmą nutę): Gotta move these

refridgerators, Gotta move these colour TV's... W tym momencie dołączyła do niego Ronnie. Zaczęła kołysać biodrami i śpiewać do chochelki niczym do mikrofonu. Phil wziął przykład z żony i zaczął markować grę na gitarze. Oboje poszli na całość - dali z siebie wszystko.

- Patrzcie ludzie! Flip i Flap grają Dire Straits - skomentowała rozbawiona Ruby.

- Ty złośliwa oso - zaśmiała się mama, bijąc ją na niby łyżką po głowie.

Phil pozbył się słuchawek i ucałował córkę na powitanie.

- Wiesz, córa, ta funkcja shuffle jest boska. Wgrywasz sobie ulubioną muzykę, a maszynka puszcza ci kawałki w przypadkowej kolejności. Uwielbiam to. I popatrz - jest nie większa od zapalniczki, a mieści tysiąc piosenek. Tysiąc! - podkreślił Phil i zwrócił się do Ronnie. - A tak swoją drogą, złotko, wypiałś ten wyciąg z męczennicy i korzenia szczawiu? Pół godziny temu wycisnąłem ci sok z buraków. I co? Jak stał, tak stoi. Wiesz przecież, że jest zdrowy, a tymczasem nawet go nie tknęłaś. Ładnie to tak?

- Wszystko pięknie, szanowny panie doktorze, ale czy próbował pan kiedyś, jak taki sok smakuje? - spytała Ronnie, wyjmując sztucce. - Ruby, powiedz ojcu, żeby przestał się nade mną tak trząść. Jestem zdrowa.

- Zdrowa, zdrowa. Jako multigravida geriatrixa jesteś bardziej narażona na powikłania w ciąży niż młode dziewczyny.

- Tylko nie geriatrixa, dobra?! Bo czuję się jak zgrzybiała staruszka, co zaraz kopnie w kalendarz.

- Już, już, słonko, wszystko wycofuję. - Phil zwrócił się do córki: - Poszperałem w internecie i odkryłem naturalne suplementy, które powinna zażywać mama, bo zapobiegają anemii i wysokiemu ciśnieniu.

- Może i tak, ale smakują jak gnijąca kora - narzekała zdeglustowana Ronnie.

- Tato, nie panikuj. St. Luke jest jedną z najlepszych klinik położniczych na świecie. Naprawdę potrafią zadbać o mamę.

- Wiem, ale i tak się niepokoję. Zresztą ostrożności nigdy za wiele. Ronnie, czy pokazałaś zdjęcie z USG?

- Chciałam to zrobić po kolacji - odpowiedziała, wręczając mu sztucce. - Nakryj do stołu, Sylvia i Nigel powinni zaraz przyjść.

Phil nie zareagował, lecz dalej rozmawiał z Ruby.

- Czy ty wiesz, że teraz mają trójwymiarowe USG!

- Tak, tak, wyobraź sobie - przerwała Ronnie - ja tam leżę z gołym brzuchem wysmarowanym galaretką, a twój szanowny tatuś konwersuje sobie z panem doktorem o ultrasonografach: „Jakiej to firmy? Mitsubishi? Toshiba? A jakie ma parametry?”.

Ruby zachichotała:

- Co się dziwisz? Przecież to facet, nie może inaczej. Ale dzidzius na pewno też go obchodzi.

- I to jak! Zresztą mama sama dobrze wie - to mówiąc, Phil wycisnął na policzku Ronnie soczystego całusa. - Wyobraź sobie, dzieciak ma już dwadzieścia pięć centymetrów! Waży prawie pół kilo, ma brwi i powieki. Martwi mnie tylko, że nie kopie, a powinien.

Ronnie potarła nerwowo czoło.

- Phil, daj sobie na wstrzymanie. Jeżeli ktoś powinien panikować, to ja. Wszystko będzie dobrze, USG wykazało, że serce jest w porządku i bije mocno. A teraz idź wreszcie i nakryj do stołu.

- Wiesz co - Ronnie zwróciła się do córki - nie mogę przestać myśleć o Claudii Planchette i o tym, jak ona traktuje biednego dzieciaka.

- Ja też, co za życie ma to dziecko...

- Może hormony jej wariują, ale boję się, że ona już taka po prostu jest. - Ronnie zaczęła smarować spód deseru Pavlova bitą śmietaną. - Tak na dobrą sprawę, w szkole rodzenia była naprawdę wkurzająca. Dziwne. Wszystkie zaczęłyśmy rozmawiać o tym, czy z kształtu brzuszka można wywnioskować płeć dziecka - takie tam głupoty, a przy okazji nieźle się uśmiełyśmy. Wtedy prowadząca dla żartu zaproponowała, żebyśmy porównały brzuchy. Stajemy w rzędzie, podnosimy podkoszulki, czy kto co tam ma na sobie - tylko jedna Claudia nie chce. Jedna jedyna. No to myślę sobie: widocznie ma opory przed rozbieraniem się, nawet w towarzystwie kobiet. Może instruktorka posunęła się odrobinę za daleko, przekroczyła sferę prywatności...

- Ronnie, błagam. Przejdź do rzeczy, bo się tu zestarzeję - rozległ się głos cioci Sylvii, która właśnie przybyła. Wyglądała powalająco w rdzawej sukni - płaszczu i szerokich spodniach w podobnym kolorze. Widocznie usłyszała wszystko, co Ronnie mówiła. Podeszła do Ruby i pieszczotliwie uszczypnęła ją w policzek. - Jak tam moja ulubiona siostrzenica?

Ruby roztarła bolące miejsce i powiedziała, że jakoś leci.

- Dobra - ciągnęła Ronnie - chodzi o to, że kiedy na nią patrzyłam, wydawała się dosłownie przerażona. To na pewno było coś więcej niż wstyd. Wyobrażam sobie, że kiedyś musiała doświadczyć traumy - obnażenia w obecności kobiet. Może ma za sobą gwałt, ingerencję w sferę intymności? Poza tym prawdopodobnie cierpi na posttraumatyczną nerwicę.

- Psycholog od siedmiu boleści - zbyła ją Sylvia, podjadając truskawkę przeznaczoną na deser. - Fantazjujesz. Claudia odstawia cyrk, bo boi się, że ktoś wyciągnie z za pazuchy

aparatu i pstryknie jej fotkę, która trafi do mediów na całym świecie, a ona nie dostanie za to ani grosza.

- Rzeczywiście - przyznała Ronnie. - Pewnie masz rację, nie pomyślałam o tym.

Siostry rozmawiały, Ruby milczała. Cały czas zastanawiała się, czy to możliwe, że instynkt jej nie zawiódł, gdy przez chwilę widziała rozebraną Claudię w przymierzalni Les Sprogs. Może aktorka rzeczywiście nie jest w ciąży i bała się, by nie odkryto, że nosi atrapę brzucha? Tylko po co, na litość boską?!

- Halo, halo, tu Ziemia. Wzywam Ruby, wzywam Ruby - Sylvia zamachała jej przed oczyma utkwionymi w jednym punkcie.

- Odbiór - obudziła się Ruby. - Przepraszam, zamyśliłam się.

- Właśnie mówię: chodźże wreszcie i zapoznaj się z Nigelem. Czeka w salonie z twoim tatą - komenderowała Sylvia.

Ruby chciała wyjawic teorię o symulowaniu ciąży mamie, ale ta była zajęta rozmową.

- Powiedziałaś mu wreszcie, ile masz lat? - wierciła siostrze dziurę w brzuchu.

- Niezupełnie - wykręcała się Sylvia. - Cierpliwości, muszę po prostu znaleźć właściwy moment. Słowo.

NIGEL BYŁ krępy męczyzną o nienaganych manierach, ubranym w szary, urzędniczy garnitur i krawat bez wyrazu. Stanowił absolutne przeciwieństwo dotychczasowych ciocinych absztyfikantów - głośnych, zabawnych, a przy tym mocno rąbniętych typków, w których zazwyczaj gustowała Sylvia. Nigel to nudziarz - taka była naga prawda.

Podczas kolacji wszyscy mieli okazję zagłębić się w tajniki świata odliczeń podatkowych. Poznali najdrobniejsze niuanse pomiędzy odliczaniem od dochodu a odpisem od podatku, zalety darowizn i odliczeń za obligacje skarbowe oraz najkorzystniejsze sposoby ich lokowania. Przyczyniła się do tego ciocia Sylvia, której stan nie kwalifikował się jeszcze jako „narąbana jak stodoła”, ale robiła wszystko, by szybko to zmienić, i podpuszczała amanta.

- No, nie wstydz się, Nigel. Opowiedz, jak pomogłeś Osbourne'om w kwestii podatków.

- Pomogłem, ale nie było to łatwe - rozpoczął opowiadanie, splatając ręce. - Było to tak. Zmiana przepisów podatkowych w roku 1998 spowodowała obowiązek opodatkowania w kraju przychodu obywateli brytyjskich, rezydujących za granicą. Uchwała z marca 1998 roku określiła, że emigranci przebywający poza Wielką Brytanią zobowiązani będą do odprowadzania podatku w ciągu pięciu lat od chwili wyjazdu z ojczyzny...

Nigel perorował, a Ruby przez cały czas nie mogła oderwać od niego wzroku. Kiedy ich sobie przedstawiono, wydawało jej się, że przyjaciel Sylvii ma dobroduszną, miłą i pulchną - trzeba przyznać - twarz, na której często gościł uśmiech. Była w stanie pojąć, dlaczego ciotce wydał się atrakcyjny. Teraz jednak w rysach Nigela zaczął niepokoić ją jakiś drobiazg, coś kobiecego, czego nie była w stanie wskazać palcem.

Na krótko zapadła cisza - Nigel brał głębszy oddech. Sylvia wykorzystała to, żeby szybko wtrącić:

- Ten człowiek ma niesamowity łeb do interesów, jest genialny w tropieniu zysków. Opowiedz, jak pomogłeś Stingom.

- Nie, Sylvia, lepiej nie. Nie powinienem, to są poufne informacje.

- Zaoszczędził dla nich miliony. Miliony! Mówię wam, jeśli kiedykolwiek będziecie potrzebowali porady w sprawie podatków, walcie prosto do Nigela. Stanie się waszym wybawcą! Jest tak zdolny, że nazwali jego imieniem pewien kruczek. Kruczek Nigela Bromptona.

- Rzeczywiście, widzicie, to było tak: istnieje pewna nieścisłość w systemie Urzędu Skarbowego...

- Komu jeszcze wina? - przerwał Phil. Ruby poznała po jego minie, że jeszcze chwila, a weźmie Nigela za kruczek i wyrzuci na zbity pysk. Obszedł stół, napelniając gościom kieliszki. - A tak swoją drogą - oznajmił - zgadnijcie, nad czym teraz pracuję. Projektuję opakowanie na defibrylator - wiecie, to te druciki pod prądem, którymi lekarze przywracają pracę serca. - Odstawił butelkę i wrócił z kartonowym pudełkiem w dłoni. Wyjaśnił, że firma wchodzi na rynek z domowym defibrylatorem na baterie i podarowała mu prototyp.

- Wow, fantastycznie - ucieszyła się ciotka. Łyknęła jeszcze trochę wina i wzięła się do otwierania plastikowej saszetki. Wyciągnęła z niej parę gumowych rękawiczek, maskę chirurgiczną i nożyczki do rozcięcia odzieży chorego. - Musimy to wypróbować. - Rozwinęła instrukcję i przeleciała po niej wzrokiem. - A teraz, Phil, podejdź i będziemy udawać, że masz atak serca.

Nigel zaoponował, mówiąc, że zaaplikowanie szoku elektrycznego zdrowemu sercu może się źle skończyć.

- Masz rację - poddała się Sylvia, ale tylko na krótko. - Tu mamy coś, co możemy spróbować przywrócić do życia. - Wstała.

- Uwaga, wszyscy na bok. Poproszę o napięcie 220. Na bok, na bok, proszę się odsunąć! - Następnie przyłożyła końcówki defibrylatora do resztek pieczeni. Zamarła dla lepszego efektu, po czym przycisnęła guzik z napisem „szok”. Wszyscy - nie wyłączając

Nigela, w którym widocznie kołatały się resztki poczucia humoru - wybuchnęli zaraźliwym, histerycznym śmiechem.

- Czy pacjent się rusza? - spytała Sylvia, dodając sobie animuszu kolejnym łykiem wina. Ronnie w odpowiedzi potrząsnęła przecząco głową. - Dobra, dajemy zastrzyk adrenaliny.

- Sylvio - zaczęła Ronnie grobowym głosem, włączając się do zabawy - nic więcej nie da się zrobić. To już koniec. - Położyła dłoń na ramieniu siostry. - Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Pieczeń... odeszła.

Sylvia wydała z siebie teatralne westchnienie i otarła fikcyjny pot z czoła.

- Masz rację. Proszę zapisać w raporcie: czas zgonu - dwudziesta dziesięć.

Reszta pokładała się ze śmiechu.

- Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy - rozweselony Nigel poklepał ukochaną po ramieniu. Złożył z namaszczeniem pocałunek na jej czole i szepnął do ucha - Ruby to podsłuchała

- że jest bardzo zabawna i najwspanialsza na świecie.

- Ojej, Phil! Kopie! - zawołała Ronnie, łapiąc się za brzuch.

- Małe kopnęło, to na pewno z wrażenia!

- MÓWCIE, TYLKO SZCZERZE - rozkazała Sylvia później, kiedy w kuchni wraz z siostrą i Ruby zeskrobywała resztki z talerzy, które układały w zmywarce. - Wydaje się wam nudny, prawda?

- A tobie? - odbiła piłeczkę Ronnie, mistrzyni wykrętnych odpowiedzi, wypracowanych w trakcie ciągnących się latami rozmaitych terapii.

Ciotka zamyśliła się. Podwójna porcja deseru pozwoliła jej trochę wytrzeźwieć.

- Może odrobinę. Trochę dzisiaj przegiął, prawda? Ale to dlatego, że był speszony, a do tego podpuściłam go. Nie ma obycia w towarzystwie, ale pod koniec trochę się rozkręcił. Kiedy jesteśmy sami, staje się bardziej sobą. I widzę, że jest miły, ma głowę na karku i można mu zaufać w stu procentach. Przy Nigelu zawsze wiem, czego powinnam się trzymać.

- I takie ma równe brewki - dorzuciła Ruby. Wreszcie na to wpadła. To przez te delikatne, perfekcyjnie wygięte łuki jego twarzy wydawała się kobieca.

- Aha, też to zauważyłaś? - zawtórowała Ronnie. - Chyba sobie nie skubie, jak myślisz?

- Ronnie. Ty jędzo. Nigel. Nie. Skubie. Sobie. Brwi - wyartykułowała obrażona insynuacją ciotka. - Są całkowicie naturalne. Może trochę dziwnie wyglądają, ale już

przywykłam. - Przerwała. - Denerwuje mnie w Nigelu tylko to, że nie ma bagażu doświadczeń.

Ronnie, terapeutka z bożej łaski, poprosiła siostrę, by wyraziła się precyzyjniej.

- Nie wiem. Brak obciążeń emocjonalnych. Trupa w szafie. W przeciwieństwie do wszystkich moich byłych, nie przechodzi kryzysów wewnętrznych, nie popada w depresję, nie skrywa bolesnych ran w głębi mrocznego jestestwa, bo ja wiem? Mogę w nim czytać jak w otwartej książce. Żadnych zagadek, serce na dłoni, niczym mnie nie zaskoczy.

- Innymi słowy, nie musisz być jego pocieszycielką i wybawicielką?

- Myślałam, że nie chce mi się już więcej nikogo pocieszać ani wybawiać. Ale teraz nie jestem tego taka pewna. Czegoś mi brakuje. Może jestem uzależniona od dziwaków w potrzebie? Kręci mnie pomaganie im.

- Ale dobrze wiesz, że oni i tak się nie zmieniają. Za każdym razem wszystko idzie w diabły i zostajesz sama i nieszczęśliwa.

- Niestety do jasnej Anielki - przyznała. - Niestety, i tym razem masz rację.

Ruby wydało się jednak, że mamie nie udało się do końca przekonać siostry.

Rozdział 12

W poniedziałek o wpół do ósmej rano Iwan Groźny stanął w progu mieszkania. - Przepraszam, że nie był w sobotę - sapał jak muzealny parowóz. - Chciałem, ale zostawił tłupek w autobusie. Dzisiaj mam tu nowy. Prosiłem sklepowego o bardzo dobry. Za zgubiony nie policzę.

- To bardzo miło z pana strony - powiedziała Ruby. Otwierając drzwi, dostrzegła jego wyjątkową bladość. - Nie wygląda pan dobrze i tak ciężko panu złapać oddech.

- Niech się nie martwi.

Ale Ruby nie potrafiła się nie martwić. Iwan przyciskał rękę do serca i krzywił się z bólu. Uparła się, żeby poszedł do pokoju i wygodnie usiadł.

- Może będzie lepiej, jeśli wezwę lekarza?

Zamachał gwałtownie ręką: - Nie, nie, to nic nie jest. Jadłem za dużo śledzi i chlebów na śniadanie, i za dużo czarnej herbaty. Boli mnie przez to. - Na dowód wydał z siebie głośne i przekonujące beknięcie.

- No cóż, jeśli myśli pan, że to nic poważnego...

- Nic, nic, wszystko jest dobre. Niech idzie.

Ruby poszła, ale przed wyjściem obiecała, że zadzwoni z pracy, żeby sprawdzić, jak Iwan się czuje.

KIEDY DOTARŁA do sklepu, przyłapała Chanel na czytaniu horoskopu w „Daily Mail” - był to znak, że jej samopoczucie się poprawia i koleżanka wraca do dawnej formy. Widocznie terapeutka, którą poleciła Ronnie, okazała się naprawdę dobra. Dziewczyna usłyszała wchodzącą Ruby i spojrzała znad gazety.

- Posłuchaj tylko tego: „Saturn, planeta rozsądku i refleksji, która wycofała się z twojego życia na kilka tygodni, powraca, i to w towarzystwie Jowisza, planety wzrostu i szczęścia. Twoje sprawy przybiorą wreszcie pomyślny obrót. Będzie co uczić!”.

- No, no, brzmi nieźle.

- Prawda? Szkoda, że nie jestem spod znaku Ryb.

Ruby zaśmiała się - Chanel odzyskiwała wreszcie swoje sławne poczucie humoru. Trochę czasu minęło, zanim udało jej się pogodzić z tym, że nie będzie mogła mieć dziecka. Teraz wszystko wskazywało jednak na to, że wreszcie przezwyciężyła początki depresji.

- A swoją drogą, ten artykuł powinien cię zainteresować. - Złożyła gazetę i przesunęła ją po blacie w kierunku Ruby. - Pamiętam, jak mówiłaś, że Sam nagle musiał się zmyć, bo dostał pilny telefon z kliniki. Może właśnie dlatego?

Ruby wbiła wzrok w nagłówek na pierwszej stronie czasopisma: „Tragedia Claudii - żegnaj, kruszyno”.

- Och, nie! - Ruby naprawdę przejęła się wiadomością o poronieniu aktorki. Nie miała o niej dobrego zdania, nie uważała jej za najlepszą matkę na świecie, ale za nic nie życzyłaby jej takiego obrotu sprawy. - To okropne! Nie chce mi się wierzyć! Nie mówiłam ci, ale ona była niedawno w naszym sklepie i mierzyła kostiumy ciężowe!

Ruby przeczytała artykuł. Wynikało z niego, że Claudia w sobotę po południu dostała skurczy porodowych. Wieczorem tego samego dnia zrobiono jej zastrzyki, mające powstrzymać przedwczesny poród, niestety nie pomogły i w niedzielę urodziła chłopca. Żył tylko trzy godziny.

- Nic dziwnego, że Sam tak się spieszył - powiedziała Ruby. - Jak ja mogłam choć przez chwilę pomyśleć, że ona nie jest w ciąży?

Chanel podskoczyła i spytała, co dokładnie ma na myśli.

- Nic takiego, trochę mnie poniosło.

Koleżanka nalegała i w końcu Ruby musiała opowiedzieć o incydencie w przymierzalni. Tamta nie zastanawiała się długo.

- Ty głupolku, gdzie ty masz głowę? Musiała mieć na sobie taki nowy pas ciężowy - ostatni krzyk mody z Paryża.

- Wiem, wiem, dałam plamę. Zapomnij o tym. Kilka minut później usłyszały telefon. Dzwonił Sam.

- Cześć, miło cię słyszeć. Właśnie przeczytałyśmy o poronieniu Claudii Planchette. To straszne i bardzo nam przykro. Nie miałam pojęcia, że jesteś jej lekarzem i dlatego musiałeś tak się spieszyć. A swoją drogą, ten cyrk medialny wokół takiej tragedii jest obrzydliwy, no nie?

- Na pewno. Wokół szpitala koczują ze stu paparazzich. Czekają, żeby zrobić jej zdjęcie, jak będzie wychodzić. Ona nie była moją pacjentką.

- Och, to przepraszam. Wtedy, kiedy w pośpiechu wychodziłaś, wydawałaś się taki spięty - skojarzyłam te dwa wydarzenia.

- Nie, chodziło o coś zupełnie innego. - Po głosie można było poznać, że jest zmęczony.

- Sam, sypiasz od czasu do czasu?

- O, tak, przespałem kilka godzin z rzędu. Zaczekaj: to było chyba w marcu - zazartowałem. - Teraz właśnie mam zamiar się zdrzemnąć. Dzwonię z propozycją. Może byś wpadła do mnie w piątek wieczorem, to coś ugotuję. Będzie prawdziwe jedzenie, tym razem żadnych gotowych dań podgrzewanych w mikrofalówce.

Ucieszyła się i powiedziała, że z przyjemnością przyjdzie. - A może wolisz gdzieś pójść? Myślałem tylko, że u mnie łatwiej będzie się, hm... zrelaksować. Eufemizm Sama zaostrzył jej apetyt.

- U ciebie będzie najlepiej - zgodziła się.

NASTĘPNEGO DNIA Sam niespodziewanie odwiedził ją w sklepie.

- Miałem wolną chwilę, pomyślałem, że może wyskoczymy na kawę?

Już kilka razy Ruby zachęcała go do tego, by odwiedził ją w sklepie i zobaczył, gdzie pracuje. Dlatego ucieszyła się, że wreszcie skorzystał z zaproszenia. Najbardziej spodobało się jej to, że wpadł tak po prostu, bez zapowiedzi. Niestety, kiedy się pojawił, w sklepie pełno było klientek. Co prawda Chanel uparła się, że sama da sobie radę, ale Ruby nie chciała zostawiać całego kramu na jej głowie. W końcu Sam znalazł rozwiązanie - skoro Ruby nie może wyjść z pracy, on wyskoczy i przyniesie kawę dla wszystkich. Chanel, która ewidentnie była pod wrażeniem, odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

- Otrzyj ślinkę z brody - nabijała się Ruby - bo cały sklep zobaczy.

- Niech patrz - odpowiedziała Chanel rozmarzonym głosem. Ruby nie przypuszczała, że ta cięta w ripostach dziewczyna jest zdolna do tak cielej reakcji. - Ty w paszczę kopana szczęściaro! Kto to, kurna, widział kiedy takie cudne brązowe oczęta? Aż mi się słabo robi! Musi być rewelacyjnym lekarzem, a do tego można z nim pogadać!

Chanel odeszła, by doradzić coś kupującej. Zanim Sam wrócił, niosąc trzy kubki cappuccino ze Starbucksa, ruch zmalął. Ruby klęczała na podłodze zajęta rozpakowywaniem świeżo dostarczonego pudła kocyków niemowlęcych.

- Wiesz co? Jest tu tak jakoś... - Sam rozejrzał się i ogarnął wzrokiem kryształowy żyrandol i francuską kołyskę w stylu rokoko wyściełaną brokatem, która na polecenie Stelli zdobiła wystawę.

- Jak w sypialni Ludwika XV synka Króla Słońce? - podpowiedziała Ruby.

- Miałem powiedzieć: pałacowo. Ale twój opis trafia w sedno. Rozumiem, co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że to miejsce do ciebie nie pasuje. Twoje Baby Organic wyobrażam sobie całkiem inaczej - wystrój byłby oszczędny, minimalistyczny. Białe ściany, do tego, bo ja wiem, może jakieś fotografie? Czarno - białe, duży format...

„Brawo! Bingo!" - zakrzyknęła w duchu Ruby. Ależ ją przejrzał. Z radości aż ciarki ją przeszły.

Okazało się, że nie była w stanie poświęcić Samowi zbyt wiele czasu, bo bez przerwy dzwonił telefon, a do tego Chanel zdecydowała się, by opowiedzieć mu o całej swojej ginekologicznej gehennie. Kiedy nadawała nieprzerwanie niczym radio, Ruby wróciła do rozpakowywania kocyków.

- To było tak. W dziewięćdziesiątym ósmym usunęli mi mięśniaki. To u mnie rodzinne, występowały przynajmniej cztery pokolenia wstecz. Potem doszukali się zespołu policystycznych jajników. A wtedy Craig, mój ślubny - nerwy mu puściły - krzyczy do doktora: „Jak mówisz, bracie, że moja żona ma obfite owłosienie, to lepiej od razu zrzucaj kitel i wychodzimy na placyk". On czasem jest naprawdę słodki, ten mój mężuś.

Sam uważnie słuchał, zadawał pytania i wydawał się głęboko przejęty kłopotami Chanel.

- Najgorsze jest to, że tak naprawdę nie wiedzą, co ze mną jest nie w porządku. Niby powinnam zająć drugi raz w ciążę bez problemu, a widzisz, co się dzieje...

Sam kiwnął potakująco głową i zdobył się na dodający otuchy uśmiech. Chanel prawie mruczała z zachwytu, a Ruby zaczęła się zastanawiać, ilu lekarzy w ciągu tych wszystkich lat, kiedy starała się o dziecko, poświęciło jej tyle uwagi, co on.

- Strasznie mi przykro. Naprawdę wiem, przez co przechodzisz. Zdaję sobie sprawę z tego, jak to jest, gdy szukasz odpowiedzi, ale nie możesz jej znaleźć. Rzecz w tym, że niby medycyna stoi na wysokim poziomie, ale tak naprawdę nie zawsze potrafi pomóc. A tobie potrzebne jest prawdziwe wsparcie. Może przydałaby ci się jakaś terapia. Jeśli chcesz, mógłbym polecić kogoś dobrego.

Chanel podziękowała i powiedziała, że ma już terapeutkę. Była wzruszona tym, że tak się przejął jej problemami, i Ruby zdawało się, że jeszcze chwila, a dziewczyna się rozpłacze. Jednak Chanel nigdy nie pozwoliłaby sobie się rozkleić. Wysiliła się na dziarski półuśmiech i oznajmiła:

- Wpadliśmy z Craigiem na rozwiązanie. Spróbujemy zostać rodziną zastępczą i jak nam wyjdzie, pomyślimy o adopcji.

- Nigdy o tym nie wspominałaś - zdziwiła się Ruby. - To genialny pomysł.

W końcu Sam musiał je opuścić i wrócić do szpitala.

- Za pół godziny mam dyżur na oddziale prenatalnym. - Zwrócił się do Chanel: - Powodzenia z rodziną zastępczą. Oby się udało. - Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- To na razie, do piątku! - pożegnała go Ruby. Sam uniósł ją z klęczek, objął w pasie i cmoknął w policzek.

- Nie mogę się już doczekać - szepnął jej do ucha. - Tym razem nic nam nie przeszkodzi.

RUBY CHCIAŁA NAPRAWDĘ dobrze przygotować się do randki. Zamówiła wizytę w megaekskluzywnym salonie piękności za rogiem, gdzie posłusznie pożegnała się ze stufuntowym banknotem. Jednak wcale tego nie żałowała, gdyż z przybytku urody wyszła z wyregulowanymi brwiami, wydepilowanymi nogami i skórą gładką po peelingu jak apaszka od Hermesa.

Gdy od spotkania z Samem dzieliła ją już tylko godzina, wpadła w popłoch. Wyszła spod prysznic i wcierała w wilgotną skórę balsam nawilżający, tak jak to zalecają w różnych magazynach, kiedy uderzyła ją pewna myśl.

Jak większość kobiet, była niepewna swojego wyglądu. Nogi mogłyby być dłuższe i szczuplejsze. Denerwowały ją włosy, tak cienkie i niedające się ujarzmić, że kiedy budziła się rano, jej fryzura wyglądała jak gniazdo szalonych chomików. Mimo słabych punktów nie uważała się za maskarę. Nie była jednak pewna, jak prezentuje się jej wnętrze, i nie miała przy tym, bynajmniej, na myśli ani swojego intelektu, ani charakteru.

Owinęła się ręcznikiem i poszła do pokoju. Telefon leżał na podręcznym stoliku. Wzięła go do ręki i wstukała numer Fi.

- Cześć, to ja. Chyba cierpię na kompleks pochwy.

- Co? Kompleks pochwy? - zachichotała Fi. - Miała ciężkie dzieciństwo?

- Dobrze ci się śmiać. Sam jest ginekologiem, zgadza się?

- Tak, psze pani.

- W tym rzecz. Musiał oglądać...

- Aha, wreszcie kojarzę. Boisz się, że jesteś niestandardowo zbudowana?

- Coś w tym rodzaju. Ujmę to tak: on się w nich na co dzień pławi jak motyl w kwiatach. Musiał spotkać różne niesamowite przypadki w swoim życiu.

Fi przez chwilę milczała.

- Możesz oświecić biedną idiotkę? Co jest tak wspaniałe i wyjątkowe, że czyni pochwę „niesamowitą”? Oprócz współczynnika ciasności oczywiście, ale ty nie masz się czym martwić, bo nie rodziłaś.

Ruby wydukała, że nie chodzi jej o samą pochwę, ale ogólnie o wygląd podwozia.

- Muszą się przecież bardzo różnić, nie?

Fi odpowiedziała, że jej zdaniem wszystkie wyglądają mniej więcej jak połówka suszonej gruszki i uraczyła Ruby opowieścią o przyjaciółce Amy, która związała się z pewnym brodaczem, skończonym szowinistą. Uważał się za eksperta od cipek i biedna Amy spędzała całe godziny na golasa, kucając nad lustrem i zamartwiając się, że nie spełnia wysokich wymagań kochanka.

- Dziewczyno, Sam jest miłym, porządnym facetem, a nie jakimś tam osiniałym Cipkobrodym.

Zdrowy rozsądek podpowiadał Ruby, że przyjaciółka ma rację, ale wcale nie powstrzymało jej to przed poszukiwaniem lusterka. Nieudany, bo nie było go pod ręką i musiała zadowolić się błyszczącym wieczkiem od puszek z kawą. Poszła do łazienki i zrzuciła z siebie ręcznik.

Gdyby ktoś właśnie popatrzył w jej okno, skręciłby się ze śmiechu na widok golaski z nogami rozrzuconymi jak u pajaca, która próbuje zrobić sobie dobrze pojemnikiem do kawy w rozmiarze XXL.

Oczywiście, puszka nie odbijała dobrze i Ruby dostrzegła w niej tylko niewyraźne różowe farfocle. Ubrała się, wciąż niepewna, czy jej cipka należy do grupy „beznadziejna”, „ujdzie w tłoku”, czy „na medal”.

Oprócz stowy, którą utopiła u kosmetyczki, kupę forsy wydała podczas zakupów w Selfridges. Nabyła szalową bieliznę La Perla w kolorze szaro - kremowym i sama musiała przyznać, że w nowym, głęboko wyciętym koronkowym staniku było jej wyjątkowo, hmm, do twarzy.

Wiedziała, co włożyć na wierzch. Powiewną sukienkę w kolorze mięty a la Cyganka, z bufiastymi rękawkami. Kupiła ją kilka tygodni wcześniej w Whistles i do tej pory nie założyła ani razu, choć miała na to ochotę.

Ruby zdawała sobie sprawę, że kilka rzeczy różni ją od pewnych siebie klientek z wyższych sfer, a jedną z nich był stosunek do ubrania. Bogate kobiety sam pomysł trzymania szmatek „do wyjścia” skwitowałyby śmiechem. Kupowały ciuchy, by je nosić, nie chomikować na specjalną okazję. W rezultacie tarzały się w domu po dywanie w Guccim i wyskakiwały do warzywniaka w Pradzie (czyścić tylko chemicznie), nic sobie z tego nie robiąc. Niezależnie od stanu swoich finansów Ruby nigdy nie poważowały się na takie świętokradztwo. Nie byłyby w stanie wyzbyć się przekonania, że kosztowne ubrania, które łatwo zaplamień lub zniszczyć, są po to, by je trzymać na jakąś wyjątkową okazję, a nie unosić na co dzień. Świadczyło to po prostu o przynależności klasowej.

MIESZKANIE SAMA znajdowało się przy jednej z tych wytwornych, obsadzonych drzewami alei odchodzących od Kensington High Street. Wynajął je od znajomego z Ameryki, którego firma wysłała na rok do Stanów tuż po tym, jak je kupił.

Otworzył jej drzwi na bosaka, ubrany w dżinsy i biały podkoszulek. Włosy miał wciąż mokre po prysznicu i wokół niego unosił się rozkoszny zapach szamponu i czystej, ciepłej skóry. Kiedy cmoknął ją na przywitanie i zachwycił się jej wyglądem, musiała policzyć do dziesięciu, by natychmiast się na niego nie rzucić.

Zamiast więc schrupać go z marszu, zwróciła uwagę na cudowną woń dochodzącą z kuchni.

- Puttanesca - wyjaśnił. Ucieszyła się, bo był to jeden z jej ulubionych sosów, i powiedziała mu o tym.

Sam zaprowadził ją do wielkiego salonu o zawrotnie wysokim suficie, urządzonego z niemiłosierną konsekwencją w kolorze kremowym. Jej stopy ugrzęzły w kremowej, puszystej wykładzinie. Stała więc, przyglądając się kremowym, puchowym poduszkom sofy. Następnie jej wzrok przykuły drapowane, sięgające do ziemi, kremowe zasłony, podwiązane dekoracyjnymi sznurami z chwostami, zwieńczone brokatowym lambrekinem. Ściany pokoju także miały kolor kremowy, i to w dwóch odcieniach: na górze białokremowy, na dole wpadający w beż jedwabny pas francuskiej tapety przedzielał drewniany, rzeźbiony gzymsik. Ruby spojrzała w górę na koszmarny kryształowy żyrandol.

- W mordę jeża, zupełnie jak u nas w sklepie! Sam przewrócił oczami.

- Cóż zrobić, Krystian kocha się w kryształach - powiedział, wskazując głową w kierunku witryny, w której znajdowało się całe zoo kryształowych zwierzaków. - Do tego wszystkie od Lalique'a - skrzywił się. - Na szczęście mam tu parę swoich rzeczy.

Wskazał na wnękę obok imponującego kominka w kolorze kremowym. Stała w niej szafa grająca, która wyglądała jak żywcem przeniesiona z klubokawiarni z lat pięćdziesiątych. W drugiej wnęcie znajdował się telewizor plazmowy, największy, jaki kiedykolwiek widziała, a pod oknem, w wykuszu, miniaturowy stół do snookera. Pośrodku stołu pyszniło się gipsowe popiersie Józefa Stalina, które Sam przyozdobił czapką bejsbolówką i ciemnymi okularami Ray Ban.

- Cudowne - zaśmiała się Ruby. Usiadła na kanapie obok gigantycznego rudego kocura o rozwichrzonym futrze.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć - zaczęła - ale on nie jest kremowy.

- Bo się przybłąkał pewnego pięknego ranka - wyjaśnił z uśmiechem Sam - a ja popełniłem błąd i go nakarmiłem. Poznaj Kota Damona.

Jak na zawołanie, kocisko leniwie łypnęło okiem, by natychmiast zamknąć je znowu.

- Piękne imię! A to miejsce wygląda mi na coś pomiędzy mieszkaniem chłopaków z serialu Przyjaciele a salonem Liberace. Chociaż - tu rzuciła mu powłóczyście spojrzenie - to chyba jasne, że ty nie podzielasz skłonności Liberace.

- Ja nie. To raczej Krystian, od którego wynajmuję mieszkanie - powiedział Sam znad mahoniowego stołu, przy którym otwierał szampana. - Podkreca sobie rzęsy, a w terminarzu ma zapisaną datę, kiedy rozpoczyna się wyprzedaż u Kenzo.

Ruby podeszła do szafy grającej. Kiedy stała, podziwiając obudowę wyłożoną orzechowym fornirem i chromem, podał jej kieliszek.

- Zdrówko - wznosił toast. Przechyliła szkło i bąbelki połaskotały ją w nos. - Sąsiad z góry wyprowadzał się i nie miał na nią miejsca w swym nowym mieszkaniu, więc zaproponowałem, że ją odkupię.

- Jest przepiękna - oświadczyła, przeciągając palcem po liście piosenek. Na stoliku obok leżała garstka starych sześciopensówek. Wziął jedną i zapytał, czego chciałaby posłuchać.

Upiła łyk szampana i przyjrzała się spisowi utworów.

- Hmm, co powiesz na Are You Lonesome Tonight?

- Dobry wybór.

Wrzucił do otworu monetę. Wyjął jej z ręki kieliszek i razem ze swoim odstawił na stół. Kiedy zabrzmiały pierwsze tony, przyciągnął ją do siebie. Oparła mu czoło na ramieniu i kołysali się łagodnie w rytm muzyki. Od zapachu Sama zakręciło jej się w głowie. Podniosła ku niemu oczy. Twarz mężczyzny wydawała się na to czekać, uśmiechnięta, gotowa do pocałunku. Usta spoczęły najpierw na jej czole, potem powędrowały do policzków, a po chwili dotarły do ust. Rozchyliła je i poczuła jego ciekawski język. Smakował jak szampan.

Przytulili się mocniej, wyczuwając erekcję. Odpowiedział jej, przesuwając językiem po odsłoniętym ramieniu i szyi. Zamknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę, tak jak to czynią aktorki filmowe. Nogi same się pod nią uginały. On, wyczuwając jej stan, powiedział:

- Chodź. - Ujął ją za rękę i poprowadził do kuchni. Wyłączył gaz pod mrugającym w rondelku sosem, po czym zaprowadził do sypialni, oświetlonej trzema kolosalnymi, kapiącymi od ornamentów, połączanymi świecznikami. Choć Krystian uwielbiał kicz, musiała przyznać, że przyćmione, migotliwe światło robiło niezwykle wrażenie. Zrzuciła buty i poczuła pod stopami miękki dywan.

Usta Sama czuła wszędzie: na szyi, ramionach, czubkach piersi. Serce Ruby tłukło się jak szalone, oddychała szybko i płytko. Poczowała rękę, która powolnym ruchem wślizguje się

pod spódnicę i głaszczę ją po wewnętrznej stronie uda, a w sekundę później własną wilgoć. Ręka odchyliła brzeg majtek i torowała sobie drogę do wewnątrz. Poczula w sobie palce, rozłożyła nogi, oparła głowę na ramieniu Sama i wydała z siebie niekontrolowany jęk.

- Jazda do łóżka - szepnął jej do ucha.

Następną rzeczą, którą poczuła, było zapadanie się w chmurze miękkich poduszek. Sam uniósł jej sukienkę, a kiedy zajął się zdejmowaniem majtek, poczuła nawrót pochwowej paniki.

- Sam?

- Co tam u góry?

- Widzisz, głupio mi, bo jesteś ginekulkiem i w ogóle... Na wątpliwości było już za późno, bo majtki pofrunęły na

bok i odjęło jej głos. Brzuch zadrżał pokrywany pocałunkami, poczuła usta wędrujące w rejonu południowe. Sam rozwarł jej nogi. Próbowwała temu zapobiec, ale nie miała siły.

Palce dokazywały na wargach sromowych, muskając je tak figlarnie, że aż zamruczała z rozkoszy, po czym rozchyliły je. Otworzyła oczy i popatrzyła w dół na głowę mężczyzny.

- Jesteś śliczna - powiedział.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chciałaś o coś zapytać?

- Nie, nie, to nic takiego. Już nic.

Jego głowa znowu znalazła się między udami Ruby. Poczula język gorliwie szukający łechtaczki. Zdziwiona słuchała własnego pomrukiwania, a kiedy Sam drażnił ją i smakował, poczuła zbliżającą się znajomą falę, której nic już nie mogło zatrzymać.

Później, zamiast zapalić papierosa, przytulił się do jej brzucha, a ona przeczesła mu włosy palcami. Położył się obok niej i wsunął jej rękę między nogi. Penis rozsadzał mu dżinsy, a Ruby przesunęła w tym miejscu paznokciami po szorstkiej tkaninie, znacząc jego kontur.

- Pragnę cię - powiedział, a następnie usiadł i wyzwolił się z podkoszulka. Ciało miał umięśnione, noszące jeszcze ślady letniej opalenizny. Spod paska dżinsów wycierała kolumna ciemnych włosów, która kończyła się w okolicach pępka. Ruby właśnie poradziła sobie z rozpięciem klamry paska i zabrała się do rozsuwania rozporka. Penis wystawiał wesoło czubek znad gumki bokserek. Uwolniła go zupełnie, ściągając w dół majtki, otarła ręką lśniąca kropelkę nasienia i wzięła go do ust. Właściciel pieszczonych wdzięków sięgnął ku jej pośladkom i przesunął palcami po dzielącej je linii w poszukiwaniu cipki. Czula, że zaraz skończy, ale w tym momencie odsunął się od niej.

- Klękniij - rozkazał, po czym sięgnął po stertę poduszek i podłożył jej pod brzuch.

Ruby wydała niewyraźny okrzyk, gdy bez ostrzeżenia rozsmarował jej wydzielinę po powierzchni ciała. Następnie powiedział:

- Łechtaczkę masz twardą jak groszek.

Drażnił uparcie pęczniące ziarenko, aż doprowadził ją na skraj orgazmu. Potem wszedł w nią tak silnie, że aż krzyknęła. Poruszał się rytmicznie, nie zdejmując palca z lechtaczki, mimo to było jej trudniej dojść niż za pierwszym razem. Zrozumiał to i zwolnił. Poprosił, by się nie spieszyła.

- Mamy mnóstwo czasu, po prostu odpłyn, daj się ponieść rzece.

Posłusznie zamknęła oczy i pozwoliła, by doznanie spomiędzy nóg ogarnęło całe ciało i wtedy, w sposób, który określiłaby jako bliski zen, zaczęła szczytować.

- No widzisz - szepnął. - Dobrze, dobrze, już dobrze. Palec ślizgał się coraz szybciej po lechtaczce, jednocześnie ruchy Sama stały się bardziej gwałtowne. Nagle zwolnił i zastygł w bezruchu.

- Dasz radę, mówię ci, dasz radę - wydyszał, a ona poczuła w sobie delikatne, przybierające na sile skurcze.

Chwilę później oboje osunęli się na łóżko jak spocona, bezwładna, skłębiona masa.

- Boże, Boże, Boże - powtarzała w poduszkę - to było niezemskie.

Pogładził ją po pupie, mówiąc:

- Miło mi, że nie cała przyjemność po mojej stronie.

Tej nocy kochali się jeszcze trzy razy. Ranek zastał ich w łóżku, gdzie na siedząco zajadali się chrupkami Pop - Tarts i pili kawę, a Kot Damon leżał zwinięty w kłębek w nogach łóżka.

- Wiesz co, masz prześliczne włosy po spaniu - zachwycił się jej rozczochraną fryzurą.

- Śliczne? - zdziwiła się, przeciągając po nich palcami. - Daj spokój. Rano wyglądam zwykle jak skrzyżowanie Einsteina z Amy Winehouse.

- Mnie się podobają.

Pomyślała, że mówi to tylko z grzeczności, ale i tak mu podziękowała.

- Ojej, właśnie mi się przypomniało, że nie zjedliśmy wczoraj spaghetti.

Sam uspokoił ją, mówiąc, że gdy w nocy wstał do łazienki, schował jedzenie do zamrażalnika.

- Poczęstuję cię innym razem.

- Z miłą chęcią. I wiesz co? - spytała, biorąc kolejną chrupkę. - To nie do wiary, chodzę z żydowskim doktorkiem! Ja - idealna żydowska córka! A co najlepsze, jak opowiem o tym mojej wyzwolonej żydowskiej matce, wcale nie będzie zachwycona.

- To nie jest takie złe. Masz pojęcie, co działo się ze mną w Stanach, kiedy znajome Irene z grupy madżonga traktowały mnie jak półboga?

- Dobra, dobra - zaśmiała się. - Przyznaj się, uwielbiasz to!

- Może trochę. Sama rozumiesz - siedemdziesiątki bywają megaseksowne.

Zerknęła na budzik stojący przy łóżku i ciężko westchnęła.

- Komu w drogę, temu kopa. Niedługo muszę wracać do domu, żeby przygotować się do pójścia do pracy.

Postawił talerz i kubek na podłodze i wciągnął ją na siebie.

- Dasz mi pięć minut?

- Spóźnię się - broniła się ze śmiechem.

- Wcale nie - zabrał się do ssania jej sutka. Przerwał mu dzwonek telefonu. - Teraz, na litość boską? Przepraszam, Ruby, to może być ze szpitala.

- Nie ma sprawy.

Sięgnął po słuchawkę. Błyskawicznie twarz pociemniała mu jak tamtego razu na plaży. Zakrył słuchawkę dłonią i wyszeptał do Ruby, że nie będzie rozmawiał długo. Wyszedł z łóżka i z telefonem w ręku przeszedł do przedpokoju. Nie słyszała, co mówił, ale jego głos łamał się pod wpływem wzburzenia.

- Zostań tam, gdzie jesteś! - dobiegł ją strzępek rozmowy.

- Dzwonili ze szpitala? - zapytała Ruby, kiedy wrócił.

- Eeee, właśnie - myślami zdawał się przebywać gdzieś indziej.

- Jakoś trudno mi uwierzyć w to wszystko, co spotkało Claudię Planchette.

- Przepraszam, byłem sto mil stąd. Muszę zaraz jechać do kliniki.

- Jasne, nie tłumacz się, zresztą i tak miałam wychodzić.

- Rzeczywiście - zgodził się beznamiętnie. Jednak coś go tknęło i popchnął ją z powrotem na łóżko, po czym powoli i starannie pocałował, tego dnia po raz ostatni.

Rozdział 13

Sześć tygodni później Sam wyznał Ruby, że się w niej zakochał. Był listopad. Pewnego rzeńskiego, słonecznego niedzielnego popołudnia wybrali się na spacer po Kew Gardens. Później postanowili wstąpić do Dwórek w Orszaku, herbaciarni po drugiej stronie ulicy.

- Jest tu tak, jakbyśmy wylądowali w czasach tuż po wojnie - zauważył Sam na widok niezmiennego od lat wystroju i ciężkich ciemnych boazerii.

- To prawda. - zgodziła się Ruby, dodając, że podczas każdej wizyty podświadomie oczekiwała, że zaraz wejdą tu eleganci lansujące New Look Diora i zasiądą przy stoliku obok.

W ostatnim czasie widywali się dwa, trzy razy w tygodniu. Na weekendy, poprosiwszy o pomoc w sklepie Anne - studentkę dorabiającą do stypendium - Ruby przenosiła się do Sama.

Soboty spędzali przeważnie w łóżku. W przerwach, kiedy się nie kochali, przeglądali gazety, próbowali naprawiać świat i objadali się paluszkami rybnymi i kanapkami z brązowym sosem, oglądając szmirowate filmy w telewizji. Wieczorami wychodzili na kolację i do kina.

W niedzielę zmuszali się do wstania z łóżka około drugiej i udawali się na długi spacer nad rzeką w Richmond - dzisiaj jednak zastąpili go wycieczką do Kew.

Nalewając Earl Greya z kruchego, na wpół przezroczystego, porcelanowego dzbanka, Ruby wyjaśniła, że dwórki to ciasteczka z kremem, za którymi przepadał Henryk VIII.

- Lubił je tak bardzo, że kazał uwięzić cukiernika, który je wymyślił, by nie zdradził nikomu przepisu.

- Wsadził go do ciupy? Za przepis? Co panusia gada, chłop se przegiął. - Ruby zaśmiała się i powiedziała Samowi, że kiedy próbuje mówić cockneyem, przypomina jej absztyfikanta Mary Poppins, ale mimo to musi przyznać mu rację. Mówiąc to, wgryzła się w tartoletkę tak mocno, że krem poleciał jej na brodę. Sam nachylił się i wytarł ją swoją serwetką.

- Nawet stół by się w tobie zakochał - zaśmiał się.

- W tobie też.

Choć wyznanie to zabrzmiało tak niepoważnie, onieśmieliło ich. Coś kryło się za dowcipkowaniem i świetnie zdawali sobie z tego sprawę. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Sam oświadczył, biorąc Ruby za rękę:

- Ja już dawno to zrobiłem.

- Ja też cię pokochałam. W Brighton, kiedy pocałowałeś mnie na molo.

- Nie żartujesz?

- Teraz nie.

- A ja wiedziałem, że ty jesteś mi przeznaczona, kiedy zrobiło ci się słabo na obrzezaniu Connora.

- Coś ty. Przecież plotłam bzdury jak jakaś zbzikowana staruszka.

- Zgadza się. A sama wiesz, jaką mam słabość do zbzikowanych staruszek.

Zaśmiała się i powiedziała:

- Dobrze mi z tobą. Wszystko wydaje się takie proste, naturalne.

- Mnie tak samo - uśmiech rozpromienił twarz Sama, który nachylił się i poprzez stół pocałował ją w policzek.

- Smakujesz jak krem.

Wsypał cukier do herbaty i zamieszał.

- Tak sobie myślę: za parę miesięcy powinienem wracać do Stanów, wiesz o tym, prawda?

Ruby nie znosiła, kiedy mówił o powrocie. Bała się związku na odległość. Nie chciała, żeby znowu skończył się on rozstaniem.

Popatrzyła na Sama, a jej oczy przybrały niemal proszący wyraz.

- Musimy teraz o tym mówić? Spędziliśmy taki cudowny weekend. Wyznaliśmy sobie miłość i lepiej tego nie psujmy.

- Kto tu mówi o psuciu? Lekarz, z którym się zamieniłem, nie wraca. Wygląda na to, że przyjął ofertę pracy na Środkowym Wschodzie, bo w klinice zaproponowali mi jego miejsce. Kontrakt jest tylko na rok, ale...

- Podpisziesz?!

- Już podpisałem. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko. Twarz jej się rozjaśniła.

- Przeciwno? Zwariowałeś? Sam, to wspaniale. Genialnie, niesamowicie, nieziemsko, do jasnej Anielki!

- Chcę, żebyśmy byli razem, i już - powiedział.

- Razem i kropka.

RUBY ZDAŁA SOBIE SPRAWĘ z tego, że Sam jest nie tylko jej mężczyzną, ale także najlepszym przyjacielem. Mogła rozmawiać z nim właściwie o wszystkim. Przy żadnym facecie nie czuła się tak pewnie i spokojnie jak przy nim. Z Mattem rozmawiała w kółko o pracy. Z Samem było inaczej: opowiadała mu o sklepie, ale nie był to główny temat ich rozmów.

Jedynym cieniem kładącym się na ich związku były powtarzające się nagle wezwania ze szpitala. Czasem, kiedy się kochali, Sam był wzywany do pracy.

- Muszę lecieć - mówił wtedy, wyskakiwał z łóżka i wbijał się w dżinsy. - Pacjentka właśnie dostała bóli partych.

Bywały też inne niepokojące telefony, takie jak ten, który tak zdenerwował go w Brighton. Kiedy je otrzymywał, przeproszał i przenosił się do innego pokoju, a później chodził przygnębiony i wytrącony z równowagi.

- Złe wieści ze szpitala? - pytała Ruby, a on gapił się w przestrzeń i odpowiadał wymijająco. Nigdy nie chciał o nich mówić. Czasem mijały godziny, zanim udało mu się dojść do siebie, a ona wyobrażała sobie, że chodzi o jakąś katastrofę, śmierć noworodka lub coś podobnego.

Niekiedy prosiła, by podzielił się z nią tym, co go trapi.

- Martwię się, że wszystko dusisz w sobie - mawiała po wyjątkowo przygnębiających telefonach. - Wiem, że zaczynam truć jak własna matka, ale takie zachowanie nie może wyjść ci na dobre.

Obruszał się wtedy i silił na uśmiech.

- Tak reaguję na złe wiadomości. Wiem, że to dla ciebie niełatwe, ale czy możesz spróbować ze mną jakoś wtedy wytrzymać?

- Jasne, że mogę. Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

Nie było to do końca prawdą. Kiedy dostawał złe wieści i nic nie mówił na ten temat, bardzo męczyła ją cała ta sytuacja. Próbowała przetłumaczyć sobie, że na jego zachowanie miały wpływ tragiczna śmierć rodziców i związana z nią trauma - pewnie dlatego tak przeżywał cierpienie innych. Miała nadzieję, że z czasem to minie.

Sam nigdy też nie rozmawiał o swoim bracie. Ruby nie miała pojęcia, co miało oznaczać, że „szedł na złą drogę”. Przypuszczała, że cokolwiek to było, musiało pogłębiać smutek po stracie rodziców i dlatego Sam wolał do tego nie wracać. Oby tylko do czasu.

Po HERBACIE przeszli się do wsi, a Sam kupił jej ulubione kwiaty: żółte, pachnące frezje.

- Wiesz co? Może już czas, żebyś przedstawiła mnie rodzicom? Są dla ciebie tak ważni, a ja nigdy nie miałem okazji ich poznać. Przez to wydaje mi się, że chowasz przede mną część samej siebie.

- Masz rację - przyznała, wdychając słodki aromat kwiatów. - Najwyższy czas, żeby cię im przedstawić.

Zapadł zmierzch, więc postanowili wracać do samochodu. Za ledwie ruszyli w kierunku miejsca, w którym zaparkowali, kiedy Sam nagle zwolnił. Naprzeciw szła jakaś kobieta. Zauważyła go i pomachała.

- Cześć, Kim! - zawołał zaskoczony. Wydawał się nieco zbity z tropu, a nie uradowany tym nieoczekiwanym spotkaniem. Przywitali się, całując w policzek.

Dziewczyna była drobna, miała krótkie, ciemne włosy i twarz o szeroko otwartych, ogromnych oczach sarny. Do tego wydawała się tak bezbronna i krucha, jakby można było przestraszyć ją zwykłym kłaśnięciem - pomyślała Ruby. A może po prostu sprawiała takie wrażenie z powodu bardzo delikatnej budowy ciała.

- Nie jesteś w Highgate? Skąd się tu wzięłaś? - spytał.

- Koleżanka koleżanki urządziła urodziny córki - wyjaśniła z amerykańskim akcentem. - Zaprosiła Todda i Amy. Ja poszłam na spacer nad rzekę i właśnie po nich wracam.

- Nad rzekę? Sama? - wystraszył się, a Ruby nie miała pojęcia, z jakiego powodu. Kim była przecież dorosła. Dlaczego, do cholery, nie miałyby przejść się w słoneczne niedzielne popołudnie nad rzekę?

- Muszę się od czasu do czasu gdzieś wyrwać - tłumaczyła znaczącym głosem.

Twarz Sama złagodniała.

- Rozumiem - odpowiedział i przypomniał sobie o Ruby.

- To jest Kimberley. Przyjaźnimy się od niepamiętnych czasów, przyjechała tu z dwojgiem dzieci.

- Na jak długo? - spytała Ruby, ściskając jej rękę. - Jeszcze nie wiem - odpowiedziała Kim, wymieniając z Samem zaniepokojone spojrzenie.

Kimberley. Kimberley. Gdzieś już słyszała to imię. Racja, w samochodzie, kiedy Sam odwoził Buddy'ego i Irene, ciotka spytała o Kimberley.

- Co u ciebie? - spytał grzecznie Sam, a wyraz zakłopotania znów zagościł na jego twarzy.

Kim zdobyła się na niepewny, zmęczony uśmiech.

- Ujdzie. Trochę się uspokoiło. Todd i Amy będą się zastanawiać, gdzie przepadłam. Miło było cię poznać, Ruby. - Popatrzyła na Sama i dodała. - Do zobaczenia, na razie.

- Cześć. I uważaj na siebie! - przytulił ją i ucałował w oba policzki.

- Dobrze.

- To SPOTKANIE było jakieś dziwne - zauważyła Ruby, kiedy oddalili się o parę kroków.

- Wiem, przepraszam. Ujęła Sama pod ramię.

- Słuchaj, jeśli Kimberley jest twoją dawną dziewczyną, to wszystko w porządku, nie musisz z tego powodu czuć się zakłopotany. O ile rzeczywiście jest twoją byłą, ma się rozumieć.

Nie uwierzyłaby, że Sam zdradza ją z Kimberley. Między nimi wyczuwało się napięcie, ale nie miało ono w sobie nic erotycznego.

Uśmiechnął się blado w odpowiedzi.

- Nigdy ze sobą nie chodziliśmy. Znamy się od wieków, jej matka jest przyjaciółką Irene, a zresztą Kim jest mężatką.

- Aha, jej mąż też tu jest?

- Nie, on został w Ameryce. Przechodzili ostatnio kryzys małżeński i postanowiła przyjechać tu na parę miesięcy, zebrać myśli i odwiedzić rodzinę. Od pewnego czasu miewa napady paniki, dlatego martwiłem się, że wyszła sama.

- Przykro mi, że z nią tak źle. Wydaje się miła.

- Bo jest. Kim to świetna dziewczyna.

Szli dalej. Po chwili wrócili do poprzedniego tematu.

- Cieszę się, że poznasz mamę i tatę - powtórzyła Ruby. - Masz rację, są dla mnie bardzo ważni. Swoją drogą, ważna część twojego życia też pozostaje dla mnie białą plamą.

- Nie może być - zaprzeczył z uśmiechem. - Mój czarny charakter przejrzałaś dawno na wskroś.

Szturchnęła go żartobliwie w ramię.

- Mówię poważnie. Mam na myśli twojego brata, nigdy o nim nie wspominasz. Nie utrzymujesz z nim kontaktu? Co się stało?

Sam zawahał się, po czym postanowił wyjawić prawdę.

- No to powiem ci, co się stało. Ćpanie. Bierze heroinę. Josh ugrzązł w tym po uszy, rzucił studia prawnicze w Yale...

- Coś podobnego! Szkoda. Taka strata.

Widziała, że się zdenerwował, i nie chciała pogarszać sytuacji zadawaniem zbyt wielu pytań.

- Zawsze, jak będziesz chciał porozmawiać, wal prosto do mnie.

- Wiem i dziękuję. To dużo dla mnie znaczy - powiedział, całując Ruby w czubek głowy.

Doszli do miejsca, w którym zostawili samochód, i postanowili wracać przez Richmond Park. Była prawie czwarta, robiło się ciemno, lecz Ruby wydawało się, że zdążą wjechać tuż przed jego zamknięciem. Kiedy dotarli do bramy, straż parkowa właśnie podjeżdżała. W każdej chwili mogło nastąpić przekierowanie ruchu na główną drogę. Samowi udało się przejechać wraz z jeszcze jednym autem. Dozwolona prędkość na terenie parku wynosiła dwadzieścia mil na godzinę, co wszystkim wydawało się denerwująco powolne. Niektórzy sfrustrowani kierowcy próbowali wyprzedzać innych wąskim przejazdem po niewłaściwej stronie, ryzykując zderzenie z autem nadjeżdżającym z przeciwka. Ruby nie raz była świadkiem podobnych manewrów. Inni nie wyprzedzali, lecz przekraczali dozwoloną prędkość, starając się jechać tuż poniżej trzydziestki, aby nie zajął ich radar.

Ledwie zdążyli przekroczyć bramę parku, kiedy jakiś samochód, potwór z napędem na cztery koła, pojawił się z niewłaściwej strony i przemieszczał równoległe do nich. Ruby usłyszała, jak Sam klnie pod nosem, pozwalając mu się wyprzedzić. Jednak czarne porsche cayenne - zdaniem Ruby współcześnie gestapo wybrałoby właśnie ten model - nie skorzystało z ofiarowanego mu miejsca. Za każdym razem, gdy Sam zwalniał, dostosowywało swoją prędkość do nich.

- Co się dzieje? - spytała Ruby, patrząc na porsche górujące nad ich biednym audi.

- Gość ma dziwne poczucie humoru.

Przypatrzyła się kierowcy: był zwalisty i wyglądał jak goryl za kółkiem dzieciennego samochodzika. Wyszczrzył do Sama zęby.

- Czemu on się uśmiecha? - spytała Ruby. - Wy się znacie?

- Chyba żartujesz. W życiu go nie widziałem.

- Nie podoba mi się to - Ruby przeszedł dreszcz. - Wydaje mi się, że on nam grozi.

- Uspokój się. To jakiś palant, który nakręca się w ten sposób. Znudzi mu się, jeśli będziemy go ignorować.

Jednak minął jakiś czas, a porsche wcale nie odpuszczało. Kierowca zerkał co kilkanaście sekund w ich stronę i się uśmiechał. Po tym, jak Samowi drżały mięśnie zuchwy, Ruby poznała, że go to denerwuje. Nagle, bez ostrzeżenia auto skręciło gwałtownie w kierunku ich samochodu.

- Cholera, chce nas walnąć - krzyknął Sam i zahamował ostro, próbując uniknąć zderzenia.

- Dobra - sięgnęła po komórkę.

- Co robisz?

- A jak ci się zdaje? - wybuchnęła, bliska hysterii. - Dzwonię na policję. To jakiś świr, może nas zabić!

W tym momencie, kiedy zbliżali się do Roehampton Gate, porsche wyprzedziło ich, wyjechało pędem z parku i zniknęło.

- Cholera - zaklęła Ruby. - Nie zapisałam numeru, zapamiętałeś go?

- Nie dałam rady, jechał za szybko.

Odłożyła telefon. Teraz nie było sensu dzwonić. Sam spytał, czy wszystko w porządku.

- Nie martw się, jestem tylko trochę roztrzęsiona. Co za drań, nie chce mi się wierzyć, że uszło mu to na sucho. Słuchaj, zadzwońmy lepiej na policję, może go znają?

- Nie - uciął Sam. - Daj spokój.

- Ale dlaczego? Nie chcesz, żeby go złapali? Mogliśmy już nie żyć!

- Racja, ale wiesz, jak by to się skończyło. Tkwilibyśmy na posterunku godzinami, czekając, aż będziesz mogła złożyć zeznanie, a i tak nic by to nie dało. Nie ma sensu dzwonić, zwłaszcza że nie zapisałaś numerów.

Ruby jednak nie miała zamiaru odpuścić. Jak tylko dojechali na miejsce, zadzwoniła na policję. Oficer na służbie natychmiast zapytał, jaki jest numer rejestracyjny porsche. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, oświadczył, że w takim razie niewiele mogą zrobić.

- A nie mówiłem? - wypalił Sam, jak tylko się rozłączyła.

- Wyglądasz tak, jakby sprawiło ci to ulgę.

- Ulgę? Nie wiesz, co mówisz, dziewczyno. Następnego dnia, ochłonawszy po niedzielnych emocjach,

Ruby zadzwoniła do mamy, by oznajmić, że w jej życiu pojawił się mężczyzna. Postanowiła nie wspominać o zajściu w Richmond Park, bo na pewno wystraszyłaby ją na amen, a ciśnienie zaczęłoby jej skakać jak tyczkarz na olimpiadzie.

- Kochanie, to cudowna wiadomość! - ucieszyła się Ronnie. - Rzadko się ostatnio odzywałaś, domyśliłam się więc, że kogoś masz. Przyrowadź go w sobotę na obiad. Nie, nie, co ja mówię. W sobotę jesteśmy zajęci. Nasza szkoła rodzenia zaprasza na pogadankę o ochronie krocza połączoną z degustacją wina i sushi. Może w niedzielę?

- Świetnie.

Przykazała sobie, aby nie pytać, jak minęła wizyta w szpitalu. Wolą unikać naturalistycznych szczegółów.

- Wspominałaś, że Sam jest lekarzem? - Ronnie próbowała, z miernym powodzeniem, ukryć swoje podekscytowanie tym faktem.

- Ginekologiem. Pracuje w St. Luke.

- Naprawdę? I ma żydowskie pochodzenie?

- Aha. Ale nie bój się, nie nosi pejsów.

- Szkoda, byłoby zabawnie. Przystojny?

- Bardzo. - I to coś poważnego?

- Jak najbardziej.

- Wow! W mojej ślicznej, zdolnej córeczce zakochał się przystojny, żydowski doktorek!

- A moja trendowa, wyzwolona matka pieje nagle z zachwytu jak Golda ze Skrzypka na dachu!

- Przepraszam, kochanie, nic na to nie poradzę. Zaczynam dochodzić do wniosku, że to wina tych obszarów osobowości, które przez całe lata tłumiłam. Nagle zaczynam dopuszczać do głosu moją wewnętrzną jentl.

Ruby przełknęła głośno ślinę.

- Mamo, błagam, powiedz, że to tylko żarty! Ronnie wybuchnęła śmiechem.

- Jasne, a co już się bałaś? Ja, jentl? Niedoczekanie. Słuchaj, muszę trochę podzwonić. Najpierw do cioci Sylvii, potem do babci do Marbelli. Ach, no i do kuzynów ojca w Montrealu.

JAKO ŻE CIOCIA SYLVIA miała tak dobry kontakt ze swoją wewnętrzną jentl, że na widok Sama mogłoby jej się wyrwać z bujnej piersi Sunrise, sunset, Ruby zasugerowała, że lepiej nie zapraszać jej na niedzielny obiad. Ronnie od razu zrozumiała, w czym rzecz, i zgodziła się z córką. Ostatecznie jednak zmuszona była ją zaprosić: ciocia Sylvia zadzwoniła w sobotę do siostry cała we łzach, mówiąc, że Nigel spotyka się z inną kobietą. Była w takim stanie, że Ronnie nie miała serca pozostawić jej samej sobie i starała się wszelkimi sposobami ją pocieszyć.

- Z niczym nie wyskoczy - pocieszała córkę. - Jest za bardzo przygnębiona.

W kwestii jedzenia Ronnie przyłożyła się wyjątkowo i wyczarowała przepyszne risotto z kurczakiem i grzybami. Phil postarał się o pół tuzina butelek wina, które sądząc po etykietkach, musiało kosztować fortunę.

Mimo wielogodzinnego dyżurowania przy mieszaniu potrawy Ronnie wyglądała olśniewająco. Na nadchodzącą okazję rozstała się z codziennym hippisowsko - cygańskim stylem i ubrała elegancko. Miała na sobie długą tunikę i szerokie spodnie od Ghosta: całość w kolorze kawowym. Ciocia Sylvia niemal bez przerwy powtarzała jej, że wygląda wystrzałowo. Do zachwyty dołączył się Phil, który nie mógł od żony oderwać oczu i

rozczuła ją swą nadopiekuńczością, raz po raz łapiąc za rękę i pytając, czy na pewno dobrze się czuje.

- Co czujesz, kiedy patrzysz na swoich rodziców? Tyle lat są razem i wciąż tacy zakochani, to niesamowite, prawda? - szepnął rozentuzjasmowany Sam, a Ruby przyznała mu rację.

Przez pierwszą część wieczoru Sylvia pozostawała w stanie przygnębienia, dzięki czemu, jak przewidziała Ronnie, jej zachowanie było bez zarzutu. Zero porozumiewawczych uśmiezków, zero podszczypywania, zero szeptanych rad, gdzie najlepiej urządzić wesele.

Następnie, po dwóch kieliszkach Merlot, które wypła przed głównym daniem, odzyskała nieco animuszu. Kiedy siadali do kolacji, złapała Sama za policzek, a do Ruby powiedziała bezgłośnie: „Co za okaz mężczyzny”. Ruby zaczerwieniła się w imieniu biednego okazu, ale on najwidoczniej nie miał nic przeciwko niewinnym podszczypywankom. Był w swoim żywiole. „Jak wśród psiapsiółek Irene z grupy madżonga” - pomyślała Ruby.

- I co, Sam, słyszałam, że jesteś zwolennikiem porodów naturalnych? - zaczęła ciocia, nabierając na widelec risotto. - Za moich czasów „poród naturalny” oznaczał, że matka in spe, zanim się na dobre zaczęło, zmywała sobie makijaż. - I zachęcona śmiechem Sama perorowała dalej: - Mamusia z kolei opowiadała, że rodziła mnie przez siedemdziesiąt dwie godziny. Siedemdziesiąt dwie godziny męczarni! Ja nie wyobrażam sobie, bym mogła przez tyle czasu cokolwiek robić, choćby przyjemnego!

- Podobno St. Luke ma najmniej przypadków nacinania krocza w kraju - zagaiła Ronnie, robiąc kwaśną minę do siostry na znak, że zaniża poziom rozmowy.

- Na to wygląda - odpowiedział. - Klinika zajmuje korzystne miejsce w statystyce.

Ciocia Sylvia odłożyła sztućce i jęknęła:

- Ronnie, błagam, nie przy jedzeniu.

- A, byłabym zapomniała - zignorowała ją Ronnie i ciągnęła - po obiedzie muszę panu pokazać mój odlew brzucha.

Sylvia zamrugła niedowierzająco.

- Co takiego?

- Dałam sobie zrobić gipsowy odlew brzucha.

- No to teraz już wszystko wiemy. - Siostra pokiwała głową.

- Czulałam, że jestem to winna mojemu ciału, które zmieniło się, dając światu dziecko.

- E tam, po prostu zachciało ci się pamiątki.

- To więcej niż pamiątka - oburzyła się wstrząśnięta Ronnie. Phil wyczuł, że rozmowa zmierza w złym kierunku, więc zręcznie zmienił tor konwersacji, zwracając się do Sama:

- A czymże to pan do nas przyjechał?

Sam odpowiedział, że audi Krystiana, które ten pozostawił mu wraz z mieszkaniem. - Jaki model? - V8.

- Wspaniały wóz. Pojemność 3,7 litra czy 4,2? Sam zastanowił się.

- Eee, chyba ta druga.

- A jak się panu jeździ z pięciobiegową automatyczną skrzynią? Nie wiem, jak pana, ale mnie fascynuje technologia tiptronic.

- Nie bardzo się na tym znam...

- Ja też nie - przerwała ciotka, wyraźnie znudzona. - Wiesz co, Sam, potrzebuję opinii fachowca. Mam doskonały pomysł na telewizyjne show poświęcone leczeniu...

Na twarzy Ronnie odmalowała się panika.

- Sylvia, nie wydaje mi się, by Sam miał ochotę tego słuchać...

- Ależ tak, czemu nie - powiedział „fachowiec”, gotów wdać się w jakąkolwiek dyskusję, byle uniknąć wykładu o technologii tiptronic. Zwrócił się w stronę Sylvii i zachęcił ją:

- Cały zamieniam się w słuch.

- A więc do rzeczy. To będzie teleturniej. Nazwałam go Jaki to lekarz?

- Aha?

- Wyobrażam go sobie tak - ciągnęła - że znajdziemy dwie rodziny hipochondryków; będą one rywalizować o to, która pierwsza rozpozna lekarza na podstawie podpowiedzi prowadzącego program.

- Rozumiem.

Ruby złapała pod stołem Sama za kolano na znak, że docenia poświęcenie, z jakim ulega kaprysom ciotki.

- Wyobraźcie sobie - rozkręcała się Sylvia - że to ja prowadzę show i mówię do uczestników.

- Dobrze - przytaknął Sam.

- Rany boskie - jęknęła Ronnie, przykładając w rozpacz rękę do czoła.

Ciotka odchrząknęła i zaczęła tubalnym głosem:

- OK, a teraz, wszyscy uwaga, palce nad guziczkiem w pogotowiu! To lekarz, który ma praktykę na Harley Street i w St. Johns Wood. Ktoś wie, o kogo chodzi? Nie? To powiem więcej! Gastrolog! Prawdziwy papież swojej specjalizacji. Przeszedł do historii płukania

żołądków słynnym powiedzeniem - krytycznym w stosunku do londyńskiej gastronomii - „Najpierw restauracja, potem irygacja"! Kto to taki?! - Sylvia dostała ataku śmiechu z własnego, genialnego w jej mniemaniu, przedstawienia. - No co, nie nadają się do telewizji?

- Jasne, jak najbardziej - Sam starał się znaleźć dyplomatyczne wyjście z sytuacji. - Taki program miałby... hmm, przyszłość.

- Widzicie, niedowiarki?! - triumfowała ciotka. - Przyszłość. Sam, specjalista, tak powiedział!

Aby zakończyć niezręczną scenę, Phil zaproponował, by mężczyźni udali się na górę i przyjrzeni elektrycznemu pastuchowi, tfu, elektronicznej niani, którą zainstalował w dzieciennym pokoju.

- To fantastyczne urządzenie jest niezastąpione w pilnowaniu dziecka.

Ronnie uśmiechnęła się z dezaprobatą, a następnie zwróciła do Ruby:

- Jak zwykle tatuś ma swoje priorytety. Nie mamy jeszcze mebli ani dywanu, ale mamy elektoniczną nianię.

Phil i Sam zniknęli na schodach prowadzących na górę.

- Przystojny, żydowski doktor i moja malutka Ruby - zagruchała ciocia. - Kto by pomyślał?

- Dziękuję, ciociu. Biorę to za komplement - odpowiedziała, masując zaczerwieniony policzek, i spytała mamę:

- A tobie jak się spodobał? Nic nie mówisz?

- Kochanie, jest wspaniały. Inteligentny, czarujący, zabawny, a kiedy się wam tak przyglądam, widzę, że do siebie pasujecie.

Ciocia łyknęła wina.

- Założę się, że w łóżku jest fantastyczny! - zaśmiała się oblesnie. - Gdyby mi zaproponował, że pokaże swoją kolekcję wzorników, leciałabym jak na skrzydłach.

- Sylvia, błagam - ofuknęła ją Ronnie. - Czy wszystko musisz sprowadzać do takiego poziomu?

- Słyszałam, ciociu, że między tobą a Nigelem ostatnio nie układa się najlepiej?

- Rzeczywiście. I zanim zaczniecie mi dokuczać, oznajmiam, że nie ma to nic wspólnego z moim wiekiem, bo mu o niczym nie powiedziałam - jakoś nie było okazji. Chodzi o coś innego: wydaje się taki odległy, taki - obojętny. A kiedy pytam, o co chodzi, czy coś go trapi, ten upiera się, że nie, wszystkimu winien jest stres w pracy.

- A dlaczego myślisz, że chodzi o coś innego? - spytała Ronnie.

- Po prostu mam przecucie. Praca nie ma z tym nic wspólnego, wiem to i już.

- No dobra, ale to wcale nie znaczy, że ma romans - dowodziła siostra. - Powinniście znaleźć czas i o tym porozmawiać.

- Wiem. Ale jakaś część mnie nie chce znać prawdy. Wiem, że Nigel nie jest ideałem. Wydaje się trochę nudny i potrzebuje mojego wsparcia, tak jak moi poprzedni mężczyźni, ale mimo to go kocham. Nie wiem, co zrobię, jeśli okaże się, że ma kogoś innego.

Łzy nabiegły jej do oczu. Pociągnęła nosem i wytarła je chusteczką.

- A ty, Ruby? Jesteś z Samem szczęśliwa?

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

- To cieszę się, kochanie - zapewniła Sylvia, ściskając dłoń siostrzenicy.

- Oczywiście, martwię się, że Sam ma bagaż emocjonalny - rzekła Ronnie. - Stracił rodziców w taki sposób, że zastanawiam się, jak sobie poradził po ich śmierci. Nie chciałabym, byś wzięła przykład z cioci i weszła w rolę jego terapeutki.

- Nie martw się, nie dojdzie do tego - odparła Ruby. - Szczerze mówiąc, Sam zaskakująco dobrze się trzyma, biorąc pod uwagę to, co przeżył. O jedno cię proszę: nie wspominaj tego, nie staraj się robić mu psychoanalizy. Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie.

- Mnie, kochanie? Nie żartuj, oczywiście, że o niczym nie wspomnę. Nigdy w życiu bym się nie ośmieliła.

Usłyszały, że Sam i Phil schodzą po schodach. Nie weszli do salonu, zatrzymali się tuż przed drzwiami.

- Naprawdę myśli pan - dobiegł je głos Phila - że nie ma potrzeby martwić się o bóle?

Ruby rzuciła matce zaniepokojone spojrzenie, lecz ta wydała się niczym nie przejmować. Zamiast tego pokiwała w rozbawieniu głową.

- O co chodzi? - syknęła Sylvia, a Ronnie powiedziała jej, by była cicho, bo nic nie usłyszą.

- Nie powinien się pan tym martwić. Proszę skonsultować się z lekarzem, ale wielu przyszyłych ojców odczuwa niewyjaśnione bóle w okolicy sutków.

Kobiety mało się nie udusiły, tłumiąc śmiech. Po kolacji przeszli na kawę do salonu, gdzie Ronnie usiadła obok Sama.

- Proszę, może powie mi pan...

Ruby obleciał strach, że Ronnie złamie obietnicę i zacznie dogrzebywać się anomalii w psychice Sama. Zakasłała, by dać mamie znak ostrzegawczy. Ta zignorowała go i ciągnęła:

- ...czy Hilary ma szansę zająć fotel prezydencki?

W PONIEDZIAŁEK RANO, gdy tylko Ruby weszła do sklepu, zadzwonił telefon. Okazało się, że to Iwan chce się dowiedzieć, czy może wpaść wieczorem i położyć kafelki na podłodze w kuchni.

- Jasne - przytaknęła gorliwie.

Kiedy posadzka będzie gotowa, nie zostanie już nic do zrobienia. Iwan od dawna obiecywał, że lada chwila ją skończy, lecz dzień po dniu dzwonił z usprawiedliwieniem, że wpadła mu nowa fucha, i pytał, czy Ruby mogłaby jeszcze trochę poczekać. Dawno przestała już liczyć drzazgi, które wbiły się jej w stopy od chodzenia boso po surowych deskach, mimo to zgadzała się za każdym razem. Martwiła się o jego serce i nie chciała go ponaglać ani denerwować. Jednocześnie trzeba było przyznać, że w ciągu kilku ostatnich tygodni stan zdrowia Iwana się poprawił, ponieważ wreszcie poszedł do lekarza. Ten przepisał mu nowe lekarstwo, po którym ataki duszności niemal całkowicie ustąpiły.

- Dobrze, Iwan, to na razie, do zobaczenia.

Kiedy odkładała słuchawkę, usłyszała pukanie do drzwi. Był to dostawca, który przyniósł dwa wielkie, kartonowe pudła. Wiedziała, co znajdzie w środku: dziecięce ubranka z Gwatemali. Podpisała odbiór i zaciągnęła ciężkie pakunki na środek sklepu.

Ruby zdecydowała, że w tym miesiącu - tuż przed Bożym Narodzeniem - urządzi Tydzień Gwatemali. Jako że ciuszki stamtąd schodziły świetnie przez cały rok, postanowiła złożyć specjalne zamówienie: także na zabawki, karuzelki nad łóżeczko i świąteczne ozdoby. Dodatkowy dochód ze sprzedaży chciała przeznaczyć dla bezdomnych dzieci z tamtejszej stolicy.

- Tylko mów, czy otrzymałaś zgodę od Strażniczki w Szpilach - powiedziała Chanel nieco później, zdejmując płaszcz. Ruby milczała, nie przerywając rozpakowywania kartonów.

- Oooh, spójrz tylko - zachwyciła się, wyjmując prześliczny, tęczyowy kombinezonik. - Jest wystrzałowy!

- Czyli nie masz?

Ruby nabrała głęboko powietrza.

- Niezupełnie. - Teoretycznie miała zamiar napomknąć o całej imprezie podczas którejś rozmowy telefonicznej ze Stellą, ale wzięwszy pod uwagę, że jej współpracę trudno byłoby określić mianem filantropia, wolała siedzieć cicho.

- Rany boskie, dostanie szalu, jak się dowie!

- Nie dowie się, jeśli nikt jej nie poinformuje.

- Hm. Halo, Ruby, halo, tu ziemia! Zejdź na nią, Ruby. Stella sprawdza rachunki, zorientuje się, że coś się działo za jej plecami.

- Dobrze o tym wiem, nie musisz mi mówić. Ale spójrz: idą święta, sklep przyniósł w tym roku nadspodziewanie dobry dochód. Możemy sobie pozwolić na rezygnację z drobnej części zysków i nie chcę, by Stella się do tego wtrącała.

- Może i masz rację, ale musisz jej powiedzieć. Zadzwoń do Nowego Jorku, nie masz wyboru.

- Zgoda, tylko muszę się zastanowić, jak jej sprzedać ten pomysł. Może wplątać w to jakąś gwiazdę? Dzięki temu miałybyśmy z głowy nagłośnienie przedsięwzięcia w prasie i promocję sklepu.

- Brzmi nieźle.

Chanel wyszła tego dnia wcześniej, bo oboje z Craigiem byli umówieni z kuratorem społecznym. Mieli dowiedzieć się, czy podanie o ustanowienie ich rodziną zastępczą zostało pozytywnie rozpatrzone.

- Powodzenia! - zawołała Ruby i uściśnęła koleżankę na pożegnanie. - Na pewno wszystko pójdzie dobrze i zostaniecie wspaniałymi rodzicami.

W sklepie zapanowała cisza, a Ruby wreszcie zebrała się na odwagę, by zadzwonić do Nowego Jorku do Stelli: nie ma sensu tego dłużej odkładać. Czekaając, aż współniczka odbierze, Ruby opracowywała w głowie błyskawiczny plan rozmowy. Przede wszystkim kiermasz dobroczynny poprawi wizerunek sklepu. Powie też, trochę na wyrost, że kilka gwiazd zgodziło się firmować swymi nazwiskami Tydzień Gwatemali - to musi przekonać współniczkę.

Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Zamieszczona na niej wiadomość była charakterystyczna dla Stelli - skąpa i wyczerpująca: „Jestem na Malediwach i nie mam przy sobie komórki. Wracam w połowie grudnia. W sprawach gardłowych dzwonić do Chrissie, mojej asystentki, da mi znać”, po czym następował numer asystentki.

Ruby uznała, że jej sprawa do gardłowych się nie zalicza, i postanowiła zorganizować kiermasz po swojej myśli, mając nadzieję, że kiedy Stella dowie się o wsparciu go przez jakąś aktorkę i poprawieniu wizerunku firmy, da jej spokój.

Odkładała właśnie słuchawkę, kiedy ktoś stanął w progu. Do sklepu usiłowała wejść młoda kobieta - nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat - mocując się z wózkiem. Ruby podbiegła i przytrzymała drzwi.

- Dzięki - uśmiechnęła się klientka. Ruby bezwiednie odnotowała w myślach wygląd przybyłej. Długie, ciemne włosy, oklapłe i przetłuszczone, zwisały smutno po obu stronach twarzy, wychudzonej i bladej, noszącej ślady wyczerpania. Kobieta nie była źle ubrana - wyglądała całkiem modnie, lecz dzinsy, płaszcz i torebka nie były designerskie, pochodziły

raczej z popularnych sieciówek. Wysokie, sznurowane buty były schodzone, na pewno nie kupiła ich w tym sezonie. Wynik obserwacji? Z pewnością nie zaliczała się do typowych klientek Les Sprogs.

- Mogę się rozejrzeć? - choć mówiła z ładnym akcentem, jej głos zdradzał zdenerwowanie i niepewność. Widać było, że jego właścicielka czuje się nieswojo w tego rodzaju sklepie.

- Ależ oczywiście. Proszę dać mi znać, jeśli by potrzebowała pani pomocy. - Ruby nachyliła się nad dzieckiem w wózek.

- Dopiero co go uspiłam - uśmiechnęła się młoda mama. - Wył całe popołudnie, nie mówiąc o tym, że nie spał poprzedniej nocy. Naprawdę nie wiem, co w niego wstąpiło.

Ruby popatrzyła na śpiącą buźkę. Nad nią szalała burza włosków w kolorze marchewkowym.

- Ojej, ale fryzura! Co za piękny kolor! Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Prawda? Problem w tym, że wszyscy wołają na niego Marchewka albo Wiewióra. Nie lubię tego, na imię ma Alfie.

- Cześć, Alfie - wyszeptała Ruby, głaszcząc maleńką łapkę. Dzidzius odpowiedział, poruszając pyszczkiem, jakby ssał, ale nie obudził się. Zaproponowała klientce, by zostawiła wózek obok lady. - Będę miała oko na malucha, a pani się porozgląda.

Ruby zerknęła kątem oka, co przyciągnie uwagę dziewczyny. Wzięła do ręki parę spodenek na szelkach od Gucciego, dwukrotnie z niedowierzaniem popatrzyła na metkę z ceną i szybko odłożyła je na półkę. Widać było, że nie stać jej na większość rzeczy i czuje się tu niezręcznie. Po chwili się opanowała. Zignorowała ofertę firmy Gucci i wybrała, w innej części sklepu, kurtkę z kapturkiem wykończonym futrem, trzy czy cztery podkoszulki i parę piżamek. Ruby szybko dodała w głowie: miała w ręku równowartość mniej więcej trzystu funtów. Kiedy znalazła wszystko, czego potrzebowała, podeszła do lady i położyła ubranka obok kasy.

- Chciałabym też obejrzeć wózki.

- Proszę bardzo - Ruby zaprowadziła ją do miejsca, w którym stały spacerówki, wózki głębokie i terenowe.

Dziewczyna wyjaśniła, że potrzebuje wózka na troje dzieci.

- Ma pani trójkę? Gratulacje! - Ruby chciała dodać, że nie wygląda nawet na matkę jedynaka. Po namyśle jednak uznała, że to nie jej sprawa.

- Dwuletnie bliźniaczki zostały w domu z moją mamą.

- Ojej! Ma pani w co ręce włożyć!

- Z ust mi to pani wyjęła.

W sklepie były trzy modele tego rodzaju wózków. Dziewczyna wybrała najdroższy - kosztował nieco ponad osiemset funtów. Ruby wyjaśniła, że to model z wystawy: dla niej zamówi nowy.

- Powinien być już za parę dni.

Dziewczynie to nie przeszkadzało, spytała, czy może zapłacić już dziś. Wózek i ubranka zamknęły się w kwocie tysiąca dwustu funtów. Pogrzebała w torebce i wyjęła zwitek banknotów. Ruby zamrugnęła, niepewna, czy dobrze widzi. Zdarzało się, że typowe klientki Les Sprogs płaciły gotówką za jakiś drobiazg, na przykład malutką przytulankę za dziesiątaka, ale jeśli szło o większe zakupy, nieodmiennie wyciągały złotą czy platynową kartę American Express. Ruby uznała jednak, że nie powinno jej to obchodzić - pieniądze to pieniądze.

- Może pani sama odebrać wózek lub, jeżeli tak pani wygodniej, przyśle go przez kuriera pod wskazany adres.

- Wolę sama po niego wpaść - powiedziała, biorąc torbę pełną ubranek. Ruby zapisała jej nazwisko - Hannah Morgan - oraz numer telefonu i powiedziała, że odezwie się, jak tylko dostarczą wybrany model, po czym pomogła jej opuścić sklep. Patrząc, jak Hannah znika za rogiem, Ruby zastanawiała się, jaka też może być jej historia.

Rozdział 14

Chanel wpadła do pracy następnego dnia, niosąc w rękach drożdżówki z brzoskwiniami i dwa odłuszczone cappuccino, a na twarzy gościł jej uśmiech w rozmiarze XXL.

- Niech zgadnę - powiedziała Ruby. - Zostaniecie rodziną zastępczą?

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć! W opinii napisali, że nadajemy się idealnie! A nasz pracownik socjalny powiedział nam nieoficjalnie, że jak dobrze pójdzie, to za rok lub dwa będziemy mogli bez kłopotu zaadoptować jakiegoś dzieciaka - oczywiście jeżeli będziemy tego chcieli.

- Fantastycznie! Dobra robota - cieszyła się Ruby, ściskając Chanel. - Wiedziałam, że wam się uda.

- Najprawdopodobniej przydzielą nam dziecko w wieku szkolnym, a to oznacza, że będę mogła pracować przedpołudniami i nie zostawię cię na lodzie.

- Rany, kamień spadł mi z serca. Martwiłam się, co zrobię, jeśli rzucisz pracę. Nikt nie jest w stanie cię zastąpić!

Doszły do wniosku, że będą miały kłopot z weekendami i feriami szkolnymi, lecz zdecydowały się nie myśleć o tym do przyjazdu dziecka. Mało prawdopodobne, by przysłano je jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a ponieważ okres przedświąteczny jest najtrudniejszy w roku, Ruby znacznie ulżyło.

Kiedy przygotowały sklep do otwarcia, Ruby opowiedziała o swojej wczorajszej próbie skontaktowania się ze Stellą. Chanel przyznała, że nie ma sensu zawracać jej głowy podczas urlopu.

- Wiesz sama, nad wolnym czasem trzęsie się jak kwoka na jajach. Lepiej nie ryzykuj i daj spokój.

Około dwunastej wpadła Fi powiedzieć „dzień dobry”. Ucieszyło ją pozytywne rozpatrzenie podania Chanel, jednak z jej twarzy nie schodził wyraz napięcia.

- Co się dzieje, Connor znowu nie daje ci spać?

- Nie, to coś innego. Śpi jak suseł, dzięki Bogu, od paru tygodni przestał budzić się w nocy. Chodzi o kasę. Jesteśmy splukani.

Wyjaśniła, że Saulowi skończyła się rola w Hamlecie w National Theatre i, jak dotąd, nie udało mu się znaleźć żadnej innej pracy.

- Miewa po dwa, trzy przesłuchania tygodniowo i za każdym razem nic z tego nie wychodzi. Wiesz, z jego wyglądem byłby świetnym odtwórcą roli ze Starego Testamentu. Szkoda, że nikt nie wpadł na pomysł nakręcenia sitcomu Dziesięć przykazań. Co tu dużo mówić, nie jest wesoło. Nawet nie dają mu zamówień na dzingle, a niebawem nadejdzie czas spłaty rat za dom. Z banku dzwonią co pięć minut, bo przekroczyliśmy limit na koncie. Saul odgraża się, że rzuci aktorstwo w diabły i zacznie jeździć taksówką.

- Daj spokój, nie wolno mu nawet o tym myśleć! - zaproponowała Ruby. - Ma przecież talent, a do tego piękny głos. Zła passa przeminie, musi tylko być cierpliwy.

Chanel oświadczyła, że gdy Saula ogarnie czarna rozpacz, powinien zwrócić się do Craiga, który właśnie wylał pomocnika.

- Twój mąż na pewno dałby sobie radę, a wam wpadłoby trochę kaski. Nie byłoby tego dużo, ale zawsze...

- Pamiętaj, że mogę wam pożyczyć. Wystarczy jedno słowo - zaofiarowała się Ruby.

- Dzięki, to miło z waszej strony, ale jeśli dojdzie do najgorszego, Saul będzie musiał się przekwalifikować i znaleźć sobie jakąś normalną pracę, a ja wrócę do szkoły i tyle.

Nagle zadzwoniła komórka. Fi spojrzała na wyświetlacz i jęknęła:

- To mama. Tylko tego mi jeszcze brakowało.

Ruby zaproponowała, by przyjaciółka zignorowała telefon, ale Fi odpowiedziała, że nie ma mowy, bo Bridget może dzwonić w naprawdę poważnej sprawie, i wcisnęła klawisz „odbierz”.

- Cześć, mamó, co słyhać?... Wrasta ci paznokiec? Biedaczko, to musi strasznie boleć. Co?... Czyja dobrze słyszę? Uważasz, że to przez Saula wrasta ci paznokiec?... Na pewno jakąś znajdzie, czasem musi to trochę potrwać. Tak, wiem, że się denerwujesz. Ja też... Wiem, wiem, Lindsay O'Connor z mojej klasy ma willę i stajnię, garaż na cztery auta i zamek nad Loarą... Tak, świetnie się urządziła... Co ma? Plazmę? Chyba plagę, zawsze była z niej wredna zaraza. Mamó? Mamó? - Fi wzruszyła ramionami i popatrzyła w kierunku dziewczyn.

- Rozłączyła się. Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedziała Ruby do wychodzącej Fi. - Kiedy Chanel przydzielą dziecko, będę potrzebować dodatkowej pomocy w sklepie. Mam Anne, która czasem przychodzi pomagać nam w weekendy, ale może ty miałabyś ochotę spróbować? Saul mógłby wtedy zostawać z chłopcami.

Fi uściskała ją i obiecała, że na pewno o tym pomyśli.

DWA DNI PÓŹNIEJ przyszła Hannah, by odebrać nowy wózek. Była bez bliźniaków, a Alfiego włożyła w nosidełko.

- To dziewczyna, o której ci opowiadałam - szepnęła Ruby do Chanel. - Ta, co nosi fortunę w torebce.

Chanel, która właśnie pakowała klientce szal na prezent świąteczny, popatrzyła w kierunku wchodzącej.

- Może to dziewczyna gangstera - szepnęła w odpowiedzi. Ruby dała jej kuksańca w zebro i syknęła, żeby była cicho.

Kiedy klientka odmaszerowała z pełną torbą, do lady podeszła Hannah. Uwagę Chanel zwrócił jednak Alfie.

- Co za cudowne włoski - zachwyciła się. - Dokładnie taki kolor jak Craiga.

Kiedy Ruby podeszła się przywitać, Chanel wyjrzała zza lady i zaczęła szczebiotać do dziecka, które gaworząc, obficie się śliniło.

- Cześć, słodziaku - przymilała się, głaszcząc małą rączkę. - Jaki ty już jesteś duży! - Zwróciła się do Hannah i zapytała o jego wiek.

- Ma dwa miesiące.

- Spod Panny czy spod Wagi?

- Waga.

- Popatrz, te to lubią flirtować, kiedy dorosną. Pewnie złamiesz niejedno serduszko.

Ruby spostrzegła, że twarz Hannah nie zmieniła wyrazu. Uśmiechnęła się automatycznie, ale oczy pozostały niewzruszone.

- Mogłabym cię zjeść, maluszk, i to z kosteczkami - produkowała się Chanel. - Oooo, uwielbiam maluchy w tym wieku. Są doskonałe.

- Alfie jest dosyć mały jak na swój wiek, urodził się dwa miesiące przed czasem.

- Nie mógł się doczekać, co? - spytała Chanel. - Ty malusia kiełbasko, ładnie było tak wystraszyć mamusię?

Ruby poszła po wózek na zaplecze. Kiedy wróciła, Chanel huśtała Alfiego i obsypywała go pocałunkami. Kiedy ulało mu się w odpowiedzi, wyjęła z kieszeni spodni chusteczkę i ostrożnie otarła mu buzię.

- Teraz już lepiej, co, pieseczku? Nie chcemy przecież pachnieć wymiotkami. - Po czym zwróciła się do Hannah: - Proszę, może Ruby pokaże pani, jak się obsługuje wózek, a ja zajmę się małym.

Hannah skinęła głową. Chanel wzięła niemowlaka na ręce i podniosła, aby pokazać mu z bliska karuzelkę. Włączyła pozytywkę i rozległa się kołysanka Brahmsa.

- WÓZKI DLA TRÓJKI są skomplikowane w obsłudze - usprawiedliwiła się Ruby, rozcinając folię opakowania. - Ale na pewno przyzwyczai się pani.

- Nie mam wyjścia.

Widoczne zmęczenie Hannah przypomniało Ruby, jak wyglądała Fi po bezsennej nocy z Connorem.

- Musi być pani ciężko z trojgiem dzieci.

- Szczerze mówiąc, to koszmar. Moja mama stara się mi pomóc, ale mieszka z ojczymem w Leeds i nie może przyjeżdżać zbyt często. Kiedy wraca do domu, mogę liczyć tylko na siebie. Tatusia niestety nie ma, jestem samotną matką.

Musiała dostrzec zdziwienie na twarzy Ruby, bo wyjaśniła:

- Zaszłam w ciążę na studiach. Doszłam do wniosku, że poradzę sobie z dzieckiem i nauką jednocześnie. USG wykryło bliźniaczą ciążę dopiero w piątym miesiącu. Byłam w szoku przez miesiąc. Dałabym się za córki pokroić w plasterki, gdyby było trzeba, ale przez nie rzuciłam studia, nie było mi łatwo.

- Nie potrafię wyobrazić sobie, jak udaje się pani podołać obowiązkom.

- Moja mama też tak mówi.

- A może zrobię herbaty? Właśnie miałam nastawić wodę.

- Z ogromną chęcią - ucieszyła się dziewczyna.

Ruby poprosiła Chanel, by dała znać, jeśli ktoś wejdzie do sklepu, po czym poszła do kuchni. Kobieta wciąż bawiła się z Alfem. Hannah wydawała się zadowolona, że może przez chwilę odpocząć od dzieci - ze spokojem przeglądała stary numer „Hello!”, który znalazła na ladzie. Ruby odstawiła tacę i dostrzegła, że dziewczyna przestała kartkować magazyn i wpatrywała się w jedno zdjęcie. Minęło pięć sekund, a ona nie odrywała od niego wzroku.

- Wszystko w porządku? - spytała w końcu Ruby. Hannah wyraźnie się spłoszyła.

- Tak, tak... Właściwie proszę sobie nie robić kłopotu z herbatą. Powinam już lecieć.

Wstała, zabrała Alfiego i nie wkładając go w szelki, prawie wybiegła ze sklepu.

- Zapomniała pani wózka! - zawołała za nią Ruby, ale było już za późno.

- Co się stało? - spytała.

- Cholera wie. Jak dla mnie to jakaś wariatka - skwitowała Chanel.

Ruby odpowiedziała, że nie wydaje jej się, by Hannah miała bzika. Najwyraźniej jest bardzo przemęczona. Wzięła do ręki magazyn, by sprawdzić, co wywołało w dziewczynie taki szok. Na zdjęciu znajdowała się zgnębiona Claudia Planchette, opuszczająca klinikę St. Luke po poronieniu. Ruby podała gazetę Chanel.

- To okropne nieszczęście, ale dlaczego tak bardzo zdenerwowało Hannah?

- Nie wiem. Może się znają?

- Nie wydaje mi się.

TEGO WIECZORU RUBY była umówiona z Samem na kolację, a on oświadczył, że odkąd przyjął posadę w St. Luke, ma do dyspozycji własny gabinet.

- Jest ogromny, na piątym piętrze i z widokiem na Holland Park.

Ruby powiedziała, że marzy, aby go zobaczyć.

- Proszę bardzo. I tak miałem skoczyć do szpitala, bo nie wziąłem potrzebnych dokumentów. Możemy pojechać razem, jak zjemy.

Ruby właśnie wyraziła zgodę, kiedy odezwała się jej komórka. Dzwonił Phil z wiadomością, że ciocia Sylvia tonie we łzach.

- Twoja mama wybrała się na jogę, a potem miała pójść z koleżankami coś przekąsić. Z Sylvią jest naprawdę źle - mogłabyś do nas wpaść i mi pomóc?

- To będzie trudne, tato. Właśnie jestem z Samem w restauracji, jemy kolację i prosił mnie, żebym pojechała z nim obejrzeć jego nowy gabinet.

- Co się stało? - wyszeptał Sam.

Ruby zasłoniła ręką telefon i opowiedziała w kilku słowach, co dzieje się z ciotką.

- Właściwie już skończyliśmy, a gabinet mogę ci pokazać innym razem.

- Na pewno?

- No jasne.

Ruby odwiozła Sama i pojechała do rodziców. Kiedy weszła do domu, Sylvia siedziała, pochlipując, na kanapie. Miała zapuchnięte i czerwone oczy.

- Zrobię jeszcze herbaty - zaproponował Phil. Czuł się wyraźnie zakłopotany i widać było, że tylko czeka, by zostawić Sylvię sam na sam z Ruby.

- Ciociu, co się stało?

Ta pociągnęła nosem i sięgnęła do torebki.

- To, to się stało. Niedawno je znalazłam. - W rękę trzymała damskie majtki. - Były w szufladzie Nigela.

- Ale dlaczego zaglądałaś do jego szuflady?

- Wyjechał na parę tygodni w interesach i podlewałam kwiaty w jego mieszkaniu.

- I pomyślałaś sobie, że poszukasz dowodów jego zdrady? Ciocia otarła oczy i przytaknęła. Ruby objęła ją i powiedziała:

- Ktokolwiek by to nie był, na pewno nie ma hople na punkcie seksownej bielizny - wyjęła Sylvii z rąk beżowe majtasy a la Bridget Jones. - Szczupłutka to ona nie jest. Zobacz na metkę: rozmiar 46.

- Wiem, musi być grubsza ode mnie. Jak może się widywać z kimś tak opasłym i nieatrakcyjnym? Nie rozumiem tego.

Ruby spytała, czy zdołała z nim porozmawiać.

- Dzwoniłam, ale on idzie w zaparte i mówi, że nikogo nie ma. Twierdzi, że może wyjaśnić kwestię majtek. Podobno to nie to, co myślę. Czy on mnie uważa za kompletną idiotkę? Dlaczego mężczyźni są takimi tchórzami? Jeśli robi mnie w konia, przynajmniej by się do tego, świnia, przyznał!

Ruby wzięła głęboki oddech.

- Nie bądź taka pewna.

Kiedy Sylvia ponownie uderzyła w płacz, Ruby objęła ją i delikatnie kiwały się razem. Phil krążył koło nich i wyglądał tak, jakby pragnął znaleźć się gdzieś indziej. Do wpół do jedenastej, kiedy wróciła Ronnie, zdołał zaparzyć przynajmniej z pół tuzina herbat.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Ronnie na widok siostry. - Co się tutaj dzieje?

W odpowiedzi Sylvia rozpostarła przed sobą nieszczęsne majtki. Ruby opisała, jak ciotka je znalazła.

- Sylvia, tak strasznie mi przykro! Nie zasłużyłaś sobie na coś takiego - zawołała Ronnie, po czym zwróciła się do córki:

- W porządku, kochanie, możesz wracać do siebie. Świetnie sobie poradziłaś, teraz ja się nią zajmę.

- Staniesz na wysokości zadania? - Jeszcze jak.

Ruby pocałowała ciocię na dobranoc i obiecała, że zadzwoni rano, by sprawdzić, jak się czuje.

- Ten facet to skończona, podstępna, obleśna, zdradziecka świnia - pluła Ronnie, sadowiac się obok siostry i czule ją obejmując. Ruby zrobiła w duchu uwagę, że przynajmniej raz mama nie bawi się w analizę, tylko reaguje tak, jak tego wymaga sytuacja. Było to właściwe zachowanie, nawet ciotka poczuła się odrobinę lepiej.

RUBY LEŻAŁA W ŁÓŻKU i rozmyślała o tym, co za ananas z tego Nigela. Jak mógł tak potraktować Sylvię?! Dziwne, bo wydawało się, że porządny z niego facet. Trochę nudziarz, co prawda, no i te jego brwi. Ciocia utrzymywała, że są naturalne, ale Ruby dałaby głowę, że nie. Kiedy patrzyła na cienie tańczące po suficie, przyszła jej do głowy pewna myśl. Wyregulowane brwi. Szuflada, a w niej damskie majtki. Nie, niemożliwe. A jednak? Nie... Biedna ciotka. Choć z drugiej strony, statystyki podają, że robi to spora grupa, wydawałoby się, całkiem normalnych, heteroseksualnych mężczyzn, poza tym Sylvia zawsze uwielbiała służyć kochankom za terapeutkę. Sama narzekała, że Nigel jest zbyt zwyczajny... Teraz będzie mogła się wykazać, tylko czy przypadkiem nie trafiła kosa na kamień?

NASTĘPNEGO DNIA RANO, pół godziny przed otwarciem, do sklepu zapukała Hannah w towarzystwie Alfiego. Chanel pospieszenie ją wpuściła.

- Przepraszam, że tak wczoraj wybiegłam - powiedziała, wchodząc. - Byłam nieuprzejma, ale nerwy mi puściły.

- Nie ma sprawy - uspokoiła ją Chanel, głaszcząc główkę chłopca. - Dzień dobry, słodziaczku!

Podeszły do Ruby stojącej przy ladzie. - Wózek czeka, już po niego idę.

- Chwileczkę, panią szczególnie chciałam przeprosić - kajała się przed Ruby.

- Nie ma sprawy. Samodzielnie wychowujesz trójkę dzieci, niedawno urodziłaś, hormony szaleją: po prostu trochę się zdenerwowałaś i tyle.

- Czasami mi się to zdarza, nie wiem, co na to poradzić. Zajmowanie się w pojedynkę dziećmi poniżej trzech lat to katonga. Niekiedy jestem tak wyczerpana, fizycznie i psychicznie, że nie mam już na nic siły - w desperacji przeciągnęła palcami po włosach.

- Pobawię się teraz z Alfiem - zaproponowała Chanel - a ty usiądź i odpocznij.

Hannah uwolniła wierzące się dziecko z nosidełek i podała opiekunce.

- To chyba nie zdjęcie Claudii Planchette tak cię zdenerwowało? - Hannah odpowiedziała wzruszeniem ramion, które mogło oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”.

- To okropne stracić dziecko - badała łagodnie Ruby. - Nie o to chodzi...

Było widać gołym okiem, że zaprzeczenie nie wypadło przekonująco.

- Powiedz, co się dzieje - naciskała na Hannah. Ta potarła czoło i oświadczyła:

- Dobra, muszę z kimś o tym pogadać. Moja mama już wie, ale czuję, że jak dalej będę ukrywać prawdę, to zwariuję.

- Jaką prawdę?

- A gdyby tak się okazało, że Planchette wcale nie poroniła?

- To niemożliwe - zaprzeczyła Ruby - Chodzę z lekarzem, który pracuje w St. Luke, i wiem na pewno.

- A właśnie, że nie wiesz. Po urodzeniu Avocado Claudia tak się przestraszyła utraty swojej boskiej figury, że ja nosiłam za nią ciężę.

- Chcesz powiedzieć, że zostałam surogatką? - Tak jakby.

Chanel rzuciła Ruby spojrzenie, które oznaczało: mak ma nierówno pod sufitem.

- Nie jestem wariatką - Hannah poczuła się nieswojo - i wcale nie zmyślam. Byłam głupia, że w ogóle dałam się w to wplątać, ale za pieniądze, które mi zaproponowała, mogłabym pozwolić sobie na większe mieszkanie, a może nawet wrócić na studia i ukończyć anglistykę.

- Mów dalej - zachęcała wyraźnie zaintrygowana Ruby.

- To wszystko stało się tak szybko. Mama koleżanki jest położną w St. Luke. Wie, jak ciężko mi związać koniec z końcem, i zapytała, czy chciałabym zarobić naprawdę duże pieniądze. Zwykle matkom biologicznym zwraca się tylko koszty własne, ja jednak miałam zarobić dziesiątki tysięcy funtów, jeśli zgodzę się podpisać umowę, że nic nie wycieknie do prasy.

- A kto jest ojcem dziecka? Pisali, że jakiś francuski aktor, ale Planchette nie chce zdradzić jego nazwiska - niech sobie spokojnie boleje w zaciszu domowym.

- Bzdury. To wszystko plotka, Claudia nie miała nikogo od rozwodu. Dostała plemniki z banku spermy - podobno od członka Mensy, który ubzdurał sobie, że musi uszczęśliwić w ten sposób ludzkość.

- I nie dała sobie wszczepić zarodków?

- Nie, wszczepiono je mnie. Na początku trzy, ale dwa obumarły. Ja byłam naprawdę w ciąży, ona zaś symulowała, nosząc specjalną atrapę brzucha, a cały świat wierzył, że szanowna gwiazda jest w stanie błogosławionym.

- Dobry Boże - wyjąkała Ruby i popatrzyła na Chanel, jakby mówiła, że wtedy w przymierzalni nie pomyliła się i że nie był to francuski pas ciążyowy.

- Nie jedna Claudia tak robi. Wiem na sto procent, że Mia Ferrari i China Katz też wynajęły surogatki i na pewno nie są wyjątkiem. To próżność, te babska tak trzęsą się nad swoją figurą, że woła, by ktoś inny nosił ich dzieci.

- Cholerne zgniłe jaja! - ulżyła sobie Chanel. - To w ten sposób utrzymują linię! Po prostu jej, w mordę sosny, nie tracą.

Alfie zaczął popłakiwać, więc dziewczyna położyła go na ramieniu i zaczęła masować mu plecki.

Ruby starała się przetrwać to, co właśnie usłyszała od Hannah.

- Wiem, że cała ta historia wydaje się nieprawdopodobna, ale to wszystko prawda, wierzcie mi.

- Wierzmy - zapewniła Ruby i opowiedziała Hannah o tym, jak Claudia wpadła do sklepu po kostium kąpielowy. - Próbowałam wmówić sobie, że mi się przywidziało.

- Wcale ci się nie przywidziało. - Chanel kręciła głową z niedowierzaniem.

- Więc wszystkie te piękności wychodzą z kliniki niby świeżo po urodzeniu dziecka, pozują do zdjęć w obcisłych biodrówkach, obnoszą się ze swym idealnie płaskim brzuchem i idealnym dzieckiem, wciskając kit, że to dzięki odpowiedniej diecie i dobremu genom. Wynik? Przez te baby każdej młodej matce na kuli ziemskiej wydaje się, że jest beznadziejną górą

tłuszczu, bo oczekując dziecka, miała czelność przytyć kilka kilo. A one w ogóle nie raczyły zająć w ciąży! Nawet jak na Hollywood, to trochę za wiele.

Chanel milczała przez chwilę, po czym zapytała: - Jeżeli ty byłaś w ciąży zamiast Planchette i żadnego poronienia nie było, to w takim razie Alfie jest...?

- Dzieckiem Claudii. Zgadza się.

- To dlaczego jest z tobą?

- Historia dopiero się zaczyna. Alfie urodził się przedwcześnie: musieli mi zrobić szybko cesarkę. Leżał sobie taki malutki, biedny siedmiomiesięczny wcześniaczek w inkubatorze, Claudia popatrzyła i powiedziała, że go nie chce.

- Co takiego?! Że nie chce własnego dziecka? Tego kochanego, ślicznego maleństwa? Dlaczego?

- Bo ma defekt. Chanel oburzyła się:

- Jaki defekt? Gdzie? Alfie jest doskonały!

- Nie. Bo jest rudy. Powiedziała, że rudzielca nie chce.

- No nie, bez przesady. To nie mógł być powód - dociekała prawdy Ruby.

- Jej wystarczył. Planchette nienawidzi rudych ludzi, budzą w niej obrzydzenie. Widocznie zaszło jakieś niedopatrzenie w kwestii genów dawcy. Powiedziano jej, że ma ciemne włosy, a on musiał mieć rude.

- Myślałam, że tylko w Anglii nie lubią rudzielców, nie mieści mi się w głowie, że w Ameryce też.

- Tam jest tak samo, tyle że nie żartują sobie z tego tak jak my. Zastanów się: widziałas kiedyś, by rudowłosa zagrał główną rolę w hollywoodzkim romansie? Byłby za mało seksowny, a czego jak czego, ale syna, który nie jest seksowny, taka Planchette nie zniesie.

- Może i racja - zgodziła się Ruby.

- Jakkolwiek by było - ciągnęła Hannah - wkrótce po porodzie Claudia weszła do mojego pokoju, zrobiła scenę i poszła sobie. Gwiazdy jej pokroju uważają się za członków rodziny królewskiej. Wymagają perfekcji.

- No dobra, ale dziecko to nie designerska suknia z krzywym obrębem. To człowiek z jej krwi i kości.

- Tak, ale dla niej Alfie nie był kimś realnym, tylko jeszcze jednym dodatkiem, który okazał się zbyt marnej jakości, by pasować do jej stylu życia. Jej ostatnie słowa to: „Zatrzymaj go sobie. Zapłacę ci, powiedz tylko ile”. Zapłaciła połowę sumy, którą obiecała za donoszenie ciąży, i koniec.

- A więc to stąd ta cała gotówka - wypaliła Ruby, zanim zdążyła się powstrzymać. -
Przepraszam, naprawdę przepraszam, nie chciałam tego mówić, to nie moja sprawa.

Hannah uśmiechnęła się.

- Nic nie szkodzi. Tamte pieniądze pochodziły od wujka, jest w podeszłym wieku i nie ma zaufania do banków. Nie jest zamożny, ale oszczędny, i lubi upychać swój kapitał w kanapach i pod materacem. Uwielbia Alfiego i prosił, bym kupiła dziecku kilka naprawdę ładnych rzeczy. Nigdy nie słyszałam o Les Sprogs, po prostu tędy przechodziłam, wstąpiłam, no i tyle.

Ruby podeszła do Alfiego, który zasnął w najlepsze na ramieniu Chanel. Pogłaskała mały policzek.

- To nienormalne. Jak można odrzucić dziecko, bo jest nie w tym kolorze co trzeba. Przyznam, że kiedy przyszła, zrobiła na mnie wrażenie osoby niezrównoważonej psychicznie, ale żeby aż tak... Ta kobieta musi być poważnie chora. Nic dziwnego, że jej były mąż walczy o prawo do opieki nad Avocado.

- Nie wiedziałam o tym - ożywiła się Hannah. Ruby wzięła najnowsze „Daily Mail” i pokazała artykuł. Nagłówek brzmiał: Planchette jest wyrodną matką - odgraża się były mąż.

- Nie nadaje się na matkę - oceniła Hannah. - Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego nie poszłam do sądu, żeby zmusił ją do uznania Alfiego. Jakie on miałby z nią życie? A jeśli uparłaby się, że i tak go nie weźmie, skończyłby w jakiejś rodzinie zastępczej: nie mogłabym mu tego zrobić.

Ruby wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Ale dlaczego St. Luke wplątuje się w takie historie? Przecież to może zniszczyć im reputację. Nie rozumiem.

- Ludzka chciwość nie zna granic - powiedziała Hannah. - Nawet dzianych lekarzy z prywatną praktyką jest w stanie oślepić błysk dolarów. A wiadomo, ile zarabiają położne...

Ruby przez sekundę zmroziła myśl, że Sam mógłby być we wszystko zamieszany To tłumaczyłoby jego skrytość i dziwne telefony.

- I poza tym - Ruby szybko wygnała poprzednią myśl ze świadomości - to, co robią, jest nie tyle niezgodne z prawem, w ścisłym znaczeniu tego słowa, ile moralnie podejrzane.

- No tak - włączyła się Chanel. - Tym razem wydelikaccona ferajna, kierująca się w życiu hasłem: „Cięża pogrąża”, posunęła się o jeden krok za daleko. Jak je będziemy od dzisiaj nazywać? Chyba nie „zbyt niepokalane, by począć”?

- Niepokalane nie są, to fakt - zaśmiała się z goryczą Hannah.

Wyjaśniła, że z tego, co wie, klinika spełnia funkcję stręczycielki, zachęcając gwiazdy Hollywood do całej procedury. Oferuje im sztuczne zapłodnienie, znalezienie surogatki oraz nadzór nad ciążą i porodem, oczywiście za ciężkie pieniądze.

- Nikt im niczego nie udowodni, są na to za cwani. Zapłodnienie odbywa się poza szpitalem. Potrafią tak wszystko zorganizować, że nawet rachunki wyglądają na legalne.

Ruby odparła, że może położne powinny się zbuntować i odmówić udziału w tym procederze.

- Wolne żarty! Nieźle sobie dorabiają i ani myślą zrezygnować z dodatkowego dochodu. Zwłaszcza że przy okazji mogłyby się dograć wykreślenia z rejestru.

- A kto był twoim położnikiem?

- Nazywa się Hardacre. Tom Hardacre.

- No nie, to nie może być prawda! - wykrzyknęła Ruby. - Przecież to wiodący ekspert od rodzinnych porodów. Zgoda, jest arogancki i za bardzo zadowolony z siebie, ale tak zachowuje się co trzeci lekarz. Nie ma siły, żeby był zamieszany w taką aferę.

- A jednak, ręczę za to.

- OK, ale dlaczego nie zgłosiłaś tego jego przełożonym?

- Z tego, co wiem, szefostwo też macza w tym palce. A nawet jeżeli nie, to czy wydaje ci się, że ktoś z kliniki mi uwierzy?

- Mogłabyś spróbować pójść z tym do prasy.

- Jasne, ale wtedy wrócimy do punktu wyjścia. Kiedy historia się rozniesie, wmiesza się w nią sąd. Zlecą testy DNA, żeby udowodnić, kim są rodzice, a ja nie chcę ryzykować, że Alfie trafi pod opiekę Claudii - nie zniosłabym tego.

- Więc jesteś zdecydowana, żeby go zatrzymać? - spytała

Chanel.

- Tak, nie mam innego wyjścia.

- Dziewczyno, ale czy naprawdę tego chcesz? - dopytywała się, choć nie była nachalna. Hannah usiadła i zastanowiła się poważnie nad odpowiedzią.

- Naprawdę - przemówiła w końcu. - Ma tylko mnie. Choć w rzeczywistości nie jestem jego prawdziwą matką i nie łączy mnie z nim tak silna więź jak z bliźniaczkami. Wiem, że to może zabrzmieć, jakbym była bez serca, ale tak jest. - Do oczu napłynęły jej łzy. - Tylko że nie daję sobie już rady. Mama wciąż mi pomaga, ale nawet wtedy to jest ponad moje siły.

- Hej, głowa do góry - pocieszała Ruby. - Wspaniale sobie radzisz i nikt nigdy nie pomyślałby, że jesteś bez serca. Postaramy się jakoś ci pomóc, obiecuję.

Rozdział 15

- Słuchaj - rzekła Ruby, myszkujejąc w szafce kuchennej Sama w poszukiwaniu młynka do pieprzu - wiem, że może brzmi to jak bredzenie chorego w malignie, ale jak ją spotkasz, przekonasz się, że wszystko z nią w porządku: jest tylko strasznie przemęczona i na pewno wściekła z powodu tego, co ją spotkało.

Znalazła młynek za słoikiem miodu i podała Samowi. - Wcale nie mówię, że nie można jej wierzyć - powiedział, wprawiając młynek w ruch nad rondlem z sosem bolognese. - Po prostu ta historia mnie nie przekonuje. Pewnie cierpi na depresję poporodową, może warto byłoby umówić ją na terapię. - Sam mieszał teraz starannie zawartość rondla. - Niezła z niej aktorka, skoro zdołała przekonać ciebie i Chanel do swojej wersji wydarzeń.

- A co w takim razie z atrapą brzucha? - upierała się Ruby. - Widziałam, że Claudia Planchette ją nosi, i to zgadza się z opowiadaniem Hannah.

- Spróbuj - poprosił, podając jej drewnianą łyżkę z odrobiną sosu. - I jak?

- Dobry. Może dodaj jeszcze trochę oregano... ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

Sam obruszył się.

- Przypomnij sobie, przecież mówiłaś, że mógł to być pas ciążyowy.

- Ale na pewno nie był. Hannah wiedziała, że to atrapa, a mama opowiadała, że kiedy porównywały brzuchy na zajęciach w szkole rodzenia, Claudia jako jedyna odmówiła wzięcia w tym udziału.

- Zgoda, nie mam na wszystko odpowiedzi, ale musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie.

Po czym spytał, podobnie jak ona wcześniej Hannah, dlaczego klinika miałaby ryzykować swoje dobre imię.

- St. Luke słynie z porodów naturalnych. Gdyby wyszło na jaw, że dochodzi w niej do stręczenia przyszłych zastępczych matek po to, by aktorki miały dobrą figurę, prasa nie dałaby nam spokoju, nie mówiąc o tym, że pacjentki rozniosłyby nas na strzepy i miałyby rację.

- Hannah mówiła, że zamieszani w to lekarze czerpią gigantyczne zyski.

- Nie wydaje ci się, że gdyby taki proceder rzeczywiście miał miejsce, szerzyłyby się jakieś podejrzenia? Plotki? Pracuję w klinice od ośmiu miesięcy i nic takiego nie słyszałem. Do tej pory coś musiałyby mi się obić o uszy.

- Naprawdę nic a nic nie słyszałeś?

- Zupełnie nic.

- A co z Tomem Hardacre'em, tym położnikiem występującym w telewizji, do którego chodziła Hannah, kiedy była w ciąży? - Ruby zrobiła krok do tyłu i niechcący nastąpiła Kotu Damonowi na ogon. Natychmiast rozległo się przeraźliwe miauknięcie.

- Jeżeli w ogóle była jego pacjentką. Ruby schyliła się, by przeprosić kota.

- OK, jeżeli była jego pacjentką. On ci się wydaje w porządku?

- Raczej tak. Bardzo go szanują, już ci mówiłem. Przyznaję, nie jest specjalnie lubiany, za bardzo się stara wykazać. Ma sporo pieniędzy: zajmuje się pośrednictwem nieruchomości, chyba obiektami handlowymi na wielką skalę - zarobił na tym miliony. Na przykład w garażu ma dwa porszaki. Nie rozumiesz? Gość nie potrzebuje pieniędzy, nie miałby po co mieszać się w taką brudną sprawę.

- Akurat. Na pewno jest w nią zamieszany, Hannah mówiła wyraźnie, a nie jest kłamczuchą ani wariatką.

Sam wybuchnął śmiechem.

- Uczepiłaś się i nie popuścisz?

- A żebyś wiedział.

- No dobra. Chcesz, żebym trochę powęszył i coś na niego znalazł?

- Na Hardacre'a?

- Na niego i jakieś dowody na cały ten przekręt. Mogę dyskretnie o to rozpytać. Kto wie, może coś się dzieje, a ja jeden nie mam o tym pojęcia?

Ruby rozpromieniła się na te słowa.

- Naprawdę? Zrobisz to? Chociaż myślisz, że jestem walnięta?

Odłożył drewnianą łyżkę, przyciągnął Ruby do siebie i pocałował.

- Wiesz co?

- Cała zamieniam się w słuch.

- Walnięta, ale ponętna. W żartach odepchnęła jego ramię.

- Czekaj no. Przekonasz się, że miałam rację i wtedy zobaczymy, kto tu jest walnięty - cmoknęła go przelotnie w usta. - Będiesz ostrożny, prawda? Nie wiemy, kto w tym ugrzązł i jak głęboko. Ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę, jest to, żebyś stracił pracę.

- Nie martw się, będę dyskretny. I, na litość boską, żeby to nie okazało się prawdą. Dla szpitala miałyby to okropne konsekwencje.

Otworzył szafkę i wyjął talerze.

- Wiesz co, na razie nie mówmy o tym więcej.

- Dobry pomysł - zgodziła się Ruby. - Co powiesz na małą przejażdżkę po kolacji? Może pokażesz mi wreszcie nowy gabinet?

•••

RUBY NIGDY nie widziała poprzedniego gabinetu, ale nowy, na piątym piętrze, nosił wyraźne znamiona luksusu.

- Jest trzy razy większy - powiedział Sam.

Ruby rozejrzała się, zobaczyła wielkie okno z widokiem na park, jasnopopielatą wykładzinę, supernowoczesne biurko ze stali i mahoniu oraz fotel obrotowy pokryty czarną skórą.

- Philippe Stark się kłania - powiedziała, głaszcząc blat biurka, na którym stały liczne fotografie noworodków. Zaczęła się im przyglądać.

- Och, Sam, są świetne. Czy to prezenty od wdzięcznych pacjentek?

Przytaknął.

- Chyba powieszę je na ścianie.

Podeszła do okna i rozsunęła żaluzje. W dole, niczym szlachetne kamienie w szkatułce, błyszcząły światła Londynu.

- Co za widok! Chyba można stąd dojrzeć Big Bena?

Po chwili oderwała się od panoramy miasta. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na resztę wyposażenia gabinetu. No tak... fotel ginekologiczny. Wspomnienie wizyty u doktora Baryły odżyło z nową siłą. Za parawanem znajdowała się metalowa szafka. Na wierzchu leżało opakowanie z gumowymi rękawiczkami, a na najwyższej półce taca pełna instrumentów. Poczwała, że ogarnia ją zdenerwowanie.

- Rany boskie, czy to jest wziernik? Nigdy tego nie miałam w ręce.

Roześmiał się.

- Ruby, czego się spodziewałaś? Jestem ginekologiem. - Wiem, ale gabinety ginekologiczne przyprawiają mnie o dreszcze.

Podeszła z powrotem do biurka, szukając czegoś, co pozwoli jej zapomnieć o kąciku badań. Zauważyła stetoskop, wzięła go i założyła na szyję.

- Jak wyglądam? - spytała, przybierając wdzięczną pozę.

- Bardzo fachowo. Robi pani takie wrażenie, że zaraz się w pani zakocham.

Siedział, opierając się o biurko.

- Chodź tu do mnie - uśmiechnął się.

Podeszła, a on ją objął.

- Wydawało mi się, że kocha mnie pan od dawna.

- Ale gdybym nie kochał, to teraz zakochałbym się na pewno. - Aha. - Poczula, że przesuwa ręką po jej pupie.

- Hej - zawołał. - Chcesz się pobawić w lekarza? Wybuchnęła śmiechem.

- Nie do wiary, jeszcze chwila, a każesz mi latać w czepku i podwiązkach.

- Mmm, właściwie czemu nie?

Starła się, śmiejąc, odepchnąć jego ramię, ale złapał ją za nadgarstek i zaczął całować. Próbowała się uwolnić, ale szybko dała za wygraną.

- Zdejmij bluzkę - powiedział i zabrał się do rozpinania guzików.

- Co? Nie wygłupiaj się, ktoś może wejść. - Jest późno, kto miałby tu wchodzić?

- Kto? Przecież to jest szpital! Ktokolwiek.

Udało mu się do końca rozpiąć bluzkę. Pozwoliła zsunąć ją z ramion i pomogła mu rozpiąć biustonosz. Chwilę później dotykał językiem jej sutków.

- Miałaś rację - powiedział. - Lepiej zamknę drzwi. - Podniósł się, lecz złapała go za ramię.

- Nie, nie przestawaj, proszę cię. Zostaw drzwi w spokoju. - Ale przecież powiedziałaś... - uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Niebezpieczeństwo cię podnieca.

- Może - poczuła, jak się rumieni.

- Dobrze, wyłączę tylko górne światło, trudno nazwać je nastrojowym.

Podszedł do rzędu włączników przy oknie i w jednej chwili pokój zalała ciemność, rozświetlona jedynie oddalonymi światłami wielkiego miasta.

WRÓCIŁ I WŁOŻYŁ jej rękę pod spódnicę, która opadła na biodra, odsłaniając kremowe, koronkowe majtki.

- Chodź - poprowadził ją za parawan.

- Nie, Sam, nie wiem... - Do seksu na fotelu ginekologicznym paliła się może Fi, ale dla Ruby z pewnością nie było to spełnieniem erotycznych marzeń.

- Mamy do wyboru albo to, albo podłogę, ale ostrzegam: pod wykładziną jest zimny beton.

Usadowiła się na fotelu. Sam stanął obok niej i całując, powtarzał, że ją kocha. Poczula, jak palcem przeciąga po jej piersi.

Po chwili całował bardziej natarczywie. Jego język panoszył się i badał. Poczula rękę zdejmującą jej majtki, wędrującą pomiędzy nogi. Uświadomiła sobie, że to najbardziej zboczona rzecz, jaką robiła w życiu, ale w tej chwili miała to w nosie. Zamknęła oczy, pozwoliła się dotykać i odpłynęła. Wydawało jej się, że od orgazmu dzielą ją sekundy. Sam też to zauważył i zmniejszył nacisk. W pewnej chwili zatrzymał się, a ona myślała, że krzyknie z powodu bezsilnej frustracji. Wtedy palec wznowił ruchy.

Kiedy poczuła, że naprawdę dochodzi, usłyszała czyjeś nucenie. Mogłaby przysiąc, że ktoś na korytarzu podśpiewuje One Love Boba Marleya i że śpiew ten słyhać coraz głośniej. Towarzyszą mu kroki. Sam także to usłyszał i przestraszył się.

- Kurczę, Ruby, dochodzisz?

- Taaak, jeszcze sekundę...

- One love, one heart. Let's get together and feel all right.

- Nadchodzi. Może to ktoś z ochrony budynku. Co będzie, jak wejdzie?

- Nie wiem. Nie przerywaj. Błagam, nie przerywaj, jeszcze troszkę, zobaczysz...

Poczula krótkie, elektryzujące spazmy i usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Sam, wiedząc, że lubi sobie pokrzyczeć, zatkał jej usta dłonią i rozkazał: ani słowa. Z nerwów jego głos stał się głuchy i metaliczny.

Parawan zrobiony był z pasów materiału naciągniętych na metalowe ramy. Tkanina przesunęła się w jednym miejscu, tak że mogli ostrożnie zerknąć w kierunku drzwi. Kiedy ich wzrok przyzwyczaił się do nagłego światła, o mało nie krzyknęli ze strachu. W drzwiach majaczył wysoki, szczerzący zęby szkielet. Ruby poczuła, jak przebiegają ją dreszcze. Skamieniała ze strachu, nie mogła zebrać myśli. Tak, nie powinni byli tego robić. To grzech, a teraz czeka ich kara. Chociaż okoliczności przypominały scenę z kiepskiego horroru, wszystko działo się przecież naprawdę: przyszła po nich kostucha. Instynkt podpowiadał dziewczynie, by zwiewała stąd jak najprędzej - chrzanić, że przyłapią ją, jak lata goła, z krzykiem na ustach, po szpitalnym parkingu.

Po kilku sekundach skonstatowała, że widziadło nie ma ze sobą kosa ani powłóczystej szaty z kapturem naciągniętym na czaszkę - zamiast tego na głowie pyszniły mu się imponujące, grube, czarne dredy. Strach ustąpił miejsca konsternacji. Patrzyła, jak grzechocząc kośćmi, kościotrup wtarabania się do gabinetu, a jego kończyny majtają bezwładnie jak u marionetki.

One love, one heart. Let's get together and feel all right. Odkąd to śmierć zwiastuje swoje nadejście songami Boba Marleya?

W tym momencie dredy oderwały się od kości. Portier - rastafarianin, mierzący około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, postawił szkielet w rogu i sprawdził, czy dobrze trzyma się na stojaku.

- Żegnaj, bracie, niech ci ziemia lekką będzie, nawet jeśli jesteś z plastiku... One love, one heart - z pieśnią na ustach dozorca opuścił pomieszczenie i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Sam wybuchnął śmiechem.

- To mój nowy szkielet! - wyjaśnił, kwicząc i trzymając się za brzuch. - Wszyscy lekarze dostali je niedawno jako wyposażenie gabinetu. Wierchuszka szpitalna uznała, że dodają klasy. Nie rozumiem tylko, dlaczego mój pojawił się nocą... przepraszam, że tak cię wystraszył.

- Wystraszył? Kto tu mówi o strachu? Zdumiałam się i tyle, a zresztą zaraz zrozumiałam, o co chodzi. - Z niewyjaśnionych do końca względów podszytych feminizmem, Ruby nie chciała przyznać się w towarzystwie mężczyzny, że czegoś się boi.

- Całe szczęście, boja, co będę udawał, przez sekundę myślałem, że to koniec i przyszła po nas kostucha - uwierzysz w to?

- Nie wstydź się - uspokajała go. - Strach i poczucie winy potrafią płać nam psychiczne niespodzianki.

- Najwyraźniej.

W tym momencie rozległ się przejmujący, stłumiony jęk. Ruby wrzasnęła ze strachu.

- Co to, na miłość boską! Sam roześmiał się.

- Ruby, mówi się na litość boską. To tylko mój telefon. Przed chwilą mówiłaś, że się nie boisz. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę.

- Może odrobinę, przez chwilę.

Ruby modliła się w duchu, żeby to nie było nagłe wezwanie z porodówki. Jak tylko odebrał, na twarzy zagościł mu dobrze znany wyraz napięcia. Zaczęła się ubierać i patrzyła, jak przechodzi w odległy kąt gabinetu.

- Dobra, rób to, co uważasz za stosowne... daj mi znać.

Nie dosłyszała, co powiedział potem, ale mogłaby się założyć, że w rozmowie padło słowo „policja”. Zatem na pewno to nie wezwanie do porodu.

- Rany, co się stało? - spytała, kiedy skończył rozmowę. Zawahał się, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Był zdenerwowany. Przejechał ręką po włosach.

- Chodzi... o Buddy'ego. Miał zawał.

- O nie, i co z nim?

- Jeszcze nie wiadomo, w szpitalu robią właśnie badania. Irene zadzwoni, jak dowie się czegoś więcej.

- Ale co ma z tym wspólnego policja?

- Policja? Chyba się przesłyszałaś. Nic nie mówiłem o policji.

- Nie? Tak mi się zdawało.

- Naprawdę? A... przepraszam, rzeczywiście. Buddy dostał zawału na ulicy, ktoś z policji zadzwonił po karetkę.

Wrócili do domu i poszli wcześniej spać. Sam przewracał się z boku na bok. Objęła go, zaczęła głaskać po głowie i wszelkimi siłami starała się go uspokoić. Kilka razy spytała, czy nie napiłby się czegoś ciepłego, ale odpowiadał, że nie chce. Około siódmej zadzwonił telefon leżący obok łóżka. Złapał go natychmiast, odebrał, po czym wyszeptał, że to Irene.

- Dobrze, będzie lepiej, jak przyjadę. Mam o dziesiątej samolot z Heathrow.

- Czy z Buddym bardzo niedobrze? - spytała Ruby, kiedy skończył rozmawiać.

- Tak. Przepraszam, Ruby, muszę polecieć do Stanów i go zobaczyć.

- Oczywiście, leć. Wiem, że Buddy jest dla ciebie ważny. Czy mogę jakoś ci pomóc?

- Nie, chyba nie - popatrzył na sufit. Nawet w słabym świetle poranka widziała, jak bardzo jest zdenerwowany. Zapytała, jak radzi sobie Irene.

- Jakoś się trzyma, ale prosi, żebym przyjechał i dopilnował, by lekarze zrobili dla niego wszystko, co się da.

- Ma rację.

Przysunął się do niej i pogłaskał ją po głowie.

- Będę za tobą tęsknił. - Ja za tobą też.

Wiedziała, że rozłąka nie powinna trwać długo, ale i tak łzy napłynęły jej do oczu.

- I pamiętaj, cokolwiek by się stało, że cię kocham - zapewnił, po czym wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

Uniosła brwi ze zdziwienia.

- Jak to, cokolwiek by się stało? - zapytała, ale z prysznicą lała się woda i Sam nie usłyszał jej słów. Wzdrygnęła się i wytłumaczyła sobie - choć nie trzymało się to kupy - że prawdopodobnie jej ukochany ma na myśli ewentualną śmierć wujka.

Przez kilka dni życie Buddy'ego wisiało na włosku, lecz w końcu lekarze oświadczyli, że najgorsze minęło. Sam zadzwonił i powiedział, że chce pobyć w Nowym Jorku przez parę tygodni, dopilnować jego powrotu do zdrowia i podtrzymać na duchu Irene.

- W klinice zachowali się bardzo przyzwoicie i wyrazili zgodę na urlop. - Przerwał na moment. - Słuchaj, tak mi przykro, że nie będę mógł dotrzymać obietnicy.

- Jakiej obietnicy?

- Ze dowiem się czegoś o tej aferze.

- Sam, w ogóle o tym nie myśl, masz ważniejsze sprawy na głowie. Zostań w Ameryce tak długo, jak będzie trzeba, Irene pewnie wciąż jest w szoku i bardzo cię potrzebuje. A przy okazji, jest tam z tobą? Chciałabym z nią porozmawiać i przekazać pozdrowienia dla Buddy'ego.

- Nie, nie, jest w szpitalu, ale powiem jej, że dzwoniłaś - obiecał, ale z jego głosu dało się wyczytać zdenerwowanie. Spytała Sama, czy dobrze się czuje.

- Tak, ale przez kilka dni było ciężko. Mam kilka nieprzespanych nocy za sobą.

Kiedy jej mężczyzna przebywał w Ameryce, Ruby jeszcze raz przemyślała opowieść Hannah. Musiała przyznać, aczkolwiek niechętnie, że po rozmowie z Samem ogarnęły ją wątpliwości. Nie wiedziała, komu ma wierzyć: przez niego z pewnością przemawiał zdrowy rozsądek, a jednak czuła, że coś jest nie tak. To niemożliwe, żeby Hannah wszystko zmyśliła. Ruby potrafi przecież odróżnić dziewczynę wykończoną opieką nad trojgiem małych dzieci od nawiedzanej oszołomki - choć niecodziennie stykała się z tabunem oszołomek.

- Rzecz w tym - mówiła Ruby przez telefon do Fi, do której zadzwoniła, by donieść o stanie Buddy'ego - że to, co widziałam w przymierzalni, nie daje mi spokoju. I nie wmówiłam niczego Hannah: sama wspomniała o tym, że Planchette symuluje ciążę.

Fi przyznała, że coś w tym jest.

- Z drugiej strony, reszta opowieści jest raczej niewiarygodna - odparła, a do Ruby dotarło, że Fi jest po stronie Sama, choć nie opowiedziała się po niej jednoznacznie, nie chcąc urazić przyjaciółki.

Co KILKA DNI Hannah zaglądała do sklepu. Od czasu, gdy jej mama wróciła do Leeds, przychodziła z całą trójką. Bliźniaczki, Ellie i Ruth, były identyczne: krzepkie, z buźkami jak księżyc w pełni, uśmiechały się niemal bez przerwy. Niezmordowanie zasuwały na tłustych nóżkach po sklepie, tu wspięły się na wózek, tam powyrzucały z kosza przytulania. Hannah przepraszała za nie bez przerwy, na co Ruby i Chanel ze spokojem odpowiadały, że psotne dwulatki to dla nich żadna nowość.

Poza tym obie kilkakrotnie odwiedziły Hannah w domu. Ruby podświadomie spodziewała się, że dziewczyna wynajmuje mieszkanie w jakimś zasmarowanym grafitti bloku, gdzie na klatce schodowej walają się prezerwatywy i brudne strzykawki.

Tymczasem mieszkanko Hannah, choć znajdowało się w budynku komunalnym, było świeżo odremontowane, jasne i przestronne. Przed domem znajdowało się podwórze z drzewami, zielenią i małym placem zabaw. Po każdej wizycie Ruby nie mogła przestać się

dziwić, w jaki sposób Hannah utrzymuje u siebie taki porządek. Dziewczyna śmiała się, mówiąc, że w tak małym mieszkaniu nie dałoby się wytrzymać, gdyby panował w nim bałagan.

Podczas każdego spotkania Hannah zamartwiała się o bliźniaczki. Wydawało jej się, że są znacznie bardziej rozbrykane niż inne dzieci w ich wieku, i sobie przypisywała winę za to. Uważała, że poświęca im za mało czasu. Ruby zwróciła się o radę do Fi, a ta opowiedziała Hannah, jak nieposkromione potrafią być dwulatki, dodając, że to piekielnie trudny wiek. Uraczyła ją opowieścią o Benie robiącym kupy, gdzie popadnie, i zaproponowała, by dołączyła do jej grupy matek z małymi dziećmi, na co dziewczyna chętnie przystała.

Uczucia Hannah w stosunku do Alfiego pozostały ambiwalentne. Zawsze kiedy wpadała do sklepu, cieszyła się, że dzieckiem zajmuje się Chanel, która po prostu rozpieszczała chłopca. Całowała go i tuliła, karmiła z butelki, przewijała... Widać było, że maluch przypadł jej do serca. Kiedy zaśmiał się - podobno po raz pierwszy - Chanel właśnie całowała go po brzuszku.

Ponieważ Sam przebywał w Nowym Jorku i nie mógł zająć się śledztwem w sprawie Claudii Planchette, Ruby zaczęła się zastanawiać, czy ona sama nie mogłaby się za nie zabrać. Pewnej nocy, kiedy leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, wróciła myślami do swej pierwszej rozmowy z Jill McNulty. Przypomniała sobie, jak kobieta spanikowała, gdy Ruby napomknęła o odchudzających się gwiazdach. Reakcja Jill była naprawdę zastanawiająca, a ona złożyła to wtedy na karb przerażenia utratą pracy, jeśliby przyłapano ją na plotkowaniu. Kto wie, może przyczyna leżała gdzie indziej? Jill musiała wiedzieć, co się dzieje w St. Luke. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Hannah.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby ona coś wiedziała o całej aferze. Nie mogę jej spytać wprost, aż trzęsła się wtedy ze strachu, że ją wyleją.

Hannah oświadczyła, że coś jej świta.

- Blondynka, około czterdziestki, elegancko ubrana?

- Zgadza się.

- Spotkałam ją tuż po porodzie. Przyszła do mojego pokoju, pogadałyśmy krótko o zapłacie i kazała mi podpisać jakiś papier. Wyszła i więcej jej nie widziałam.

- Więc może być zamieszana - oszacowała Ruby. - Założę się, że prowadzi rachunki wydatków na ciężę zlecone. Ma obsesję porządkowania, nie może się powstrzymać. Ciekawe, czy udałoby się jakoś do nich dobrać.

- Jakim cudem? Sama mówiłaś, że nie piśnie ani słowa. - Jeszcze nie wiem.

KIEDY RUBY WPADŁA do Fi z rewelacją, że zamierza zakraść się do biura Jill McNulty w porze lunchu i pogrzebać w jej kartotekach, przyjaciółka omal nie spadła z krzesła.

- Zwariowałaś! Jak cię złapią, ta baba z miejsca wezwie policję! To idiotyzm! Nie rób tego, to nie w twoim stylu.

- Ktoś musi zaryzykować, dlaczego nie ja?

- Nawet nie wiesz, czy Hannah nie zmyśla.

- Oczywiście, że nie, jestem pewna.

- A jak dostaniesz się do biura?

- Zdobę klucze. Mimo całej tej ochrony i identyfikatorów klucze wiszą na haczykach w kanciapie sprzątaczkii. Widziałam, jak tamtędy przechodziłam.

- Ale nawet jeśli jakimś cudem uda ci się i znajdziesz nazwiska zamieszanych w to osób, wszystkiemu zaprzeczają! A jak cała sprawa trafi do gazet, uznają cię za wariatkę. Pomyślałaś, jaki wpływ będzie to miało na sklep?

- Jasne. Zastanawiałam się też, czy wyrządę krzywdę Samowi i mojej mamie - w końcu jest ich pacjentką.

- Z tego, co wiem, Ronnie chodzi do doktor Beech. Znam ją i jestem pewna, że gdy cała afera wyjdzie na jaw, nie będzie chciała dłużej pracować w St. Luke. Już teraz przyjmuje w Portland... Martwię się raczej o ciebie.

- Wiem, jesteś strasznie kochana, ale ci wredni lekarze i zadufane gwiazdy zasługują na to, żeby ich zdemaskować. Sama wiesz, jak zdołowana byłaś, czytając te bzdury o szczuplutkich aktoreczkach z Hollywood nietracących figury po porodzie. Tyle kobiet czuje się przez nie nieatrakcyjnie. Przygnębia je to, że nie są chude jak patyk, a sama wiesz, jak bardzo młodej mamie, zwłaszcza karmiącej piersią, potrzebne jest zdrowe odżywianie, pozwalające nabrać sił. Bóg jeden wie, ile z nich głodzi się tylko po to, aby w ekspresowym tempie odzyskać dawną sylwetkę. Ktoś musi z tym skończyć, dlaczego nie ja?

Fi zamyśliła się, a Ruby wiedziała, że podejmuje jakąś decyzję.

- Dobra, ale dlaczego nie wkradniesz się do jej gabinetu po godzinach pracy? Tak byłoby bezpieczniej.

Ruby wyjaśniła, że jej pogadanki zawsze kończą się w porze lunchu.

- Nie mogę później pałętać się po szpitalu, byłoby to podejrzane i ktoś mógłby mnie zapytać, co tam robię.

- Widzę, że wszystko sobie przemyślałaś - uśmiechnęła się wreszcie Fi. Wstała i objęła przyjaciółkę.

- Jesteś dzielna, Ruby Silverman. Masz fioła, ale też mnóstwo odwagi i jestem z ciebie cholernie dumna.

Rozdział 16

Następnego dnia po rozmowie z Fi Ruby miała przeprowadzić drugą pogadankę w St. Luke. Widocznie dobra opinia Ruby szybko się rozeszła, bo przyszło jeszcze więcej kobiet niż za pierwszym razem.

Po zajęciach zadowolona z ich przebiegu Ruby zamknęła salę na klucz, a następnie, z bijącym sercem, zwarta i gotowa, ruszyła w kierunku kanciapy sprzątaczk. Drzwi były jak zwykle otwarte, a zapasowe klucze do gabinetów wisiały na widoku.

- Przepraszam, jest tam kto? - spytała na wszelki wypadek.

Nikt nie odpowiedział. Weszła do środka, zręcznie wymijając stojące tam wiadra i mopy. Poczula mocny zapach środka odkażającego. Przyjrzała się rzędowi haczyków - ten na klucz do biura Jill znajdował się na samym końcu i zaopatrzony był w plakietkę z nazwiskiem. Już gratulowała sobie w myślach zdolności detektywistycznych i z lekkim sercem sunęła do wyjścia, kiedy zahaczyła o trzonek miotły, która przewracając się, uderzyła w blaszane wiadro i narobiła nieziemskiego hałasu - tak jej się przynajmniej zdawało. Zamarła. Po chwili wysunęła ostrożnie głowę na korytarz, by zobaczyć, czy już nadciąga tabun zaalarmowanych lekarzy, ale poczuła ulgę, widząc, że nikogo nie ma. Odetchnęła głęboko i ruszyła w kierunku gabinetu Jill.

Przerwa obiadowa nie dawała gwarancji, że nikogo w nim nie będzie. Ruby postanowiła najpierw zapukać. Jeśli odpowie jej cisza, otworzy drzwi kluczem i wejdzie do środka. Na wypadek, gdyby jednak Jill była w pokoju, Ruby będzie miała przygotowaną historyjkę: powie, że okno w sali wykładowej nie daje się otworzyć, i spyta Jill, czy mogłaby poprosić kogoś o naprawienie.

Zapukała dwukrotnie.

- Proszę! - odezwała się Jill. Rozczarowana Ruby otworzyła drzwi. McNulty siedziała za biurkiem, na którym, jak zwykle, panował idealny porządek. Ubrana była w stalowoszary żakiet i świeżą białą bluzkę. Spojrzała na wchodzącą i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, zapraszam. W czym mogę pomóc? - mówiąc to, wskazała Ruby krzesło. Ta, siadając, zdołała jeszcze dostrzec perfekcyjnie zrobione paznokcie, pomalowane jasnoróżowym lakierem, po czym sprzedała jej bajeczkę o oknie.

- Oczywiście. Zaraz każę naprawić - obiecała Jill. - Czy jest jeszcze coś niecierpiącego zwłoki? Od jutra idę na tygodniowy urlop. Wybieram się z przyjacielem na południe Francji, szczerze mówiąc, już nie mogę się doczekać!

- O, więc w biurze nie będzie nikogo? - wypaliła Ruby.

- Tak, tak zwykle bywa, gdy ludzie wyjeżdżają, nieprawdaż?

Ruby na poczekaniu musiała naprawić swoją niezręczność.

- Tak, nie... chodziło mi o to, czy będzie pani miała jakieś zastępstwo?

- Niestety nie, przepraszam. Jeżeli miałaby pani jakiś problem, proszę dać znać sekretarce administracji.

- Dobrze wiedzieć. Dziękuję.

Nalegała, żeby Ruby zapisała sobie numer telefonu, a także e - mail do sekretarki.

- Jeśliby jej nie było, proszę zwrócić się do recepcjonistek w rejestracji, one panią skierują dalej, gdyby zaszło coś ważnego.

- Dziękuję, na pewno dam sobie radę.

- Na wszelki wypadek zostawię pani numer telefonu komórkowego, pod którym można mnie zastać.

Ruby odparła, że na pewno nie będzie zawracać jej głowy na urlopie.

- Niestety, muszę jeszcze zapakować wszystkie papiery i dokumenty, zanim wyjadę - oznajmiła Jill. - W gabinecie będzie malowanie, więc polecono mi przekazać je do magazynu.

- Jak to? To wszystko? - wskazała Ruby, przeklinając los, który tak złośliwie pozbawił ją szansy poznania prawdy

- Oczywiście. - Jill popatrzyła na nią pytająco. - Dlaczego panią to dziwi?

- Nie, skąd, pomyślałam tylko, że to ogromna niewygoda, usuwać cały ten kram.

- Rzeczywiście, opatrność lubi wystawiać nas na próbę, ale jakoś sobie poradzę.

Ruby wstała, zbierając się do wyjścia.

- Nawiasem mówiąc, doszły mnie słuchy, że boski doktor Epstien u nas zostaje.

- Tak, dostał stałą posadę - odrzekła Ruby, rumieniąc się. - To już pani o nas wie?

- Wszyscy wiedzą - szepnęła konspiracyjnie w odpowiedzi - a pielęgniarki i położne gryzą palce z zazdrości, bo wszystkie się w nim podkochują.

Ruby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Cóż, życzę udanych wakacji. Do zobaczenia po powrocie.

Zamknęła za sobą drzwi i powędrowała korytarzem w stronę wyjścia. A więc kartoteki Jill zostaną przeniesione do magazynu, a ona nie ma pojęcia, gdzie to jest. Będzie mogła dobrać się do nich dopiero po powrocie McNulty z urlopu. Pięknie, po prostu wspaniale.

Otworzyła drzwi do kanciapy i odwiesiła klucz z powrotem. Było to dziecinnie proste.

RUBY STARAŁA SIĘ ZWALCZYĆ frustrację wynikającą między innymi z tęsknoty za Samem, mimo telefonów i e - maili - rzuciwszy się w wir przygotowań do dobroczynnego Tygodnia Gwatemali.

Zamówiła w drukarni fikuśne zaproszenia i wysłała stałym klientkom, nie wyłączając kilkunastu gwiazd. Kiermasz miał odbyć się w drugą sobotę grudnia. Cały czas odbierała mnóstwo przesyłek z Ameryki Południowej. Przychodziły w nich dziecięce ubranka, prześliczne, ręcznie robione zabawki, karuzelki i wnętrzarskie drobiazgi, a oprócz tego kartki i ozdoby świąteczne.

Pewnego wieczoru po pracy, kilka dni przed kiermaszem, pojechała odwiedzić mamę. Phil był w Monachium na spotkaniu z klientem. Musiał tam zanocować, więc Ruby zaproponowała, że wpadnie na kolację i dotrzyma Ronnie towarzystwa. Do jedzenia miało być angielskie curry, przepyszne, choć niewiele miało - a może nawet nic - wspólnego z oryginalną kuchnią indyjską. Potrawa składała się z kurczaka smażonego z cebulą i doprawionego pastą curry, wymieszanego z chutneyem z mango oraz jabłkami, rodzynkami i bananami. Kiedy Ruby była mała i rodzina wiecznie borykała się z problemami finansowymi, Ronnie serwowała to danie przynajmniej raz w tygodniu, a ona nigdy nie była w stanie się nim znudzić.

- A przy okazji - powiedziała, gdy maszerowały w kierunku kuchni - przywiozłam ci staniki do karmienia, takie jak chciałaś. Są o dwa rozmiary większe - będą potrzebne, jak biust ci się powiększy przy laktacji.

Ronnie wzięła jeden z biustonoszy do ręki i skrzywiła się na widok wielgachnych, jasnobezowych miseczek.

- Ojej, doprawdy, bardzo seksowne. Czy one są na piersi, czy na wymioną?

Ruby zaśmiała się i zaproponowała:

- Jeśli potrzebujesz czegoś specjalnego, by oczarować tatę, proponuję obejrzenie naszej kolekcji laktatorów. Te dopiero kojarzą się z dojeniem. Ostatnio Fi, odciągając mleko, zagroziła, że zmieni imię na Krasula.

Ronnie parsknęła i odparła, że nie może się doczekać, a następnie naląła Ruby wina. Sama musiała zadowolić się wodą mineralną, która najlepiej pomagała jej na zagę. Curry, jak zawsze, było boskie.

W pewnej chwili Ruby spytała, co u cioci i Nigela. Ronnie oznajmiła, że straszliwie się pokłócili o majtasy z szuflady i nie rozmawiają ze sobą.

- Ale znasz Sylwię - długo nie wytrzyma. Będę zdawać relację na bieżąco. - Ronnie napiła się wody. - A co u ciebie? Wydajesz się czymś zmartwiona, ciężko ci bez Sama?

- Bardzo za nim tęsknię.

- Ale to nie wszystko? - dopytywała się Ronnie. - Widzę, że jeszcze coś się stało.

- Ta twoja ginekolożka z St. Luke... - zaczęła Ruby.

- Mówisz o dr Beech? - Właśnie. Lubisz ją, prawda?

- Jest wspaniała, trudno o lepszą lekarzkę.

- Masz pewność, że nie robi przekrętów?

- Nie jest tancerką na lodzie.

- No właśnie i na lodzie cię nie zostawi. Ale serio - ufasz jej?

- Oczywiście. Doktor Beech i przekręty? To absurd. Dlaczego tak wypytujesz?

- Tak sobie.

- Ruby, zapomniałaś, do kogo mówisz. Co się dzieje?

- To długa historia.

- Ja i Sigmund mamy czas - poklepała się po brzuchu.

- Sigmund? To musi być obiegowy żart wśród terapeutów, prawda?

- Wcale nie, wydaje nam się, że Sigmund Silverman będzie brzmiało godnie. - Ronnie nie wytrzymała i zaczęła się śmiać. - Oczywiście, że to żart. A teraz wszystko mi opowiedz.

Ruby zaczęła od początku, to jest od wizyty Claudii w sklepie, i zrelacjonowała ze szczegółami całą historię Hannah, a matka z podniecenia musiała uraczyć się kieliszkiem wina. Słuchała opowieści córki, wzdychając z wrażenia. Kiedy Ruby skończyła, jej matka wyglądała tak, jakby dostała obuchem w głowę.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że te idiotki cofają ruch feministyczny o jakieś pięćdziesiąt lat? To ohydne. Ohydne, wstrętne i paskudne.

- No właśnie, aż się zastanawiam, czy nie powinnaś zmienić szpitala. Nie podoba mi się, że ta afery zdarzyła się tam, gdzie chcesz rodzić.

Ronnie zamyśliła się.

- Nie, zmiana lekarza teraz nie ma sensu. To koniec ciąży, a ja całkowicie ufam doktor Beech. Dam sobie rękę uciąć, że ona nie jest w to zamieszana.

- Twoja lekarka jednak przyjmuje również w Portland, może tam powinnaś zacząć umawiać się na wizyty.

- Nie, zostanę w St. Luke, nie będę niczego zmieniać. Ale ty uważaj, kochanie. Wiem, że masz ochotę zdemaskować tych ludzi, jednak nie wolno ci ryzykować. Jeżeli cię przyłapią, możesz ponieść przykre konsekwencje...

Ruby próbowała przekonać mamę, używając argumentów podobnych do tych, którymi poczęstowała Fi, ale Ronnie nie dawała sobie tak łatwo zamydlić oczu.

- Jesteś moim dzieckiem i boję się o ciebie. Co jeśli wpadniesz w tarapaty i będziesz miała naprawdę poważne kłopoty?

- Co masz na myśli? Ze mnie pobiją?

- Może nie pobiją, ale będą ci grozić. Nigdy nie lekceważ niebezpieczeństwa, nie zapominaj, do czego ludzie są zdolni dla pieniędzy - a tu chodzi o bardzo duże pieniądze.

- Daj spokój, mamó, dramatyzujesz.

Ledwie to powiedziała, Ronnie złapała się za brzuch i wykrzywiła z bólu.

- Mamó, co się dzieje?

- Sama nie wiem. - Po chwili Ronnie odetchnęła: ból minął.

- Chyba jeszcze nie rodzisz, co?

- No coś ty, pozostało mi jeszcze sześć tygodni. - Ale może zacząć się wcześniej?

Ruby poszła przynieść matce szklanek wody. Po pięciu minutach ból powrócił, Ronnie niemal zgięła się wpół.

- Ruby, pojedźmy lepiej do kliniki - powiedziała i poprosiła córkę, by poszła na górę i spakowała na wszelki wypadek niezbędne rzeczy.

- Nie zapomnij o olejku do masażu krocza! I kompaktu z odgłosami wielorybów; jest na toaletce.

W drodze do szpitala Ronnie zaczęła panikować, że urodzi, a jest dopiero w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży.

- Mamó, wszystko będzie dobrze, teraz ratują nawet sześciomiesięczne wcześniaki - uspokajała Ruby, ale bez większego powodzenia.

- Chciałabym, żeby tata był przy mnie.

Próbowała dodzwonić się do Phila na komórkę, ale cały czas włączała się poczta automatyczna.

Na miejscu Ronnie natychmiast zaopiekowała się energiczna jamajska położna, która emanowała spokojem. Dostrzegła zdenerwowanie pacjentki, dlatego przysiadła na jej łóżku, wzięła ją za rękę i zaczęła uspokajać, mówiąc, że nic się nie dzieje, zresztą i tak jest w dobrych rękach, więc nie ma się czego bać. Dla Ruby była wcieleniem idealnej położnej z St. Luke. Mimo to, patrząc na nią - podobnie jak na wszystkich mijanych lekarzy i pielęgniarki - kobieta nie mogła opędzić się od myśli, czy dana osoba nie macza palców w aferze ciążyowej.

- Szyjka robi ci się, kochanie, miękka, poza tym wyczuwam silne, regularne bicie serca - oznajmiła położna. Jej zdaniem Ronnie dostała po prostu skurczów Braxtona - Hicksa, ale

na wszelki wypadek dała znać dyżurującej lekarce, by upewniła się, czy wszystko jest w porządku.

- A kiedy pani doktor powie, że wszystko gra, zaparzę ci filiżankę dobrej herbaty - powiedziała, po czym wyszła w pośpiechu z pokoju.

- Jeśli ta kobieta zamieszana była w oszustwo Planchette, gotowa jestem zjeść własny kapelusz - powiedziała do siebie Ruby, mając na myśli jej jedyne, przepiękne i horrendalnie drogie nakrycie głowy od Philipa Treacy'ego.

Dyżurującą lekarką okazała się doktor Anderson: ginekolożka, do której Ruby zazwyczaj chodziła - najwyraźniej uporała się już dawno z wirusem, który dopadł ją na jesieni.

- Doktor Jane jest super. Zobaczysz, spodoba ci się. Przyszła do Ronnie kilka minut później. Jej matczyne, jak zwykle nieporządny wygląd budził zaufanie. Rozwiczona fryzura wyglądała tak, jakby układał ją sam Bob Geldof. Ubranie - szkarłatny polar, a do niego brązowa, plisowana spódnica - sprawiało wrażenie, jakby zostało po omacku wyciągnięte z szafy. Twarz lekarki rozjaśniła się w uśmiechu na widok Ruby:

- Od razu, gdy tylko zobaczyłam nazwisko „Silverman”, pomyślałam sobie, że to może ktoś z pani rodziny.

- Moja mama - uśmiechnęła się Ruby.

- Boże jedyny! Proszę, bez żartów - nie dowierzała doktor Jane. - Wygląda pani za młodo.

Ronnie wyraźnie się odprężyła. Z uśmiechem na ustach wytłumaczyła, że zaszła w ciążę jako nastolatka. Okazało się, że lekarka pochodziła z wielodzietnej rodziny, miała dziewięcioro rodzeństwa, a jej matka pierwsze dziecko urodziła w wieku szesnastu lat. Po chwili obie kobiety gawędziły z takim zapalem, jakby znały się od wieków, a doktor Jane potwierdziła diagnozę położnej.

- To naprawdę tylko skurcze przepowiadające? - dziwiła się Ronnie. - Nie pamiętam, żebym przechodziła je z Ruby.

- A kiedy urodziła pani córkę? - spytała, poklepując Ronnie po rękę.

- Nie da się ukryć, że trzydzieści dwa lata temu.

- No właśnie, bóle były pewnie tak samo silne, tylko już ich pani nie pamięta.

Jako że nie ustawały i Ronnie wciąż się nimi niepokoiła, lekarka postanowiła zatrzymać ją na noc w klinice.

Kiedy doktor Anderson wyszła, matka zwróciła się do Ruby:

- Idź do domu i połóż się spać. Nic mi nie będzie.

- Coś ty, przecież jeszcze wcześniej. Posiedzę z tobą i dotrzymam ci towarzystwa.

Zaczęły oglądać telewizję, ale skurcze nie przechodziły. Ronnie, mimo zapewnień położnej, coraz bardziej martwiła się, że to jednak początek porodu, a do tego Phil dalej nie odbierał telefonu.

Około dziesiątej Ruby znowu zgłodniała, więc zaproponowała, że przyniesie im coś z kafeterii. Ronnie nie miała ochoty na jedzenie, ale zgodziła się, żeby córka coś przyniosła. Ruby wyszła więc na korytarz. Po przejściu kilku kroków zorientowała się, że przejście zostało odcięte. Malarze, remontujący gabinet Jill oraz kilka innych pomieszczeń na piętrze, zabrali się też za korytarz. Ustawili na nim rusztowanie i najwidoczniej zdołali pomalować już sufit.

Dziewczyna podążyła więc w kierunku wskazanym na ręcznie wymalowanym znaku. Strzałki prowadziły do piwnicy, gdzie analogiczny korytarz kończył się schodami prowadzącymi w górę, do kafeterii.

Ciemnawe oświetlenie, ponura zieleń ścian i nieprzyjemnie niski sufit, po którym biegly liczne rury i kable, przyprawiły Ruby o dreszcz. Co gorsza, nie licząc kilku pudeł stojących przy ścianie, było tu kompletnie pusto. Przyśpieszyła kroku, chcąc jak najszybciej dotrzeć do schodów. Kiedy była już blisko wyjścia z piwnicy, poczuła nagły przypływ odwagi, a wzrok jej przykuł napis MAGAZYN, widniejący na jednych z drzwi. Zwolniła. A może?... Nie, bez sensu, to byłoby za proste. Ale przecież sama Jill powiedziała, że dokumenty zostaną przeniesione do magazynu, czyli tu. Zwolniła jeszcze bardziej. Chwyciła klamkę. Zamknięte. Jakżeby inaczej, chyba nie oczekiwała, że drzwi ustąpią, a jej oczom ukaże się skrzynia z napisem „Tajne dokumenty dotyczące afery ciążyowej. Autorka: Jill McNulty”.

Ruby poszła do kafeterii, kupiła miętową herbatę dla Ronnie, a dla siebie batona. Rozmyślając o tym, co może kryć się za drzwiami magazynu, wróciła do mamy.

Ronnie siedziała na łóżku i uśmiechała się wesoło.

- Lepiej wyglądasz - oceniła Ruby.

- Bo lepiej się czuję. Dzięki Bogu, nie musiałyśmy alarmować ojca.

- Przestało boleć? - spytała, stawiając kubek z herbatą na metalowej szafce obok łóżka.

- Powiem tak: pięć razy byłam w toalecie. Wygląda na to, że curry mi zaszkodziło.

Położna powiedziała, że w zawansowanej ciąży często zdarza się nadwrażliwość na pewne składniki.

Ronnie oświadczyła, że czuje się już dobrze, i nalegała, by córka pojechała do domu.

- Zgoda, ale zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Umowa stoi?

- Stoi.

Ruby pochyliła się nad mamą i pocałowała ją na dobranoc.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, córeczko. I dziękuję, że tak się mną zająłaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zmierzając w stronę głównego wyjścia, Ruby odłamała kawałek batona i wsunęła go do ust. Po chwili pozostało jej już tylko opakowanie. Po wieczornych przejściach potrzebowała kopa, jakiego daje cukier.

Po drodze mijala kanciapę sprzątaczkę. Zwolniła. Drzwi były otwarte, a klucze wisiały na haczykach. Zmiała papierek po batonie i włożyła go do kieszeni, po czym rozejrzała się dookoła. Wydawało się, że w pobliżu nikogo nie ma, weszła więc do maleńkiego pomieszczenia.

Było tam sześć par kluczy opatrzonych plakietką „magazyn”. To znaczyło, że w klinice jest aż sześć różnych pomieszczeń przeznaczonych na przechowywanie rzeczy. W tej sytuacji istniała niewielka szansa, by udało jej się trafić na właściwy klucz.

- A, niech tam - mruknęła i porwała wszystkie potrzebne klucze. Rozejrzała się, czy nikt nie idzie, po czym ruszyła w stronę schodów do piwnicy.

Kiedy znalazła się na dole, usłyszała nagle przerażające gulgotanie. Niewiele brakowało, aby znalazła się z powrotem na schodach - w ostatniej chwili zorientowała się jednak, że to tylko rury kanalizacyjne. Ruszyła więc dalej, wypatrując magazynu. Co chwilę oglądała się za siebie, czy przypadkiem ktoś jej nie śledzi.

Czwarty klucz pasował do zamka. Pomieszczenie było przestronne - mniej więcej dwa razy większe od jej salonu. Pełno tu było mebli biurowych. Domyśliła się, że biurka, biblioteczki i obrotowe krzesła przeniesiono tu z remontowanych pokoi. Pod biurkami stały tekturowe pudła. Ruby podeszła do pierwszego z brzegu. Na pokrywie widniało nazwisko, które nic jej nie mówiło, napisane w poprzek grubym, czarnym flamastrem. Z drugim pudłem było podobnie - nie знаła osoby, do której należało. Czując się jak Złotowłosa z bajki o trzech misiach, podeszła do trzeciego. Bingo!

Na pokrywce widniało nazwisko Jill.

Ruby wsadziła klucze do kieszeni i otworzyła karton. Wewnątrz tkwiły trzy staromodne segregatory wypełnione papierami, oznaczonymi karteczkami z napisem: „zapłacone” lub „zaległe”. Usiadła na podłodze wyłożonej linoleum i zaczęła przeglądać. Oprócz faktur znalazła projekty wydatków i listę rzeczy do naprawy.

Kiedy była w połowie przeglądania drugiego segregatora, natknęła się na zadrukowaną kartkę, wyraźnie różniącą się od reszty. Była podzielona na kolumny. Na górze pierwszej

figurowało imię i nazwisko pacjentki, następnie data porodu oraz płeć dziecka. W ostatniej rubryce było miejsce na podpisy położnej i ginekologa. Ruby przyjrzała się liście i zauważyła, że w pierwszej kolumnie zapisywano nazwiska matek, przy czym w kilku miejscach znajdowało się drugie w nawiasie. Przesunęła po nich wzrokiem. Większość nic jej nie mówiła, jednak kilka rozpoznała - należały do sław ekranu. Wpadło jej w oko nazwisko China Katz - serce Ruby zabiło żywiej. W nawiasie: Kate Murphy Ktoś jeszcze dopisał: dziewczynka i złożył podpis.

Czytała dalej. Kilka linijek niżej dojrzała nazwisko: Mia Ferrari, a obok w nawiasie inne.

- A niech mnie - wymruczała Ruby - te w nawiasie to muszą być surogatki. - Wytrzeszczyła oczy - było ich ponad tuzin.

Wreszcie, tuż pod koniec, natknęła się na te, na których zależało jej najbardziej. Powiodła po nich palcem: Claudia Planchette... (Hannah Morgan). Chłopiec. Przebiegła oczami do rubryki z podpisem lekarza, który wykonał dziewczynie cesarkę. Widniało tam: Sam Epstien.

Pomyślała, że może wzrok płata jej figle, ale nie. Tyle razy widziała, jak podpisywał rachunki, płacąc kartą kredytową, że nie mogła się mylić. To był jego podpis.

Zbita z tropu Ruby schowała kartkę do torebki, po czym zabrała się do dalszego przeglądania papierów. Znalazła kserokopię autentycznej listy. Po namyśle także ją ukryła w torebce. Postarała się uporządkować dokumenty w segregatorach tak, by nie było widać, że ktoś w nich myszkował, po czym starannie je pozamykała, włożyła z powrotem do pudła i nałożyła pokrywkę. Była pewna, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie tego, co zobaczyła: niemożliwe, żeby Sam był zamieszany w ten proceder, coś się musiało wydarzyć - trzeba z nim porozmawiać.

Wciąż napompowana adrenaliną zgasiła światło i otworzyła drzwi na korytarz. Wzrok miała skierowany w dół, tak że pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, były damskie buty - praktyczne, czarne czółenka na niewielkich obcasach. Ciało Ruby zeszywniało. Spojrzała na twarz kobiety.

- Jill, na Boga, co pani tu robi!

Sądząc z wyrazu osłupienia, jaki odmalował się na jej twarzy, Jill była nie mniej zaskoczona niż Ruby.

- Mam jutro ważne spotkanie - tłumaczyła nerwowo, jakby to ona była tu intruzem. Odkaszlnęła. - Przyszłam po potrzebne dokumenty.

Dopiero wtedy Ruby zdała sobie sprawę, że nie są same. Obok kierowniczkę stał Tom Hardacre - rozpoznała go od razu dzięki programowi w telewizji. W rzeczywistości był dużo bardziej przystojny, ale teraz miał na sobie koszulkę polo z wywijanym kołnierzem. Styl a la dziarskie chłopię z prywatnej szkoły podobał się może wysportowanym ciziom z prowincji, Ruby natomiast mężczyzna kojarzył się z odpicowanym pośrednikiem nieruchomości z Fulham.

- To Ruby Silverman - przedstawiła ją Tomowi. - Prowadzi u nas prezentacje dla ciężarnych. - Hardacre powoli skinął głową.

- Rzeczywiście, przypominam sobie, że o niej mówiłaś - jego głos był chłodny i wyniosły.

- Myślałam, że wyjechała pani na urlop.

- Nad południem Francji przeszły gwałtowne burze. Zdecydowaliśmy z Tommym, że nie wyjedziemy, prawda, kochanie?

„A więc to był jej »przyjaciel« - tego nie wiedziałam" - pomyślała Ruby.

Lekarz zignorował pytanie i zwrócił się do dziewczyny:

- Może pani wytłumaczyć, co pani tu właściwie robi? - zapytał lodowatym głosem.

Ruby szybko rozważyła w myśli dwie możliwości. Albo wymyśli jakąś bajeczkę i wyłga się z nieprzyjemnej sytuacji, albo pokona strach, weźmie głęboki oddech i stawi czoła szemranej parce.

- Bawię się w detektywa - usłyszała własną odpowiedź.

- W tych ponurych lochach? - dociął Hardacre z miną rekina, krążącego powoli wokół smacznej kolacji. - Fascynujące. Ciekawe, czego pani z takim zapalem poszukuje?

- Dowodu.

- Dowodu - powtórzył, przedrzeźniając. - Aha. Można wiedzieć, na co?

Ruby zauważyła, że Jill stoi zdrętwiała ze strachu i dyszy.

- Dowodu na to, że pan i Jill jesteście zamieszani w aferę, polegającą na poszukiwaniu surogatek dla zamożnych kobiet, które nie chcą psuć sobie figury ciążą.

Hardacre włożył ręce do kieszeni i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Nigdy nie słyszałem takiego steku bzdur. Nasza klinika, jakby jakaś kretyńska zapomniała, słynie z porodów naturalnych.

- Czyżby? A co powie pan na to? - Ruby wyciągnęła z torebki znaną kserokopię listy.

- Co to jest? - spytała Jill drżącym głosem. Ruby podała jej kartkę. Kobieta przebiegła po niej wzrokiem - zbyt wolno, zdaniem doktora Hardacre. Wyrwał jej papier i sam zaczął czytać.

- Nazwiska matek zastępczych zostały umieszczone w nawiasach - poinformowała Ruby.

Hardacre zaczął się śmiać.

- Tu nie ma nic, co by mogło nas obciążyć. Podpisy należą do Sama Epstiena i innych lekarzy z zagranicy, którzy tu pracują. To dopiero znaleźli sobie „fuchę”, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

- Właśnie, właśnie - wtórowała Jill.

- Ale ja tę listę znalazłam w pani dokumentach - powiedziała Ruby.

- Ja... nie mam pojęcia, skąd się tam wzięła. Może to pani ją podrzuciła. Otóż to! Pani mi ją podrzuciła.

- Co takiego? A po cóż bym miała to robić?

- Nie wiemy - stwierdził Hardacre. - Może po to, by nas szantażować?

- A po co miałabym was szantażować?

W tym momencie na korytarzu pojawił się młody tragarz, pchający pusty wózek. Schylił głowę i udawał, że nie słyszy podniesionych głosów. Cała trójka zamilkła na jego widok.

Ruby dostrzegła, że Hardacre wsunął listę do kieszeni spodni. Było jasne, że chciał przejąć dowód rzeczowy. W rzeczywistości jednak prawdziwa lista spokojnie spoczywała w jej torebce.

- To wszystko - podsumował. - Nie wiem, kto pani o nas naopowiadał takich kłamstw, ale radziłbym, aby poszła pani grzecznie do domu i zapomniała o całej sprawie. A swoją drogą, proszę pogadać z Samem Epstieniem, który najwyraźniej nie jest tak kryształowo uczciwym samarytaninem, jak się pani wydawało. Na dobrą sprawę sam chętnie pomówię o nim z dyrektorem kliniki.

Ruby niełatwo było zapędzić w kozie róg. - A ja radzę, by wyjął pan kartkę z kieszeni i dokładnie się jej przyjrzał.

- Chyba pani nie dosłyszała. Powiedziałem, że nasze spotkanie dobiegło końca.

- Niech pan zrobi mi tę łaskę - uśmiechnęła się. - Proszę spojrzeć na listę. Na samym dole widnieje nazwisko Claudii Planchette. Obok niego - w nawiasie - Hannah Morgan.

- No i co z tego?

- Hannah była pana pacjentką, prawda? I urodziła dziecko Claudii.

- Co? Pani zwariowała. - Hardacre splótł ręce w obronnym geście. Próbował zachować pewność siebie, ale widać było, że czuje się coraz bardziej niepewnie.

- Hannah twierdzi, że urodziła dziecko na życzenie Claudii, i ja jej wierzę. Pan utrzymuje, że nic o tym nie wie?

- Oczywiście. Ta lista to jakieś bzdury, nie ma ze mną nic wspólnego i nie interesuje mnie wariatka, która próbuje wyciągnąć od Planchette więcej pieniędzy.

- Więc wie pan, że Claudia zalega Hannah z wypłaceniem reszty wynagrodzenia? - drążyła Ruby.

Hardacre popatrzył jej prosto w oczy i powiedział:

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi.

Nawet w tym kiepskim oświetleniu widać było, że Jill zrobiła się blada jak ściana. Jeszcze chwila, a zacznie wymiotować ze zdenerwowania.

- Co więcej, Planchette odmówiła przyjęcia syna, bo jest rudy, a ona nie lubi tego koloru włosów. Nawet u własnego dziecka.

- To jakiś idiotyzm. Jeszcze nigdy nie słyszałem tak kretyńskich wymysłów.

- Wie pan co, przewiduję, że w którymś momencie - wcześniej niż później - Hannah zwróci się do sądu o pomoc w wyegzekwowaniu zaległych pieniędzy. Zrobią Claudii test DNA i nie wyobrażam sobie, jakim cudem pan i Jill - ba, cała klinika St. Luke - nie będziecie w to zamieszani. Oczywiście - teoretycznie nie złamał pan prawa, ale biorąc pod uwagę reputację szpitala i pańskie wystąpienia przeciw anoreksji ciężarnych w telewizji, zrobił pan coś moralnie obrzydliwego. Wychodząc naprzeciw próżności swoich pacjentek i oferując im możliwość znalezienia zastępczej matki, lansuje pan tym samym zwyrodniałą kulturę, w której kobieta akceptowana jest tylko pod warunkiem, że dysponuje wychudzonym, przetrenowanym ciałem. Jeśli wyjdzie to na jaw, nie tylko klinika straci dobre imię, lecz także pan będzie skończony jako lekarz.

Jill najpierw słuchała w milczeniu, po chwili jednak zaczęła panikować:

- Boże, co robić, co robić? Ile razy ci mówiłam, że ta cała Planchette ma nie po kolei w głowie i nie można jej ufać?

- Cicho bądź! - Hardacre niemal pluł jadem. - Co ty, kobieto, wygadujesz!

Ale Jill nie chciała być cicho.

- Wiedziałam, że z innymi to przejdzie, ale błagałam, żebyś dał sobie spokój z Planchette. Na próżno, nie chciałeś mnie słuchać - jak zwykle arogancki pan, cholerny doktor musiał wiedzieć lepiej. No i proszę, doigrałeś się!

Hardacre zignorował słowa Jill i wziął Ruby pod ramię.

- Myślę, że pani i ja możemy dojść do porozumienia, które zadowoli każde z nas.

- Co takiego? Chce mnie pan kupić?

- Ujmijmy to tak: dysponuję znacznymi środkami. Po pierwsze, jestem pewien, że potrafię przekonać Claudię, aby spłaciła cały dług wobec pani Morgan oraz łożyła na utrzymanie dziecka. Ostatnią rzeczą, jakiej aktorka by sobie życzyła, jest skandal. Jeśli przystanie pani na moje warunki, zyskamy na tym oboje, a do tego klinika uratuje swoją reputację. Co pani na to?

- Nie - odpowiedziała Ruby, zaciskając z gniewu pięści, i zapytała: - Proszę mi powiedzieć jedno: po co pan to robi? Wiem, że jest pan zamożnym człowiekiem, nie potrzebował pan pieniędzy.

Stał przed nią, nie mając zamiaru odpowiadać. Wyglądał, jakby miał ochotę warczeć.

- Akurat! - wtrąciła się Jill. - Potrzebował, i to jeszcze jak!

Mężczyzna zwrócił się ku partnerce i huknął, żeby siedziała cicho. W niej jednak najwyraźniej nastąpił jakiś przełom, bo odgryzła mu się ze złością:

- Nie! Nie będę milczeć! Nie będziesz mi mówił, co mam robić, koniec z kontrolowaniem! Słyszałeś? Ostatni raz odezwałeś się do mnie w ten sposób. - Jill stanęła tuż obok Toma, lecz patrząc mu prosto w oczy, mówiła o nim w trzeciej osobie: - Widzi pani, Tom to bankrut. Zainwestował cały majątek w jakieś szemrane przedsiębiorstwo budowlane w Iranie. Przestało istnieć, a on został bez grosza. Wszyscy ostrzegali go, że tak będzie, ale on, oczywiście, nie słuchał! Pieniądze są dla niego jak narkotyki. Im więcej, tym lepiej, tylko o nie mu chodzi - zaczęła płakać. - A ja stałam się prawie taka sama jak on. Byłam słaba, a Tom to wykorzystał i wciągnął mnie w swoje ciemne sprawy. Przekonywał, że proponowanie kobietom zastępczych matek to nic złego, a ja uwierzyłam. Nie do wiary, jaką byłam idiotką!

Ruby zrobiło się jej żal. Hardacre był potwornym despotą, który uwielbiał pomiatać kobietami.

Popatrzył z nienawiścią na Jill, ale nic nie powiedział.

- Chcę wiedzieć jeszcze jedno - spytała Ruby Toma. - Czy Sam Epstein brał udział w tej aferze?

- A co, spadły klapki z oczu? - dziewczyna wzięła szyderstwo Hardacre'a za potwierdzenie. Ten nachylił się nad nią i wysyczał jej prosto do ucha: - Pamiętaj, może i byłem bankrutem, ale to już przeszłość. Spróbuj mi zaszkodzić, a pożałujesz. Potrafię się bronić i nie będę przebierał w środkach. Przekonasz się, że popełniłaś straszliwy błąd, jeśli zrobisz sobie ze mnie wroga.

Ruby nie wątpiła w to ani przez chwilę.

Rozdział 17

Znalazłszy się w domu, Ruby wciąż trzęsła się ze zdesperowania i złości. Myślała także o Samie - to niemożliwe, by brał udział w tej odrażającej zмовie. Otworzyła butelkę wina i usiadła na kanapie, próbując się uspokoić. Ciekawe, co zrobią Jill i Hardacre? Opuszczą St. Luke? Wątpliwe. Hardacre był aroganckim, zadufanym w sobie łotrem, a Jill, jak tylko ochłonie, zrobi to, co on jej każe. Poczekają, aż pójdzie z informacją do gazet, po czym wezmą dobrego prawnika i rozpoczną bezpardonową walkę. Nie mają na razie pojęcia, że jest w posiadaniu oryginału listy zamieszanych w aferę sławnych pacjentek.

Po chwili zabrała się za odsłuchiwanie wiadomości na sekretarce. Jedna była od Sama, który mówił, że za nią tęskni i że Buddy czuje się coraz lepiej. „Wracam do domu pojutrze. Samolot ląduje o szóstej rano, ale proszę, nie przyjeżdżaj po mnie - wezmę taksówkę prosto pod twój dom. Mam nadzieję, że zjemy razem śniadanie, zanim wyjdiesz do pracy. Kocham cię”.

Odsłuchiwała tę wiadomość chyba z pół tuzina razy. Doszukiwała się niepewności w jego głosie, oznaki, że coś ukrywa, lecz na próżno. Wydawał się taki wesoły, szczęśliwy, zakochany. Co więcej, miał hopla na punkcie etyki zawodowej. Nigdy, przenigdy nie zdradził jej niczego, co dotyczyło pacjentek. To niemożliwe, żeby wziął udział w tak wielkim przekręcie.

Kilka godzin później wciąż czuła podwyższony poziom adrenaliny. Miała nadzieję, że ciepłe mleko pomoże jej się uspokoić. Wstawiła kubek do mikrofalówki i sięgnęła do torebki po listę, na której widniał podpis Sama. W kuchni przyjrzała mu się dokładnie. Może Jill w jakiś sposób udało się przekonać jego i innych zagranicznych lekarzy do złożenia podpisu na liście przed uzupełnieniem wszystkich danych. To jasne, dlaczego McNulty i Hardacre'owi zależało właśnie na ich podpisach: w razie czego, gdyby sprawa wyszła na jaw, winę zrzuciliby na ginekologów, którzy przebywali w klinice tylko przez kilka miesięcy i już w niej nie pracowali. Najprawdopodobniej nikt nie zawracałby sobie głowy tym, by ich odszukać i wyciągnąć konsekwencje.

Wyjęła mleko z mikrofalówki i spojrzała na zegar. Było po trzeciej - w Nowym Jorku po dziesiątej wieczorem. Zdecydowała się zadzwonić do Sama. Ktoś starał się go zrobić, a on prawdopodobnie nic o tym nie wie.

Próbowała złapać go przez komórkę, ale włączała się poczta głosowa. Po pół godzinie mleko zaczęło działać i poczuła się śpiąca. Zostawiła mu wiadomość, by oddzwonił i wzięła telefon do łóżka.

Zasnęła niemal natychmiast. Dwie godziny później przebudziła się, a natłok myśli nie dawał jej spokoju. Co będzie, jeśli afera dostanie się do prasy, a Sam nie zdoła oczyścić się z zarzutów? Nie tylko straci pracę, lecz także zakończy swoją karierę. Znow próbowała się do niego dodzwonić, ale na próżno. Nie mogła już zasnąć - wstała więc i przygotowała sobie ciepły napój, którego nie zdołała jednak wypić, tak niedobrze było jej ze zdenerwowania.

Po ósmej zadzwoniła do kliniki, żeby dowiedzieć się, co z Ronnie. Rozmawiała z położną z Jamajki, która właśnie skończyła dyżur. Powiedziała, że z pacjentką nic złego się nie działo i przed dwoma minutami wezwała taksówkę i odjechała. Ruby natychmiast zadzwoniła do mamy na komórkę:

- Jak to, jedziesz do domu? Sama? Mówiłam, że po ciebie przyjadę.

- Pamiętam, kochanie, ale czuję się dobrze i nie chciałam sprawiać ci kłopotu. Spóźniłabyś się do pracy, a wiem, ile masz roboty przed świętami.

Ruby obiecała, że niedługo zadzwoni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- To miło, ale nie martw się. Tata wraca z Monachium w porze obiadu.

KIEDY CHANEL SPYTAŁA, co się stało, Ruby zbyła ją, oznajmiając, że źle spała i boli ją głowa - co zresztą było prawdą. Nie miała ochoty mówić nic więcej ani Chanel, ani nawet Fi, przynajmniej dopóki nie porozmawia z Samem. Nie chciała być nielojalna.

Około jedenastej Fi zadzwoniła, pytając, czy przyjaciółka wybierze się z nią na lunch. Ruby zgodziła się, a Chanel obiecała, że zajmie się sklepem. Poszły do Carluccio i zamówiły pożywne jedzenie - parującą minnestrone, w której maczały obficie posmarowane masłem kawałki ciabatty

- Ruby - zaczęła cichym głosem Fi, wprawiając w ruch jarzyny w zupie - jest powód, dla którego chciałam się z tobą zobaczyć.

- Brzmi to groźnie - uniosła brwi. - Mów.

- Wiesz, jak strasznie cię lubię i za nic nie chciałabym cię urazić.

Ruby uniosła rękę z ciabattą i wykonała zamaszysty gest.

- A niech to. Co za podniosły wstęp!

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale od paru dni nie mogę spać, bo zastanawiam się, czy mam ci powiedzieć, i wreszcie zdecydowałam, że jednak muszę.

- Powiedzieć? O czym?

- Chodzi o Sama.

- Tak? A co się stało?

- Właściwie niezupełnie o Sama, tylko że...

- Fi, wyrzućże to wreszcie z siebie. Wal!

- No dobrze - przyjaciółka zacisnęła palce na łyżce. - Dowiedziałam się, że Buddy nie miał zawału, wcale nie jest chory. Co więcej, cały ostatni miesiąc spędził z Irene w Boca Raton!

- Co ty wygadujesz? Oczywiście, że miał zawał, jest cały czas w Nowym Jorku, a Sam pilnuje, by doszedł do zdrowia.

- Sam może jest w Nowym Jorku, ale nie z Buddym i Irene. Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej pocztówkę i podała ją Ruby.

Ta przyjrzała się widoczkowi plaży z palmami w tle i odwróciła kartkę. Tekst był krótki: „Mamy cudowne wakacje. Wygrzewamy stare kości na słońcu, po Nowym Roku wracamy do NY. Do zobaczenia, uściski, Irene i Buddy”.

- Nie wiem, co się naprawdę dzieje, ale wygląda na to, że Sam cię okłamał - powiedziała łagodnym głosem Fi.

- Okłamał? - To przypuszczenie wydało się Ruby nieprawdopodobne. - To niemożliwe, ktoś musiał się pomylić.

- Niestety. Zadzwoiłam do Irene i upewniłam się: Buddy jest zupełnie zdrowy.

- Nie rozumiem, nie mogę tego pojąć. Co się w takim razie dzieje? - serce Ruby waliło mocno pod wpływem strachu i zdenerwowania. - Jak on mógł tak skłamać? Powiedzieć, że ktoś jest umierający... To ohydne, nie wierzę, by zdolny był do takiego świństwa!

Fi milczała.

- No bo co to znaczy? Ze Sam kogoś ma? - Ruby przypomniała sobie o Kimberley przyjaciółce Sama, którą spotkali w Kew. Może ma z nią romans? Zaszyli się gdzieś w Nowym Jorku. Niemożliwe, chociaż kto wie? Prawdopodobnie zbyt pochopnie oceniła sytuację.

- Będziesz musiała go zapytać - oświadczyła Fi.

Ruby potrząsnęła głową i poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Nie wiem, co robić. Tego już za wiele!

- Za wiele? Co to znaczy? Czy jeszcze coś się stało?

Ruby doszła do wniosku, że nadszedł czas, by wyjawić przyjaciółce, jakiego odkrycia dokonała poprzedniego wieczoru. Opowiedziała wszystko Fi, a ta słuchała spokojnie o podpisie Sama na liście.

- Gdybyś zapytała mnie pół godziny temu, powiedziałabym ci, że Sam jest jednym z najbardziej godnych zaufania, honorowych ludzi, jakich znam. To jeden z powodów, dla których go kocham. Teraz sama nie wiem, co myśleć.

Po obiedzie objęły się na pożegnanie.

- Tak mi głupio, że musiałam ci o tym powiedzieć - przepraszała Fi - ale nie mogłabym spać, gdybym ukryła przed tobą prawdę.

- Dobrze zrobiłaś. Na twoim miejscu zachowałabym się tak samo.

- I dasz mi znać, jak rozmówisz się z Samem?

- Obiecuję.

Uścisnęła Fi po raz ostatni. Potem ruszyły w przeciwnych kierunkach. Mimo że panowało przenikliwe zimno i zaczynało padać, Ruby szła powoli, a po twarzy ciekły jej łzy. Dotarła do sklepu i po raz pierwszy od jego założenia ucieszyła się, że w środku nie było klientów. Usiadła ciężko na jednym z krzeseł i opowiedziała Chanel, co się stało.

- Myślałam, że dobrze go znam - mówiła, na próżno powstrzymując płacz. - Nie mogę uwierzyć, że tak nakłamał o chorobie Buddy'ego.

Chanel była jak zwykle rzeczowa i dobrej myśli.

- Wiem, że to źle wygląda, ale poczekaj: najpierw z nim porozmawiaj, może potrafi jakoś to wszystko wyjaśnić. Nie odbieraj mu z góry tej możliwości.

Ruby przyznała jej rację, ale nie mogła odpędzić od siebie uporczywie powracających słów: „tonący” i „brzytwa”.

WIECZOREM ZNÓW próbowała dodzwonić się do Sama. Kiedy okazało się, że na próżno, zatelefonowała do Hannah. Musiała powiedzieć jej, co zaszło.

Kiedy Ruby wyjaśniła, w jaki sposób weszła w posiadanie listy, dziewczynie zapało dech:

- Jasny gwint, ależ ty jesteś odważna! W życiu nie byłabym zdolna do czegoś takiego! Umarłabym ze strachu! I co teraz zrobimy? Ze względu na Alfiego wolałabym nie mieszać we wszystko prasy.

- Wiem. Musimy być bardzo ostrożne i dobrze zastanowić się, jaki będzie nasz następny krok - powiedziała Ruby i dodała, że potrzebuje kilku dni do namysłu. Grała w ten sposób na czas, ponieważ, stosując się do sugestii Chanel, chciała poczekać z podjęciem decyzji, dopóki nie porozmawia z Samem.

- Hannah, zanim skończymy, chciałam cię jeszcze zapytać o parę szczegółów na temat narodzin Alfiego.

- Oczywiście, pytaj.

- Miałaś nieplanowaną cesarkę, tak?

- Zgadza się.

- Przeprowadził ją doktor Hardacre?

- Nie. Był na urlopie, zastępował go ktoś inny. - Kto?

- Nie wiem. Zrobiło się duże zamieszanie, bo straciłam mnóstwo krwi. Pamiętam tylko, jak wieźli mnie na chirurgię i jak dostałam znieczulenie.

- A później? Kiedy leżałaś w szpitalu, który lekarz się tobą opiekował?

Nie wiedziała, jak się nazywa.

- Taki młody. Ze Stanów, przystojny, o ile dobrze pamiętam.

- Miał na nazwisko Epstein?

- Możliwe, naprawdę sobie nie przypominę.

RUBY SKONTAKTOWAŁA SIĘ z Samem dopiero nad ranem. Wy tłumaczył, że nie oddzwonił, bo był poza zasięgiem i dopiero przed chwilą odebrał jej wiadomości.

- Przepraszam, że nie odezwałem się wcześniej. Teraz też nie mogę rozmawiać, bo samolot startuje. Mówiłaś, że to coś pilnego... Może poczekać, aż się zobaczymy?

- Dobrze - tak długo czekała, by wreszcie z nim porozmawiać, że kilka godzin nie robi jej różnicy

- Ruby, mam wrażenie, że jesteś w złym nastroju. Czy wszystko w porządku?

- Pogadamy, jak wrócisz.

Zdołała jeszcze życzyć mu szczęśliwej podróży, a po zakończeniu rozmowy poszła z powrotem do łóżka. Znowu nie mogła jednak zasnąć. Po siódmej zdecydowała, że wstanie i weźmie prysznic. Wyszła z sypialni, kiedy zadzwonił domofon. Otworzyła drzwi ubrana w zniszczony, brudnoróżowy szlafrok. W drzwiach stał Sam, uśmiechając się olśniewająco. Przyniósł croissanty z francuskiej piekarni na rogu i z miejsca wziął ją w ramiona.

- Kurczę, ależ się stęskniłem!

- Ja też - powiedziała, świadoma, że jej głos brzmi wyjątkowo zimno, do tego wcale nie objęła go.

- Coś się stało? Zachowujesz się dziwnie. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, twój głos też był taki oschły.

- Zrobię kawy.

Wtoczył walizkę do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Ruby, porozmawiaj ze mną, bo się zdenerwuję. Zrobiłem coś nie tak?

Nalała wody do czajnika.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- To może od początku.

Włączyła przycisk czajnika i podała Samowi wykradzioną listę.

- Przyjrzyj się temu. - Co to? - Przeczytaj.

Widać było, że lot trochę go oszołomił i przez to nie bardzo kojarzył:

- No dobra, to taka lista, którą podpisują lekarze w St. Luke po przyjęciu porodu. Skąd ją masz?

- Zaraz ci opowiem. Nie wydaje ci się dziwna? Zastanowił się.

- Niektóre nazwiska są w nawiasach, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Wyobraź sobie, że są to nazwiska biologicznych matek. Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Tylko że to bez sensu - po co w szpitalu miałoby przechowywać taką listę, jeszcze ktoś ją znajdzie i co wtedy?

- Znajdzie albo ukradnie...

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ty to ukradłaś?

- Tak. Było w rzeczach McNulty.

- Od Jill? A co ona ma z tym wspólnego? Jak mogłaś tak ryzykować? A gdyby cię przyłapali...

- Nie gdyby, tylko mnie złapali.

- A niech to szlag! I co?

Opowiedziała o związku Jill z Tomem Hardacre'em - osobistym i zawodowym - i jak nadeszli, gdy wychodziła z magazynu.

- Czyli miałaś rację. Hardacre jest winny. Wskazała ponownie na listę.

- Spójrz na rubrykę, w której podpisują się lekarze. Widzisz?

- Czeka, czeka. Tu jest moje nazwisko. Przy porodzie Hannah Morgan.

- Przyjmowałaś ten poród?

- Nie - odparł podniesionym głosem.

- Tom Hardacre twierdzi coś przeciwnego.

- Mam to gdzieś. Ten drań kłamie.

- Mówił, że nie działali sami, a ty do nich dołączyłaś. Z wściekłości wytrzeszczył oczy.

- I co, może mu uwierzyłaś?! To jakiś absurd. Tu jest rzeczywiście mój podpis, ale nie mam pojęcia, skąd się wziął. Ktoś musiał go podrobić. Jak dorwę Hardacre'a, rozniosę go na strzępy. Do jasnej cholery, cała moja kariera jest zagrożona. Przysięgam, Ruby, że w czasie porodu Hannah nawet nie byłem w szpitalu!

- Nieprawda! Urodziła tego wieczoru, kiedy wróciliśmy z Brighton i dzwonił do ciebie z kliniki, żebyś zajął się nagłym przypadkiem. Sam powiedziałeś mi to w poniedziałek. Dlaczego mnie okłamujesz?

Wziął głęboki oddech i przemówił powoli:

- Nie okłamuję. Teraz nie, tylko wtedy. Telefon wcale nie był ze szpitala i w ogóle tam nie pojechałem.

- Doprawdy? A Hannah oświadczyła, że kiedy leżała w klinice, opiekował się nią jakiś przystojny lekarz z Ameryki. To nie ty?

- Na pewno nie ja. I nie jestem tam jedynym lekarzem ze Stanów.

- Może, ale dlaczego kłamałeś w sprawie telefonu? Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

- Musiałem się z kimś zobaczyć, ta osoba miała kłopoty.

- Co za „ktoś”?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Zamrugła ze zdziwienia i zaśmiała się z niedowierzaniem: - Jak to - nie możesz?

- Nie mogę i już. Musisz mi zaufać.

- Co? Tak jak wtedy, gdy powiedziałeś, że lecisz do Nowego Jorku, bo Buddy miał zawał?

Sam pobladł.

- Skąd o tym wiesz?

Sięgnęła po leżącą na blacie pocztówkę od Irene i podała mu.

- To nie do wiary! Jak Buddy mógł być tak głupi, że nie powiedział Irene!

- Nie powiedział? O czym nie powiedział? Miał ci zapewnić alibi? Krył cię, bo wiedział, że spotykasz się z inną kobietą?

- Ruby, przysięgam na wszystko, że z nikim się nie spotykam!

- No to co robisz? Może to ma związek z tymi udawanymi ciążami?

- Nie! Oczywiście, że nie. Tylko nie mogę ci powiedzieć, po co byłem w Nowym Jorku.

- Bzdury. Na pewno chodzi o kobietę. Przyłapałam cię na gorącym uczynku - dobrze, że nie dosłownie - i nie potrafisz wymyślić żadnej bajeczki na poczekaniu.

- To nieprawda.

- Nie wypieraj się. Skoro cię przejrzałam, może byś przynajmniej łaskawie powiedział, kto to jest? Kimberley?

Wzdrygnął się, jak gdyby go uraziła. Wzięła tę reakcję za przyznanie się do winy.

- Nie mam romansu z Kimberley - odpowiedział łagodnie. - W Nowym Jorku musiałem załatwić bardzo ważną sprawę, ale na razie nie wolno mi o tym mówić.

- To powiedz przynajmniej, jaką sprawę, mniej więcej.

- Ważną. Wystarczy?

- Nie, do jasnej cholery, nie wystarczy - wrzasnęła. - Jeśli się z nikim tam nie gziłeś, to po co w ogóle pojechałeś? - Usłyszała, że woda się zagotowała, a czajnik wyłączył.

Zamiast odpowiedzieć, tarł ręką oczy.

- Nie mogę ci nic więcej wyjawić. Przepraszam, zrozumi, naprawdę nie mogę. - Próbował ją objąć, ale go odepchnęła. - Musisz mi uwierzyć, to dla mnie okropne, że nie mogę ci niczego wytłumaczyć, ale na razie po prostu mi zaufaj.

- Zaufać ci? Nie rozśmieszaj mnie. Jak mam ci ufać, kiedy ciągle kłamiesz? Powiedziałeś, że Buddy jest umierający. To podłe, tak się nie robi! Nie do wiary, że on też jest w to wmieszany! Taki mi się wydawał w porządku, taki sympatyczny. A co do ciebie - kochałam cię. Nadal cię Kocham! - Rozpląkała się.

Sam próbował otrzeć jej łzy, spływające po policzkach, ale znowu go odepchnęła.

- Ja też cię Kocham. Nawet nie wyobrazasz sobie, jak bardzo!

- Jak się kogoś Kocha, to się mu ufa, a ja tobie nie mogę. Oszukałeś mnie. Skłamałeś na temat Nowego Jorku. Jedyne możliwe wytłumaczenie, jeśli mnie nie zdradzasz, jest to, że twój wyjazd miał związek z aferą surogatek, a tutaj widzę twój podpis - zamachała mu kartką przed oczami.

- Ruby, przysięgam na Boga, że nie wiem, skąd on się tam wziął.

- Przykro mi, Sam - powiedziała - ale po prostu ci nie wierzę. Teraz lepiej już idź. - Zdziwiło ją własne opanowanie i spokój, z jakim wypowiedziała te słowa.

Sam po prostu stał przed nią, a twarz wykrzywił mu ból. - I myślę, że nie masz po co wracać. - Otarła łzy rękawem. Skinął głową.

- Masz rację. Tak będzie najlepiej.

Zdziwiła się, że nie zaprotestował, nie walczył, nie błagał, żeby mu wybaczyła. Po prostu sobie poszedł, a przecież jeszcze przed chwilą zapewniał, że ją Kocha. Gdyby ją Kochał, nie zostawiłby jej tak po prostu.

Po wyjściu Sama Ruby rzuciła się na łóżko, zwinęła w kłębek i rozpląkała, aż nadszedł czas, kiedy musiała jakoś zwlec się i pojechać do pracy. Przepęłniały ją różne emocje: od niedowierzania po obrzydzenie. Już wizja Sama kłamczucha wydawała jej się dostatecznie przerażająca, a cóż dopiero mówić o Samie kanalii, dorabiającym po godzinach

wyszukiwaniem debilnym gwiazdkom zastępczych brzuchów do noszenia dzieci, aby mogły zachować figurę. Od tej myśli zrobiło jej się niedobrze.

PRZEZ KILKA kolejnych dni Ruby próbowała dojść do siebie. Gdyby nie determinacja i wsparcie, jakie okazywały jej Chanel i Fi, rozkleiłaby się kompletnie. Rozmawiały z nią godzinami, zachęcając, by za pomocą płaczu i wściekłości uporała się z ciosem, jaki ją spotkał. Fi nawet przyniosła przyjaciółce do sklepu własnoręcznie przyrządzone lasagne, by ją podtrzymać nie tylko na duchu. Zaproponowała też, że zadzwoni do Buddy'ego i Irene, aby wybadać ich, czy wiedzą coś więcej o Samie, ale Ruby odwiodła ją od tego pomysłu, oświadczając, że będą musieli zachować się lojalnie wobec bratanka, co tylko pogorszy sytuację.

Fi nalegała, by przyjaciółka zaglądała do niej w porze kolacji. Szykowała dla niej rozmaite zapiekanki i makarony, a Saul zawsze dbał, by jej kieliszek nigdy nie stał za długo pusty, po czym odwoził ją do domu.

Pewnego wieczoru, gdy we trójkę siedzieli przy stole, obudził się Ben i zszedł na dół. Wdrapał się na kolana matki i słuchał, jak dorośli roztrząsali zachowanie Sama.

- Ha! - oznajmił w pewnej chwili. - Ja siam nie cię być jak Siam.

- Całe szczęście, skarbeczku - odpowiedziała Ruby, śmiejąc się gorzko.

Z pogróżek Toma Hardacre'a wywnioskowała, że on i Jill podejmą pracę, jakby nic się nie stało, i będą czekać, aż Ruby zrezygnuje i porzuci całą sprawę ze względu na brak dowodów. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, zadzwoniła do kliniki, gdzie ku ogromnemu zdziwieniu dowiedziała się, że oboje przebywają na urlopie bezpłatnym. To przekonało ją, że może jednak wystarczająco zalazła im za skórę. Kiedy spytała recepcjonistkę, czy Sam wciąż pracuje w St. Luke, otrzymała odpowiedź, że tak. Widocznie z jakiegoś powodu postanowił nie rezygnować ze stanowiska.

Gorączkowe przygotowania poprzedzające Tydzień Gwatemali także okazały się niezłym antidotum na zmartwienia Ruby. Gdy od otwarcia dzielił ich tylko jeden dzień, wraz z Chanel i Fi pracowała w sklepie aż do jedenastej. Wcześniej Craig, który z tej okazji zrobił sobie dzień wolnego, przez długie godziny stał na zimnie i rozdawał ulotki. Być może takie zagranie degradowało butik w oczach klientek, lecz Ruby było wszystko jedno. Wieczorem Craig rozwiesił na ścianach kolorowe materiały, światełka i świąteczne maski Majów w jaskrawych kolorach. Następnie skoczył po pizzę i piwo.

Na gwatemalskie ubranka kobiety postanowiły przeznaczyć aż trzy stojaki. Na półkach poukładały laleczki pocieszycielki, aniołki z koralików, mikołaje i ręcznie rzeźbione szopki. Na koniec Ruby zawiesiła wielki, czarno - biały plakat przedstawiający bezdomne dzieci:

- Żeby przypomnieć ludziom, po co cały ten kiermasz.

Już miały wychodzić, kiedy Craig zauważył, że lampki zaczęły migotać i poszedł je naprawić. Przyjaciółki zostały same i rozpoczęły rozmowę.

- Od Sama ani słowa? - zgadywała Fi. Ruby potrząsnęła przecząco głową.

- Za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, wydaje mi się, że to on, żeby pogadać.

- O czym tu gadać? - oburzyła się Chanel. - Ten gość to oszust i kłamca. Koniec pieśni. Masz, dziewczyno, szczęście, że tylko na tym się skończyło.

- Nie mogę sobie wybaczyć - ciągnęła Ruby - że tak się co do niego pomyliłam. Wydawało mi się, że naprawdę znam się na ludziach... Uwierzyłybyście, po tym, jak wyszłam na taką idiotkę?

Fi otoczyła przyjaciółkę ramieniem.

- Nie zdręczaj się, wszystkie dałyśmy się nabrać. Był miły i sprawiał wrażenie porządnego faceta. Wciąż trudno mi uwierzyć, że okazał się takim draniem. Aż mnie dreszcz przechodzi.

- Z ust mi to wyjął - powiedziała Chanel. - Ruby, dobrze, że już go spuściłaś po brzytwie.

- Niby prawda, ale naprawdę go kochałam i nie potrafię tak po prostu przestać.

W SOBOTĘ RANO, godzinę przed otwarciem, Ronnie i Phil pojawili się w sklepie obładowani gwatemalskimi przysmakami. Przywieźli specjalne pączki i borrachos - ciastka nasączone rumem, do tego pełno tamales z kurczakiem i litry tamtejszego ponczu.

- Mamo! Jesteś niemożliwa! Mówiłaś, że zrobisz coś na ząb, ale nie musiałaś przygotowywać aż tyle jedzenia... Zajęło ci to pewnie cały tydzień!

- Wiesz, jak lubię gotować - wymigała się Ronnie. - A poza tym chętnie udzielam się w słusznej sprawie.

Ruby zdecydowała, że na razie nie opowie jej o zerwaniu. Tylko by się zdenerwowała, a kilka tygodni przed rozwiązaniem naprawdę miała czym sobie zaprztać głowę. Ciocia Sylvia pojawiła się parę minut po rodzicach. Podjęła się rozdawania dzieciom soczków i pierników. Wciąż wyglądała smutno, ale przynajmniej bardzo o siebie zadbała - miała pełny makijaż, a na sobie zamszową, oliwkową spódnicę do pół łydki oraz kaszmirowy sweterek - widać było, że jakoś powoli stara się pozbierać. - I co, wyjaśniła się sprawa z Nigelem? - spytała Ruby.

- Tak jakby, później ci opowiem.

Ruby spodziewała się, że przyjdzie sporo ludzi, jednak tłok, jaki zapanował w sklepie po przybyciu gości, przerósł jej najśmielsze oczekiwania. Od jedenastej wciąż przybywało

klientów, najwidoczniej ulotki okazały się świetną reklamą. Choć już podziękowała wylewnie Craigowi za pomoc, zanotowała w myśli, by kupić mu jeszcze dużą butelkę wyśmienitej whisky.

Jedzenie, które przygotowała Ronnie, znikало w mig. Najszybciej zabrakło ponczu. Eleganckie mamusie rozkręciły się i wydawały pieniądze garściami, a gwatemalskie ubranka i zabawki po prostu znikwały z półek.

Ruby poczuła się nieco rozczarowana, nie widząc żadnych znanych twarzy, choć nie liczyła specjalnie na to, że pojawi się wiele zaproszonych sław. Wiedziała, że nie lubią mieszać się z tłumem, a poza tym było tuż przed świętami i większość z nich pewnie i tak wyjechała z Londynu na ferie do Mustique czy gdzieś indziej.

Jako że ludzi wciąż przybywało, robiło się coraz głośniejsze. Do tego z odtwarzacza płynęła muzyka latynoska, mamy trajkotały, niemowlęta płakały, a starsze dzieciaki piszczały, ganiając się po sklepie. Udało im się rozlać poncz i świsnąć niejedną figurkę z szopki.

Zamieszanie wciąż rosło, kiedy przybyła Fi z Saulem i dziećmi.

- Powiedz, co mamy robić? - spytała, wchodząc.

Ruby poprosiła ją, żeby pomogła Chanel za ladą, a Saul z całą grupą dzieci, w tym z Benem i słodko śpiącym Connorem, zaszył się w kąciku zabaw.

Tuż po dwunastej przyszedł Iwan, który wreszcie skończył kłaść kafelki na podłodze w kuchni. Jako że minęli się wczoraj wieczorem, ponieważ Ruby siedziała do późna w sklepie, poprosiła go, by wpadł następnego dnia po zapłatę - Iwan pracował tylko za gotówkę. Ostatnio miewał się lepiej, ale tego dnia wyjątkowo szybko tracił dech i raz po raz masował sobie klatkę piersiową. W tak złym stanie jeszcze go nie widziała.

- Iwan, czy boli pana w piersiach? - spytała, podając mu kilka pięćdziesięciofuntowych banknotów.

- To nic, to nic. Musiałem ciągnąć mięśnia, to wszystko.

- Na pewno? - nie przekonał jej.

- Da. Zjem ciastko i napiję ponchu, będzie mi lepiej. Poprosiła, by się częstował.

Osobą, której wcale, ale to wcale się nie spodziewała, był Nigel. Wszedł z nieco zakłopotaną miną - musiał wiedzieć, że ciocia opowiedziała rodzinie o ich starciu. Pomachał niezgrabnie do Ruby i podszedł do Sylvii, W tym momencie jakiś dzieciak dobrał się do sprzętu stereo i zaczął majstrować przy gałce regulującej głośność, wyciszając zupełnie muzykę. W rezultacie wszyscy zdołali usłyszeć wymianę zdań między zwaśnionymi kochankami.

- Mówiłam, żebyś tu nie przychodził - wyszczała Sylvia.
- Wiem, ale chciałem się z tobą zobaczyć. Musimy sobie wszystko do końca wyjaśnić.
- To nie jest ani czas, ani miejsce. Musimy z tym poczekać.
- Nie będę czekał.

Mówili coraz głośniej. Po chwili ludzie zaczęli wymieniać między sobą zakłopotane spojrzenia.

Kiedy Ruby już miała podejść do nich i poprosić o ciszę, Sylvia opanowała się i zrezygnowanie skierowała Nigela za ladę, a potem w kierunku służbowej kuchenki.

Ruby ledwie zdążyła odetchnąć z ulgą, gdy usłyszała krzyk ojca:

- O Boże, on zemdłał!

Przedarła się przez tłum i zobaczyła, że na podłodze leży Iwan, kuląc się i desperacko próbując złapać oddech.

- Rany boskie! - zawołała. Podbiegła do leżącego, otoczonego wianuszkami gapiów. W tej samej chwili dobiegły ją odgłosy kłótni z zaplecza:

- Nie powiedziałaś mi, że jesteś siedemnaście lat ode mnie starsza! - ryczał Nigel. - Jak mam się zachowywać?!

Podjąwszy błyskawicznie decyzję, że nie będzie się przejmowała tym, czy klientki zostaną świadkami awantury między ciotką a Nigelem, uklękła obok chorego, którego usta przybierały fioletowy odcień.

- Iwan, czy mnie słyszysz? - zawołała, klepiąc go po policzku. - Odezwij się.

- Jestem pielęgniarką - odezwał się jakiś głos obok Ruby. - Proszę mnie przepuścić, zobaczę, co mu jest. - Dziewczyna wstała, robiąc miejsce. Kobieta pochyliła się i zaczęła szukać pulsu na szyi Iwana.

- On ma atak serca! Niech ktoś wezwie karetkę! W tle było słychać głosy Sylwii i Nigela:

- Co za różnica, ile mam lat? - wrzeszczała ciotka.

- Żadna. Chodzi o to, że mi nie powiedziałaś. Nie rozumiesz, że będąc razem, ludzie muszą sobie ufać?

- I kto to mówi!

Nagle pielęgniarka wpadła w panikę, tak przynajmniej zdawało się Ruby.

- Nie mogę wyczuć bicia serca! - powiedziała zaniepokojona, po czym zaczęła masaż uciskowy. Co kilkadziesiąt sekund pochyliła się nad chorym, robiąc sztuczne oddychanie, i poszukiwała tętna.

- O co ci chodzi? Co dokładnie masz na myśli?

- Ty już dobrze wiesz!

Ruby wraz z rodzicami stała obok pielęgniarki.

- Czy możemy jakoś pomóc? - spytała. Pielęgniarka pokręciła przecząco głową.

- Potrzebujemy odpowiedniego sprzętu! W karetce można by spróbować przywrócić pracę serca defibrylatorem.

Oczy Ronnie rozszerzyły się nagle, upodabniając ją do muchy.

- O rany! Szybko, Phil, my mamy defibrylator! Jest w bagażniku!

Ojciec Ruby pędem wybiegł ze sklepu i za minutę był już z powrotem. Pielęgniarka niemal wyrwała mu aparat z rąk i szybko zaczęła przeglądać instrukcję.

- Co to znaczy, że czujesz się oszukany? - warknęła Sylvia do kochanka.

- Odsunąć się - rozkazała pielęgniarka. Umieściła końcówki na piersiach Iwana i wcisnęła guzik szoku. Górna część ciała uniosła się z podłogi.

- Brak reakcji. Spróbuję jeszcze raz. - Powtórzyła procedurę. Kiedy chory znów nie zareagował, powtórzyła ją po raz trzeci.

- Udało się, praca serca powraca! Rozległy się okrzyki ulgi i oklaski.

- OK - wrzasnęła ciotka - czy ty wiesz, jak ja się czułam, odkrywszy, że chodzę z mężczyzną, który lubi przebierać się za kobietę?

Na kilka sekund zapadła zdumiona cisza, po czym rozległy się stłumione chichoty. Na domiar złego Ben, stojący obok szopki, zawołał na całe gardło:

- Mamusiu, mamusiu, ja połknął małego Jezuska! Zanim Fi zdołała dobiec do syna, rozległ się inny głos:

- Czy ktoś byłby łaskaw mnie oświecić, co tu się w ogóle dzieje?

Wszyscy spojrzeli w kierunku, skąd dochodził. We drzwiach stała Stella - przypominała odziany w ciuchy od Armaniego szybkowar, który zaraz wybuchnie.

Rozdział 18

Choć Stella wyglądała, jakby ze złości miała wylecieć w powietrze, nic podobnego się nie stało. Utrata panowania nad sobą nie była w jej stylu.

Ronnie i Sylvia wzięły ją na bok, trzymając z dala od ratowników z pogotowia, którzy pojawili się wreszcie i udzielali pomocy całkowicie już przytomnemu Iwanowi. Obie kobiety próbowały wytłumaczyć jakoś Ruby.

Ciocia Sylvia bynajmniej nie czuła żadnego respektu przed Stellą i nie przebierała w słowach:

- Stello, to, co się tu dzieje, nie jest winą Ruby. To tylko kiermasz dobroczynny, choć muszę przyznać, że wymknął się spod kontroli, częściowo z mojej winy. Nie życzę sobie, byś ją sztorcowała i się na niej wyżywała, zrozumiano?

Stella zmierzyła ją wzrokiem.

- Sylvia, tyle czasu cię nie widziałam. Nie chodzisz już na spotkania Weight Watchers, to widać na pierwszy rzut oka. - Następnie z takim samym jadem zabrała się za Ronnie: - Ruby wspominała, że zaszłaś w ciążę. Czy to nie ryzykowne w twoim wieku?

- Stellusia jak zawsze czarująca - sarknęła ciotka.

Ruby interweniowała, dając jej do zrozumienia, że nie poprawia sytuacji, a Ronnie poradziła, by lepiej poszła do domu.

Kiedy sklep opustoszał, współpracowniczka zabrała się za Ruby, patrząc na nią jak na restauracyjną sałatkę, którą dostała, choć nie zamawiała. Ani razu nie podniosła głosu, nie czyniła też żadnych wymówek. Kiedy Ruby podjęła desperacką próbę przeproszenia jej, uciszyła ją, podnosząc rękę.

- Niewiele mam do powiedzenia. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie rozczarował. To, co zobaczyłam dziś, to jakaś orgia, jakieś pobjowisko. Nie interesują mnie twoje tłumaczenia. Skończyłam z Les Sprogs.

- Co takiego? Popelniłam jeden jedyny błąd, a ty z miejsca się wycofujesz? Stella, nie rób tego. Porozmawiajmy poważnie, napijmy się kawy i omówmy wszystko na spokojnie.

- Za późno. Już podjęłam decyzję..

- A co ze mną? - głos Ruby wznosił się niewiele ponad szept.

- To nie moja sprawa. Możesz mnie spłacić albo „do widzenia” - powiedziała, odwracając się w kierunku wyjścia.

- Stella, masz przecież dziewięćdziesiąt procent udziałów. Skąd mam wziąć tyle pieniędzy?

- Nie mam pojęcia.

- Proszę. Nie możesz tak po prostu wyjść. Pozwól mi przynajmniej się wytłumaczyć.

- Co tu tłumaczyć? Urządziłaś jakiś tani bazar za moimi plecami i uraczyłaś wszystkich sceną jak z kiepskiego serialu.

- Próbowałam kontaktować się z tobą, by zapytać o zgodę na zorganizowanie Tygodnia Gwatemali, ale wyjechałaś na urlop. Myślałam, że pogniewasz się, jeżeli ci przeszkodzę.

- Tydzień Gwatemali? Co ty sobie myślisz?! Miałas prowadzić interes, a nie urządzać za moje pieniądze imprezy charytatywne na rzecz mieszkańców trzeciego świata!

- Interes - tak, ale odpowiedzialny i z sercem, zwłaszcza przed Bożym Narodzeniem!

Słowa te Stella puściła mimo uszu.

- Przyślę mojego prawnika. - To mówiąc, obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi.

- Stella, proszę... - ale już jej nie było.

Ruby schyliła się i podniosła pusty kartonik po soku, pozostawiony przez jakieś dziecko. Straciła Sama, a teraz traci pracę. Zgniotła mocno pudełko w dłoni i poczuła łzy napływające do oczu.

Powlokła się do kuchni i postawiła wodę na herbatę. Czekając, aż się zagotuje, zadzwoniła do szpitala, aby dowiedzieć się, co z Iwanem. Całe wieki trwało znalezienie kogoś, kto mógł udzielić jej odpowiedzi. Gdy w końcu złapała dyżurną pielęgniarkę, ta nie chciała jej powiedzieć, jak chory się czuje, ponieważ nie jest jego krewną. Wreszcie zakomunikowała, że Iwanowi założono by - passy, ale więcej o jego stanie będzie wiadomo dopiero następnego dnia.

Ledwie odłożyła słuchawkę, przyszła Chanel, która wcześniej ulotniła się wraz z klientami, by pozwolić Ruby i Stelli porozmawiać w spokoju. Wróciła, wioząc w wózku śpiącego Alfiego. Ruby zbyt mocno była pochłonięta własnymi problemami, by spytać, co się stało z Hannah i dlaczego mały znajduje się pod opieką Chanel.

- I co powiedziała Stella?

Ruby udzieliła jej wyczerpującej odpowiedzi.

- Co za zołza - wymruczała Chanel.

- Pójdę do mojego banku i spytam, czy dadzą mi kredyt, ale jestem pewna, że nie wypłacą mi całej kwoty. Jednak nie poddam się bez walki. Nie po tym, jak tak ciężko pracowałam, by postawić sklep na nogi. Muszę skądś wytrzasnąć te pieniądze, kłopot w tym, że na razie nie mam bladego pojęcia skąd.

- Witaj w klubie - powiedziała Chanel, która, jak się okazało, także ma dylemat.

Wyjaśniła, że po wyjściu ze sklepu wpadła na Hannah, która z Alfiem zmierzała na kiermasz. Poszły na kawę, a dziewczyna wybuchnęła płaczem, mówiąc, że jest wykończona i nie daje sobie już rady z Alfiem. Błagała Chanel, by wzięła malucha na tydzień lub dwa do siebie.

- I popatrz na niego - tak sobie śpi jak niewiniątko - zachwycała się Chanel. - Jak mogłam odmówić?

- Ale co teraz zrobisz? Może powinnaś kogoś powiadomić, jakąś instytucję?

- Niby po co? Hannah ma prawo poprosić koleżankę, by przez parę dni zajęła się jej dzieckiem, zresztą ja chętnie się tego podejmę.

- A nie przyszło ci na myśl, że to może potrwać znacznie dłużej niż kilka dni? Co zrobisz, jak powie, żebyś go sobie zatrzymała?

Chanel pogłaskała Alfiego po główce.

- Myślał indyk o niedzieli. Poczekam, aż sobie dziewczyna odpocznie, i wtedy zobaczymy, co dalej.

DORADCA W BANKU powiedział Ruby, że może dostać pożyczkę na pokrycie połowy sumy, jakiej potrzebuje, by spłacić współniczkę. To znaczyło, że musiała jeszcze zdobyć w jakiś sposób dwieście tysięcy funtów. Rodzice natychmiast zaproponowali, że zaciągną hipotekę, lecz choć Ruby była im ogromnie wdzięczna, nie zgodziła się, by ryzykowali utratę własnego domu. Chanel i Ruby zgodnie twierdziły, że jakoś forszę się załatwi, choć była pewna, że do tego potrzeba cudu.

Od dnia, w którym odbył się kiermasz, Chanel przyprawiała codziennie na kilka godzin do pracy Alfiego. Przez większość czasu spał, a kiedy się budził, Chanel poświęcała mu całą swoją miłość i uwagę. Pieściła go, bawiła, całowała po brzuszku, a do tego chwaliła się nim przed klientkami. Widać było, jak świetną byłaby matką.

- Zakochałaś się w nim na amen, prawda? - pytała Ruby. - Nie ja jedna - odparła, spoglądając na śpiące dziecko. -

Craig też.

- Rozmawiałaś z Hannah? Chanel przytaknęła.

- Wczoraj wieczorem gadałyśmy przez telefon całe dwie godziny. Kocha go prawie jak własne dziecko, ale miałaś rację - nie jest pewna, czy może go przyjąć z powrotem.

- To co zrobisz?

- Dam jej trochę czasu na zastanowienie. Przynajmniej do świąt.

- A jeżeli nadal nie będzie chciała się nim zająć?

- Trzeba będzie dać znać opiece społecznej. - I co się z nim wtedy stanie?

Dotknęła policzka dziecka.

- Kiedy władze dowiedzą się, że prawdziwą matką jest Claudia Planchette, spróbują go jej oddać. Chcę wierzyć, że to dla niego najlepsze.

- Wzięlibyście go, ty i Craig, gdyby to było możliwe?

- Myślisz o adopcji? - zapytała Chanel, a Ruby przytaknęła. - Z miejsca, tu i teraz.

CODZIENNIE W PORZE LUNCHU Chanel wracała z Alfiem do domu, a na jej miejsce przychodziła Fi. Była ogromnie wdzięczna za to zajęcie. Saul wciąż był bez pracy i bardzo zależało jej, by przed świętami zarobić parę groszy. Poza tym przebywając w sklepie, odpoczywała od matki. Bridget zjechała na swą coroczną bożonarodzeniową wizytę i od chwili, gdy się pojawiła, nie dawała nikomu spokoju.

- Saul i mama nie odzywają się do siebie, odkąd podsłuchała, jak mówił przez telefon do któregoś z kumpli, że opuszcza mnie ze względu na inną kobietę - moją matkę. Jedynym światelkiem w tunelu jest to, że Saul ma jeszcze przed świętami kilka przesłuchań. Bank i urząd skarbowy siedzą nam na karku. Modlę się, żeby jakimś cudem coś nam jeszcze wpadło przed świętami.

RUBY, KIEDY BYŁA zajęta pracą, nie miała czasu na myślenie o Samie. Dopiero wieczorem, gdy wracała do domu i otwierała butelkę wina, dawała ujście tłumionym wcześniej emocjom. Rzecz w tym, że mimo wszystkich jego przewinień nie była w stanie przestać go kochać. Z tego powodu, jak również na skutek przeświadczenia, że straciła go na zawsze, noc w noc płakała w poduszkę.

Każdego poranka, kilka sekund po przebudzeniu docierało do niej, że Sam zniknął z jej życia. Konstatacja tego faktu była za każdym razem jak uderzenie piłką w głowę. Od czasu do czasu przymierzała się do tego, by do niego zadzwonić, ale przecież nie miałyby to żadnego sensu.

Humor trochę jej się poprawił, kiedy przekonała się, że dochód z Tygodnia Gwatemali wyniósł prawie dziesięć tysięcy funtów, które mogła przekazać na bezdomne dzieci. Niektóre zaproszone gwiazdy ekranu, choć nie mogły stawić się osobiście, złożyły na ten cel hojne datki.

Poza tym okazało się, że jedna z klientek Ruby przyjaźni się z dziennikarką z „Evening Standard” i wspomniała jej o dobroczynnym sukcesie Ruby. Następnego dnia do sklepu zadzwonił redaktor z działu wydarzeń, oznajmiając, że planują całostronicowy artykuł o Les Sprogs. Usłyszawszy to, Ruby natychmiast zadzwoniła do Stelli, w nadziei że ta po usłyszeniu dobrych wiadomości zmieni zdanie co do dalszych losów Les Sprogs. Niestety, nic nie było w stanie odwieść jej od raz podjętej decyzji, a jedyne warte zapamiętania słowa, jakie wypowiedziała, brzmiały: „Czy skontaktował się z tobą mój prawnik?”.

Odłożywszy słuchawkę, Ruby zwróciła się do Chanel:

- Nie ustąpi.

- Daj spokój, nie pozwól tej zarazie sobą pomiatać. Coś wymyślimy. Pogadam z Craigiem, niektórzy z jego klientów są dziani, może uda mu się wyciągnąć od nich parę grubszych, nigdy nic nie wiadomo.

- Co prawda, to prawda - uśmiechnęła się.

CHANEL I FI uparli się, by przed świętami Ruby wzięła wolny weekend.

- Obie załatwiłyśmy opiekę nad dziećmi, zmykaj więc do domu i odpocznij.

Ruby zarzekała się, że nie chce, lecz niezbyt przekonująco. Nie miała zamiaru odpoczywać - święta już za parę dni, a ona nie kupiła jeszcze żadnych prezentów.

W sobotę rano, tuż po przebudzeniu, czekała na znajomą falę przygnębienia. Popłakała sobie jak zwykle przez parę minut, po czym zwlokła się z łóżka, założyła szlafrok i poszła do kuchni, by zaparzyć mocną kawę.

Popijała ją małymi łykami, myśląc o aferze matek surogatek. Co robić? Będąc w posiadaniu zeznań Hannah, listy pacjentek, które skorzystały z pomocy matek zastępczych, oraz dysponując własną opowieścią o tym, jak Hardacre próbował ją przekupić, miała dość materiałów, by udać się do gazet. Co ją powstrzymywało? Zdała sobie sprawę z tego, że chodzi tu o lojalność wobec Sama. Chociaż miała dowody na jego udział w sprawie, nie chciała w to wierzyć. Kolejna kwestia - co się stanie, jeżeli afery ujrzy światło dzienne? Reputacja St. Luke padnie na zawsze. Mimo furii, jaka targnęła Ruby na myśl o procederze, który się tam odbywał, nie chciała być odpowiedzialna za zniszczenie dobrego imienia całego szpitala - placówki o światowej sławie. Kiedy wieść o przekrętach się rozniesie, trudno będzie przekonać opinię publiczną, że nie każda osoba z personelu medycznego była zamieszana w skandal.

Jednak, tak jak powiedziała Hannah, jeśli sprawa o niewypłacenie odszkodowania trafi do sądu, i tak pojawią się przecieki. Nawet jeżeli dziewczyna zrezygnuje z dochodzenia sprawiedliwości tą drogą, prawdziwa tożsamość Alfiego wyjdzie na jaw, z chwilą gdy Chanel

zdecyduje się powiadomić opiekę społeczną. Pewnie nie minie dużo czasu, aż jakiś sprytny, chcący sobie dorobić urzędas na własną rękę sprzeda aferę mediom.

Co się wtedy stanie? Hannah padnie ofiarą plotkarskich brukowców. Prawdopodobnie przemilczą, że podjęła się noszenia cudzej ciąży, chcąc mieć z czego zapłacić za studia. Zaczną się na niej wyżywać, twierdząc, że zrobiła to dla kasy i nie nadaje się na matkę bliźniaczek. Do końca życia ludzie będą ją wytykać palcami. Jednocześnie Claudia zmuszona będzie uznać Alfiego, aby ratować karierę i nie utracić fanek. Ruby zadrżała na myśl, jakie życie czeka go u boku takiej mamusi. Choć miała ogromną ochotę zdemaskować Jill, Hardacre'a i Claudię, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że będzie lepiej, jeżeli cała historia nie wyjdzie na światło dzienne.

Odstawiając pusty kubek, postanowiła zatelefonować do Hannah i sprawdzić, jak ona się miewa.

- Pomyślisz, że jestem potworem, jeśli nie wezmę Alfiego z powrotem? - głos dziewczyny zdradzał ogromne zmieszanie.

- Nie - w tle Ruby usłyszała płacz bliźniaczek. - Pomyślę, że jesteś zagonioną mamą samotnie wychowującą dwoje małych dzieci i że podejmujesz właściwą decyzję.

- Byłam kompletną idiotką, że dałam się wmieszać w ten skandal. Do tego jak głupia myślałam, że pomagam Claudii, ponieważ ona nie może mieć więcej dzieci. Nie miałam bladego pojęcia, o co tak naprawdę chodziło. Nawiasem mówiąc, z miejsca, jak tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że ma nie po kolei w głowie.

- Daj spokój, próbowałaś jakoś zarobić na studia, nie ma w tym nic złego. Byłaś trochę naiwna i tyle.

- Trochę? To eufemizm.

- Już dobrze, powiedzmy - popełniłaś błąd. Duży błąd, przyznaję, ale musisz przestać się w kółko oskarżać.

Hannah spytała, czy Ruby ma jakiś pomysł na zdemaskowanie winnych. Sama chętnie pozostawi decyzję, jak postąpić, w jej rękach, bo nie ma ani czasu, ani energii, żeby się tym zająć. Ruby podzieliła się z nią porannymi przemyśleniami, po czym zgodziły się, by dać sobie więcej czasu i pogadać na spokojnie po świętach.

BOŻE NARODZENIE ZBLIŻAŁO się wielkimi krokami. Ruby łudziła się, że Sam może zadzwoni albo przyśle kartkę, nic takiego jednak się nie stało. Było jej przykro, ale sięgając pamięcią do chwili, w której tak łatwo się z nią rozstał, nie była zaskoczona.

Pierwszy dzień świąt spędziła z rodzicami. Ronnie, wyglądającej tak, jakby miała lada chwila pęknąć, nie wolno było nawet kiwnąć palcem. Rano Ruby i ciotka wzięły się za

przygotowanie obiadu. Phil kilka dni wcześniej przytaszczył ogromne zakupy - nabył wszystko oprócz indyka, którego, wraz z kilkoma butelkami wódki, otrzymał jako wyraz wdzięczności za uratowanie życia od Iwana. Podobny prezent otrzymała odnaleziona z trudem pielęgniarka.

Ciocia Sylvia przejęła dowodzenie w kuchni, a Ruby, której pieczeń - nie tylko świąteczna - nie wychodziła, bo nigdy nie potrafiła przypilnować czasu pieczenia, była bardzo zadowolona z funkcji podkuchennej.

- Wiesz co - zaczęła Sylvia, pocierając czubek nosa wierzchem ręki wysmarowanej nadzieniem - nie przeprosiłam jeszcze za tę okropną scenę, jaką zrobiliśmy w sklepie. Poniosło nas, przykro mi. Czuję się winna, że Stella zrezygnowała z dalszego udziału w interesie.

- Nie przejmuj się - odparła Ruby, nacinając na krzyż brukselkę. - To nie tylko wasza wina. Stelli nie spodobał się sam pomysł zorganizowania kiermaszu i to, że urządziłam go za jej plecami. - Wrzuciła jedną brukselkę do garnka z zimną wodą i sięgnęła po następną.

- A jak tam Iwan? - spytała ciotka. Ruby odpowiedziała, że rozmawiała z nim, jest już w domu i czuje się nieźle.

- Dzięki Bogu. Zastanawiałaś się, jak spłacić Stellę?

- Pewnie. Ale nadal nie wiem, jak zdobyć pieniądze. Jej prawnik naciska, bym jak najszybciej wyłożyła żadaną sumę albo zgodziła się na sprzedaż.

- Wiesz co? Mam oszczędności. Nie jest tego wiele, ale może ci się przyda?

- To bardzo miłe, dziękuję, jednak obawiam się, że to kropla w morzu potrzeb. Jeżeli z jakiegoś powodu interes nie szedłby dobrze i straciłabym sklep, nie mogłabym sobie wybaczyć, że nie mam jak cię spłacić.

Sylvia nabrała garść nadzienia i upchała je we wnętrzu ptaka. - Jest jeszcze Nigel - przypomniała. - Ma sporo kasy. - Nigel? Nie wiem, czy dobrze bym się czuła, prosząc twojego byłego o pieniądze.

- Byłego? Skąd ci przyszło do głowy, że zerwaliśmy?

- Tak jakoś?... Zdawało mi się... po tej aferze bieliźnianej.

- Pracujemy nad tym. Chodzi do terapeutki, która pomaga mu na nowo spojrzeć na relacje z ojcem, bardzo dominującym typem. W rezultacie Nigel wypracował potrzebę odrzucania męskiej części swej osobowości i podkreślania żeńskiej.

- A przestał przynajmniej przebierać się w damskie szmatki?

- Ależ skąd - Sylvia odpędziła to przypuszczenie zamaszystym machnięciem dłonią, przy czym trochę nadzienia upadło na podłogę. - Nigdy nie przestanę tego robić, ale chyba mogę z tym żyć.

- Poważnie?

- Oto cała moja siostra - szczęśliwa tylko wtedy, gdy może być czyjąś pocieszycielką i wybawicielką - wpadła im w słowo Ronnie. Przedostała się do zlewu i zaczęła nalewać wodę do czajnika.

- Wiesz co, Ronnie? Może i masz rację. Chyba naprawdę kręci mnie pomaganie mężczyznom mojego życia. Dołączyliśmy do grupy par z tym samym problemem, a Nigel uważa, że będę świetna w doradzaniu mężczyznom w kwestii ubioru i makijażu. Mówi, że powinnam założyć interes specjalizujący się w damskiej odzieży dla panów takich jak on. Nawet mam już nazwę: Dziewczyna DD. Nie myśl sobie, to skrót od „duże dłonie”, a nie rozmiar stanika.

- Właściwie to czemu nie? Skoro sprawiłoby ci to przyjemność - powiedziała Ronnie. - W końcu tylko to się liczy.

- Pewnie, że tak. A teraz was przeproszę, muszę iść na górę umyć ręce.

Kiedy wyszła, Ronnie spytała Ruby:

- A jak ty sobie radzisz, kochanie?

Nie chciała martwić mamy opowieścią, jak włamała się do magazynu w St. Luke, ani tym, co zaszło między nią a Samem. Ronnie jednak miała szósty zmysł, który bezbłędnie potrafił jej podpowiedzieć, kiedy Ruby coś przed nią ukrywała. Naciskała na nią tak długo, aż córka skapitulowała i wszystko opowiedziała.

- Zaczynam się zastanawiać, czy jest sens iść z tą historią do prasy...

- Rozumiem. Pograżyłaśbyś szpital.

- I kto wie, może by się na tobie odegrali? W końcu nosimy to samo nazwisko, jakaś wredna położna mogłaby sobie skojarzyć.

Ronnie przytaknęła.

- Jeżeli jednak zmienisz zdanie, mogę poprosić doktor Beech, żeby poród odbył się w Portland.

Ruby zgodziła się, że w razie czego tak będzie najbezpieczniej.

- Kochanie, tak strasznie mi przykro z powodu Sama. Wiem, że to, co teraz powiem, wyda ci się strasznym banałem, ale czas leczy rany.

Ruby oświadczyła, że w takim razie lepiej, żeby się pospieszył. Ronnie objęła córkę.

- Wiesz, że zawsze możesz liczyć na mnie i na tatę. Nie myśl przypadkiem, że przyjdzie na świat Sigmunda coś zmienić.

- Wiem. Kocham was - uśmiechnęła się Ruby krzepiąco.

- A my ciebie - Ronnie ucałowała córkę w czoło, a w tym samym momencie wyłączył się czajnik.

- Daj, ja zaparzę, ty odpoczywaj - powiedziała Ruby. Zrobiła zaledwie parę kroków, kiedy nagle się pośliznęła. Chciała chwycić się blatu, ale nie zdołała go dotrzeć. Rozpaczliwie próbowała złapać równowagę, była tuż tuż, ale w końcu rymsnęła jak długa do tyłu.

- Nic ci nie jest? - przestraszyła się Ronnie, unosząc się z trudem z krzesła.

Ruby na szczęście nie rozbiła sobie głowy, ale upadła tak pechowo, że stopa podwinęła się pod nią, i to pod dziwnym kątem. Poza tym cała była wysmarowana nadzieniem cebulowym.

- Nie wiem, chyba skręciłam sobie kostkę.

Ciocia Sylvia, która najlepiej z całego towarzystwa знаła się na udzielaniu pierwszej pomocy, orzekła, że noga jest zwichnięta, po czym wprawdzie ją zabandażowała. Przez resztę dnia Ruby siedziała na kanapie obok Ronnie, ze stopą na stoliku do kawy. W pewnej chwili obu zachciało się do łazienki. Phil oświadczył, że kiedy tak patrzy na nie, jak gramolą się po schodach, tworzą niezły obrazek: dwie emerytki na wycieczce w góry.

Nigel, który jadł świąteczny obiad u rodziców, przybył w porze popołudniowej herbaty. Phil, dowiedziawszy się o jego skłonności do noszenia damskiej bielizny, nie wiedział, jak mu spojrzeć w oczy. Ani parę kieliszków wyśmienitej wódki, jaką uraczył się przed obiadem, ani wypite wino wcale nie pomogły mu odzyskać animuszu.

- Czego się napijesz, Nigel? Kieliszek szampana czy dobrej herbatki? - Nigel wybrał to ostatnie. - Herbaty, a do tego miseczkę? To znaczy, mleczka, chciałem powiedzieć, mleka?

Nie była to jedyna gafa. Nieco później spytał Nigela, czy widział mecz Manchester United w zeszłym tygodniu.

- Grali jak baby, kompletna żenada.

Do tego, zanim ktoś zdołał go powstrzymać, zaczął zachwycać się jego nowym swetrem z wełny merynosów - prezentem od Sylvi.

- Świetna jakość, jaki miękki, ciepły, choć kolor trochę majtkowy.

RUBY PLANOWAŁA otworzyć sklep jak co roku, w drugim tygodniu stycznia. Klientki Les Sprogs miały w zwyczaju wyjeżdżać na święta i rzadko kiedy wracały przed piątym.

Dobrze się złożyło ze względu na kostkę, która wciąż była spuchnięta i bolała - trudno by było stać przez kilka godzin, nie mogłaby też prowadzić samochodu.

W sylwestra wezwała taksówkę i udała się w odwiedziny do Chanel i Craiga. Kilka dni wcześniej zadzwonili, oznajmiając, że planują spokojną kolację i chcieliby, aby Ruby dotrzymała im towarzystwa. Co prawda zapraszali ją też Fi i Saul, lecz oni planowali głośną imprezę, na którą mieli przybyć rodzice i chmara krewnych, i choć zapewniali, że obecność Ruby będzie jak najbardziej na miejscu, miała wątpliwości. Dostała też kilka zaproszeń na noworoczne przyjęcia, ale ze względu na kostkę i smutek po rozstaniu z Samem zupełnie nie miała ochoty na nie pójść. Zdecydowała, że najlepiej będzie spędzić sylwestrowy wieczór spokojnie, z przyjaciółmi.

Chanel i Craig wciąż opiekowali się Alfem. jako że Hannah nie była skłonna go odebrać, przymierzali się do poinformowania opieki społecznej.

- Nie mam pojęcia, jak działa prawo w takim wypadku - mówił Craig, podczas gdy w kuchni Chanel robiła kawę. - Możliwe, że odbiorą nam szkraba. Chanel świat się zawali, a ja też za nic nie chcę go oddać.

Po kolacji Chanel spytała Ruby, czy chce pójść na górę zobaczyć chłopca.

Pokój dziecięcy był wykończony w najdrobniejszych szczegółach. Oczywiście nie z myślą o Alfem. Craig urządził go w czasie jedynej - jakże krótkiej - ciąży Chanel.

- Nigdy nie mieliśmy serca niczego tu zmienić.

Ruby popatrzyła w górę. Na ciemnogrnatowym suficie migotały diodowe gwiazdki. Światła było akurat tyle, by dostrzec malowidło z Kubusiem Puchatkiem, które Craig wykonał własnoręcznie. Alfie skopał z siebie kołderkę i leżał teraz odkryty, w białej piżamce w króliki, pochrapując leciutko.

- Próbuję się jakoś przyzwyczaić do myśli, że nam go odbiorą, ale...

Ruby mocno objęła Chanel.

- Moja biedna... tak bym chciała, by się wam udało go zatrzymać, ale nie będzie to łatwe. Musicie się przygotować na to, że może Claudia zechce go zabrać.

- Wiem, próbuję myśleć realnie, ale popatrz: Claudia do tej pory nie skontaktowała się z Hannah. Nie widziała się z nią, nie telefonowała od czasu, gdy odmówiła zabrania dziecka w szpitalu. Jeśli go weźmie, to jakie on będzie miał życie? Widziałas, jak traktuje Avocado - jest koszmarną matką.

- Niby racja, ale ma prawa rodzicielskie.

- Niech się nimi udławi! Powinna je stracić z miejsca, gdy odrzuciła syna, bo ma rude włosy!

- Niestety prawo nie patrzy na to w ten sposób.
- To trzeba je, kurna, zmienić. Ruby ponownie ją objęła.
- Chodźmy na dół i napijmy się jeszcze kawy.

Rozdział 19

Przez kilka kolejnych dni Ruby leczyła kostkę, która znowu zaczęła puchnąć, pewnie dlatego, że za mało ją oszczędzała. Siedziała w domu, czytała i oglądała jakieś bzdurne programy w telewizji. Od czasu do czasu zwlekała się z kanapy i skacząc na jednej nodze, udawała się do łazienki lub do kuchni.

Drugiego dnia Nowego Roku w porze lunchu doszła do wniosku, że jeśli jeszcze raz obejrzy powtórkę Will i Grace lub kolejny debilny film oparty na historii z życia wziętej, zje na obiad własny kok.

Sięgnęła po najnowszy thriller Baldacciego, który dostała od Sylvii pod choinkę, ale nie mogła skupić się na czytaniu. Wzięła do ręki „Hello!”, otworzyła gazetę i po chwili odłożyła ją z powrotem. Zadzwoiła do Iwana, aby życzyć mu Szczęśliwego Nowego Roku. Przez telefon głos rekonwalescenta brzmiał całkiem rażno. Zapowiedział, że od marca wraca do pracy.

- Lekarze zadowoleni. Zadzwonię, może masz dla mnie pracę? Może zrobić półki w korytarzu?

Choć Ruby bardzo polubiła Iwana, niekoniecznie zachwycała ją perspektywa, by przez trzy kolejne miesiące grzebał się z robotą, która powinna zająć trzy dni. Z drugiej strony było jej go szkoda. Choć wydawało się, że jest w dobrym humorze, atak serca musiał go podłamać. Ruby nie chciała, żeby sobie pomyślał, że jest niepotrzebny i bezużyteczny.

- Świetny pomysł - usłyszała własny głos - półki bardzo mi się przydadzą. Proszę zadzwonić, kiedy już pan wydobrzeje.

Pożegnała się i poszła do kuchni zrobić jeszcze jedną kawę. Wróciła, trzymając kubek w jednej ręce, a pilota w drugiej.

Zmieniała kanały przez bite pięć minut. Nic jej nie zaciekało, oparła się o poduszki i zamknęła oczy. Zasnęła przy jazgocie CNN, jednak nie spała mocno, bo przez cały czas miała świadomość, że jakiś głos opowiadał coś o jakimś procesie sądowym. Kilka razy powtórzył jakieś nazwisko. Nawet przez sen wydało jej się znajome. Otworzyła szeroko oczy.

- ...dziękujemy, to był Nowy Jork, Dan Rozenberg mówił o ponownym wszczęciu postępowania w sprawie Josha Epstiena, proces odbędzie się we wtorek.

Ruby usiadła tak gwałtownie, że zakręciło się jej w głowie. Mrugając, patrzyła w ekran, ale doniesienie się skończyło. Sprawozdawca mówił o cenach ropy.

- Chwileczkę - powiedziała na głos - czy on powiedział „Josh Epstein”?

Czy mogło chodzić o brata Sama, który także miał na imię Josh? Niemożliwe. Wiedziała, że chłopak bierze narkotyki, lecz Sam nigdy powiedział, że jest też przestępcą. Z drugiej strony, musiała przyznać, że facet nie mówił zbyt wiele o swoim życiu. Jeśli CNN donosi o procesie tego Josha Epstiena, to musi on być niezłą kanalią.

Ruby błyskawicznie znalazła się w sypialni i odpaliła komputer. Wyszukała w Google'u Josha Epstiena. Przed przejściem do znalezionych informacji chciała sprawdzić, czy z wyglądu choć trochę przypomina Sama. Musiała się upewnić, czy rzeczywiście chodzi o jego brata.

Na pierwszym zdjęciu widać było dwudziestoparolatka i młodą kobietę w dniu ślubu. Ciemnowłosey, przystojny chłopak był kropka w kropkę podobny do Sama. Spojrzała na kobietę - radość malująca się na jej twarzy sugerowała, że jest to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Długie blond włosy spływały na odsłonięte ramiona. Oczywiście, teraz obcięła je i przefarbowała, miała też nieco inną figurę, ale i tak Ruby rozpoznała ją od razu. Pod zdjęciem widniał napis „Ślub Josha i Kimberley Epstein, 1999”. To wyjaśniało związek Sama z Kim - była jego szwagierką, jednak Ruby nie pojmowała, dlaczego to przed nią zataił.

Po kolei otwierała strony, na których zamieszczone były informacje o bracie Sama. Już na początku dowiedziała się wszystkich najistotniejszych szczegółów z jego życia.

Dwa lata temu Josh stanął przed sądem i został skazany na dożywocie za zamordowanie szefa nowojorskiej mafii podczas narkotykowej wojny gangów. Przyznał się wtedy do winy, natomiast obecnie twierdził, że aresztowano go, ponieważ znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu, a morderstwo popełnił nowojorski biznesmen i multimilioner Herbert Garcia, mający kontakty z narkotykowym podziemiem. Według zeznań Josha Garcia szantażował go i zmusił do przyznania się do winy, grożąc, że zabije Kimberley i dzieci.

Przez kilka kolejnych miesięcy adwokat oskarżonego starał się o ponowne rozpatrzenie sprawy. W tym czasie wielokrotnie grożono Kimberley śmiercią, w wyniku czego wraz z dziećmi schroniła się za granicą. Ostatnio zidentyfikowano DNA Garcii, wiążąc go w ten sposób z zabójstwem. Multimilioner przepadł bez wieści.

Ruby odchyliła się na krześle. Wreszcie zrozumiała - Kimberley znalazła się w Londynie, licząc, że tu będzie bezpieczna. A więc Sam miał uważać na nią i otaczać ją opieką. Ruby przypomniała sobie czarne porsche, które usiłowało zepchnąć ich z drogi w Richmond Park. Czy to możliwe, że gang śledził Kimberley i zorientował się, że Sam jej

pomaga? Próbowali go zastraszyć? Zaczęła domyślać się, że wyprawa Sama do Nowego Jorku miała związek z procesem. Ale dlaczego kłamał? Dlaczego jej nie zaufał? Może przypuszczał, że zerwałaby z nim, gdyby знаła prawdę.

Musi natychmiast porozmawiać z Samem. Dopiero teraz dotarło do niej, że przez cały czas, kiedy ze sobą chodzili, ukochany musiał być pod ogromną presją. Na pewno bał się - nie tylko o Kimberley, ale i o siebie.

Ruby musi go przekonać, że nadal go kocha - nieważne, co zrobił lub czego nie zrobił Josh. Wystukała numer komórki Sama, ale usłyszała informację, że numer jest nieaktualny. Spróbowała dodzwonić się do domu - telefon był wyłączony. Wreszcie połączyła się z kliniką:

- Przykro mi - powiedziała recepcjonistka - ale doktor Epstein już tu nie pracuje.

Ruby doszła do wniosku, że Sam przeniósł się do Nowego Jorku, aby być bliżej brata, kiedy nadejdzie termin drugiego procesu. Chyba nie miał zamiaru wracać, skoro porzucił stanowisko w klinice.

Jeszcze sekunda i już miała Fi przy aparacie.

- Możesz mi dać numer do Buddy'ego i Irene? - Jasne, ale po co ci?

- Próbuję złapać Sama, może właśnie jest w drodze do Nowego Jorku.

- Ruby, na litość boską, po co ci to? - przejęła się przyjaciółka. - Daj sobie spokój, to palant. Oszukał cię i tyle.

- Nie byłabym taka pewna, a przynajmniej nie miał złych zamiarów. Proszę, po prostu daj mi ten numer!

Fi odeszła, żeby go poszukać.

- Dzięki - powiedziała Ruby, kiedy otrzymała to, na czym jej zależało. - Dam ci znać, jak dowiem się czegoś więcej.

- Jak to? Czego starasz się dowiedzieć?

- Cierpliwości, powiem ci przy okazji. Pa!

Buddy odebrał po pierwszym sygnale. Zanim powiedział „Halo”, Ruby usłyszała, jak mruczy do Irene: „Kto, do diabła, dzwoni tak wcześnie rano?”.

- Buddy, tu Ruby Silverman, poznaliśmy się w Londynie na ceremonii obrzezania Connora.

- A, Ruby, miło cię słyszeć, dziewczyno - wydało jej się, że w jego głosie zabrzmiało wahanie - jakby nie mógł się zdecydować, jaki przybrać wobec niej ton. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Chodzi o Josha, o proces, o wszystko.

- Aha - spoważniał. - Skąd się dowiedziałas?

Wyjaśniła mu, co usłyszała w Wiadomościach.

- Przykro mi, że cię okłamaliśmy, Ruby, ale to dla twojego dobra. Sam bał się, że go rzucisz, kiedy poznasz prawdę. Musiał wyjechać z Londynu, by bezpiecznie odstawić z powrotem Kimberley i dzieci. Sukinsyny zwąchały, że są w Londynie i zaczęły im grozić. Powtarzali, że jeśli żona nie przekona Josha, by wycofał zeznania, zabiją i ją, i dzieci. Sporo nas to kosztowało wysiłku, ale w końcu udało nam się wymóc na policji, by otoczyła rodzinę Josha całodobową ochroną. Sam przyleciał z Kimberley do Nowego Jorku i został kilka tygodni, by upewnić się, czy rzeczywiście dobrze ich pilnują.

- Ale dlaczego nie powiedział mi prawdy? Przecież zrozumiałabym.

- Pewnie tak, ale bał się zaryzykować. - Wiesz może, gdzie teraz jest?

- Nie ma go w domu?

- Nie, próbowałam dzwonić i tam, i do szpitala, i nic. Do tego zmienił numer komórki.

- W takim razie nie mam pojęcia, gdzie może być. Wróci na proces, ale spodziewamy się go dopiero za kilka dni. Ruby poczuła, jak ogarnia ją panika.

- Buddy, czy myślisz, że ci gangsterzy mogli zrobić krzywdę Samowi, by powstrzymać Josha przed zeznawaniem?

- O mój Boże - szepnął Buddy. Ruby nagle wyobraziła sobie, jak bardzo mógł się wystraszyć. - Ruby, znajdź go, błagam!

- Jasne. Zacznę od mieszkania. Na szczęście wciąż mam klucze.

- I - Ruby?

- Tak?

- Uważaj na siebie.

W PIERWSZYM ODRUCHU chciała dzwonić na policję, ale straciłaby cenny czas na wyjaśnianie całej zawiłanej historii. Powinna jechać do Sama natychmiast. Złapała płaszcz i klucze, które jej dał. Droga przez klatkę schodową zdawała ciągnąć się w nieskończoność. Już miała złapać taksówkę, kiedy zobaczyła, że na wprost niej idzie mama z ogromnym talerzem przykrytym folią. Tym, co na nim leżało, pewnie można było wykarmić dziesięć osób.

- Mamo! Co ty tu robisz?

- Wiem, że nie możesz wybrać się do sklepu, i martwiłam się, czy masz co jeść, postanowiłam więc przywieźć ci lasagne. Trzeba ją tylko podgrzać.

- To strasznie miłe, tylko że bardzo się spieszę.

- Dokąd się wybierasz? - Do Sama.

- A po co, na litość boską?
- Zmienił komórkę i rzucił pracę, boję się, że jest w niebezpieczeństwie.
- Jak to? Dlaczego?
- To długa historia.
- W związku z aferą surogatek, tak?
- Nie, chodzi o coś zupełnie innego.

- Dobrze, ale skoro się o niego boisz, powinnaś dać znać policji.
 - Nie mam czasu. Muszę natychmiast do niego jechać. - Boże, lepiej, żebyś mi wszystko opowiedziała. Słuchaj, jak już tak bardzo się śpieszysz, pozwól przynajmniej, że cię odwiozę.

- Nie ma mowy, jesteś w dziewiątym miesiącu, a ja nie wiem, co tam zastanę.

Na twarzy Ronnie odmalowała się troska. Położyła córce rękę na ramieniu:

- Kochanie, naprawdę myślisz, że ktoś mógłby wyrządzić Samowi krzywdę?
- To niewykluczone.
- Dobra. W ciąży czy nie, jadę z tobą.
- Mamo, daj spokój...
- Jak weźmiesz taksówkę, i tak za tobą pojedę, więc się zdecyduj.
- Kurczę, jak się przy czymś uprzesz, nic cię nie przekona.
- Zaparkowałam przy wjeździe na ulicę - uśmiechnęła się Ronnie.

Dwie kobiety - jedna pękata, z wielgaśnym talerzem lasagne, druga trochę kuśtykając, trochę skacząc - ruszyły w stronę auta. Położyły półmisek na tylnym siedzeniu i pojechały w kierunku Kensington. Ulice były niemal puste, ponieważ drugi dzień Nowego Roku również był wolny od pracy.

- Mamo, mogłabyś dodać trochę gazu?
- Chwila, wyobrażasz sobie, że jesteśmy Cagney i Lacey?
- Ronnie wrzuciła wyższy bieg. - Mów, o co w tym wszystkim chodzi.

Ruby powiedziała jej, czego się dowiedziała.

- Mam w nosie twoje zdanie. Trzeba zadzwonić na policję - zdecydowała Ronnie. - Nie wiadomo, co u niego zastaniemy. A jeśli się okaże, że go porwali? Albo jeszcze gorzej?

Ruby dowodziła, że nie ma na to czasu.

- Lepiej poczekaj na zewnątrz, jak nie wyjdę za dziesięć minut, dzwoń. Dobrze?

Przed domem zahamowały z piskiem opon. Ruby otworzyła bramę i powoli, denerwująco powoli, zaczęła wspinać się na drugie piętro. Setki razy natrzęsała się z telewizyjnych bohaterów, którzy decydowali się samotnie stawić czoła niebezpieczeństwu, bo

w życiu było to przecież nie do pomyślenia. Tymczasem teraz - proszę. Popelniała dokładnie ten sam błąd, tyle że nie w telewizji.

Przyłożyła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Nie doszedł jej żaden dźwięk. Zadzwoiła i czekała. Nic. Z bijącym sercem, drżącą ręką włożyła klucz do zamka. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był stos reklam i ulotek na wycieracze. Drzwi zostawiła otwarte, na wypadek gdyby musiała szybko się ewakuować. W mieszkaniu nie było śladów szamotaniny ani walki. Nie było przewracanych mebli ani, na szczęście, czerwonych plam na ścianach i dywanie. Zerknęła przez drzwi do salonu - panował w nim idealny porządek. W sypialni - to samo. Choć wciąż nie miała pojęcia, gdzie przepadł Sam, trochę jej ulżyło.

Odwróciła się, by wrócić do przedpokoju, i zderzyła się z czyjąś, twardą jak granit, klatą odzianą w podkoszulek. Przez sekundę stała twarzą w twarz z podobiznami Wallace'a i Gromka. Z przerażeniem powędrowała wzrokiem nieco wyżej. Zarośnięty, wielki typ uniósł rękę, w której trzymał młotek. Zamarła. Nie mogła krzyknąć, nie mogła uciekać, zupełnie jakby już nie żyła. Więc to tak wygląda ostatni moment przed śmiercią, zanim zniknie ostatnie światełko. Zamknęła oczy i czekała na cios.

- Kurwa, ale zem się wystraszył. Coś pani za jedna, czego tu szuka?

Ruby otworzyła jedno oko, potem drugie. Młotek wciąż tkwił w ręku giganta.

- Mogłabym spytać o to samo.

- Jak to? Jestem elektrykiem. Gość od tego mieszkania kazał mi naprawić kontakt, zanim nowy lokator się wprowadzi.

Sądząc po podręcznej torbie z narzędziami, przytroczonej do pasa, mówił prawdę.

- Przepraszam - powiedziała drżącym głosem. - Dzwoniłam, zanim otworzyłam drzwi. Nie słyszał pan?

Wskazał na słuchawki iPod'a, otaczające jego szyję.

- Mój chłopak... Właściwie były chłopak - zaczęła się plątać - mieszkał tu, a ja zostawiłam u niego swoje rzeczy i chciałabym zobaczyć, czy jeszcze tu są. Mogę się rozejrzeć?

- Proszę, śmiało.

Elektryk zniknął w kuchni, a po chwili rozległo się rytmiczne stukanie. Ruby zamysliła się - jeśli Krystian, właściciel mieszkania, wezwał elektryka, ponieważ chce je wynająć, oznacza to, że Sam poinformował go o wyprowadzce. To dobry znak.

Weszła do salonu. Popiersie Stalina i szafa grająca zniknęły. Sam albo je sprzedał, albo wysłał do Stanów. W sypialni nie było już ubrań. Niepotrzebnie bała się, że napadnięto go lub że został porwany, chyba że mafia rozprawiła się z nim gdzieś indziej.

Rozejrzała się po sypialni. Dywan dawno nie widział odkurzacza, a na nocnym stoliku odbiły się kółka po szklankach. Jasne, że już dawno nikt tu nie sprzątał. Wzrok Ruby spoczął na koszu na śmieci. Był pełen jakichś papierów. Podeszła i wysypała jego zawartość na podłogę; w filmach detektywi w ten sposób właśnie zyskiwali cenne wskazówki. Zwykle był to zmięty papier z adresem albo podkładka, na której zachował się odcisk długopisu. W śmieciach znalazła tubkę po paście do zębów, dziurawe skarpetki, papierki po gumie do żucia i starą gazetę. Nic, co mogłoby ją naprowadzić na ślad Sama.

Zaczęła wrzucać wszystko z powrotem do kosza. Już, już miała pozbyć się gazety, kiedy jej uwagę przyciągnęła duża reklama linii lotniczych. Widniała na niej cena przelotu do Nowego Jorku. Sam zakreślił ją, a tuż obok dopisał dzisiejszą datę. Ruby wyjęła z torebki komórkę i zadzwoniła na numer podany w ogłoszeniu.

- Przepraszam, w „Evening Standard” znalazłam państwa reklamę. Chciałabym wiedzieć, o której odlatuje samolot do Nowego Jorku... Nie, nie szkodzi, że nie ma już miejsc, po prostu jestem ciekawa. Wiem, wiem, że to dziwne, skoro nie podróżuję, ale czy mimo wszystko mogłaby pani podać mi godzinę wylotu?

Samolot startował z Heathrow za dwie godziny. Nie miała pojęcia, czy Sam nim poleci - kobieta nie zgodziła się sprawdzić, czy jego nazwisko jest na liście pasażerów - lecz był to jedyny trop.

Już miała wychodzić i dziękowała elektrykowi, że pozwolił jej się rozejrzeć, gdy raptem przyszła jej do głowy pewna myśl:

- A gdzie Kot Damon?

Elektryk spojrzał na nią jak na świruskę:

- W Hollywood, a gdzie miałby być?

- Nie, nie, nie Matt Damon. Powiedziałam: Kot Damon, taki pręgowany rudzielec, mieszkał tu, przynajmniej za moich czasów.

- Widziałem w budynku jakieś wielkie kocisko, nie wiem, czy rude, dla mnie jeden pies.

- To pewnie on!

- Jest u staruszki na parterze, widziałem rano, jak go wpuszczala. Mówi na niego Puszek Okruszek.

- No nic, przynajmniej ma się gdzie podziać. Martwiłam się, że został bez domu.

- I MYŚLISZ, że Sam postanowił wyjechać z Londynu wcześniej? - spytała Ronnie, uruchamiając silnik.

- To się trzyma kupy. W jego przekonaniu z nami koniec. Po co miałby tu siedzieć? I tak się dziwię, że został na święta.

Zmierzały w kierunku autostrady A4. W pewnym momencie Ronnie na sekundę przestała patrzeć na drogę i skierowała wzrok na córkę.

- Przyszło ci do głowy, że może dlatego Sam wcześniej wyjeżdża do Nowego Jorku, bo chce uciec przed konsekwencjami afery ciążowej? Nie zapominaj, że na liście znalazłaś jego nazwisko.

- Ale zawsze myślałam, że go wrobili.

- Hmm - zastanowiła się Ronnie. - Tak samo jak jego brata?

- Myślisz, że jestem głupia, bo nadal za nim latam?

- Głupia nie, tylko naiwna. Żyjesz w przekonaniu, że Buddy powiedział prawdę i Sam okaże się niewinnym, honorowym człowiekiem - takim, za którego go brałaś na początku. Przeszłaś ostatnio bardzo dużo i nie chcę, byś ponownie się rozczarowała.

Dalej jechały w milczeniu. Ruby wyglądała przez okno. Niemożliwe, żeby Buddy ją okłamał, była pewna, że nie. Ronnie zerknęła na nią z ukosa.

- Czy naprawdę myślisz, że ktoś był w stanie namówić inteligentnego człowieka, jakim Sam niewątpliwie jest, do podpisania niewypełnionego dokumentu? Mnie wydaje się to nieprawdopodobne .

- Zgoda, nie wiem, jak to się stało, ale jestem przekonana, że nie był zamieszany w aferę. Po tym, jak tyle spraw się wyjaśniło, mam co do tego absolutną pewność.

- Muszę iść na siku - powiedziała Ronnie.

- Rany, mam, nie teraz. Nie możesz wytrzymać, dopóki nie będziemy na lotnisku?

- Ruby, dzieciak naciska mi na pęcherz. Jak nie znajdę zaraz toalety, posikam się w samochodzie.

- Przepraszam, samolub ze mnie. Dobrze się czujesz?

- Oprócz tego, że nie mogę już wytrzymać - tak. O, tu jest znak. Nie martw się, wracam za dwie minuty.

Kiedy zatrzymały się, zaczęło padać.

Ruby nalegała, że wyciągnie dla Ronnie parasolkę z bagażnika. Rozłożyła ją nad wysiadającą z auta mamą. Kiedy ta zniknęła w toalecie, Ruby wróciła do samochodu. Już miała wsiąść, kiedy spostrzegła, że bezcenna lista Jill McNulty leży na asfalcie. Musiała ześlizgnąć się jej z kolan. Przeklinając pod nosem własną nieporadność, schyliła się i podniosła papier, teraz mokry i poplamiony.

Właśnie chowała go do torebki, kiedy uwagę jej przykuł pewien szczegół. Coś się tu nie zgadzało. Widać było, że Sam złożył podpis wiecznym piórem. Jak to możliwe, że atrament się nie rozmażał? Potarła podejrzanę miejscę palcem. Bez widocznego efektu.

- To wcale nie jest żaden cholerny atrament - wymruczała, włączwszy światło - tylko druk.

Jill widocznie uciekła się do pomocy skannera i drukarki. Ruby przeżywała emocjonalną burzę. Nienawidziła McNulty i Hardacre'a jeszcze bardziej - o ile to możliwe - za to, że zasugerowali współdziałanie Sama w ich podejrzanym interesie. Była wniebowzięta, że znalazła dowód na jego niewinność, a jednocześnie wściekła na siebie, że wcześniej w nią zwątpiła.

Ronnie wróciła, a Ruby z miejsca przedstawiła jej swoją hipotezę.

- A niech to, więc instynkt cię nie mylił! Sam nigdy nie był zamieszany w ten skandal. No, ale jedźmy. Chciałabym już być na lotnisku, naprawdę musicie sobie mnóstwo wyjaśnić.

Gdy tylko wróciły na autostradę, Ronnie dodała gazu. Ruby patrzyła tylko, jak strzałka szybkościomierza przekracza dziewięćdziesiątkę.

- Mamo, wiem, że prosiłam cię o pośpiech, ale bez przesady, lepiej, żebyśmy dojechały całe.

- Mam powód, żeby się śpieszyć.

- Ty?

- Wody mi odeszły, gdy byłam w toalecie.

- O Boże! Dopiero teraz to mówisz?!

Ruby naciskała, by zjechały z autostrady i popędziły do St. Luke:

- Nie ma ruchu, będziemy tam za czterdzieści minut. Ronnie nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że skurczów nie ma, podrzuci więc Ruby na lotnisko, zostawi auto na parkingu i weźmie taksówkę do kliniki.

Ruby zgodziła się, pod warunkiem że matka zadzwoni po Phila, żeby przyjechał na lotnisko.

- Przynajmniej nie będziesz sama w drodze powrotnej. Ronnie wystukała numer komórki męża. Akurat był na spotkaniu z klientem w Hammersmith. Powiedział, że najszybciej będzie, jeśli przyjedzie na lotnisko metrem.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Phil znajdzie się na miejscu przed nami - ucieszyła się.

Ruby wyraziła nadzieję, że matka wie, co robi.

- Nie znam się na porodach, ale słyszałam, jak ważne jest, aby dostać się do szpitala zaraz po odejściu wód, w przeciwnym razie wystawiasz dziecko na ryzyko infekcji.

Ronnie powiedziała, żeby przestała wydziwiać, bo wszystko będzie dobrze. Zaparkowała w miejscu krótkiego postoju przy terminalu 4. Wygramoliwszy się z samochodu, stanęła i z sykiem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Co jest? - przestraszyła się Ruby, łapiąc ją za ramię.

- Nic. Dziecko się poruszyło. Muszę usiąść i złapać oddech. - Siedziały jakieś pół minuty - Dobra. Już przeszło. - Wsiadły z auta i pojechały windą do hali odlotów.

Każdy krok sprawiał Ruby ból. Skupiona na swej niedyspozycji, nie zauważyła wyrazu cierpienia na twarzy mamy. Dopiero kiedy znalazły się w hali odpraw, gdzie było wyjątkowo spokojnie, jako że masowy turystyczny eksodus nastąpił przed świętami, a Ronnie musiała usiąść, Ruby zorientowała się, że z mamą jest źle.

- O kurczę, mamo, zrobiłaś się strasznie blada!

- Przejdzie mi, jak odpocznę.

- Akurat! Nie przejdzie ci, przecież ty rodzisz, sama o tym wiesz!

- Jeszcze nie, to pewnie znowu te skurcze Braxtona - Hicksa. - Mówiąc to, złapała się za brzuch, a twarz jej wykrzywił grymas. - Och, ale boli!

- Mamo, nie wygłupiaj się, to nie są skurcze przepowiadające. Rodzisz, musimy jechać do szpitala! Znajdę kogoś z obsługi i powiem, żeby zadzwonili po karetkę.

Ronnie kiwnęła potakująco głową, ale nie była w stanie odpowiedzieć, bo kolejny skurcz okazał się wyjątkowo bolesny. Po paru sekundach oznajmiła:

- Tylko szybko. Powiedz im, żeby się pośpieszyli. Niepokój o Sama Ruby odsunęła na dalszy plan. Z zacięciem olimpijczyka pokuśtykała do punktu informacji, gdzie pracownica w średnim wieku uspokoiła ją i obiecała, że ich karetka będzie na miejscu za kilka minut. Ruby powiedziała, gdzie mają przysłać nosze, i wróciła tak szybko, jak tylko mogła.

Tymczasem wokół Ronnie zgromadził się tłumek. Czyjś głos pytał, czy jest tu lekarz, ktoś instruował Ronnie, by nie parła. Ruby przedarła się do mamy, która leżała na ławce ze zwiniętym płaszczem pod głową. Krzyczała z bólu i błagała o pomoc.

- Mamo, mamo, już dobrze, karetka zaraz tu będzie! - Jakie zaraz, do jasnej cholery! Dziecko się rodzi! Gdzie tata, dlaczego jeszcze go nie ma?

- Nie martw się, zaraz dojedzie, proszę, postaraj się uspokoić. Zadzwoniła komórka. Ruby była tak pewna, że to Phil, że nawet nie spojrzała na wyświetlacz. Odebrała i usłyszała głos Fi:

- Ruby, to ja! Nie uwierzysz, co się stało! Dostaliśmy wspaniałą wiadomość, Saul znalazł pracę! I to jaką! Główna rola w...

- Fi, ogromnie się cieszę, ale nie mogę teraz rozmawiać. Jestem na terminalu 4 w Heathrow, a mama zaczęła rodzić!

- Co? Co z nią? Dlaczego w Heathrow?!

- Teraz nie mogę. Zadzwoń później!

- Odnalazłaś Sama?

- Fi, naprawdę nie teraz, pa!

Kiedy się rozłączyła, pojawił się ojciec. Był spocony, czerwony i zasapany, najwidoczniej biegł całą drogę. Tłum rozstał się przed nim jak Morze Czerwone.

- Wszędzie was szukam. Co jest?

- A jak ci się zdaje? - prychnęła Ronnie. - Właśnie rodzę. - Co? Tutaj? Niemożliwe, musimy jechać do szpitala.

Ruby wyjaśniła, że już jest za późno. Ronnie wrzasnęła, czując kolejny skurcz. Phil ukląkł i wziął ją za rękę:

- Przypomnij sobie techniki relaksacyjne. Skup się, powtarzaj naszą mantrę.

- Wsadź sobie w dupę cholerną mantrę!

- Dobrze, już dobrze, pomyśl o oddychaniu. Oddychaj tak jak ja: wdech... i wydech, wydech, wydech - krótkie wydechy.

- Nie będę, kurwa, oddychać! Boli! Gdzie znieczulenie! Chcę ZZO! Lekarza!

- Ja jestem lekarzem - dał się słyszeć rozkazujący głos. - Proszę mnie przepuścić!

Ruby zamarła. Wiedziała już, kogo za chwilę ujrzy.

- Ruby? - powiedział Sam, zanim zdążyła się odwrócić. - Co tu się, do diabła, dzieje?

Spojrzała na niego, ich oczy spotkały się i poczuła ogromną ulgę, nie tylko ze względu na Ronnie.

- Mama właśnie rodzi.

Sam pomachał Philowi na powitanie i kucnął obok rodzącej. - Jak częste są skurcze?

- Aaa! Ja chcę przeć, muszę przeć!

- Wygląda na to, że mam odpowiedź.

Zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Spytał, czy ktoś ma w bagażu czysty ręcznik. Ten i ów pogrzebał w walizce, w końcu znalazło się kilka. Powiedział, że musi zbadać Ronnie. Aby zapewnić jaką taką intymność, poprosił zebranych, żeby otoczyli kołem ławkę i stanęli plecami do nich.

- Chwila - przerwała mu Ruby. - Będziesz tu robił badanie wewnętrzne? Mojej mamie?

- Muszę.

- O Boże! Żyjemy w nowoczesnych czasach - człowiek, z którym chodzę od czterech miesięcy, będzie zaraz macał szyjkę macicy mojej własnej matki.

Odpowiedział, że przecież nie musi na to patrzeć.

- W porządku - uspokoił Ronnie pół minuty później. - Główka się wyrzyna. Proszę przez chwilę nie przecć, tylko płytko oddychać, wydmuchiwać powietrze, a ja sprawdzę pępowinę.

Mama Ruby dostosowała się do wskazówek.

- Czy z dzieckiem wszystko w porządku? - dopytywał się blady ze strachu Phil.

- Tak. Ronnie, proszę przecć. Jeden raz, jak będziesz gotowa.

- Aaaaaaa!

- Mamo! Widać główkę! - Ruby przemogła zażenowanie, stanęła obok Sama i wszystko widziała. - Zygmunt Freud ma czarne włoski!

- Freud? - Sam popatrzył pytająco. Ruby wyjaśniła, że to tylko przezwisko. Odetchnął z ulgą.

- Ronnie, broda do klatki i jeszcze jeden, ostatni raz! Rodząca głęboko nabrała powietrza. Kiedy parła, twarz jej zrobiła się czerwona jak burak, a paznokcie wpiły w rękę Phila.

- Pchaj! Pchaj, jeszcze, jeszcze... Wystarczy. Ronnie, już po wszystkim, spisałaś się wspaniale!

Po chwili rozległ się nieporadny pisk noworodka. Tłum klaskał i wiwatował, a Sam owinał dziecko ręcznikiem i położył Ronnie na piersi.

- Chłopiec czy dziewczynka? - spytał ktoś.

- To dzidzius, po prostu mały dzidzius - udzielił wyczerpującej informacji skonfundowany Phil. Sam przypomniał rodzicom, że przecież mogą sprawdzić.

- Racja! - powiedział tatuś i odchylił ręcznik. - Dziewczynka, małuśka dziewczynka!

Ronnie leżała, wpatrując się w córeczkę, do oczu napłynęły jej łzy.

- Cześć, dzieciaczku - powiedziała.

Ruby uklękła obok ojca.

- Jest prześliczna - powiedział, prawie płacząc. - Po prostu najślicniejsza.

Wreszcie pojawiło się pogotowie i przejęło dowodzenie. Dziecko owinięto w materiał chroniący przed wychłodzeniem, Ronnie ułożono na noszach.

- Trzeba będzie założyć kilka szwów, oprócz tego wszystko poszło dobrze.

Ronnie wzięła Sama za rękę.

- Dziękuję. Dziękuję, że przy mnie byłeś i tak cudownie pomogłeś.

Zwróciła się do Ruby:

- Nie wsiadaj ze mną do karetki, poradzimy sobie sami. Macie tyle do omówienia. Brak właściwej komunikacji jest najczęstszą przyczyną rozpadu związków, wierz mi. Należy umieć słuchać, oto klucz do...

- Mamo - parsknęła Ruby - pięć minut temu urodziłaś dziecko i już zaczynasz psychologizować?

- O, trzeba by więcej niż porodu, by zbić mnie z pantałyku! Ruby ucałowała mamę i obiecała, że wpadnie wieczorem.

Kilka minut później Ronnie, Phil i dziecko jechali do kliniki. Jako że Samowi uciekł samolot, we dwoje ruszyli do Starbucksa w terminalu 4.

- Nieźle sobie poradziłeś - zachwyciła się Ruby. Twarz Sama rozpromienił uśmiech.

- Dziękuję. - Rozerwał opakowanie z cukrem i patrzył, jak kaskada kryształków topi się w cappuccino. - Dlaczego próbowałaś mnie odszukać?

- Dowiedziałam się o Joshu i procesie. Akurat mówili o tym w CNN. Natychmiast zadzwoniłam do Buddy'ego, a on wyjaśnił mi, dlaczego naprawdę poleciałeś do Nowego Jorku.

Sam nie był tym specjalnie zdziwiony.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później się dowiesz, było to tylko kwestią czasu.

- Gdzie się podziewałeś? Pytałam Buddy'ego, ale nie miał pojęcia, gdzie jesteś. Tak się martwiliśmy o ciebie!

- Pojechałem do przyjaciół w Devon, wróciłem dziś rano pociągiem. Miałem powiedzieć Buddy'emu i Irene, ale chyba podświadomie pragnąłem się na chwilę od wszystkiego oderwać, skończyć z rozmowami o Joshu, o procesie. Chciałem normalności, pożyć zwykłym życiem - zamieszał kawę. - Przepraszam, że tak cię okłamałem. Nienawidzę za to sam siebie, ale nie miałem wyboru.

- Oczywiście, że miałeś. Mogłeś mi po prostu zaufać.

- Pięknie. Miałem cię wziąć na romantyczną kolację i nad smażonym tuńczykiem wyznać, patrząc ci głęboko w oczy: „Mój brat jest skazany za morderstwo, grożą nam, że zabiją mu żonę i dzieci, ale nie robi to różnicy naszej miłości, prawda, kochanie?”.

- Nie zrobiłoby, jeśli chcesz wiedzieć. Sam, nie obchodzi mnie, czy idolem twojego brata jest Hannibal Lecter, chodzę z tobą, a nie z nim, i kropka.

- Nie wygłupiaj się, Josh jest niewinny. Wpadł w złe towarzystwo, przez jakiś czas był dilerem, ma sporo na sumieniu, ale nie morderstwo. Wierzę w to w stu procentach, tak samo jak cała moja rodzina.

Ruby dopiła kawę.

- Mam nadzieję, że chłopak zdaje sobie sprawę z tego, jakie to szczęście mieć taką rodzinę.

- Żałuję tylko, że jego sprawy miały taki wpływ na nas. - Wiesz, co najbardziej mnie zabolalo? Że poszedłeś sobie, ot tak, po prostu, jakby ci było wszystko jedno.

- A nie było. Wyjście wtedy od ciebie było najtrudniejszą rzeczą, jaka spotkała mnie w życiu. Po naszym rozstaniu przestało mi na czymkolwiek zależeć, ale z drugiej strony, kiedy byliśmy razem, cały czas bałem się, żeby nic ci się nie stało. Te kanalie mogły nie poprzestać na groźeniu Kim i zabrać się za ciebie. Pamiętasz, co zdarzyło się, kiedy jechaliśmy przez Richmond Park? Ten samochód miał mnie przestraszyć, nie mogłem ryzykować, że coś ci się przytrafi. Do tego wszystko się skomplikowało i zacząłem kłamać. Myślałaś, że mam romans. Myślałaś, że brałem udział w aferze z fałszywymi ciężarami, a tego było już dla mnie za wiele.

- Mogłeś pozwolić mi samej zdecydować, czy chcę być z tobą, czy nie.

- I co byś powiedziała?

- Że przejdziemy przez wszystko razem i że cię kocham.

- Ryzykowałabyś życie, żeby być ze mną?

- A powiedz, będąc na moim miejscu, ty zaryzykowałabyś dla mnie?

- Na pewno. - Widzisz, ja tak samo - wzięła go za rękę.

- Nie pozwoliłbym na to.

- No i spójrz, gdzie nas to doprowadziło... ale mam dowód na to, że nie byłeś w nic zamieszany w klinice.

- Serio? To więcej niż mnie się udało zdziałać. Razem z dwoma innymi zagranicznymi lekarzami byłem u prawnika - powiedział, że niewiele może zrobić, bo brak niepodważalnych dowodów. Spróbował odnaleźć Jill i Hardacre'a w celu konfrontacji, ale są na urlopie bezpłatnym. Teraz więc siedzę sobie i czekam, aż opinia publiczna rozniesie mnie na strzępy.

Ruby skinęła głową.

- Sam, nie wiem, jak cię przeproszać. Do wszystkich problemów doszedł ci jeszcze ten. Musiałeś przechodzić przez piekło. No nic, odkryłam, że Jill zeskanowała twój podpis i wstawiła go do formularza, podobnie jak podpisy innych lekarzy. Zaplanowali sobie, że jeśli sprawa kiedyś się wyda, zrzucą całą odpowiedzialność na was. Każdy by w to uwierzył, Hardacre jest powszechnie szanowany, a was uznano by za przybłedy, które chciały się szybko dorobić.

Postanowili, że, za zgodą Hannah, następnym ich krokiem będzie doniesienie radzie nadzorczej St. Luke na Jill i Hardacre'a.

- A te wszystkie telefony, które odbierałaś, kiedy byliśmy razem, wcale nie były ze szpitala? - spytała Ruby, jednocześnie zanotowując sobie w pamięci, że musi zadzwonić do matki bliźniaczek.

- Nie, od Kimberley. Groźby nie ustały nawet w Londynie, bała się o siebie i dzieci, prawie nie spała.

- Czy ci gangsterzy nadal mają cię na oku? Tak przynajmniej myśli Buddy.

- Już nie. To bardzo dobra wiadomość, której nawet tobie nie zdążyłem powiedzieć. Zanim dojechałem na lotnisko, zadzwoniłem do adwokata Josha. Właśnie miał telefonować do Buddy'ego, żeby mu o tym powiedzieć, nigdy nie słyszałem, żeby był tak podekscytowany. Wygląda na to, że Herbert Garcia - prawdziwy morderca - popełnił samobójstwo kilka godzin temu. Czuł się osaczony, zostawił list, w którym napisał, że wie, iż i tak dostanie dożywocie, więc woli sam zdecydować o swoim losie. Teraz ponowny proces to czysta formalność.

- Boże, to niesłychane! Jak się teraz czujesz?

- Jakby ktoś zdjął ze mnie ogromny ciężar, który przygniatał mnie od niepamiętnych czasów. Uścisnęła mu rękę.

- Musisz być bardzo wyczerpany, żałuję, że nie chciałem mojej pomocy.

- Nie mogłem, to nie była twoja para kaloszy. Wiem, jesteś zła, że trzymałem cię z dala od całej sprawy, ale gdybym ponownie musiał decydować, postąpiłbym tak samo, żeby cię chronić.

- Aha. - Wiedziała, że jej argumenty na nic się nie zdadzą, i tak go nie przekona, więc postanowiła odpuścić. - Jak było w Devon?

- Mokro. Tęskniłem. Próbowałem dzwonić rano do ciebie na komórkę, ale nie odebrałaś.

- Przepraszam, widocznie nie słyszałam dzwonka. A co chciałeś powiedzieć?

- Że mi przykro i że cię kocham.

- Ja też cię kocham, nigdy nie przestałam.

- Serio?

- Serio.

- Muszę pojechać do Nowego Jorku na proces. Może wybierzesz się ze mną? Przydałoby mi się wsparcie.

- Po co pytasz? Jasne, że pojedę.

- A co ze sklepem? Chanel i Fi dadzą sobie bez ciebie radę przez tydzień?

Uśmiechnęła się blado w odpowiedzi.

- Pewnie by sobie poradziły, ale nie będzie to konieczne. Nic ci o tym nie mówiłam, ale przyszłość Les Sprogs nie wygląda zbyt różowo.

- Jak to?

Opowiedziała mu o katastrofie, jaką okazał się Tydzień Gwatemali.

- Mam kilka tygodni na zdobycie pieniędzy i spłacenie Stelli, ale szanse są prawie żadne. Jestem pewna, że będę musiała zwinąć interes. I tak się z tym liczyłam, ale nie przypuszczałam, że nastąpi to tak szybko.

- Nie mogę w to uwierzyć. Les Sprogs tyle dla ciebie znaczy!

- To prawda, ale bycie właścicielką ekskluzywnego butiku w Notting Hill nigdy nie było moim celem, najwyżej środkiem prowadzącym do niego. Teraz będę musiała zebrać całą swoją energię i stworzyć Baby Organic.

- Może jakieś zamożne klientki chciałyby zainwestować? Ruby odparła, że pytała już kilka osób. Niestety, z marnym skutkiem:

- Przez tę całą Stellę rozniosło się pocztą pantoflową, że jestem nieodpowiedzialną partnerką w interesach i potencjalni inwestorzy powinni omijać mnie jak zarazę.

Sam potrząsnął z oburzeniem głową.

- Wiesz co? Gdybym miał tyle pieniędzy, natychmiast bym ci je oddał.

- Samie Epstien, jest pan najukochańszym człowiekiem, jakiego znam. Czy mówiłam już panu, że go kocham?

- Chyba tak, ale chętnie usłyszę to jeszcze raz. Co pani powiedziała? Może to pani powtórzyć?

Na twarzy Ruby wykwitł taki uśmiech, że gdyby nie uszy, okrążyłby całą głowę. Uniosła się z miejsca i poprzez stół pocałowała Sama, oznajmiając:

- Oczywiście, panie Epstien, nawet przed sądem.

A w lecie...

Po kilkutygodniowej tułaczce po prowincji spektakl Saula wreszcie wystawiono na West Endzie. Premiera okazała się wielkim sukcesem. Saul dostał pięciominutową owację na stojąco, nie wspominając o tym, że wywoływano go na scenę z pół tuzina razy. Fi stała w pierwszym rzędzie i wiwatując, wraz z publicznością płakała z radości.

Po spektaklu aktorzy, razem z przyjaciółmi i krewnymi, nie mówiąc o przybyłych gwiazdach pełnych ochów i achów, udali się na popremierowe przyjęcie w Soho House. Ruby i Chanel starały się przedrzeć do Saula, aby pogratulować mu wystrzałowej roli, ale nie zdołały tego zrobić. Otaczał go zbity tłum fanów i dziennikarzy. Od chwili, kiedy Saul pojawił się na przyjęciu, uśmiech nie schodził mu z twarzy, lecz po tym, jak kurczowo ścisnął ramię Fi, Ruby poznała, że onieśmiał go cały ten raban wokół jego osoby.

Przyjaciółki, zepchnięte na bok przez winszujących gości, udały się do baru na darmowego szampana.

- Zawsze wiedziałam, że w końcu mu się uda - powiedziała Ruby, sadwiąc się na wysokim stołku.

Właśnie przechodził kelner z tacą pełną przystawek. Chanel podziękowała, ale Ruby nie mogła się oprzeć i wybrała niewielką papierową tubkę zawierającą rybę z frytkami.

- Wow, ciekawe, czy sława da mu w kość - zastanawiała się Chanel, kradnąc Ruby frytkę.

- Na pewno nie przewróci mu w głowie. Ma zbyt rozsądne zaplecze - Fi nigdy na to nie pozwoli.

Kiedy Chanel odeszła przypudrować nos, Ruby przyglądała się ludziom, popijała szampana i wspominała w myślach ostatnie sześć miesięcy.

Stopniowo, krok po kroku, sprawy każdej ze znanych jej osób zmierzały w kierunku pomyślnego zakończenia. Niczym w happy endzie komedii romantycznej, ujrzała przed oczami losy poszczególnych odtwórców ról. Ona - główna bohaterka, odnalazła mężczyznę swego życia. Saul po piętnastu latach zmagania w jeden wieczór został znanym aktorem. Hannah otrzymała zaległe wynagrodzenie od Claudii, przestała się zamartwiać i wróciła na studia. Sam uwolnił się od obaw o utratę swojej zawodowej reputacji i wrócił do pracy w St. Luke. Jego brat właśnie skończył odwyk i myśli o kontynuowaniu studiów prawniczych. Mała Maya, która pół roku temu w tak dramatycznych okolicznościach przyszła na świat, stała się pulchnym, wesołym bobaskiem, który właśnie uczy się nie tylko siadać, ale także „odnajdywać wewnętrzną równowagę” w nocy, zamiast budzić mamę. Ronnie i Philip ślaniali się ze zmęczenia, rozkoszując zarazem każdą minutą nowego życia, a ciocia Sylvia zaczęła

przyjmować już zakłady, czy pierwszym słowem, jakie dzieciak wypowie, będzie „kompleks”, „wyparcie” czy „konflikt emocjonalny”.

Chanel była święcie przekonana, że wszystkie pozytywne zmiany w życiu wymienionych osób stanowiły efekt silnego wpływu Saturna.

- Widzisz, Saturn jest planetą rozsądku i porządku - wyjaśniała Ruby, która poruszyła ten temat. - Kiedy się oddala, tak jak przez kilka ostatnich lat, najlepiej zwinąć się w kłębek w jaskini i przespać.

Jednak wygląda na to, że od stycznia zaczął się przybliżać - ośrodek adopcyjny mianował Chanel i Craiga rodziną zastępczą Alfiego, dając im nadzieję, że za jakiś czas będą mogli go adoptować. Zwykle cały proces trwa miesiącami, ale skoro Claudia zrzekła się praw rodzicielskich, a Chanel i Craig otrzymali doskonałą opinię od kuratora społecznego, nic nie powinno stanąć na przeszkodzie.

Prawnicy Claudii także odczuli, przynajmniej w pewnym stopniu, dobroczynny wpływ Saturna. Załatwili sprawę bezpośrednio z dyrektorem ośrodka adopcyjnego dzielnicy, w której mieszka Chanel, tak że afera matek surogatek nie dostała się do prasy. Z kolei gorzej im się powiodło, kiedy Planchette utraciła prawa rodzicielskie do Avocado i wylądowała w klinice z diagnozą: wyczerpanie, co było eufemizmem dla załamania psychicznego. Brukowece rozpisywały się o niej, produkując niemal dodatki ilustrowane poświęcone prywatnym sprawom aktorki.

- Myślę, że taki wstrząs psychiczny świetnie jej zrobi - zawyrokowała Ronnie tonem eksperta, jakby od czasu, gdy wyrosła z powijaków, przeszła przez wszystkie możliwe rodzaje terapii.

- No, przepraszam bardzo, jak to? Ma cieszyć się, że przeżywa załamanie nerwowe? - nie dowierzała własnym uszom Ruby.

- A tak, i zaraz wyjaśnię ci dlaczego. Kiedy znajdziesz się na dnie, nie masz wyjścia. Musisz odbić się od niego i stawić czoło własnym demonom. Na początku przeżywasz bolesną traumę, ale efektem jej może być cudowne, przynoszące ulgę oczyszczenie. Myślę, że dla Claudii może to być punkt wyjścia do duchowego rozwoju.

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej. Nie zrozum mnie źle, nie próbuję jej usprawiedliwiać, ale na pewno przechodzi bardzo ciężki okres. Wiem, że gwiazdy Hollywood są bogate i rozkapryśzone, ale wyobraź sobie, jakie to okropne mieć wciąż na karku media, które opisują i komentują każdy element twojego wyglądu. Życie pod presją, by wyglądać zawsze pięknie i szczupło, musi być nie do wytrzymania.

Ruby przyznała mamie rację.

- Zaniedbasz się choć na chwilę i żaden producent cię nie zatrudni. Starasz się być zawsze perfekcyjna i w końcu wariujesz - o to ci chodziło?

- Mniej więcej.

- Myślisz, że może odmienić swoje życie?

- Jak najbardziej - nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- O rany - westchnęła Ruby, robiąc minę. - Już to widzę: Claudia sprzedaje prawa do sfilmowania afery matek surogatek - dochód przeznacza na cele dobroczynne. W międzyczasie organizuje lobby, które żąda od studiów filmowych, żeby obsadzały puszyste w głównych rolach romantycznych. Wyobrażam sobie, jak urządza pokazy kulinarne na Rodeo Drive i pikietuje przy świecach przed domem Callisty Flockhart.

BYWAŁO, ŻE RUBY PO KOLEJNEJ odmowie potencjalnego inwestora zaczynała mruzczyć pod nosem, że jest jedyną osobą na świecie, na którą Saturn zwyczajnie się wypiął. Zaraz jednak przychodzili jej na myśl ludzie biedni, chorzy i bezdomni. Poza tym przecież znalazła miłość swego życia i nie powinna narzekać, choć nie zawsze jest to łatwe.

Tak jak przepowiedziała w styczniu, żaden z banków nie zgodził się udzielić pożyczki na spłacenie Stelli i wobec tego musiała zrezygnować z prowadzenia butiku. Otrzymała swój wkład z powrotem, a do tego Stella wypłaciła jej w miarę przyzwoicie wyliczoną część zysku, było tego jednak za mało, by założyć Baby Organic.

Wiedząc, że musi z czegoś żyć, w czasie gdy będzie próbowała zdobyć potrzebną gotówkę, Ruby ponownie otworzyła stoisko z ubrankami w Camden Market i pracowała tam sześć dni w tygodniu.

Czasami w nocy, kiedy Sam spał - wprowadził się do niej w styczniu - chodziła tam i z powrotem po mieszkaniu, próbując wymyślić jakiś plan. Nie chciała przyjąć pożyczki od najbliższych, nawet od Sama, choć stale oferowali pomoc. Była przerażona myślą, że jeśli przedsięwzięcie się nie uda, nie będzie w stanie zwrócić pieniędzy.

Niekiedy nad ranem Sam słyszał, jak Ruby krząta się po mieszkaniu. Wstawał wtedy, przygrzewał jej mleko i prosił, żeby wróciła do łóżka. Widać było, że martwi się jej bezsennością.

- Ruby, tak dalej nie może być. Pozwól sobie pomóc, masz wokół siebie ludzi, którzy cię kochają, to nic strasznego przyjąć od nich parę groszy.

Ona jednak niezmiennie oświadczała, że znajdzie inne, lepsze rozwiązanie.

Banki i inwestorzy, z którymi rozmawiała, wcale nie uważali, że pomysł założenia Baby Organic skazany jest na niepowodzenie. Przeciwnie - twierdzili, że jest świetny, znalazła lukę na rynku i na pewno jej się powiedzie.

- Dlaczego więc państwo we mnie nie zainwestują? - pytała rozczarowana.

Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo - faceci w garniturach wznosili bezradnie ręce do góry i przecierali okulary, mówiąc, że ma za mało wkładu własnego i że wolno im finansować takie przedsięwzięcia tylko w połowie. Niestety, potrzebnych pięćdziesięciu procent Ruby nie miała.

Kiedy dla żartu podpuściła Chanel, by wytłumaczyła jej, dlaczego na nią Saturn nie działa, ta spoważniała i odpowiedziała z westchnieniem:

- Miałam nadzieję, że nie zapytasz.

- A to dlaczego? - Jesteś spod Koziorożca, zgadza się?

- Aha.

- Widzisz, Saturn jest twoją planetą.

- Cokolwiek to oznacza... Chanel zawahała się i tłumaczyła dalej.

- No, na przykład że chociaż Saturn się przybliży, ty nigdy nie będziesz miała łatwo w życiu.

- Miło mi to słyszeć.

- Widzisz, koza urodziła się do wspinaczki, a góry, na które się wspina, bywają wysokie, górskie ścieżki kamieniste i pełne przeszkód. Jednak w końcu zwierzęta te zawsze docierają na szczyt. Po prostu, by go osiągnąć, potrzebują więcej czasu niż inni.

- Więcej, to znaczy ile? Zdążę przed menopauzą?

- Trudno powiedzieć. Musisz robić swoje i dalej gromadzić fundusze. Na pocieszenie powiem ci, że na starość Koziorożce zawsze wyglądają dużo młodziej.

- Tak, tak, to pewnie przez to świeże górskie powietrze. Zwalcza wolne rodniki.

WRÓCIWSZY MYŚLAMI DO SOHO HOUSE, Ruby rozglądała się, szukając wzrokiem Bridget. Tak jak wiele razy wcześniej, Fi poprosiła przyjaciółkę, żeby miała oko na mamę i pilnowała, by nie wycięła jakiegoś numeru.

Chanel wróciła z toalety i powiedziała:

- Jeśli szukasz Bridget, to stoi tam i rozmawia z jakimś facetem. - Wyciągnęła szyję, by zobaczyć, kto to może być. - Ja cię kręcę, to sam David Schwimmer! - Coś ty, na pewno?

- Jak Boga kocham!

Ruby zaproponowała, żeby przeniosły się bliżej, to będą mogły słyszeć, co Bridget mówi, i w razie czego ruszyć biedakowi na ratunek.

- Wie pan co, panie Schwimmer - czy mogę zwracać się do pana po imieniu? Czy ktoś już ci mówił, Davidzie, że jesteś dużo niższy niż w telewizji? - Bridget prawie podskakiwała z podniecenia, na co nie bez wpływu była też ilość wypitego szampana. Ruby zerknęła na Chanel i porozumiewawczo przewróciła oczami.

- Nie, do tej pory nikt.

- I wiesz co, w Oстрыm Dyżurze byłeś po prostu świetny!

- Ale ja tam nie grałem.

- Na pewno? Może ci się coś pomyliło?

- Na pewno nie.

- No cóż, dałabym sobie rękę uciąć... Kto to mógł w takim razie być?

- Może... George Clooney? Miło było panią poznać - próbował sobie pójść.

- A wiesz, kim ja w ogóle jestem?

- Eee, nie bardzo.

- Teściową Jezusa.

Bridget pogładziła się z rozkoszą po świeżej ondulacji.

- Czyżby? - David spoglądał w panice na boki, szukając kogoś, kto pomoże mu uwolnić się od tej wariatki. Ruby już miała ruszyć na odsiecz, kiedy Chanel złapała ją za rękaw.

- Poczekaj. Niech ma swoje pięć minut. Dziewczyna niechętnie wróciła na miejsce.

- Nie, widocznie źle mnie zrozumiałeś - tłumaczyła Bridget. - Jestem Bridget Gilhooley. Saul, który grał Jezusa, jest mężem mojej córki Fiony. Może słyszałeś o mnie, Davidzie? W zeszłym tygodniu był ze mną wywiad w „Catholic Herald”.

- Mmm, chyba nie, musiał mi jakoś umknąć.

- Jaka szkoda! No nic, będziesz mógł w przyszłym tygodniu usłyszeć mnie w radiu. Zaproszono mnie, jako gościa specjalnego, do programu matki Assunty Pogaduszki do poduszki.

- To fascynujące. Postaram się nie przegapić.

- Oczywiście, jak tylko dowiedziałam się, że Saul dostał główną rolę w remake'u Jesus Christ Superstar, pomyślałam - jak mogli ją dać Żydowi? Jak to - poganin ma grać Bożego Syna? To obraza dla Ducha Świętego! Ale, muszę przyznać, wyleciało mi z głowy, że przecież nasz Pan też był Żydem. Ci Żydzi to cudowni ludzie. W końcu, jak się nad tym zastanowić, to oni wymyślili Boga. A nawet, podobno, bajgle!

- Tak, też o tym słyszałem - David, starając się sprostać oczekiwaniom rozmówczynie, rozglądał się wokół z wyrazem twarzy, jakby chciał zapytać: „Czy ona zachowuje się tak zawsze, czy może jestem w Ukrytej Komerze?”.

- A co najważniejsze, rodzina jest dla nich bardzo istotna. Saul oprócz tego, że jest wybitnym aktorem, spełnia się także jako idealny mąż i ojciec. Nigdy nie mogłam mu pod tym względem nic zarzucić. Kocham go jak własnego syna.

- Miło mi to słyszeć. Tylu mężów na świecie ma problemy z teściowymi.

- O, co to, to nie. Mogę powiedzieć z ręką na sercu, że nie zamieniłam z Saulem ani jednego przykrego słowa. A może ty, Davidzie, z tą swoją smagłą, orientalną urodą, również zaliczasz się do narodu wybranego? - I nie czekając na odpowiedź, dodała: - Oczywiście, Żydzi upierają się przy obrzezaniu niewiniątek płci męskiej. Nie powiem, nie pochwalam tego, ale podobno to nawet zdrowe. A ty, Dawidzie, zostałeś obrzezany?

W tym momencie Ruby skoczyła na Bridget z okrzykiem:

- Pani Gilhooley! Proszę podzielić się panem Schwimmerem z resztą towarzystwa. Wielu gości czeka, by zamienić z nim kilka słów.

- Miło się z panią rozmawiało. Nie mogę się doczekać, by opowiedzieć innym, że spotkałem teściową Jezusa!

- A posłucha mnie pan w Pogaduszkach do poduszki?

- Nie wybaczyłbym sobie, gdyby ominęła mnie ta przyjemność!

Chanel poprowadziła Bridget do baru. Ruby została sam na sam z Davidem Schwimmerem i musiała przyznać, że z bliska wydawał się jeszcze bardziej seksowny.

- Przepraszam za nią - powiedziała. - Sukces Saula uderzył jej trochę do głowy.

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się, robiąc się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej apetyczny. - Wiesz co? Nie uwierzysz, ale prawie nikogo tu nie znam. Może urwalibyśmy się stąd gdzieś na kawę albo na drinka?

- Co? Ja? Ze mną? - Ruby obejrzała się, czy nie stoi za nią przypadkiem jakaś szalowa modelka.

- Oczywiście, że z tobą.

- Och, strasznie mi miło i przyjemnie, ale muszę odmówić, bo jest tu ze mną mój facet.

- O, to muszę przyznać, że facet ma szczęście. Miło było cię poznać... - czekał, aż powie, jak ma na imię.

- Ruby. Ruby Silverman.

- Miło było cię poznać, Ruby Silverman - wyciągnął dłoń, którą uściśniła.

- Mnie też było miło. Odwrócił się i poszedł, a zaraz potem dopadła go Joan Collins.

- David! Mój dhogi!

Rzucił Ruby pożegnalne spojrzenie, w którym malowała się prośba o ratunek.

- Powodzenia - uśmiechnęła się Ruby i pomachała mu na pożegnanie, po czym prawie podskakując z ekscytacji, dołączyła do Chanel i mamy Fi.

- Do jasnej nie wiem co, nie wytrzymam! David Schwimmer chciał mnie zabrać na randkę! Uwierzycie?

- Robisz sobie jaja! - brzmiała uprzejma reakcja Chanel. - Jak babcię kocham. Może Saturn nareszcie się do mnie przekonał?

- Jesteś pewna, że on nie grał w Ostrym Dyżurze? - dopytywała się Bridget, opróżniając kolejny kieliszek szampana. - Patrzcie, czy to nie Madonna? No nie, jeśli ktoś potrzebuje czegoś do okrycia, to na pewno ta nadęta pannica. Tylko pytam: która przyzwoita katolicka dziewczyna lata w samych majtkach i gorsecie? Będzie się jeszcze w piekle smażyć, uwierzcie mi na słowo, ale zanim to się stanie, przeziębii sobie nerki jak ta lala! Czy ta kobieta nigdy nie słyszała o halkach? Ten Gej Ritchie powinien wbić jej trochę rozumu do głowy. Gdzie ona znowu poleciała. .. a, tu jest! - Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, Bridget zniknęła w tłumie. Ruby pokiwała milcząco głową.

Chanel przyglądała się bąbelkom przez szkło i powiedziała:

- Gdyby nie ty, nigdy nie dostalibyśmy Alfiego. Sama nie wiem, jak ci dziękować.

Nagle pojawiła się Fi. Wyglądała zabójczo w jedwabnej, jasnoblękitnej sukni od Vivienne Westwood, co Ruby skomentowała teatralnym gwizdnięciem. Fi obróciła się wokół własnej osi, zupełnie jak mała dziewczynka. Usiadła obok nich przy barze i nabrała pełną garść orzeszków.

- Muszę czymś przegryźć szampana, w przeciwnym razie za chwilę rymnę jak kłoda. Słyszałam, co właśnie powiedziałaś - zwróciła się do Chanel. - Masz rację, a ja chciałabym dodać, że nie wszystko skończyłoby się tak dobrze, gdyby nie Ruby.

- Ojej, dajcie spokój - powiedziała Ruby, czerwieniąc się.

Jednak Fi miała rację. Choć chwilowo przygnębiona brakiem powodzenia w interesach, dumna była z siebie, że dała popalić Hardacre'owi i McNullty.

Przed podróżą do Nowego Jorku na proces Josha Ruby, Hannah, Sam i dwóch poszkodowanych lekarzy oddzielnie wysłali listy do zarządu kliniki. Kilka tygodni później zaproszono ich na spotkanie rady nadzorczej i w oparciu o ich wyjaśnienia przeprowadzono szczegółowe wewnętrzne dochodzenie w sprawie afery surogatek.

Hardacre, który, zgodnie z podejrzeniami, okazał się jedynym zamieszany w nią lekarzem, miał czelność wszystkiemu zaprzeczyć i grozić, że oskarży klinikę o oszczerstwo,

lecz Jill i dwie położne znacznie wcześniej załamały się w krzyżowym ogniu pytań szpitalnej wierchuszki i przyznały do winy, nie kryjąc, że w całym procederze pierwsze skrzypce grał doktor Hardacre. Cała czwórka została zwolniona dyscyplinarnie z pracy i dostała zakaz wykonywania zawodu.

Jill odeszła od Hardacre'a. Nigdy nie współpracowała z nim chętnie. Właściwie pod przymusem wciągnął ją w aferę. Ruby dowiedziała się okreśną drogą, że Jill pokutuje za dawne grzechy i pracuje na kasie w dyskoncie. Choć Tom Hardacre wyleciał z pracy, Ruby uważała, że nie poniósł wystarczająco srogiej kary. Co prawda nie mógł pracować już jako lekarz, ale, w przeciwieństwie do Jill, miał spore zasoby finansowe, które pozwalały mu na dostatnie życie. Fakt ten spędzał Ruby sen z powiek, aż pewnej nocy wpadła na świetny pomysł.

Rano w St. Luke zdobyła prywatny telefon Toma i zadzwoniła do niego. Kiedy usłyszał jej głos, próbował się rozłączyć.

- Nie, proszę nie odkładać słuchawki, chciałam się z panem podzielić pewnym pomysłem.

- Doprawdy? - odpowiedział zdawkowo.

- Tak. Uważam, że powinien pan wesprzeć klinikę sporą sumą. Mam nadzieję, że zostanie ona przyjęta.

Hardacre zarechotał nieprzyjemnie.

- A to dobre! Dlaczego, do licha ciężkiego, miałbym zrobić coś tak głupiego!

- Ujmijmy to tak: nie jestem pewna, ile pan zarobił na swoim procederze, ale na pewno nie wynikał on ze szlachetnych pobudek. Nie zdziwiłabym się także, gdyby kazał pan sobie płacić gotówką.

Zamilkł na krótką chwilę.

- Co pani sugeruje?

- To, że na pewno nie zapłacił pan podatku. Jeżeli nie wpłaci pan odpowiedniej kwoty na konto kliniki, powiadomię urząd skarbowy.

- Rozumiem.

- Wiedziałam, że się dogadamy.

Tydzień później na konto St. Luke wpłynęło ćwierć miliona funtów. Darczyńca pozostał anonimowy.

Zarząd postanowił przeznaczyć pieniądze na stworzenie oddziału zaburzeń pokarmowych oraz na przeprowadzenie ogólnonarodowej kampanii uświadamiającej, jak

ryzykowne jest odchudzanie się w czasie ciąży. Ruby nie mogła oprzeć się myśli, jaki to piękny przykład ironii losu.

Niebawem od piętnastu gwiazd Hollywood, które skorzystały z usług zastępczych matek, klinika otrzymała przez biuro adwokackie piętnaście listów, w których grożono wyciągnięciem sankcji, w przypadku gdyby nazwiska klientek dostały się do prasy. Szpital obiecał dyskrecję, a konto nowego oddziału wkrótce zasilili kolejne dotacje. Dziewczyny wynajęte do noszenia ciąży otrzymały sowite odszkodowania.

- ZA KIM SIĘ ROZGLĄDASZ? - spytała Fi strzelającą oczami Ruby.

- Za Samem. Zniknął gdzieś całe wieki temu. Chyba pójdę go poszukać.

Wstała i obciągnęła spódnice.

- Swoją drogą, Fi, strasznie się cieszę z waszego sukcesu. Saul był oszalamiający dziś wieczorem. Przydałby mu się urlop, zaharowywał się na śmierć, żeby zagrać tę rolę.

- Wiem i taka jestem z niego dumna! Ruby pocałowała przyjaciółkę.

- Zaraz wrócę. Jakbyś zobaczyła Sama, powiedz mu, że go szukam.

MYŚLAŁA, ŻE ZNAJDZIE GO na tarasie, ale było tam prawie pusto. Mżyło i goście schronili się do środka.

Ruby nie przeszkadzał siąpiący deszczyk. Przez kilka chwil rozkoszowała się ciszą. Usiadła przy jednym ze stolików i wdychała zapach letniego deszczu na londyńskim bruku. Sięgnęła do torebki i wyjęła telefon, choć powstrzymywała się od tego przez cały wieczór. Postanowiła sprawdzić pocztę - a nuż inwestor, z którym rozmawiała wczoraj, zdecydował się zmienić zdanie i wyłożyć kapitał na Baby Organic?

Wystukała numer poczty i usłyszała: „Nie masz nowych wiadomości”.

- Ejże, co tak siedzisz sama na deszczu? - spytał znajomy głos. Sam z zafrasowanym wyrazem twarzy szedł w jej stronę. - Wszystko w porządku?

- Tak. Właściwie to szukam ciebie. Nigdzie cię nie było, więc postanowiłam sprawdzić, czy nie mam jakichś nowych wiadomości.

- Od tego wczorajszego inwestora?

Przytaknęła. Sam, wciąż poważny, wyciągnął dla siebie krzesło spod stolika i przysiadł się do Ruby.

- Przepraszam za zniknięcie. Dzwonił Buddy. Irene wreszcie przekonała go, by poszedł na emeryturę i zdecydował się sprzedać fabrykę marynat.

- Nie żartuj! To przecież całe jego życie!

- Tak, ale nie robi się coraz młodszy. Chyba zdał sobie sprawę, że czas się wycofać. - Sam przerwał. - Ruby?

- Co?

- Wierzysz w cuda?

- Raczej nie. Chanel na pewno powiedziała, że Koziorożcom się one nie przydarzają.

- Czyżby?

Sam wyjął komórkę z kieszeni i wybrał numer.

- Buddy? Złapałem Ruby, już ją daję.

- Dlaczego właśnie ze mną chce rozmawiać? - obruszyła się.

Sam podał jej telefon.

- Sama się zaraz dowiesz.

- Cześć, Buddy. Co słychać?

- Wszystko jest do bani, ale miło, że pytasz. Żona zmusza mnie, bym został emerytem.

Czy wiesz, od ilu lat siedzę w marynatach?

- Nie?

- Pięćdziesiąt siedem. Prawie całe życie, od młokosa po zgreda.

- Nie kłam - odezwał się z dala skrzekliwy głos Irene. - Dopiero czterdzieści dwa.

Zawsze musisz przesadzić. Odkąd cię znam, nic tylko koloryzujesz.

- Eee tam. Co to ja chciałem... Ruby, jest taka sprawa. Mogę zostać emerytem, ale biznesmenem nie przestanę być nigdy. Szukam nowego interesu - Sam opowiedział mi z grubsza, do czego się przymierzasz. To dobry pomysł i może wypalić. Co byś powiedziała, gdybym włożył w to trochę pieniędzy?

- Chciałbyś zainwestować w Baby Organic?

- Dlaczego nie? Ekomarket to przyszłość. Trzeba być młotkiem, żeby tego nie widzieć.

- Buddy, to miło z twojej strony, ale mam zasadę, że nie pożyczam od przyjaciół. Jeśli interes padnie, nie będę mogła zwrócić pieniędzy i jak spojrzę ci wtedy w oczy?

- Ruby, pięćdziesiąt siedem lat w marynatach nauczyło mnie jednej rzeczy...

- Myślałam, że czterdzieści dwa.

- Jeden pies. Dużo ich było i tyle. Nauczyłem się jednego. Nie bierz się za interesy, jeśli chcesz uniknąć ryzyka. Biznes to ryzyko, a ja chcę postawić na ciebie. Pytanie - czy ty potrafisz zaryzykować i pożyczyć kapitał od przyjaciela?

Ruby siedziała, myśląc gorączkowo, z telefonem przy uchu.

- Nie wiem. Moja ostatnia inwestorka była kimś z rodziny i skończyło się na tym, że uparła się, by wszystko kontrolować.

- Ja nie chcę nic kontrolować. Co stary piernik może wiedzieć o bachorach? Bierz pieniądze. Zrobisz mi grzeczność, bo ulży mi na sumieniu. W końcu to ja namówiłem Sama, by naopowiadał ci bajek. A do tego czuję, że interes się powiedzie.

- Miło, że tak mówisz, ale ja naprawdę...

- Co, co? Co tam mówisz?

Popatrzyła na Sama, który gwałtowną gestykulacją przekonywał ją, by przyjęła propozycję.

- OK. Zgoda, ale jak coś nie wyjdzie, przysięgam, że zwrócę ci wszystko, co do centa.

- A jak tobie - albo raczej: nam - dobrze pójdzie, a coś mi mówi, że tak będzie, to spodziewam się niezłego procentu od dochodów, umowa stoi?

Ruby zawahała się, lecz odpowiedziała:

- Stoi.

- Grzeczna dziewczynka. Ucieszyłaś staruszkę. - I staruszkę - zapiszczała w tle Irene.

- Buddy, dziękuję.

- Nie ma za co, kwiatuszkule, nie ma za co. Oddała Samowi komórkę.

- Ty to wszystko zaplanowałaś, prawda? - spytała na wpół żartem, na wpół oskarżycielsko.

- Przyznaję, że coś Buddy'emu napomknąłem, ale to on wpadł na pomysł, by ci pomóc.

Naburmuszyła się.

- Co?

- Słuchaj, nie jestem niewdzięczna, ale nie może być tak, że zawsze kiedy mam kłopoty, zstępujesz z nieba jak Batman i mnie z nich wybawiasz. Muszę nauczyć się radzić sobie sama, to dla mnie ważne.

- Ruby, do jasnej Anielki! Nie bądźże taka uparta! Przez kilka ostatnich miesięcy nie tylko ratujesz wszystko, co się rusza. Demaskujesz aferę ciążową. Pomagasz Hannah. Gdyby nie ty, Chanel nie miałyby Alfiego. Klinika nie miałaby ćwierć miliona funtów...

- A mama nie miałaby porodówki na lotnisku.

- Też prawda - zaśmiał się. - Ruby, odpuść sobie. Nie rozmyśl się i weź pożyczkę od Buddy'ego, korona ci z głowy nie spadnie!

- Może i nie. Jeśli dobrze ją przykleję. W takim razie pozostaje mi tylko jedno: podziękować ci i powiedzieć, że strasznie cię Kocham - wspięła się na palce i pocałowała Sama w usta.

- A ja ciebie.

Ruby uśmiechnęła się w odpowiedzi, spojrzała w niebo i zawołała:

- Saturnie, Saturnie, nareszcie dałeś sobie spokój. Kto by pomyślał, że wreszcie mi odpuścisz?

- Saturnie? A główka cię nie boli? Co ty bredzisz?

- Ach, nic, to tylko taki żart. Lepiej chodźmy zobaczyć, co wyrabia Bridget, w końcu obiecałam jej pilnować.

Nie musieli długo szukać. Gdy Ruby rozmawiała przez telefon, zaczęła grać orkiestra, a matka Fi postanowiła, że będzie śpiewać.

- Do krówki nędzy! - wykrztusiła Ruby. - Tym razem poszła na całość. - Wskazała w kierunku Bridget, która stojąc na stole, w staniku założonym na sukienkę, fałszowała ile sił w płucach: Lik'e a virgin, hey! Touched for the very first time. Co ciekawe, wszyscy goście zebrali się wokół niej, klaszcząc i śpiewając.

- Like a virgin... Madźka, rusz tyłek, lafiryndo - zakrzyknęła w kierunku Madonny. - Chono tu i śpiewaj z nami!

Madźka posłusznie wstała z miejsca.